

CZARNA SERIA

Skąd wziąć to wiele z najbardziej efektywnych powieści na północy, które zostały napisane przez Åke Edwardsona? W Anglii lub Ameryce z pewnością byłby uważany za gościa niezwykłego.

Walter Benn Rebeck

Skąd wziąć to wiele z najbardziej efektywnych powieści na północy, które zostały napisane przez Åke Edwardsona? W Anglii lub Ameryce z pewnością byłby uważany za gościa niezwykłego.

Walter Benn Rebeck

Åke Edwardson

Słońce i cień

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Tęcza tom kryminalnej serii o komisarzu Erlku Winterze

Åke

Edwardson

Słońce i cień

przełożyła Alicja Rosenau

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2011

Tytuł oryginału *Sol och skugga*

Redakcja Grażyna Mastalerz

Projekt okładki Magda Kuc

Zdjęcie na okładce: www.shutterstock.com

DTP

Marcin Labus

Korekta Małgorzata Denys

Copyright © Åke Edwardson 1999

Published by agreement with Norstedts Agency

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2011

Wydanie I

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

(dawniej Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza)

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36

faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego www.czarnaowca.pl

Druk i oprawa

OPOLGRAF S.A.

Książka została wydrukowana na papierze Ecco Book Cream 70 g/m². vol. 2,0

dystrybuowanym przez:

map

ISBN 978-83-7554-337-7

Dla Rity

WRZESIEŃ

1.

Zacząło padać. Simon Morelius nastawił radio. Nic nie słyszeli przez pięć minut. Dochodziła dziesiąta i panował spokój. Greger Bartram zatrzymał się na czerwonym świetle. Dwie kobiety przeszły przez ulicę, jedna z uśmiechem odwróciła się w stronę radiowozu. Greger Bartram uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

- Dwadzieścia siedem, ładna - powiedział. - I to samo myśli o mnie.

- Ona się uśmiechnęła do mnie. Nie do ciebie - zaprotestował Morelius.

- Patrzyła mi prosto w oczy - odparł Bartram. - To ze mną szukała kontaktu.

Światła się zmieniły i Bartram wjechał na rondo Korsvägen.

- I stwierdziła, że nikogo nie ma w domu - powiedział Morelius.

- Ha, ha.

- Popatrzyła ci głęboko w oczy i zobaczyła, że nikogo tam nie ma. Tylko glina w średnim wieku za kółkiem dziwnie pomalowanego samochodu, a ona...

Usłyszeli przez radio kobiecy głos:

- Dziewięć jeden dwadzieścia. Dziewięć jeden dwadzieścia, odbiór. - Potem padła niewyraźna odpowiedź gdzieś z daleka. Znów odezwała się kobieta: - Ktoś leży na ulicy przed Focusem przy Lisebergu, pijany albo chory. Jest tam grupka nastolatków.

Odpowiedział jakiś patrol:

- Słyszeliśmy. Jesteśmy na Prinsgatan i jedziemy do Focusa.

Morelius sięgnął po mikrofon.

- Tu jedenaście dziesięć. Jesteśmy bliżej, jedziemy właśnie Korsvågen, możemy to przejąć.

- Dobrze, jedenaście dziesięć.

Radiowóz z dystryktu Lorensberg wyjechał z ronda i zatrzymał się przed centrum handlowym. Na parkingu siedziało kilka skulonych osób. Kiedy samochód się zatrzymał, jedna z nich podbiegła do otwieranych przez Bartrama drzwi.

- To ja telefonowałam - powiedziała dziewczyna, na oko szesnastoletnia. Pomachała komórką, jakby ta miała się właśnie rozdzwonić, żeby potwierdzić słowa właścicielki. Dziewczyna miała proste włosy, gładko przyklejone do głowy przez deszcz. W jej wielkich oczach malowało się przerażenie. Bil od niej zapach alkoholu i tytoniu. Żywo gestykulowała. - Ona tam leży. Maria tam leży, ale już trochę lepiej się czuje.

- Zadzwońię po karetkę - rzucił Bartram.

Morelius poszedł za dziewczyną. Od grupki młodzieży dzieliło ich kilka kroków. Otaczali półkolem dziewczynę, która właśnie próbowała się podnieść. Zachwiała się, ale Morelius, który właśnie znalazł się przy niej, podał jej ramię i uchronił przed upadkiem. Ważyła tyle co nic. Wyglądała jak bliźniaczka tamtej, która dzwoniła, ale patrzyła nieobecny wzrokiem. Tu naprawdę nikogo nie ma w domu, pomyślał Morelius.

Czuć było od niej alkohol i wymiociny. Morelius poczuł coś lepkiego pod podeszwami butów. Powinien uważać, żeby się nie pośliznąć. Po kilku sekundach dziewczyna spojrzała na policjanta, niespodziewanie przytomnie.

- Chcę do domu - powiedziała.

- Co zażywałaś? - zapytał Morelius.

- Nni... nic - odparła. - Tylko kilka piw.

- Kilka piw, jasne. - Morelius spojrział na grupkę pięciu czy sześciu młodych ludzi. - Co brała? To ważne. Jeśli coś wiecie, mówcie natychmiast, w tej chwili, NATYCHMIAST. - Podniósł głos, trochę ich nastraszył.

- Tak jak mówiła - odezwał się chłopak w robionej na drutach czapce i bluzie od dresu. - Kilka piw... i trochę wódki.

- Wódki? Jakiej wódki? Czy ktoś ma butelkę?

Młodzi ludzie popatrzyli po sobie.

- BUTELKĘ - powtórzył Morelius.

Chłopak w robionej na drutach czapce sięgnął pod obszerną bluzę i wyjął butelkę. Bartram wziął ją od niego i obejrzał, trzymając pod światło neonowych reklam.

- Nie ma etykiety - powiedział.

- Neeee... nie ma.

- Co to jest? - zapytał Bartram. W tej samej chwili wszyscy usłyszeli syrenę pogotowia po drugiej stronie wieżowca Gothii. - Co to za gówno? Samogon?

- Tak... chyba tak - przyznał jeden z chłopców. - Kupiłem od kumpla. - Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpląkać. - Mówił, że to całkowicie w porządku.

- Nie jest w porządku - powiedział Morelius. Czuł, że dziewczyna wisząca mu na ramieniu robi się coraz cięższa, znów traci przytomność. - Gdzie ta cholerna karetka?! - krzyknął. W tej samej chwili auto zatrzymało się dwa metry od niego, zazgrzytały wytaczane nosze.

Siedzieli w poczekalni pogotowia. Dziewczyna była w gabinecie zabiegowym. Po dwudziestu minutach wyszedł lekarz. Wyraz jego twarzy powiedział Moreliusowi, że jeszcze żyje. Młody chłopak przechadzał się nerwowo po poczekalni. Może on też był przed Focusem. Moreliusowi wydawał się znajomy. Jak zdążył tu dojechać?

- Alkohol w młodym organizmie, no cóż... to nie jest dobra kombinacja - powiedział lekarz.

- Jak ona się czuje?

- Biorąc pod uwagę okoliczności, nieźle, jak to się mówi. Musi oczywiście zostać u nas na noc.

- Więc ten alkohol... był w porządku? - zapytał Bartram.

Lekarz rzucił mu wymowne spojrzenie.

- Chodzi panu o ten samogon?

- Chyba pan, do cholery jasnej, rozumie, co mam na myśli?!

Doktor spojrział na niego ponownie.

- Nie ma powodu do gniewu - powiedział. Otrzeptał fartuch, jakby chciał go oczyścić z przekleństwa Bartrama. - Najmniejszego powodu.

- Przepraszam - odparł potulnie policjant. - Po prostu martwimy się o nią. Niektórzy gliniarze już są tacy. - Chcemy tylko wiedzieć, czy ma jakieś inne... obrażenia... niż te, co normalnie... jeśli ten samogon był mocniejszy niż zwykły alkohol - wyjaśnił Morelius.

Lekarz popatrzył na nich z powątpiewaniem, jakby myślał, że chcą go nabrać.

- W tej chwili wszystko wygląda normalnie - powiedział. - Ale nie zostawiamy niczego przypadkowi. Czy zawiadomiono rodzinę?

- Tak - przyznał Morelius. - Matka powinna tu być lada chwila.

- No więc, w takim razie... - powiedział lekarz i wyszedł.

- Dziękujemy, doktorze - rzucił Bartram.

Patrzyli jeszcze, jak wychodzi przez wahadłowe drzwi.

- Arogancki dupek - powiedział Bartram.

- Chyba myśli to samo o tobie.

Bartram mruknął coś niezrozumiałego i spojrział na kolegę. Było tuż po jedenastej, twarz Moreliusia od ostrego światła poczekalni była cała w płamach.

- Ach tak, więc to córka naszej pastor. Jesteś pewien? Hanne Östergaard? Która leczy nasze obolałe dusze?

- Tu nie ma co ironizować. - Morelius wziął do ręki portfel dziewczyny. Przeczytał dane z legitymacji. - Maria Östergaard. Ulica w Örgryte. Nasza pastor nazywa się Hanne Östergaard i mieszka w

Örgryte, ma też córkę o imieniu Maria.

- A skąd ty właściwie to wszystko wiesz?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie, nie.

- Ale nie jestem do końca pewien. - Przez otwierające się na noc drzwi wpadła kobieta. - Teraz jestem pewien - powiedział Morelius i ruszył ku Hanne Östergaard.

- Gdzie Maria? - zapytała. - Gdzie ona jest, Simon?

- Jeszcze w zabiegowym, czy jak to się nazywa - odparł Morelius.

- Ale wygląda na to, że wszystko jest dobrze.

- DOBRZE? Wszystko jest dobrze? - Hanne Östergaard wyglądała, jakby za chwilę miała się roześmiać. - Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie mam iść?

Ktoś z pracowników szpitala wyszedł przez wahadłowe drzwi. Policjanci zobaczyli, jak Hanne Östergaard biegnie na oddział ratunkowy.

Chłopiec, który krążył po poczekalni, poszedł za nią. Obejrzał się jeszcze raz za siebie i zniknął w korytarzu.

- Ja cię kręcę - rzucił Bartram. - I nawet wiedziała, jak masz na imię.

Morelius nie odpowiedział.

- Nawet pastorom nie zostaje to oszczędzone - powiedział Bartram.

- Co oszczędzone?

- Trudne sytuacje, kiedy coś się dzieje z ich bliskimi, ukochanymi. Ale ty chyba nie masz dzieci?

- Odpowiedź brzmi: nie. Ale to tutaj chyba skończy się... szczęśliwie.

- Dzięki nam.

- E tam. Dzieciak, który chla za dużo i rzyga. Pewnie sama by oprzytomniała za jakiś czas, tamci by jej pomogli. *Happens all the time.* Czy tobie nic takiego się nie zdarzyło?

- Mnie? Nie przypominam sobie.
- No właśnie, to jeszcze o niczym nie świadczy.
- Jedziemy? - zapytał Bartram.

Jechali do centrum, minęli budynek Chalmers i szpital Vasa. Deszcz padał coraz mocniej. Latarnie świeciły jakby słabiej, otulone w noc. Bartram zatrzymał się na czerwonym świetle. Dwie kobiety przechodziły przez ulicę, ale żadna się nie odwróciła, żeby się uśmiechnąć do radiowozu. Morelius nastawił radio. Słuchali komunikatów. Psychiczenie chory staruszek zaginął w Änggården kilka godzin temu i właśnie się odnalazł. Gorąca dyskusja w mieszkaniu w Koretadali zakończyła się, kiedy na miejscu zjawili się funkcjonariusze. Pijaczyna, który oparł się o stojący tramwaj przy Brunnsparcken, upadł, kiedy tramwaj ruszył. Czy można to uznać za wypadek komunikacyjny? - zastanawiał się Bartram.

Morelius myślał o Hanne Östergaard i o tym, o czym rozmawiali dwa tygodnie wcześniej. Był wdzięczny Gregerowi, że o nic więcej nie pytał.

Erik Winter zgasił światło w swoim pokoju i wyszedł. Deszcz przestał padać. Pojechał do domu rowerem, przez Heden, ustąpił pierwszeństwa komuś, kto nie uważał na Vasagatan. Nogawki ochlapała mu woda, a może jeszcze jakiś inny syf. Było za ciemno, żeby się dało cokolwiek zobaczyć. Zastanawiał się, czy nie przejechać koło Saluhallen, ale zrezygnował. Zadzwoniła jego komórka. Zatrzymał się i wyjął telefon z wewnętrznej kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza.

- Nie mogę się zdecydować w sprawie sofy - powiedziała Angela, kiedy się zgłosił. - Muszę cię prosić o radę, natychmiast.

- Chyba nie dźwigasz?

- Nie, nie.

- Możemy ją zabrać, jeśli nie możesz się zdecydować. Mam przecież miejsce.

- Ale gdzie będzie stała?

- Czy to nie może poczekać do wieczora?
- Chciałam przyjść przygotowana jak najlepiej.
- Hm...
- To poważna decyzja.
- Wiem.
- Czy ty naprawdę to przemyślałeś? Może powinniśmy kupić do...
- Angelo, daj spokój...
- Wiem, wiem. Ale to takie oszalamiające. To wszystko.

To chyba najodpowiedniejsze słowo, pomyślał Winter, strzepując kilka kropli z ramienia. Oszalamiające. Pierwszy raz w dorosłym życiu miał zamieszkać z drugim człowiekiem. Po latach dość luźnego związku mieli z Angelą zamieszkać razem. Czuł się tak, jakby to ona podjęła tę decyzję. Nie. To było niesprawiedliwe. Przecież on też musi brać na siebie odpowiedzialność.

Nie mieli wyboru. Albo zamieszkają razem, albo... wszystko się skończy. Choć tego nie mógł już sobie wyobrazić. Nie odważyłby się zerwać. Samotność byłaby zbyt straszna, czyż nie? Byłaby jeszcze gorsza. Samotnie wejść w nowe tysiąclecie. Sylwester: płyta w odtwarzaczu i kieliszek wina. To byłoby wszystko. Nędzą rozświetlona fajerwerkami.

Wkrótce do przełomu wieków zostaną już tylko trzy miesiące, będzie miał czterdzieści lat i niedługo przestanie być najmłodszym komisarzem w Szwecji.

Przygotował się do naciśnięcia na pedały.

- Zobaczmy się o ósmej - powiedziała Angela, a on wyłączył komórkę.

W mieszkaniu zapadła noc, nic już się nie świeciło. Lampa stojąca na podłodze paliła się przez jakąś dobę, ale spaliła się w niej żarówka. Kiedy zaczęło świtać, jesień wlewała się między żaluzjami, a opuszczona roleta w sypialni przepuszczała plamy światła.

Lodówka szemrała. Na kuchennym stole stały kieliszki do wina i pusta butelka. Na blacie przy kuchence stał podłużny półmisek z resztkami

zeschniętych tagliatelli. Mały rondel z sosem grzybowym stał obok. Sos już poczerniał. Na desce do krojenia kilka plasterków pomidora powoli wsiąkało w drewno.

W zmywarce stały trzy talerze i kilka talerzyków, kieliszki, sztućce i jeszcze jeden rondel.

Z kranu rytmicznie kapiała woda, kiepska uszczelka. Ten dźwięk było słycać w dzień i w nocy w całym mieszkaniu, ale para, która siedziała na sofie w salonie, nic nie słyszała.

Wokół nich leżały porozrzucone ubrania, tworzyły też linię prowadzącą z kuchni, przez przedpokój, do salonu: męskie skarpety, para spodni, spódnica, pończocha, bluzka z cienkiego materiału. Wokół sofy bluzka, majtki, koszula, slipy. Przez okno wpadały różne odgłosy. Tramwaje. Kilka samochodów. Nagły powiew wiatru. Śmiech kilku osób wychodzących z restauracji.

Kobieta i mężczyzna byli nadzy. Trzymali się za ręce. Siedzieli zwróceni do siebie twarzami. Tylko ich głowy wyglądały dziwnie.

Czy tak było? Czy tak miało być? Czy to ten obraz? Próbował o nim pomyśleć, zobaczyć go.

Był w kuchni. Przeszedł przez przedpokój. Ubrania leżały na podłodze. Zastaniał dłonią oczy, kiedy podchodził do sofy. Spojrzał. Na sofie było pusto. Popatrzył jeszcze raz i zobaczył, że tam siedzą, zwróceni do siebie. Jej twarz tak dobrze znana.

Ich głowy. Ich GŁOWY.

Przetarł mocno oczy. Słyszał odgłosy z ulicy, otworzył drzwi auta. Czuł deszcz na twarzy, kiedy wysiadł, a potem stał na ulicy przed domem.

Marzył, żeby się cofnąć w czasie. Ludzie, którzy przechodzili obok, nie wiedzieli, nie wiedzieli nic. Zupełnie nic. Nie wiedzieli, że żyją w raj.

PAŹDZIERNIK

2.

Winter stał w przedpokoju, ale nie zapalał światła. Angela miała się zjawić za godzinę, może nawet wcześniej.

Jak długo tu mieszkał? Dziesięć lat? Czy to było dziesięć lat? Coś koło tego. Ile lasek tu zaciągnął przez te lata? Wolał o tym nie myśleć. Mógłby wyciągnąć przed siebie ręce i policzyć na palcach, może by wystarczyło.

Przeszedł przez mieszkanie, rozjaśnione światłami miasta rozciągającego się za oknem. Jedna z ostatnich takich przechadzek w błogiej samotności. Uśmiechnął się do siebie. Wkrótce w przedpokoju będzie musiał brodzić w rozrzuconych ciuchach. Skarpeta na oparciu sofy. Znał Angelę. Potrzebujesz trochę nieporządku w życiu, mówiła. A ty wnosisz chaos, odpowiadał. Nareszcie, mówiła.

Będzie musiał przesunąć przybory do golenia na półeczce w łazience. Może do kącika, obok tych wszystkich tajemniczych słoiczków i buteleczek, które ona tam ustawi.

A gdyby jednak powiedziała nie?, pomyślał wcale nie tak dawno. Gdyby się tym po prostu zmęczyła.

Na dole, na Vasaplatsen, jeździły tam i z powrotem tramwaje. Ściana za dużymi oknami była biała w świetle wieczoru. Trochę dalej jarzył się czerwony punkcik na sprzęcie stereo. Winter ruszył w tamtą stronę i sięgnął po box Springsteena, który jego przyjaciel, komisarz policji kryminalnej z Londynu Steve Macdonald, przysłał mu zeszłej jesieni, nie zważając na koszty. Zrobił to po to, żeby Winter musiał myśleć o tym, ile kosztowała przesyłka, a przez to słuchał z powagą i skupieniem. Winter lubił jazz i Macdonald uważał, że to w porządku, ale

wychodził ze skóry, żeby uzupełnić jego edukację o rzeczy, które Winter przegapił, dorastając pod kloszem przy Johnie Coltranie.

Najciekawsze było to, że teraz, od kiedy zaczął poznawać rocka, słuchał jeszcze więcej jazzu. Słyszał nowe niuansy u Coltrane'a, nowe odcienie czerni. Ku własnemu zdziwieniu odkrył też, że w prostej muzyce rockowej też są rzeczy, które mu się podobają. Może właśnie to było najważniejsze. Prostota.

Kiedy człowiek jest starszy, zaczyna dążyć do prostoty. Ja się starzeję. Całkiem niedługo skończę czterdzieści lat. To pod pewnymi względami poważny wiek. Może nie jestem łatwym człowiekiem, ale mogę się jeszcze uczyć, nadal. Albo po prostu zawsze byłem prostą duszą. Angela to dostrzegła. To dlatego wybrała mnie z dziesiątek tysięcy innych facetów.

Wybrał z pudełka czwartą płytę i puścił utwór dziewiąty, swój ulubiony kawałek od kilku miesięcy albo przynajmniej od chwili, czy raczej od czasu podjęcia decyzji. Decyzja. *I'm happy with you in my arms, I'm happy with you in my heart, happy when I taste your kiss, I'm happy in love like this.* Zwykle życie. Angela to zrozumiała. Może i on znajdzie w tym szczęście.

Ballada rozchodziła się po pokoju, kiedy się rozbierał, *happy baby, come the dark*, nagle przestał myśleć o czymkolwiek, stanął pod prysznicem. Słyszał muzykę przez plusk wody, ale także dzwonek do drzwi i trzaśnięcie, kiedy Angela otworzyła drzwi własnym kluczem.

Lars Bergenhem jechał przez Alvsborgsbron. Samochód bujał się na wietrze. Bergenhem miał wolne. Jadąc przez tunel, nagle zadał sobie pytanie, co on tam, u diabła, robi. W tunelu. W aucie. Mógł siedzieć w domu i patrzeć, jak jego dwuletnia córeczka śpi. Już to robił. Ada spała, a on się jej przyglądał. Mógł się przyglądać, jak Martina sprząta kuchnię po kolacji Ady. Mógł sam sprzątać.

To się zaczęło jak zwykle. Jakieś słowo, którego żadne z nich nie rozumiało. Kiedy Ada zasnęła, zrobiło się tak cicho, że nie był w stanie nawet szukać słów, które nie pogarszałyby sprawy. Był śledczym, ale tutaj zawiódł na całej linii. Był detektywem, ale nie *detective of love*. Czy to z jakiejś piosenki? *Detective of love*? Elvis Costello? *Watching the Detectives*. Śledzić detektywów.

Zawrócił na wysokości Frölunda Torg i ruszył na północ, z powrotem. Zrobił już kiedyś taką wycieczkę, ale to było dawno temu.

Wszystko układało się dobrze. Ten niepokój zniknął tak dawno. Czyżby wrócił? Czy to jego wina? Czy to coś było w nim, czy w Martinie? Te słowa, do których nikt nie chciał się przyznać. Skąd się brały? Pojawiały się jak ból głowy.

Szeregowy domek wyglądał przytulnie, kiedy wysiadł z samochodu. Domowo przytulnie. Świeciło się więcej lamp, niż było trzeba.

Martina siedziała w kuchni z kubkiem herbaty. Płakała, a on poczuł się winny. Musiał coś powiedzieć.

- Ada śpi?
- Tak.
- To dobrze.
- Ale co?
- Że ona śpi, Ada.
- Co ty gadasz? Po prostu wychodzisz z domu i gdzieś sobie jedziesz, a potem wracasz i udajesz, że nic się nie stało.
- Ale czy coś się stało? Co się tak naprawdę stało?
- Jeszcze pytasz?
- Czy to ja zacząłem?

Nie odpowiedziała. Siedziała ze spuszczoną głową, wiedział, że znowu płacze. Miał do wyboru dwie rzeczy: albo powie coś sensownego, albo wstanie, pójdzie do samochodu i znowu przejedzie przez most.

- Martino...

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Oboje jesteście zmęczeni - spróbował.
- Zmęczeni? Naprawdę? Przecież powinniśmy być wypoczęci i radośni, cieszyć się na Boże Narodzenie. Ada zaczęła już... - Znów pochyliła głowę nad blatem.

Bergnhem rozpaczliwie szukał słów. Zegar na ścianie tykał głośniejsz niż zwykle.

- I tak ma być, póki znów mi nie odbije? - zapytał.

Wymamrotała coś w odpowiedzi, ale nie dosłyszał.

- Co powiedziałaś?

- Nie zawsze chodzi tylko o to, żeby ci znów nie odbiło - powiedziała. - Czy to znaczy, że ma być cicho i spokojnie, żebyś był w stanie być policjantem kryminalnym?

- Wiesz, o co mi chodziło.

- Niedługo już nic nie będę wiedziała.

Wstał i poszedł do Ady. Popatrzył na śpiącą z kciukiem w buzi dziewczynkę. Nie słyszał żadnego dźwięku. Nachylił się nad jej twarzyczką, nasłuchując oddechów, aż usłyszał słaby świst wciąganego nosem powietrza.

Pozwolili opaść na dno złym słowom na tyle, na ile się dało. Pił kawę w salonie, kiedy Martina wyszła z kuchni.

- Winter zamieszka z Angelą - powiedział.

- Dlaczego nazywasz go Winter, przecież ma na imię Erik? Chyba o nas nie mówią Bergnhem i Martina?

- Nie, jasne, że nie... ale przeważnie używa się nazwiska. My tak robimy - wyjaśnił Bergnhem.

- Wtedy jest mniej osobiście, tak? Czy to łatwiejsze? To o to chodzi?

- Sam... nie wiem - przyznał.

Martina poznała Angelę przed prawie dwoma laty, kiedy miała się urodzić Ada. Było dramatycznie. Bergnhem przepadł bez śladu, był ranny, więc Winter poprosił Angelę, żeby pojechała z nią do szpitala, podczas gdy on szukał kolegi.

- Mam nadzieję, że dobrze im się będzie układało - powiedziała Martina do pogrążonego w myślach Bergehema.

- Myślę, że wszystko się uda.

- Co?

- Przeprowadzka. Wspólne mieszkanie. Erik i Angela. Że będzie dobrze.

- Tak.

- A gdzie będą mieszkać?

- Nawet nie pytałem. Ale myślę... chyba oczywistym wyborem jest jego mieszkanie. Jest większe.

- Skąd wiesz?

Spojrzał na nią. Uśmiechała się. To pytanie nie miało żadnego podtekstu.

- Właściwie nie wiem - odparł. - To dziwne. Po prostu uznałem to za oczywiste.

- Może kupią dom.

- Nie mogę sobie wyobrazić Wintera w domu.

- Dlaczego nie?

- No nie wiem... w jakiś sposób należy do miasta. Wysokie domy, place, taksówki.

- Nie sądzę. Na pewno kupi wielki dom gdzieś w Långedrag i wypełni go rodziną.

- Dla mnie to brzmi nierealnie.

- Wkrótce będzie rok dwutysięczny - odparła Martina.

- Wszystko się może zdarzyć.

Nie do końca wszystko, pomyślał. Nie wszystko powinno się zdarzyć. Wszystko powinno zostać tak, jak jest właśnie w tej chwili.

- Może zrobią parapetówkę? - rzuciła Martina. - A kiedy to ma być?

- Ale co?

- Kiedy razem zamieszkają, wszystko jedno gdzie?

- Przed Bożym Narodzeniem, tak mi się wydaje.

- To wspaniale. Cieszy mnie ta wiadomość.

3.

Angela przyszła przed ósmą. Znowu zrobił się wieczór. Miała rozpuszczone włosy, mieniły się kolorami w padającym przez uchylone drzwi świetle. Może w jej oczach był jakiś nowy wyraz, coś, czego wcześniej nie widział: wiara, że mimo wszystko mają jakąś przyszłość. Ale było w nich też coś innego. To drugie. Jakieś szczególne światło w oczach, jak gdyby w tyle jej głowy jarzyła się mocna lampa, jakby nadawała jej źrenicom ten szczególny blask.

Kiedy zdjęła trzewiki, na parkiecie została brudna woda. Winter spojrział na ślady, ale nic nie powiedział. Angela śledziła jego wzrok. Podniosła ręce nad głowę.

- To się więcej nie powtórzy - powiedziała.
- Co takiego? - zapytał.
- Widziałam, jak spojrzales.
- I co?
- Pomyślałeś właśnie: jak to wszystko, na litość boską, może się udać? Co się stanie z moją podłogą, kiedy ona tu zamieszka?
- Ech...
- To są sprawy, które musisz przepracować - dodała.
- Tymczasem mogę iść do ciebie w zabłoconych buciorach, pospaceruję po twoim mieszkaniu, wejdem do łóżka, poskaczę po fotelach. Żeby odreagować, że tak powiem.
- Właśnie o tym mówiłam. Przepracować to.

Wziął ją za rękę i poszli do kuchni. Pachniało kawą i podgrzany w piekarniku chlebem. Na stole stała maselniczka, leżał kawałek sera, rzodkiewki, pasztet, korniszony.

- O, będzie impreza.
- Rustykalny urok i prostota. A mimo to elegancko.
- Masz na myśli pasztet?
- To część rustykalna. A tu masz elegancję - powiedział Winter i poszedł do kredensu po szklaną salaterkę.
- Co to takiego? - zapytała, podchodząc do stołu. - A, marynowany śledź. Kiedy zdażyłeś to zrobić? Bo chyba sam to zrobiłeś? We własnoręcznie ugotowanej zalewie?
- Nie obrażaj mnie.
- Kiedy to zrobiłeś?
- Wczoraj w nocy. Tuż przed drugą. Teraz są idealne.
- Są idealne - powtórzyła. - Brakuje tylko wódki, ale chyba się napijemy, co?
- Ty się nie napijesz - powiedział. - Ja mógłbym strzelić setę, ale będę solidarny. Przynajmniej dzisiaj.
- To raczej normalne, że mężczyźni solidaryzują się z kobietami w takiej... sytuacji.
- Ach tak?
- Niektórzy nawet przybierają na wadze.
- Tu raczej na mnie nie licz.

Morelius czuł się sztywny. Przyniósł w sobie tę sztywność z domu, nie odpuściła całkiem, nawet kiedy trenował przed wieczorną służbą.

Potem siedział na ławce przed szafką i masował sobie kark, przyglądając się zdjęciom rozebranych lasek przyklejonym do wewnętrznej strony drzwi szafki Bartrama. Dość niewinne zdjęcia, jakby wycięte z jakiegoś świerszczyka z lat sześćdziesiątych. Nie na dzisiejsze czasy. Bartram lubił się trzymać przeszłości. Czasami twierdził, że te zdjęcia przedstawiają jego żonę, ale przecież nie był żonaty.

To był ostatni tydzień sześciotygodniowego grafiku. Dla niego oznaczało to dodatkowy piątkowy wieczór i dwa wieczory weekendowe. Czekały już jak strach przyczajony w ciemnościach. Dzień wypłaty.

Wiedział, że na mieście ludzie zaczęli już świętować swoje bogactwo. Było tuż przed ósmą, komisariat był już zamknięty.

- Masz kręcz karku? - zapytał Bartram, zajęty służbową bronią. Rutynowymi ruchami sprawdzał wszystkie mechanizmy. Jego SIG sauer 225 miał jeszcze oryginalną drewnianą kolbę. Mógł opowiedzieć o tym, jak stracił walthera, ale nie teraz. Był spokojny, poważny, przygotowany na wieczór i na cały weekend.

- Tylko trochę jest sztywny - odparł Morelius.
- Uważaj na przeciągi.
- Dobrze.
- Będziesz chyba musiał zostać dzisiaj w budynku.
- Co mówisz?
- Przeciągi. Masy ludzi będą wieczorem przeciągały przez miasto.
- Ech. Będzie jak zwykle.
- To dzień wypłaty, Simonie.

Morelius i Bartram szli w dół Avenyn. Niektórzy policjanci woleli patrolować pojedynczo, Morelius do nich należał, ale od pół roku było inaczej. Wystraszył się raz czy dwa. Widział rzeczy, które go przerażały.

Raz spotkał śmierć w tunelu Gnistäng, kiedy para młodych ludzi wjechała prosto w betonową ścianę. Siedział w samochodzie tuż za nimi i wszystko widział. Jak na filmie. Patrzył na to, jakby to był jakiś cholerny film. Wszystko było rzeczywiste, choć równocześnie nierzeczywiste. Jadąca przed nim mazda nagle skręciła w lewo i walnęła w ścianę z koszmarnym hukiem tłuczonego szkła i giętych blach. Nawet nie był na służbie, jeździł tylko obwodnicami. Robił tak czasami, kiedy nie pracował. Udało mu się zahamować w miejscu, potem wyskoczył z auta i podbiegł do wraku. Dziewczyna wisiała z... z... i koszmarnie go zemdlilo, tuż przy niej, jak zwykły... zwykły... a potem zadzwonił, ale kiedy wybierał numer, słyszał już syreny nadjeżdżających kolegów i karetki pogotowia.

Właśnie sobie to przypomniał, kiedy po raz drugi mijali Park. Za oknami błyszczeli piękni i młodzi ludzie, w barach i restauracjach. Kobiety. Bartram odwrócił głowę w lewo.

- Uważaj, bo znowu będziesz miał sztywny kark.
- Ha, ha.
- A może to jest tego warte.
- Należy sobie to zrekompensować patrzyeniem w drugą stronę.

Morelius spojrział w drugą stronę, na Avenyn. Grupka młodych ludzi zbliżała się od Götaplatsen. Jedna z pięćdziesięciu, jakie ściągały do miasta w każdy piątkowy wieczór. Avenyn stanowiła dziwną mieszankę elegancji wieku średniego, zdesperowanych trzydziestolatków w kryzysie i zdesperowanych piętnastolatków w kryzysie.

Najbardziej pijani szukali nowych znajomości, prowokowali innych. Bandy wysyłały najmłodszego członka, czekały, przypuszczały atak.

Bartram spojrział w prawo, on też.

- Tę dziewczynę poznaję.
- Co?
- Tamtą jasnowłosą dziewczynkę, która tam idzie, w grupie.

Pierwsza od naszej strony.

- Tak.
- Córka pastorki.
- Właśnie. Maria Östergaard.
- Szybko stanęła na nogi.
- To było tydzień temu. I już wtedy mówiłem, że to nie było nic groźnego.

- Ale ona znów się szlaja po mieście... po tym wszystkim. Co na to powie nasza pastor?

- Możesz ją sam zapytać. Właśnie idzie.

Tak było. Hanne Östergaard szła szybkim krokiem, niemal biegła. Przecięła Avenyn od strony teatru. Obserwowali, jak podchodzi do grupki młodzieży. Złapała za ramię jasnowłosą dziewczynę, swoją

córkę. Morelius słyszał ich głosy, ale nie rozumiał, co mówią.

- Idziesz ze mną do domu!

- Ty za mnie nie decydujesz.

- Prosiłam cię, żebyś dziś wieczorem została w domu.

- Chcesz, żebym ciągle siedziała w domu. - Wyrwała się z rąk matki. - Puść mnie! - Popatrzyła na stojących dookoła kolegów.

- Chcę tylko, żebyś teraz poszła ze mną do domu - powiedziała Hanne Östergaard. Puściła rękaw jej kurtki. - Bardzo się niepokoję. Pomyśl, co będzie, jeśli... jeśli znów się stanie coś takiego.

- Nic się nie stanie - odparła dziewczyna. - Nawet się nie napiłam piwa. - Chuchnęła matce w twarz. - Czujesz jakiś alkohol, co?

Hanne Östergaard zaczęła płakać.

- Mario, proszę, chcę tylko, żebyś poszła ze mną do domu. Ja się tak... strasznie martwię.

- Nie masz się czym martwić, mamo. Jestem z przyjaciółmi. Wrócę o pierwszej, jak mówiłam.

Hanne Östergaard popatrzyła na nią, na grupę nastolatków, potem na drugą stronę ulicy, na dwóch policjantów. Zrobiła ruch, jakby chciała do nich podbiec i zażądać, żeby zabrali jej córkę i odwieźli do domu, do Örgryte.

Żeby tylko tu nie podeszła, prosił w myślach Morelius. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy musieli do nich podejść. Potem usłyszał krzyk: NIE! Zobaczył jeszcze, jak dziewczyna odwraca się z nienacką i puszcza biegiem w dół ulicy. Jej koledzy się zawahali. Jeden chłopak po chwili ruszył jej śladem. Był podobny do tamtego z korytarza na pogotowiu, tego, który nerwowo przechadzał się wzdłuż ścian. Grupka się rozproszyła, jakby coś ich ciągnęło w dół szerokiego chodnika, byle dalej od kobiety, która stała tam teraz samotnie.

- Myślisz dużo o tym, jak to będzie zostać ojcem?

Zaskoczyło go to pytanie. Jak podczas przesłuchania. Zaskoczenie. Żeby nie było czasu na zastanowienie.

- Naturalnie - odparł.
- Kłamiesz.
- Dlaczego miałbym kłamać? To będzie najważniejsze wydarzenie w moim życiu, na równi z moimi narodzinami. - Popatrzył na nią. Włosy odgarnęła do tyłu. Lekko zaokrąglony brzuch. - I chwilą, kiedy spotkałem ciebie, kochanie.

- To była właściwa odpowiedź. Ale wydaje mi się, że już zaczynasz się martwić o wszystko, co może pójść źle.

- Mylisz się, Angelo. Jestem optymistą, jak wiesz. Wybuchnęła śmiechem.

- W tym przypadku jestem - dodał.
- Mam wrażenie, że już zacząłeś rozmyślać, jak to będzie, kiedy... kiedy nasze dziecko będzie nastolatkiem i pójdzie się włóczyć ze swoją paczką na Avenyn.

- Przestań.
- A nie jest tak? Na pewno o tym myślisz.
- Wtedy nie będzie już Avenyn.
- Nie będzie już w mieście reprezentacyjnej ulicy? Czy teraz przemawia przez ciebie optymizm?

Zadzwoiła leżąca na nocnym stoliku komórka. Pięć minut po północy. Nieliczne osoby, które miały ten numer, dzwoniły w sprawach służbowych, poza Angelą, która właśnie leżała obok niego, naga, jeszcze odprężona i lekko zaróżowiona, z trzema kropelkami potu u nasady włosów.

I poza jego matką. Albo morderstwo, albo matka, pomyślał Winter, ale się nie uśmiechnął. Wyciągnął się nad drugą połową łóżka i odebrał.

- Eriku! Dzięki Bogu, że odebrałeś. - Matka była zdyszana, jakby wbiegła na dwa czy trzy pagórki w Nueva Andalucia. Winter słyszał trzaski na linii z Costa del Sol.

- Co się stało, mamó?
- Tata, znowu. Tym razem to poważne, Eriku.

Winter przypomniał sobie poprzedni raz, w zeszłym roku. Ojciec został przewieziony do szpitala w Marbelli z podejrzeniem zawału serca, ale to było tylko zapalenie mięśnia sercowego. Przymierzał się, żeby tam pojechać, ale okazało się, że to niepotrzebne.

Nie widział się z ojcem od czasu, kiedy jego rodzice praktycznie uciekli ze swoimi pieniędzmi przed szwedzkim systemem podatkowym. Nie miał na to ochoty w zeszłym roku i teraz też wolałby tego uniknąć, jeśli tylko się da.

- Czy to znowu mięsień sercowy?

- Och, Eriku. On miał zawał. Zaledwie kilka godzin temu. Dzwonię ze szpitala. Leży na oddziale intensywnej opieki, Eriku. ERIKU? Słyszysz mnie?

- Tak, jestem, mamó.

- On umiera, Eriku.

Winter zamknął oczy, wziął głęboki oddech. Spokój. Spokój.

- Jest przytomny?

- Co... nie, jest nieprzytomny. Dopiero co go operowali.

- Operowali go?

- No przecież mówię. Zrobili tacie długą operację. Wyczyścili naczynia, tak myślę.

Angela naciągnęła prześcieradło na piersi i usiadła na łóżku. Patrzyła na niego z poważnym wyrazem twarzy. Rozumiała.

- Rozmawiałaś z Lottą? - zapytał Winter. Jego siostra była lekarzem. Znała trochę hiszpański. Angela też była lekarzem, ale nie mówiła po hiszpańsku. Jego matka potrafiła coś powiedzieć w tym języku, ale Winter nie był pewien, czy rozumie, co się do niej mówi. Najlepiej znała się na gatunkach win i mocniejszych alkoholi. Nawet gdyby lekarze mówili po angielsku, i tak była zbyt wzburzona, żeby ich wysłuchać. Zresztą gdyby mówili po szwedzku, też.

- Zadzwoniłam najpierw do ciebie, Eriku.

- Czy lekarze coś mówili?

- Tylko tyle, że nadal jest pod narkozą. - Szlochała mu do ucha. -
A co będzie, jeśli on się nie obudzi, Eriku?

Winter zamknął oczy. Widział już siebie w samochodzie jadącym na Landvetter, a potem w fotelu w samolocie. Błękitne niebo nad chmurami. Spojrzał na swoją dłoń. Drżała. Może to ostatnie godziny, pomyślał.

- Wsiadam w pierwszy samolot do Hiszpanii.

- A będą teraz miejsca? Prawie zawsze jest pełno w tej... o tej porze.

- Jakoś to załatwię.

Angela przyglądała mu się. Wszystko słyszała. Musi to załatwić. Będzie siedział w samolocie odlatującym o siódmej czy którejś tam. Ktoś inny będzie siedział oparty o swoje kije golfowe i czekał na następny samolot, żeby na Słonecznym Wybrzeżu zagrać w golfa.

4.

Zamknął za sobą drzwi. A może wyszedł i zamknął je później, zanim to się zaczęło. Ten, kto zechce wyjść, będzie musiał poświęcić kilka cennych sekund, które i tak nie wystarczą.

Jedli, ale nie pamiętał co. Nawet nie myślał o tym, co wkłada do ust. Ona się zaśmiała, raz czy dwa. Tamten, ten drugi, się nie śmiał. Jakby wiedział...

Jakby wiedział, kim on jest. Dlaczego tu przyszedł.

Że też potrafię tak siedzieć, pomyślał. A teraz mówię. Powiedziałem coś, co nic nie znaczy. Zresztą nie wiem, czy oni słuchają.

Słyszał muzykę w głowie, najpierw cicho, potem narastała i przycichała. Zupełnie jakby siedział w domu i słuchał, albo w samochodzie, ale w samochodzie rzadko to robił, nie chciał wjechać w skalną ścianę w tunelu.

Słuchał, jeszcze zanim to się zaczęło. A może tamto zaczęło się od słuchania. Usiłował nie słuchać i jakiś czas mu się udawało, ale teraz to było niemożliwe. Teraz to nie miało żadnego znaczenia, teraz, kiedy tu siedział. Rozejrzył się po kuchni. Pytali go, czy chce zostać w kuchni, a on wzruszył ramionami. Potem się przeniesiemy do salonu, powiedziała takim tonem, że poczuł lodowaty chłód w głowie, a muzyka narastała i cichła. Był ciekaw, czy oni to widzą, czy w końcu też będą w stanie to usłyszeć, może chwilę przedtem, zanim to się stanie.

Gitary ryczały mu w głowie. Głos wrzeszczał, chrypiał, syczał w samym środku muzyki, która nie chciała go opuścić:

lying in the black field, memories start to move into my mind, visions of the red room, my bloodied face, her bloodied head.

Wizja czerwonego pokoju. Zamknął oczy. Podniecenie narastało. Ona to zauważyła i uśmiechnęła się. Nic nie wiedziała. Ten drugi trochę się wiercił, ale powoli zaczął się rozplýwać, stawać cieniem. Kiedy spoglądał na nią, też stawała się cieniem. Nadszedł czas.

Powiedziała coś.

- Co?
- Halo? Czy ktoś tam jest?
- Co... tak...
- Wyglądasz, jakbyś był gdzieś daleko.
- Nie... jestem tutaj.
- Ruszałeś głową, jakbyś czegoś słuchał. W środku, w głowie.
- No.
- Może my też moglibyśmy posłuchać - powiedziała z uśmiechem.

Ten drugi się nie śmiał. Patrzył wprost na niego, jakby widział tych, co siedzieli w jego głowie i grali. - Jaka to muzyka? - zapytała i podeszła do niego, nachyliła się do jego ucha. Poczul jej ciężar i woń alkoholu w oddechu. Pili, zanim się zjawił. On nie pił. Przedtem nie i teraz też nie. - Nic nie słyszę - powiedziała i jeszcze mocniej oparła się o niego, a potem go pocałowała. Czul ją w ustach.

Nie ruszał się. - Co z tobą? - zapytała. - Nie masz ochoty? - Zwróciła się do drugiego mężczyzny. - Najwidoczniej nie jest napalony. A myślałam, że jest swingersem.

Tamten nic nie powiedział. Nadal mu się przyglądał. Może to nic nie znaczyło.

Kobieta wyszła z kuchni, nie było jej chwilę, potem wróciła. Z drugiego pokoju doleciała muzyka. Nie chciał na nią patrzeć. Widział kawałek jej skóry.

- A co myślisz o tym? - zapytała.
- Co takiego? O czym?
- O muzyce - odparła. - Pomyślałam, że posłuchamy czegoś razem!

Próbował słuchać, ale nie słyszał nic, nic się nie przedzierało przez metal wrzeszczący w jego mózgu.

Ona coś zawołała, poruszając się tanecznym krokiem.

Poderwała tamtego. Przyciągnęła go do siebie, pocałowała. Zerknęła w jego stronę. Zaczęła odpinać tamtemu koszulę i położyła dłoń na jego lewej piersi. Poruszała się w rytm muzyki. Znow się zaśmiała.

- Elton John! - krzyknęła. - Nieźle buja!

Nagle poczuł napad mdłości, a równocześnie ogromne podniecenie. Spoglądali na niego, oboje. Tamten skinął mu głową, z ręką pod jej bluzką.

Zrobili przed nim dwa czy trzy taneczne kroki.

Podniósł się z krzesła.

5.

Winter zdjął walizkę z taśmy, przeszedł przez odprawę i odebrał samochód z wypożyczalni. Zdjął marynarkę i usiadł za kółkiem. Samochód stał w cieniu przed terminalem. W samolocie kapitan podawał temperaturę w Maladze, która w postaci szarych skał sterczała ze spalonej ziemi trzy tysiące metrów niżej. Łuk wokół spokojnego morza. Trzydzieści dwa stopnie w cieniu. Upał jeszcze nie chciał opuścić Andaluzji. Winter jeszcze nigdy tu nie był.

Był zmęczony, lekko łupało go w głowie. Uruchomił silnik. Było mu smutno, upał jeszcze potęgował to uczucie. Jakby gorąco coś zapowiadało.

Rozłożył mapę Słonecznego Wybrzeża, którą dostał od firmy wynajmującej samochody, i sprawdził drogę do Marbelli. Nie powinien mieć kłopotów z dojechaniem. E15 przez całą drogę. Autostrada cieszy się sławą najniebezpieczniejszej w świecie, ale takie rzeczy słyszy się też o innych, pomyślał, wyjeżdżając z parkingu.

Ruszył na zachód. Włączył radio. Jakiś Hiszpan śpiewał swoją wersję *My way*, sepleniąc po kastylijsku. Śpiewowi towarzyszyło instrumentalne flamenco, które dla Wintera brzmiało radośnie i fałszywie. Flamenco przeszło w meksykańską rumbę z tysiącem trąbek. Hiszpan powrócił za chwilę z *Green, green grass of home*.

Trawa za szybą była sucha, jakby nieżywa, prawie pozbawiona koloru.

Jechał przez przedmieścia. Kiedy patrzył pod słońce, wieżowce wydawały się czarne. Beton był jak plama z praniem zwieszającym się

z krzywych okien. Przestrzenie między domami były puste, pomijając małe grupki zdziczałych psów uganiających się między stertami śmieci. Wokół domów nie było widać ludzi, właśnie zaczęła się sjesta. Tylko wściekle psy.

Zjechał na bok, żeby przepuścić ciężarówkę, która wypadła zza zakrętu. Kierowca opierał się łokciem o szybę i palił. Na siedzeniu obok kobieta bawiła się z dwójką małych dzieci, jedno z nich mu pomachało. On też mu pomachał. Wytarł twarz. Zaczął się mocno pocić. Klimatyzacja nie działała - *The very best, señor!* - a pęd powietrza nie był w stanie ochłodzić mu głowy.

Po lewej stronie zobaczył to, co zwano Torremolinos, Torrie, jak kiedyś powiedziała jego matka, jak mówili Anglicy: betonowe bloki w pół drogi między niebem i oceanem. To mógł być albo raj, albo piekło, zależy, kogo zapytać, ale Winter nie chciał nikogo pytać, nie zamierzał się też zatrzymywać, nie myślał już o Torrie, przejeżdżając obok, nie więcej niż o murze wzdłuż plaży.

Musiał zwolnić. Przejeżdżał przez teren, na którym pensjonaty i hotele wypełniały każdy fragment przestrzeni. Flatotel Apartamentos. Nueva Torre Quebrada. Hotel Costa Azul. Droga biegła wzdłuż brzegu. Palacio del Mediterráneo zasłaniał niebo, z nazwy na ścianie odpadło kilka liter. W Benalmádena widział, jak wioski po prawej stronie wspinały się w górę zbocza Sierra Blanca, jakby chciały uciec przez łąkę na wybrzeżu. Wsie były pomalowane na biało, niewiele domów. Niewinne górskie wioski, pomyślał. Kto może je uratować przez obłąkanymi architektami, którzy szaleją na całym Costa del Sol?

Przy Caracola de Mar samochód pełzał po wybrzuszeniach na drodze. Dwudziestometrowy byk sterczał na szczycie urwiska nad kamieniołomem. Wokół rozciągały się olbrzymie kompleksy hotelowe, kilka wyglądało jak wariackie podróbki świątyni w Lhasie. Nagle droga przecięła niewielką pustynię, czekającą na eksploatację. Wszędzie

były tablice. Zakurzone palmy tworzące zagajnik pod ostrym słońcem. Winter zauważył kilka sępów krążących nad czymś, co mogło być padłym osłem.

Minął Fuengirolę. Wieżowce na lewo od autostrady wyglądały, jakby ktoś je rzucił na chybił trafił z ciągnących się po prawej gór. Wzdłuż jarów wyrastały wille Skandynawów, jak przierzuty.

- Cholera, daj już spokój, Winter.

Może przeżyje. Może już zamówił swojego ulubionego drinka T&T.

Przy La Costa pasek plaży między drogą i morzem był pusty. Samotny autobus, zdemolowany i zakurzony, stał na kawałku stepu.

Głowa bolała go coraz bardziej. Przed Myramar ze żwirowego podłoża wystrzelały opuszczone hotele, zbudowane na planie koła. Wyglądały jak upiorne stwory z innych planet, ze skórą ze spękanego cementu w kolorze uryny

Ciągnęło się to bez końca. Hotel za hotelem, cień za cieniem: California Beach Club, Club La Costa, Los Amigos. Szkielet po Las Farolas. Przy Sitio de Calahonda budynki niemal dotykały autostrady. Zatrzymał się na czerwonym świetle. Miał przed sobą Guitart Apartamentos, kojarzyły mu się z nagrobkami. Groby dla tych, którzy chcą umrzeć w słońcu, pomyślał.

W Elvira autobus zatrzymał się przed nim na przystanku umiejscowionym w niebezpiecznym miejscu przy autostradzie. Poniżej znajdował się Punta de los Ladrones. Przylądek Złodziei.

Po prawej widział góry, nadal dzikie, jakby przyczajone w oczekiwaniu, aż ta ulotna cywilizacja rozsypie się w proch i wszystko znów nabierze takiego samego koloru jak góry.

Wreszcie po prawej dostrzegł Hospital Costa del Sol, w bieli i zieleni. Do Marbelli zostało jeszcze sześć kilometrów. Skręcił przy hotelu Los Monteros, jechał kawałek wzdłuż autostrady, okrążył szpital.

Zaparkował przy przystanku autobusowym i poszedł za drogowskazem *Entrada Principal*. Trawa była zielona, rabaty kwiatów czerwone. Ogromny budynek otaczały pinie, kaktusy i krzewy bugenwilli. Z balkonów zwieszały się kwiaty.

Szerokie schody prowadziły do wejścia, które wyglądało jak czarna dziura. Wziął głęboki oddech, przeciągnął dłonią po krótkich włosach i wszedł.

Simon Morelius zostawił Bartrama przed Park Lane i przeszedł na drugą stronę Avenyn. Podszedł do Hanne Östergaard, nadal stała bez ruchu. Zauważyła go dopiero, gdy stanął tuż przy niej:

- Nie możesz tu stać, Hanne.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Tu chyba nie jest zamknięte - powiedziała. Może nawet dosłyszał jej sarkastyczny śmiech. Podniosła wzrok i rozejrzała się za nastolatkami. Już zniknęli wśród przechodniów. - Ta scena mogła zwabić tłumy. Przynajmniej ty jesteś na właściwym miejscu o właściwej porze - powiedziała i popatrzyła mu w oczy. - Znowu. - Potem położyła mu dłoń na ramieniu. - Przepraszam, Simon.

- Nie musisz nic mówić - odparł. - Może cię podwieźć do domu?

- Nie trzeba, dziękuję. Mój samochód stoi na Heden. - Miał wrażenie, że znów się zaśmiała tym suchym śmiechem. - O ile nie został przez ten czas skradziony. - Spojrzała w dół Berzeliigatan. - Jeden z twoich młodszych kolegów, z którym rozmawiałam jakiś rok temu, twierdzi, że wszystkie samochody parkujące na Heden prędzej czy później zostają skradzione.

- To chyba prawda.

- Może wtedy będę potrzebowała pomocy.

- Możemy ci towarzyszyć i rzucić okiem - zaproponował Morelius.

- Nie jesteś na służbie? Masz na sobie mundur. Powinieneś chyba patrolować ulice?

- To też jest służba.

- No dobrze - zgodziła się i ruszyła. Morelius dał znak Bartramowi. Bartram machnął ręką i dalej szedł w stronę Götaplatsen.

- Człowiek jest całkiem skołowany po czymś takim - powiedziała Hanne Östergaard, patrząc prosto przed siebie. - Kiedy musi ganiać po mieście za swoim dzieckiem. - Podniosła wzrok na Morelius. - Zaczynam nawet używać słów, których nigdy nie używałam. Skołowany.

Morelius nie odpowiedział.

- To się zaczęło tak nagle - ciągnęła. - Nigdy nie... nigdy nie myślałam, że będę musiała przeżywać coś takiego. Nigdy. Ha! To się nazywa naiwność.

Morelius nadal się nie odzywał. Wiedział, że mieszka sama z córką, ale nie chciał mówić, że to musi być trudne czy czegoś innego w tym rodzaju, czegoś, co się zwykle w takich sytuacjach mówi.

- To chyba uwalnianie się - mówiła dalej Hanne. - A kiedy się jest córką pastora, jest jeszcze bardziej burzliwie. Wszystko jest ostrzejsze. - Znów popatrzyła na Morelius. Przecinali Avenyn i czekali na zielone światło przy Södravägen. - Myślisz, że o to chodzi, Simon?

- Nie wiem - odparł, patrząc przed siebie. - Nie jestem chyba właściwą osobą, żeby odpowiadać na takie pytania.

- Czuł, że zaczyna się pocić pod czapką. Miał nadzieję, że tego nie zauważyła. Potu, który spływał mu po twarzy.

- Dlaczego nie? - Przecięli ulicę, kierując się ku odległemu krańcowi parkingu. - Chyba możesz mieć na ten temat jakieś zdanie. Tak mi się wydaje.

- Nie mam dzieci.

- Tym lepiej dla ciebie. - Znów ten sarkastyczny śmiech. - Nie, powinnam się chyba opanować. - Zatrzymała się i rozejrzała. - Nie pamiętam, gdzie dokładnie go zostawiłam. Samochód. - Rozejrzała się

jeszcze raz. - Nie myślałam o tym. Wtedy.

- Jak wygląda?
- Volvo. Starszy model. Ma dziesięć czy jedenaście lat.
- Numery?

Znów na niego spojrzała.

- W tej chwili sobie nie przypomnę. To strasznie głupie.
- Dość powszechne - uspokoił ją Morelius. - Ludzie często zapominają numer rejestracyjny swojego samochodu.

- Zwłaszcza w stresie, prawda?

- Tak. - Omiatał wzrokiem stojące na parkingu samochody. Wszędzie najróżniejsze modele volvo. W ciemnościach i przy świetle neonów kolor był bez znaczenia.

- Tam stoi - powiedziała. Wskazała ręką i ruszyła w stronę Exercishuset. - To tamten, z pustym miejscem obok. Po prawej.

Samochód był bardzo brudny. Morelius widział to już z odległości dziesięciu metrów.

- I tak by nie było widać rejestracji.

- Takie rzeczy człowiek zawsze odkłada na później - przyznała Hanne Östergaard. - Ale to niedobrze, ze względu na rdzę i takie rzeczy.

- To prawda.

- Ale w tej chwili wydaje mi się to raczej mało istotne.

Doszli do samochodu. Hanne otworzyła i usiadła za kierownicą.

- No więc... dziękuję - powiedziała.

- Nie ma za co.

Popatrzyła przed siebie z kluczykami w dłoni, potem spojrzała na Morelius, stał pochylony przy aucie. Włączyła silnik.

- A ja zawsze myślałam, że mamy taki świetny kontakt - powiedziała, ale nie wszystkie słowa dotarły do Morelius.

Winter przeszedł przez duży hol do tablicy informacyjnej przy recepcji. Przeczytał: *Cuidados Intensivos. Cirugía. Traumatología.*

Medicina Interna. Cardiología. Pierwsze piętro: *primera planta.* Dostrzegł schody po lewej stronie. Wiedział, że jego ojciec właśnie został przeniesiony z OIOM-u na oddział pooperacyjny, piętro wyżej. Przenosiny były chyba dobrym znakiem, choć głos matki w telefonie nie brzmiał zbyt przekonująco. *Cirugía. Cardiología.* Po hiszpańsku to brzmiało tak... abstrakcyjnie, jak pojęcia oddzielone od ciał, krwi i ścięgien.

Wszedł schodami na piętro i rozejrzał się po korytarzu. Na lewo znajdował się oddział intensywnej opieki. Na prawo interna, na tablicy numery pokoiów: *Habitaciones 1101-1117.* Matka mówiła, że ojciec leży w sali 1108. Winter wszedł na oddział. Ból rozsadał mu czaszkę. Nie rozmawiał z ojcem od sześciu lat. To było szaleństwo. Wcześniej tego nie rozumiał, ale teraz uświadomił sobie, że tamto wszystko... było bezsensowne i głupie, pomyślał, do diabła, niech ojciec robi, co chce, ze swoimi pieniędzmi, byle tylko przeżył.

Mijał po kolei sale: 1105, 1106, 1107, 1108... drzwi były uchylone, ukazywały niewielki przedpokój i salę, przez okno widział żwirowany dziedziniec. W środku było bardzo jasno. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Winter poczuł zapach chloru i czegoś jeszcze, to musiał być płyn do mycia podłóg. Wszystko lśniło czystością. Ściany były żółtawe. Podłoga z kamiennych płyt. Pod sufitem po prawej przymocowano telewizor. Po lewej stały dwa łóżka, jedno puste. W drugim leżała postać podłączona do rurek i szklanych butlik otaczających łóżko. Obok na krześle siedziała starsza pani, jego matka.

Nie od razu go usłyszała. Po chwili odwróciła głowę i drgnęła, poderwała się i podeszła do niego.

- Eriku - powiedziała i natychmiast zaczęła płakać. Widział ślady łez na jej chudej, mocno opalanej twarzy. Kiedy ją obejmował, miał

wrażenie, że nic nie waży, jakby się unosiła w powietrzu z tymi swoimi chudymi ramionami i nogami.

- Przyjechałem - powiedział i znad jej ramienia spojrzął na ojca.

Bengt Winter miał zamknięte oczy, głowę obrócił na bok. Podparto mu ją poduszkami. Był blady, jakby opaleniznę wchłonęła choroba.

- Jak jest? - zapytał Winter, ruchem głowy wskazując łóżko. - Jak z tatą?

- Teraz śpi. Dostał silne leki, żeby mógł odpocząć, leżeć spokojnie. I coś jeszcze. Ale myślę, że wezmą go z powrotem na OIOM.

- To znaczy, że wcale nie powinni go tu przenosić?

- Nie wiem, Eriku. - Pociągała nosem, wsparta na jego ramieniu. Nadal ją obejmował. - Ja już nic nie wiem.

- Ale to zawał?

- Tak. Bardzo poważny, tak mówi doktor Alcorta.

- Jest tu teraz?

- Nie sędzę. Możemy zapytać. Ale porozmawiam z nim jeszcze raz jutro przed południem. - Spojrzała na łóżko, jakby mówiła do męża. - Jesteśmy umówieni.

Wypuścił ją z objąć i podszedł do łóżka. Twarz ojca zapadła się trochę w poduszkę i była jakby na wpół wymazana, jakby wyrównana czyjąś dłonią. Winter patrzył na ojca i widział w nim siebie. To także moje życie, myślał. Dzieli nas zaledwie dwadzieścia pięć lat, to nic. Zupełnie nic.

Bengt Winter oddychał, a strużka śliny spływała mu z ust nad podbródek i dalej, aż do szyi, która majaczyła ciemno w całej tej bieli. Winter stał ślinę dłonią. Podbródek ojca był szorstki od zarostu, chłodny. Włosy sterczały na wszystkie strony. Miał ciemne kręgi pod oczami i wokół ust. Powieki poznaczone żyłkami. Coś charczało mu w piersi. On umiera, pomyślał Winter. To dlatego go tu przenieśli. Już nic nie mogą zrobić.

Wyjrzał przez okno, zobaczył palmy i pinie za dziedzińcem i parkingiem. Za koronami drzew rozpościerał się górski krajobraz, brązowe pofałdowane pola, biała wioska. W tle masyw górski ze szczytem, który niemal dotykał cienkich chmur. Zatrzymał się na chwilę, utkwił wzrok w górskim szczycie.

- Tę samą górę widzimy z domu - powiedziała matka. Podeszła do łóżka i stanęła obok syna. - Sierra Blanca.

- Co? - Nie dosłyszał. - Co powiedziałas?

- Kiedy wygląda przez okno, widzi tamten szczyt. Widać go też z naszego salonu - powtórzyła matka. - Oczywiście z innej strony.

- To może dobrze.

- Takie mam... wrażenie.

- Kiedy się obudzi?

- Nie tak szybko - odparła. Spojrzała na męża, a potem podniosła wzrok na syna. - Jesteś głodny? Napijesz się czegoś?

- Może coś do picia.

- Możemy zejść do kafeterii - zaproponowała. - Mają tam prawie wszystko. - Spojrzała na niego. - Zdażyłam sprawdzić.

Ale chyba nie dżin z tonikiem, pomyślał Winter, a sekundę później się tego zawstydził. Jeśli kiedyś wypija o jednego drinka za dużo, to teraz zdażyła wytrzeźwieć.

- Możemy tak... pójść? Po prostu... go zostawić?

- Powiemy w recepcji na korytarzu. Mogą nas wezwać w pół minuty.

Kafeteria była wielka, pełna światła wpadającego przez liczne okna. Za kontuarami wystawiono zdjęcia gorących dań. W szklanych gablotach stały długie rzędy talerzy z tapas. Winter poczuł ciężki zapach smażonej w głębokim tłuszczu ośmiornicy i dopiero wtedy dotarło do niego, że naprawdę jest w innym kraju. Nagle poczuł, że jest bardzo głodny.

Widział, jak krążki ośmiornicy smażą się w kociołku za barem. Kobieta w beżowej bluzce i czarnej spódnicy wyjmowała je pojedynczo z oleju.

- Zajmij stolik, a ja zamówię, co chcesz - powiedziała matka. - Mają...

- Ośmiornicę - rzucił Winter i kiwnął głową w stronę garnka. - Do tego ćwiartki ziemniaków. I jeszcze dużą wodę mineralną.

Usiadł przy stoliku gdzieś przy najdalszych oknach. Po kilku minutach zobaczył matkę z tacą.

Nie widział jej od... trzech lat. Wtedy przyjechała na parę dni, żeby uporządkować jakieś papierkowe sprawy. Co podatkowi uciekinierzy mogli mieć do załatwienia w Szwecji? Lotta z córkami odwiedzała rodziców w Hiszpanii kilka razy. Ale jego siostra miała inne podejście do moralności ekonomicznej. A teraz siedział tutaj. Matka zbliżała się z jedzeniem, zniszczona twarz nad czerwoną plastikową tacą. Gdyby się nie widzieli jeszcze trochę, mógłby jej nie poznać na ulicy. A teraz siedzę tutaj, pomyślał znowu. Nic już nie ma znaczenia. Możemy być tacy dzielni, jak tylko chcemy, a w końcu i tak tu siedzimy.

- Przyniosę tylko serwetki i wodę - powiedziała matka i postawiła tacę na stole. Winter poczuł zapach jedzenia i w jednej chwili głód minął, tak nagle, jak się pojawił.

Matka wróciła i usiadła. Winter jeszcze nie tknął jedzenia. Zaczęła rozstawiać talerze i szklanki, półmiski z potrawami.

- Nie zapytałam, jak ci minęła podróż.

- Ty nie chcesz jeść? - zapytał Winter, spoglądając na pusty blat po jej stronie.

- Mogę skubnąć trochę ośmiornicy od ciebie - odparła. - Zjadłam, zanim przyszedłeś.

Wiedział, że to nieprawda. Nałożył na talerz kilka krążków ośmiornicy i ćwiartki ziemniaków.

- Dobrze ci minęła podróż?

- Jasne.
- A co u Angeli?
- Wszystko dobrze.
- To fantastycznie, że będziecie mieli... małeństwo - powiedziała, sięgając po chusteczkę. - Rozpłakałam się, kiedy nam o tym powiedziałaś. - Zaczęła płakać. - A tata... wyciągnął butelkę szam...

Winter nie usłyszał, bo jej twarz zniknęła w chustce. Nie wiedział, co powiedzieć. Matka się wysmarkała i podniosła na niego wzrok.

- Musicie przyjechać do nas... wszyscy, kiedy tata wyzdrowieje.
- Oczywiście.
- Będzie cudownie.
- Tak.
- Dam ci potem klucze.
- Klucze?
- Od domu. Ja będę spała tutaj, ale ty możesz nocować w domu.

Dopilnować go.

- Wynająłem pokój w hotelu. Na miejscu. W Marbelli.
- Niepotrzebnie.
- Ale to chyba kawałek drogi, do... Nueva Andalucia? To chyba po drugiej stronie miasta?
- Wcale nie tak daleko.
- Mimo wszystko. Lepiej, żebym był bliżej szpitala.
- Tak, może masz rację. Zrób, jak uważasz. Ale mam nadzieję, że jutro pojedziemy tam razem. - Wydawało mu się, że w jej oczach na chwilę zapaliło się blade światelko. - Przecież nigdy nie widziałeś naszego domu.

Winter nie odpowiedział. Siedzieli w milczeniu. Próbował jeść, ale apetyt nadal nie wracał.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że tata nigdy nic nie powiedział o tym, że... nie chciałeś go widzieć przez te lata - powiedziała nagle. Wyjrzała przez okno, jakby śledziła poczynania gorącego wiatru

między palmami za parkingiem. Może patrzyła na biały górski szczyt, na Sierra Blanca, który łączył życie na zewnątrz z... tym tutaj, pomyślał Winter, z tą wyprostowaną, leżącą na boku sylwetką. - Nie powiedział ani słowa, a kiedy ja próbowałam o tym mówić, nie odpowiadał.

- Przykro mi z tego powodu.

- Nie dlatego to mówię, Eriku. Nie powinieneś tak myśleć. Chcę tylko, żebyś wiedział, że on nigdy nie miał do ciebie pretensji.

Na Boga, pomyślał Winter. Czy on bierze na siebie całą winę?

- Naprawdę mi przykro, że wyszło tak, jak wyszło - powiedział. - Musimy się postarać to zmienić.

- Właśnie - przyznała, ale wiedział, że ona wie, że on wie, że jest za późno.

Wrócili na oddział. W poczekalni, wyposażonej w białe żaluzje i czarno-zielone krzesła stojące pod ścianami, matka zapaliła papierosa. Winter policzył krzesła: trzynaście. Pod oknem stał czarny kosz na śmieci. Zapalił i od razu poczuł się spokojniejszy. Dym z cygaretki wsączał się między paski żaluzji.

Poszli do ojca. Nic się nie zmieniło pod ich nieobecność, tylko słońce zmieniło położenie i cień się przesunął. Słońce i cień, pomyślał Winter. *Soly sombra*. To z grubsza cały mój hiszpański. Słońce i cień. To przecież o to zawsze chodzi, ale nie tutaj, nie w tej sali. Tutaj jest tylko cień, w całej tej bieli. Biel to kolor śmierci.

Matka wyszła na korytarz. Słyszał, jak z kimś rozmawia. To było dziwnie uczucie, pierwszy raz słyszał, jak dobrze mu znany głos mówi w obcym języku.

- Nie obudzi się jeszcze przez kilka godzin - powiedziała.

- Skąd oni to wiedzą?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli chcesz, możesz się przejść - powiedziała, wskazując ręką na okno. - Tam.

- Może tak zrobię. - Czuł, że musi się trochę poruszać. - Trochę zesztyniałem.

- To po podróży - stwierdziła.

Na korytarzu przy oknie stała kobieta. Płakała do telefonu. Winter wszedł po schodach opatrzoną tabliczką *Salida de Emergencia*. Duży hol był pusty i cichy tak samo jak przedtem. Spodziewał się nabitej po brzegi przychodni, pełnej zdesperowanych ludzi, krzyczących *caramba* i pachnących czos... chłodna i wyciszona elegancja Hospital Costa del Sol zaskoczyła go.

Kiedy wszedł na schody, upał natychmiast przypomniał o sobie. Zobaczył swój samochód na czarnym parkingu. Jak bułeczka na blasze do pieczenia, pomyślał. Wyszedł na słońce, skręcił w lewo i kładką doszedł do autostrady. Po lewej widział Marbellę: wieżowiec i grupka średnio wysokich domów okalających zatokę. Wściekły ryk silników w dole. Pięćset metrów dalej wznosiła się ogromna tablica: *Urbanización Bahía de Marbella*. Za tablicą niebo i morze zlewały się w jedno. Tu jego rodzice byli u siebie.

Znow przeszedł przez kładkę, potem ruszył na wschód, minął budynek szpitala. Przeszedł tę samą drogę, którą wcześniej pokonał samochodem. Przy zjeździe z autostrady na chwilę przystanął w cieniu wiaty przystanku autobusowego. Czekający na autobus ludzie wyryli znaki w drewnianej ławce: imiona, daty. Ktoś kogoś kochał. Ktoś życzył drugiemu wiecznych mąk i śmierci. Ktoś tu był!

Winter was here.

Przeszedł wiaduktem na drugą stronę. Zniszczony hotel Los Monteros przechodził właśnie gruntowny i powolny remont. *Sorry for the troubles*, głosił napis na tablicy. Robotnicy podawali sobie cegły, stali w pięciu w rzędzie. I wszyscy popatrzyli, kiedy obok nich przechodził Skandynaw z jasnymi, krótko obciętymi włosami. Ktoś coś powiedział, potem Winter usłyszał śmiechy.

Za hotelem, na zboczu schodzącym ku morzu migoczącemu między zielonymi zaroślami, stały zadbane wille. *Avenida del Tunis*. Winter słyszał, że za jego plecami pośród białych murów toczy się mecz. Drogi samochód jechał ulicą pod górę, kierowca pomachał mu, kiedy go mijał.

Postanowił wrócić i skręcił w lewo, na wysokości robotników z cegłami. Znów komentarze i znów śmiech. Podszedł do zrujnowanej stacji transformatorowej hotelu i innych budynków gospodarczych... Za wielkim barakiem rozciągało się co najmniej dwadzieścia boisk do tenisa, niszczały w słońcu. Niesione wiatrem strzępy suchej trawy przelatywały nad popękany tartanem. Siatki zwisały bezwładnie jak szmaty. Na jednym z boisk leżało mnóstwo krzeseł, porozrzucanych na wszystkie strony, jak gdyby coś się nagle stało i przerwało to, co się tam działo.

6.

Ojciec obudził się, kiedy Winter wrócił do pokoju numer 1108. Podeszedł do łóżka. To była trudna chwila. Winter poczuł ściskanie w gardle. Ojciec wyciągnął dłoń. Winter ją ujął. Miał wrażenie, że jest sucha i mocna, prawie jak u zdrowego mężczyzny, ale wyczuwał kości i ścięgna. Chciał coś powiedzieć, ale ojciec go uprzedził.

- Dobrze, że jesteś, Eriku.

- Tak. - Widział, że walczy z bólem. Ten ruch musiał go kosztować dużo wysiłku. - Nie możesz się teraz przemęczać. - Ostrożnie ścisnął jego dłoń. - To w tej chwili ważne.

- Coś innego... inne rzeczy się już nie liczą. - Bengt Winter spojrzął syna. - Nie tak zamierzałem cię przyjąć, kiedy się tu wreszcie pofatygujesz, na słońce.

- To nieważne. Postaraj się wyzdrowieć, potem będziesz mógł mnie przyjmować, jak chcesz.

- Tego mo... możesz być pewny. Do dia... czy mógłbyś trochę poprawić tę poduszkę?

Winter przesunął jedną z poduszek spod głowy ojca. Poczł ostry zapach i coś jeszcze. Wystarczyła sekunda czy dwie, żeby sobie przypomniał, jak pachnie jego woda po goleniu. Potem znów rozboleła go głowa. Smutek tkwił w jego głowie jak kamienny kawałek pamięci.

Trochę uklepał poduszkę.

- Tak jest dobrze - powiedział ojciec.

- Na pewno?

- Doskonale - przyznała matka. Ciągłe siedziała na krześle. Winter nie chciał na nią patrzeć.

- Jak ci minęła podróż? - zapytał ojciec.

- Dobrze.

- Jakimi liniami leciałeś?
- Jakiś lot czarterowy. Nie pamiętam nazwy.
- To niepodobne do ciebie.
- Hm...
- Było tak mało czasu. Ale znaleźli miejsce dla ciebie?
- Tak.
- Jakiś golfista musiał poczekać jeszcze kilka godzin?
- Nie wiem.
- To bardzo dobrze. I tak jest ich tu już za dużo. Powinni się zająć czymś sensowniejszym. - Ojciec spojrział na Wintera. - Widzisz, co się może stać? W jednej chwili człowiek jest na polu golfowym, a w następnej leży tutaj.

- Tak, to niedobrze.
- To niebezpieczny sport.
- Ale wkrótce wrócisz do gry.
- Na pole golfowe?
- Tak. I... wszędzie.
- Diabli wiedzą. Wydaje mi się, że tym razem to jest *the big one*.
- Hm...
- Wydaje mi się... - Winter nie zrozumiał dalszego ciągu. Nagle ojcu zaczął się plątać język. Winter czekał, ale nic więcej nie usłyszał. Patrzył na ojca: powieki mu opadły, podniosły się, znów opadły. Nagle jego dłoń zwiotczała i opadła. Dopiero wtedy Winter zauważył, że nadal ją trzyma.

- Musi odpocząć - powiedziała matka, wstając z krzesła i podchodząc do łóżka. - Tak się ucieszył, że jesteś. - Objęła syna. - Był taki rozgorączkowany, kiedy się o tym dowiedział.

- Hm...
- Obudził się jakiś kwadrans przed twoim powrotem.
- A jednak sprawiał wrażenie... silnego - powiedział Winter, spoglądając na nieprzytomnego ojca. Czy mógł go słyszeć? Zresztą czy to miało jakieś znaczenie? - Wszystko będzie dobrze.

- Piękna była ta wasza rozmowa - powiedziała matka.

To była bezpieczna rozmowa, pomyślał Winter, żadnych ryzykownych tematów. Zataczali wielkie kręgi wokół wielkiej pieprzonej dziury.

Usłyszał szum klimatyzacji. Po raz pierwszy dotarł do niego ten dźwięk. Może zdenerwowanie powoli puszczało. Następnym razem spróbuje zapytać o parę rzeczy, może sam też usłyszy kilka pytań.

Weszli do pokoju. Kobieta włączyła wideo i ich ciała zaczęły się poruszać. W pokoju nie było innego światła oprócz niebieskawego blasku telewizora, cienie jak żywe przesuwały się po ścianach.

Dźwięk narastał i przycichał. Nie znosił tego. Chciał podejść do telewizora i go wyłączyć, ale nie mógł zakłócić jej rytuału. Był pewien, że już postanowiła, co się ma stać.

- Dlaczego tak stoisz? Chodź tu i siadaj. Z nami.

Kiwnęła na niego ze stojącej przed telewizorem sofy. Siedzieli tam oboje. Ten drugi trzymał rękę pod jej bluzką. Na stoliku przed nimi stały kieliszki i butelki. On nie pił, ale ta dwójka na sofie była wstawiona.

Zamknął oczy i poczuł się tak, jakby to było kiedy indziej, kiedy wrócił do domu, a ona siedziała na sofie, jak ta tutaj, a on po prostu wszedł do pokoju, po prostu wszedł, jakby znalazł się nagle na innym kontynencie. Miało go nie być. Byli zaskoczeni. Odwrócił się i wyszedł.

Nie pierwszy raz coś takiego się stało.

To było coś w nim. Myślał, że to była ich wina, ale zrozumiał, że to było coś w nim.

Próbował to przełamać. Teraz był tutaj.

- Nie śmieście się - powiedział. - Proszę, nie śmieście się.

Spojrzeli na niego, oboje. Ich twarze pokrywały plamy niebieskiego światła. Wyglądali, jakby mieli wytatuowane czoła.

- Przecież się nie śmialiśmy - powiedziała kobieta. - Nikt się nie śmiał.

- Proszę, nie śmieJCie się ze mnie - powtórzył.

- Co z tobą, do jasnej cholery? - powiedział mężczyzna i zaczął się podnosić z sofy.

- Nic.

- Wydaje mi się, że źle trafiłeś.

Tamten wstał i chciał do niego podejść. Ona nadal siedziała z kieliszkiem w dłoni i śledziła ruchy ciała na ekranie.

- Przyniosłem ze sobą muzykę.

- Co?

- Mam ze sobą muzykę, której moglibyśmy posłuchać.

- Muzykę? - Mężczyzna stanął obok sofy i wskazał na telewizor. - My tu już czegoś słuchamy. Może nie zauważyłeś?

- Macie jakiś magnetofon kasetowy? To coś specjalnego. - Widział wcześniej wieżę stereo po prawej stronie, urządzenia poustawiane jedno nad drugim w wysokiej czarnej szafce z półkami. Ruszył w tamtą stronę, z kieszonki na piersi wyjął kasetę. Przez sekundę widział przed sobą inną twarz, głowę unoszącą się w powietrzu. Rozpoznał ją. Wiedział, że to coś znaczy. Teraz głowa zniknęła. Brakowało ciała. Piosenka już huczała mu w głowie, nie wiedział, czy wydobywa się też z jego gardła, czy oni ją słyszą. Jego własna głowa unosiła się w powietrzu, zbliżała się do ich głów. Wszystko się zlało w jedno. Zobaczył twarz jeszcze raz. Potem muzyka zabrzmiała naprawdę.

Zaczął się zmierzchać, ale nadal było gorąco. Winter dojechał do Marbelli. Jakiś pieśniarz flamenco wykrzykiwał swój ból w radiu. Winter podkręcił dźwięk i opuścił szybę. Doleciał go zapach benzyny i oceanu. Kiedy parkował przy przecznicy nadmorskiego bulwaru, pachniało smażoną na oliwie ośmiornicą i jajkiem. Wysiadł z samochodu i zamykając drzwi, poczuł, że ma całkiem mokre plecy.

Hotel stał przy Avenida Duque de Ahumada, blisko plaży. Winter musiał zaczekać kwadrans w holu, potem wjechał z walizką na dwunaste piętro. Chciał obejrzeć pokój, zanim go wynajmie. Taki miał zwyczaj.

Zamek w drzwiach był obluzowany. Apartament składał się z dwóch pokoi i kuchni. Okna balkonowe były częściowo otwarte, wiatr szarpał biało-niebieską markizą. Była podarta, cała w wypłowiałych plamach od słońca i cienia, i morskiej soli. Jedna z płacht waliła w okno. Winter podszedł bliżej i zobaczył, że balkon wychodzi na wschód, na inny hotel. Rozejrzył się po większym pokoju. Meble z imitacji skóry kiedyś były białe.

Poszedł do łazienki. Na wannie od kranów spływał rdzawy zaciek. W umywalce zauważył ślady mydła. Spojrzył w lustro. Schudł przez te ostatnie kilka godzin, zbladł.

W windzie jadącej na dół miał towarzystwo pary czterdziestolatków. Unikali spoglądania na mężczyznę w swoim wieku. Pięciodniowa opalenizna. Sądząc po strojach, wybierali się na drinka o zachodzie słońca.

- *I don't like that room* - oświadczył Winter recepcjoniście i pokazał mu klucz. Dlaczego zawsze łąduję w czymś takim? - pomyślał.

- Co z nim nie tak?

- Nie chcę tego pokoju. Macie jakiś inny? Gdzieś niżej?

- Ale w czym problem?

- *I DONT WANT THE FUCKING ROOM* - rzucił Winter podniesionym głosem. - *It's out of order.*

- A co w nim nie działa? - zapytał mężczyzna, a oczy mu pociemniały.

- Nic nie działa. Wszystko popsute. Łazienka brudna. Macie jakiś inny pokój?

- Nie, mamy komplet.

- Na jak długo?

- Na kilka miesięcy naprzód.

- Zna pan jakiś inny hotel w pobliżu?

Widział hotel naprzeciwko, ale jego wygląd go nie skusił. Był zmęczony, zgrzany, spocony i przygnębiony. Chciał znaleźć ładny pokój, w którym mógłby wziąć prysznic, napić się whisky i chwilę pomyśleć.

- Nie - odparł mężczyzna.

- Może jakiś mniejszy. Coś skromniejszego.

- Nie mam pojęcia - powiedział tamten, odwracając głowę. Ma do tego pełne prawo, pomyślał Winter. To nie jego wina. Mogłem być trochę bardziej uprzejmy.

- A nie ma pan spisu hoteli w całym mieście?

- Co ja teraz zrobię z tym pokojem? - powiedział recepcjonista, nie odpowiadając na jego pytanie. Potem rzucił mu oskarżycielskie spojrzenie. - I teraz został nam pusty pokój.

- Zabijcie go deskami - rzucił Winter i wyszedł, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach.

Miał szczęście. Kiedy wcześniej wjeżdżał do centrum, zauważył tablicę na jakimś domu. Jakieś kilkaset metrów dalej.

Cofnął się kawałek wzdłuż Avenida de Severo Ochoa i odnalazł tablicę przy wjeździe w małą przecznicę, zamkniętą dla ruchu kołowego. Zaparkował i wszedł w wąską Calle Luna, ukrytą w wieczornym cieniu. Sto metrów dalej stał Hostal La Luna, ze szklanymi drzwiami prowadzącymi na patio. Winter widział małe balkony w pokojach.

Ktoś w ostatniej chwili odwołał rezerwację i mógł obejrzeć urządzone po hiszpańsku czyste i ciche pokój, z lodówką i łazienką.

Dla samochodu znalazł miejsce w piętrowym parkingu po drugiej stronie szerokiej drogi przelotowej.

Wziął prysznic, a potem, wciąż bez ubrania, napił się whisky w łagodnym półmroku. Para właścicieli rozmawiała cicho w drugim końcu otoczonego murem patio. Marmurowe posadzki i bielone ściany.

Nie znali angielskiego, ani słowa, ale mężczyzna rozpoznał stan Wintera i postawił przed nim na stoliku pod parasolem zimnego san miguela, zanim jeszcze Winter wynajął pokój na nieokreślony czas.

Whisky krążyła w jego ustach i wpływała prosto do mózgu. Poczul się trochę lepiej. Pokój pachniał obco, jakby go wyszorowano solą i południowymi ziołami. Dwa łóżka w ponadczasowym latynoskim stylu, ciężkie jak w średniowieczu. Między nimi wisiał obrazek z Matką Boską. Modliła się za niego i za jego ojca. Tak pomyślał, kiedy zobaczył obrazek w prostych ramach. Był jedyną dekoracją pokoju.

Tutaj można pomieszkać.

Wyciągnął rękę po leżącą na nocnym stoliku komórkę i wybrał numer. Była prawie siódma i o słońcu przypominała tylko słaba poświata. Uchylił drzwi na patio. Drewniane żaluzje, opuszczone do połowy, w pozbawionym szyby otworze okiennym, chronionym żelazną kratą.

- Angela, słucham.
- Tu Erik.
- Cześć! Gdzie jesteś?
- W swoim pokoju. Ale nie w tym hotelu, do którego masz numer.
- Zmieniłeś - powiedziała, a on się domyślił, że się uśmiechnęła.
- Naturalnie.
- Co z twoim tatą?
- Przenieśli go z OIOM-u. To dobrze?
- Chyba tak.
- Chyba? Przecież to ty jesteś tutaj lekarzem. - Miał nadzieję, że nie brzmi to zbyt zrzędliwie.

- Nie mam przed sobą jego karty, Eriku. - Po chwili milczenia zapytała: - Rozmawiałeś z nim?

- Tak.
- I co?
- Mimo wszystko sprawia wrażenie... całkiem silnego.

- To brzmi nieźle.
 - To prawda.
 - Jak się czułeś, spotykając się z nim po tylu latach?
 - Jakbyśmy się widzieli w zeszłym tygodniu.
 - Poważnie?
 - Ale nie o to chodzi. Rozmawialiśmy o nim, o chorobie i innych bezpiecznych sprawach.
 - Na wszystko trzeba czasu. Najpierw musi wyzdrowieć.
 - Hm...
 - Jesteś zmęczony?
 - Nie na tyle, żebym nie mógł się napić whisky z samolotu. Jak ty się czujesz?
 - My miewamy się świetnie.
- To jej „my” było dla niego jak pozdrowienie od nowej rodziny. Angela i jej coraz większy brzuszek.
- Nie przemęczaj się w pracy.
 - Ależ skąd. Racjonalizacje w pracy bardzo poprawiły sytuację, jak wiesz.
 - Wiem.
 - Genialna koncepcja.
 - Nie przejmuj się tym, Angelo. Lepiej uściskaj ode mnie brzuszek.
 - Co będziesz robił wieczorem?
 - Zjem coś i znów pojedę do szpitala.
 - Z whisky we krwi?
 - Ona siedzi w moim mózgu. Zresztą to inny kraj.

7.

Widział światła statków na czarnym morzu. W drodze do szpitala ciepły podmuch nagrzewał samochód. Wschodnie części Marbelli były teraz spokojniejsze, po ulicach krążyło mniej samochodów. Latarnie stojące w dużych odstępach łagodziły nieco mrok.

Winter zjadł talerz ryżu ze skorupiakami w zwykłym barze w pobliżu Hostal La Luna. Pięciu mężczyzn w chmurze papierosowego dymu siedziało przed telewizorem w rogu. Wykrzykiwali coś ochryple i robili obsceniczne gesty w stronę piłkarzy. Miłość do futbolu wszędzie wygląda tak samo.

Ojciec znów był przytomny. Matka siedziała na krześle, postawiła je tuż przy łóżku.

- Idę do kafeterii po kawę - powiedziała, kiedy wszedł. - Coś ci przynieść?

- Nie, dziękuję.

- Weź dla mnie T&T - poprosił ojciec.

Matka uśmiechnęła się i wyszła. Winter usiadł na krześle.

- Słyszę, że znów zaczynasz - powiedział do ojca.

- Teraz jest pora na T&T - odparł ojciec z twarzą zwróconą do okna. - Mały, zimny, w wysokiej szklance, przed kolacją.

- Czy nie jest trochę za późno? - zapytał Winter i popatrzył na zegarek. Pokazywał dziewiątą.

Ojciec zakaszał, Winter czekał. Na korytarzu podzwaniał wózek. Jakiś kobiecy głos mówił coś po hiszpańsku, odpowiedział mu męski. Urywek gitarowej melodii. Ojciec znów kaszlnął.

- Przejeliśmy hiszpańskie zwyczaje. - Odchrząknął, jakby chciał ułatwić sobie mówienie. - Widzisz zarys tego szczytu tam daleko?

- Tak.
- To Sierra Blanca. Biała Góra. Piękna nazwa, nie? Widzę ten sam szczyt z domu. Czy to nie dziwne?
 - Nie wiem. Góra dominuje nad okolicą, że tak powiem.
- Ojciec wyglądał, jakby się zastanawiał nad tym, co sam powiedział. Spojrzał na syna:
 - Mogłem wylądować w innym pokoju. Z widokiem na drugą stronę. W tym jest jakiś sens.
 - Co masz na myśli?
 - Że tu leżę. Że widzę ten szczyt. Tę samą cholerną górę. Tak jakby chodziło o to, żebym ją widział. To mój nowy dom. Tutaj się przenieśli i już stąd nie wyjdę.
 - Oczywiście, że wyjdiesz.
 - Żywy, Eriku. Nie wyjdę żywy.
 - Już ci się poprawiło. Tylko mów tak dalej.
 - To poważna sprawa.
 - Co właściwie mówią lekarze?
 - Alcorta? On wykonuje typowe gesty, mogą oznaczać cokolwiek.
 - Ale tak robią chyba wszyscy lekarze?
 - Ale nie tak jak w Hiszpanii. Czy Angela też to robi? No właśnie, co tam u niej?
 - Wszystko dobrze.
 - Zostaniesz ojcem, Eriku. Mój Boże. Oby Bóg dał mi siłę, żebym mógł doczekać tego cudu.
 - Niedługo będziesz w domu. Znowu będziesz mógł się przyglądać tej górze z drugiej strony.

Ostatnie, nieznośnie długie godziny służby Morelius spędzał w recepcji. Wkrótce były szef patroli przejmie pałeczkę na resztę wieczoru, będzie trwał na posterunku.

Był jednym z tych starszych, zmęczonych policjantów, którym się nie udało zachować stanowisk podczas ostatniej reorganizacji. Miał tylko dopasować się do reszty komisariatu i wykonywać rozkazy. Wielu poddało się na dobre. Ale ten starszy mężczyzna był zgorzkniały. Niektórzy ludzie są urodzonymi szefami. Jeśli nimi nie zostają, gorzknieją na zawsze.

Mieli już wychodzić. Bartram właśnie przypinał broń. Jeszcze się nie poddał. Mógł być zmęczony albo wkurzony, ale z innych powodów.

Centrala zostawiła kilka ciekawych zgłoszeń, których nie chciała przekazywać odchodzącym patrolom dziennym. Włamania, które trochę się przeleżały. Jak to. Dozorca domu odkrył włamanie w piwnicy przy Rickertgatan, na Johannebergu. Pojechali tam we trzech: Morelius, Bartram i Vejehag, który się poddał i po trzydziestu latach harowy dla dobra społeczeństwa czekał tylko na emeryturę.

Do domów stojących wokół Viktor Rydbergsgatan często się włamywano. Duże, dobrze wyciszone, bogaci ludzie w rozjazdach między letnimi rezydencjami.

Zatrzymali się. Dozorca czekał na nich, najwyraźniej wyrabiał nadgodziny albo specjalnie został dłużej, bo miał dość powtarzających się włamań do piwnic.

- Co za pieprzona pogoda - rzucił Vejehag, wysiadając z samochodu. Postawił kołnierz kurtki, żeby się ochronić przed wiatrem i deszczem.

- Kilku chłopaków biegało po schodach na piętrach, a potem poszli na dół, do piwnicy - powiedział dozorca.

- Widział ich pan? - zapytał Vejehag.

- Nie. Jeden z mieszkańców widział.

- Kiedy to było?

- Przed chwilą.

- Przed chwilą? Zgłoszenie wpłynęło kilka godzin temu.

- To było wtedy. Ale widocznie wrócili. Od razu zadzwoniłem i rzeczywiście przyjechaliście szybko jak diabli.

- Właśnie ogłaszają to przez radio - rzucił Bartram z samochodu, a potem odpowiedział centrali. - Jesteśmy już na miejscu.

- Czy coś skradziono? - zapytał Vejehag.

- Po południu kilka drobnych rzeczy ze składziku. A teraz nie wiem.

- Która to piwnica?

- Chodzi panu o to teraz? Czy o tamto po południu?

- Teraz.

- Tam - powiedział dozorca i wskazał najbliższą klatkę schodową.

Dom potrzebował odmalowania. Grupka młodych ludzi stała około pięćdziesięciu metrów dalej i przyglądała się policjantom.

- Chyba musimy zejść na dół i popatrzeć - powiedział Vejehag.

Morelius wysiadł z auta i razem weszli do domu.

Bartram został w samochodzie i nasłuchiwał komunikatów. Spojrzał w niebo, brudne i szaroniebieskie od świateł miasta zmieszanych z mrokiem wieczoru.

Winter popatrzył na niebo nad górskim szczytem. Z lewej strony rozświetlały je światła miasta, ale robiło się coraz bardziej czarne, ciemniało od czegoś, co mogło być deszczowymi chmurami. Wiatr coraz mocniej szarpał palmami za żwirowanym dziedzińcem.

- Jak tam w pracy? - Głos ojca brzmiał jak z oddali. - Czytałem właśnie o twoich śledztwach w „Göteborgs Posten”.

- Staram się, jak mogę.

- A to znaczy bardzo, jak czytałem.

- Hm... Sam nie wiem.

- Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, co się stało z tą młodą kobietą, którą zamordowano w zeszłym roku. Tą znaną przy Delsjö.

- Helene.

- Tak się nazywała?

- Tak. A co było niejasne?

- Co się stało z dzieckiem?
- Wszystko było w porządku.
- Dziecko zniknęło.
- Właściwie nie. Ono było... pod czyjąś opieką. Bezpieczne.

Ojciec nie pytał już o nic więcej. Winter słyszał jego ciężki oddech, jakby z zepsutego miecha. Myślał o swojej pracy. Nigdy nie wątpił w to, co robił... czy raczej w to, że jego praca naprawdę przynosi korzyści. Czy może to było tylko wyzwanie? Czyżby równie dobrze mógł robić co innego? Nagle przyszła mu do głowy taka myśl, w samochodzie, kiedy jechał do szpitala. Zaniepokoiła go. Mogła działać paraliżująco.

- Chyba trochę pośpię - powiedział ojciec.
- Posiedzę tu jeszcze.
- Nie powinienes wrócić do siebie i odpocząć? To była długa podróż.

- Odpoczywam na tym krześle.

Usłyszał stukanie deszczu o szybę, najpierw słabe, potem coraz głośniejsze.

- Pada - wymruczał ojciec. - Ludzie się ucieszą.

Bartram siedział pogrążony w marzeniach, kiedy drzwi klatki schodowej nagle się otworzyły. Wypadli z nich dwaj młodzi mężczyźni, pobiegli w lewo.

Bartram wyskoczył z samochodu, przesadził pas zieleni i zdążył jeszcze kopniakiem położyć jednego z nich. Drugi wbiegł do drugiej klatki schodowej i zniknął. Bartram popatrzył na leżącego, rozejrzał się i postawił mu nogę na plecach.

- Aj, ty skur...
- Stul pysk.
- Zabieraj ła...

- STUL PYSK, MÓWIŁEM.

Vejahag i Morelius wyszli z klatki, podbiegli do Bartrama i leżącego na chodniku faceta.

- Co się tam w środku stało? - zapytał Bartram.

- Złapaliśmy ich na gorącym uczynku - wyjaśnił Vejahag.

- Tak wam się wydaje. Ja ich złapałem na gorącym uczynku - powiedział z naciskiem Bartram i mocniej przyduślił stopą leżącego.

- Może już wystarczy - rzucił Vejahag. - A gdzie drugi?

- Pobiegł do tamtej klatki. - Bartram wskazał ręką.

- Wstawaj - Vejahag zwrócił się do leżącego, równocześnie dając Bartramowi znak, żeby zabrał stopę.

Od strony centrum nadjechał patrol.

- To jednostka interwencyjna - zauważył Morelius.

- Wygadałeś się przez radio? - zapytał Vejahag, zerkając nieufnie na Bartrama.

- Nigdy w życiu.

Patrol zatrzymał się obok nich. Lewa przednia szyba zjechała w dół, wyrzała zza niej twarz dwudziestodwulatka.

- Co się tu dzieje, dziadek?

- Zgubiliśmy piżamkę z żółwikiem ninja i myśleliśmy, że jest tam na dole, w piwnicy - odparł Vejahag.

- Ha, ha.

- A co u was? - spytał Vejahag.

- Kto to jest? - zapytał aspirant z patrolu i skinieniem wskazał mężczyznę wiszącego między Bartramem i Moreliusem.

- To mój krewny - wyjaśnił Vejahag. W tej samej chwili otworzyły się drzwi bloku i wyskoczył z nich drugi włamywacz. Bartram puścił pierwszego i rzucił się w pościg za tamtym. Po dziesięciu metrach dopadł go jednym skokiem. Aspirantowi opadła szczęka. Ktoś w aucie coś powiedział, ale przez czarne szyby nic nie było widać. Doleciały tylko słabe oklaski.

Aspirant spojrzał na Vejahaga.

- Jeszcze jeden krewny?
- Właśnie zbieramy rodzinę. Święta blisko.
- Ha, ha.

Bartram wrócił, prowadząc faceta w kajdankach.

- Dobra robota - pochwalił aspirant.
- Patrzcie i uczcie się - odparł Vejhag.
- Jest ich więcej?
- Co?
- Jeśli masz ich zebrać więcej, może ktoś powinien was osłaniać.

W razie czynnego oporu.

- Nie przewidujemy więcej czynnego oporu.
- Aha.
- Normalnie obezwładniamy drani rozmową.
- Co?
- Próbujemy rozmawiać z ludźmi. Z draniami też. My, policjanci,

nie spodziewamy się czynnego oporu.

- Widziałem.

Vejhag udał, że nie słyszy.

- Jeśli ktoś uważa, że czynny opór to warunek przystąpienia do pracy, to może powinien się zastanowić, czy wybrał właściwy zawód.

- No to na razie, dziadek - rzucił aspirant i patrol ruszył. W szybach odbiły się domy Rickertsgatan.

- Banda debili - stwierdził Vejhag. - Sześciu facetów, którzy nie poradzą sobie w pojedynkę. Schowani za czarnymi szybami. - Spojrzał na Morelius. - To trochę perwersyjne, nieprawdaż?

- Może - przyznał Morelius.

- W ogóle całe te jednostki interwencyjne to jakaś perwersja - ciągnął Vejhag. - Powinni się uczyć szwedzkiego, zamiast odgrywać cholernych macho. Rozmawiamy z ludźmi codziennie. Przecież naprawdę rzadko się zdarza, żeby göteborgska policja musiała szturmować boeinga 757. A mimo to oni ciągle coś takiego trenują.

- Czasami łapiemy drani inaczej niż rozmową - rzucił Bartram.
- To prawda. Musimy zawieźć tych chłopców do ciepłego, przytulnego pokoju.

Maria Östergaard marzła. Tak się śpieszyła, wychodząc z domu, że zapomniała rękawiczek. Miała wrażenie, że jej dłonie zamieniły się w bryłki lodu chwilę po tym, jak wyszli z kawiarni.

- Dokąd pójdziemy? - spytał Patrik.
- Wolałabym jeszcze posiedzieć - powiedziała Maria.
- Nie podobali mi się ci faceci - odparł Patrik. - Może pojedziemy do ciebie?
- Mama na pewno się wścieka. Dlaczego nie możemy jechać do ciebie?
- Mój ojciec się wścieka - odpowiedział Patrik, ale się nie śmiał.

Vasagatan była pusta. Przez Vasaplatsen z hukiem pędziły tramwaje. Ze składu, który nadjechał z Aschebergsgatan, wysiadła kobieta. Weszła do jednego z domów. Kiedy otworzyła drzwi, jej twarz oświetliło światło ze schodów i uliczne latarnie.

- Znam ją - powiedziała Maria. - Tę babkę, co wchodzi do bramy.
- Ach tak? A co?
- Ładna.
- Co?
- Jest z takim jednym facetem, który jest komisarzem kryminalnym. Mama pracuje na policji co drugi tydzień, czy jakoś tak.
- To mają na policji pastorów?
- Widocznie tak. Winter się nazywa. Ten kryminalny. Odjazdowe nazwisko, nie?
- Ech...

Przeszli przez Vasaplatsen.

W dół Aschebergsgatan jechał radiowóz, z Johannebergu. Prowadził Morelius.

- Tamtych dwoje smarkaczy chyba znamy - powiedział.
- Tamtych, co czekają przy budce.
- Przynajmniej dziewczynę - przyznał Bartram. - To małe miasto.
- A tam, po lewej, nawiasem mówiąc, mieszka Winter - ciągnął Morelius. - Gwiazda dochodzeniówki. W tej bramie - owiedział i wskazał ręką, kiedy mijali dom.
- Skąd wiesz? - zapytał Vejezag.
- Kiedyś wiozłem go do domu, w nocy.
- Wintera? - upewnił się Bartram. - Aha, jego. Więc tu mieszka?

8.

Kiedy Winter wstał z łóżka, kwadrat nieba, który widział z okna łazienki, był szary. Kiedy wyszedł z pokoju, zobaczył, że tak wygląda cały horyzont. Ale było ciepło. Miał na sobie tylko jedwabną koszulę z krótkim rękawem, przewiewne lniane spodnie i sandały, bez skarpet.

Minął gospodarzy. Kuchnia mieściła się przy wejściu, więc większość czasu spędzali pod parasolem albo pod brezentem, który rozpięli nad połową patio wczoraj, kiedy on się tu zjawił. Wczoraj? Czy nie minęło więcej czasu?

Kiedy przechodził obok nich, kobieta go zagadnęła. Uniosła do góry palec, jakby chciała mu pogrozić. Wydawało mu się, że słyszy słowo *chicas*. Mówiła: *no chicas* i pokazywała jego pokój na drugim końcu patio. Dodała: *en la habitación*. Jej mąż uśmiechnął się, trochę zażenowany. Po kilku sekundach Winter zrozumiał, o co chodzi, i zrobił gest, jakby się przed czymś opędał. Nie, nie. Nie będzie przyprowadzał kobiet do pokoju.

Skręcił w prawo, w Calle Luna, potem w lewo, w Calle del Sol, i doszedł do niewielkiego placu. Szedł jeszcze kawałek do otwartego Plaza Puente de Málaga. Znalazł kawiarnię na rogu: Gaspar. Panadería i Cafetería. Usiadł na zewnątrz, przy ostatnim wolnym stoliku. Było wpół do dziesiątej. Dokoła widział samych Hiszpanów, kobiety i mężczyzn. Pili kawę z mlekiem w wysokich szklankach i jedli małe przekrojone bułeczki z masłem i dżemem albo tylko z oliwą z oliwek i solą. Podszedł kelner i Winterowi udało się zamówić *café con leche* i *pan med confitura*.

- *Mantequilla*? - zapytał kelner.

Winter skinął głową, nie wiedząc, o co chodzi. Może masło.

Dostał kawę, znakomite, mocne espresso z ciepłym mlekiem. Chleb też był ciepły. Okazało się, że *mantequilla* to rzeczywiście masło. Smarował kanapkę, podczas gdy Hiszpanie, pokaszając między dymkami z papierosów, przygotowywali się do nowego dnia.

Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku odwrócił się i zaniósł straszynym kaszlem. Potem ktoś inny przejął pałeczkę. Winter czuł się, jakby siedział w jadalni sanatorium dla gruźlików. Kiedy ten, który zaczął, pozbył się wszystkiego, co mu zalegało w resztkę płuc, dał znak ubranemu na biało, jak pielęgniarka, kelnerowi. Po chwili kelner wrócił z czymś, co dla Wintera wyglądało jak woda. Ale kiedy go mijali, doleciał go zapach dżinu. Szklaneczka niezłego dżinu na dobry początek. Dlaczego nie. Winter się uśmiechnął i dokończył śniadanie, a potem zapalił cygaretkę. Teraz wszyscy w ogródku kawiarni Gaspar palili. Dym unosił się ku niebu, które też było szare, nadal. Czuł się spokojniejszy niż poprzedniego dnia, to była jakaś inna cisza, nie słyszał jej. Nie potrafił powiedzieć, gdzie jest słońce, z tego miejsca nie dało się tego ocenić.

Spojrzał na zegarek i zamówił jeszcze jedną kawę. Jeszcze nie wypalił do końca. Między stolikami przeszła młoda kobieta, rozdawała ulotki. Podeszła do Wintera, a on odruchowo wyciągnął rękę. Wręczając mu kartkę, spojrzała na jego cygaretkę. Komunikat Centro Cristiano Exodus. Winter zaczął czytać. Apelowali, żeby powiedział *NO!* rzeczom takim jak *Heroína, Cocaína, Alcohol, Tabaco, Vicios, Condenación, Juegos de Azar, Extasias*, za to *SI!* dla *el amor, la sinceridad, la paz, el perdón, la paciencia, la libertad, la vida...*

Zgasił cygaretkę i zapłacił. Znów sprawdził, która godzina. Andaluzijski pies przebiegł przez ulicę w pogoni za cieniem. Winter pomyślał o ojcu. Poczuł pierwsze krople deszczu. Niebo pociemniało, teraz miało

kolor szarych skał. Góra po drugiej stronie avenidy była częścią nieba i dlatego teraz wydawała się bielsza niż przedtem. Wszystko wyglądało inaczej. Domy już nie odbijały światła, co sprawiało, że ludzka skóra wyglądała, jakby lśniła sama z siebie. Deszcz padał mocniej i Winter pomyślał o swoim ojcu leżącym w szpitalnym łóżku. Na słonecznym wybrzeżu kończył się sezon, Winter starał się nie doszukiwać symbolicznych powiązań między tym, co się dzieje tutaj, a tym, co się dzieje w pokoju w Hospital Costa del Sol.

Przeciął szeroką Avenida de Ramón y Cajal i zszedł na nadmorski bulwar. Kolejny pies andaluzyjski przeszedł po kamieniach, stanął przed jakąś kawiarnią i nasłuchiwał pieśni flamenco śpiewanej histerycznym głosem. Potem obsikał mur.

Morze zlewało się z niebem, jak góry na północy. Tutaj, na plaży, wrażenie, że to schyłek sezonu, było jeszcze silniejsze. Winter zszedł na piasek i zdjął buty. Zbliżył się do wody. Strażnik niósł parasole. Restauracja była otwarta, obrusy trzepotały na wietrze. Winter poczuł wiatr, niemal chłodny powiew. Piasek wzbił się w powietrze. Nagle aż tutaj doleciała piosenka z kawiarni. Winter pomyślał o dziecku i o tym, że zima nadchodzi wszędzie. Pomyślał o Angeli i nagle zapragnął do niej zadzwonić, choć wiedział, że teraz to niemożliwe.

Dla ludzi, którzy tu mieszkają, zapowiedź zimy musi oznaczać nadzieję, pomyślał. Może pragnienie albo tęsknotę. Może dopiero wtedy tubylcy mogą być sobą, mogą przestać udawać.

Poczuł cieplejszy podmuch i spojrzał w górę. Chmury się rozpierzchały. Połowa nieba była błękitna. Pękło gdzieś daleko na horyzoncie, rozdzieliło się nad Afryką. Morze zmieniło barwę, jakby je nagle podświetlono od dołu.

Teraz było widać słońce, w szalonym pędzie zdawało się przesuwać pośród chmur, które wyglądały jak łachy śniegu.

Winter pomyślał o zimie w domu, wkrótce powinna nadejść. Jeszcze raz pomyślał o swoim dziecku.

Poczuł, że mu gorąco w głowę. Kiedy słońce wróciło, od razu poczuł jego niesłychaną moc, po chłodzie sprzed chwili czuł ją bardzo wyraźnie. Niespodziewana jasność przepełniła go wesołością, jakby zaczął mieć nadzieję, że sezon jeszcze trwa, że słońce zostanie już na dobre. Starał się i w tym nie doszukiwać żadnej symboliki. Słońce to życie, ale może też oznaczać śmierć.

Kiedy tak stał, coraz więcej ludzi przychodziło na plażę, żeby usiąść w koszu i ustawić osłonę przed słońcem pod odpowiednim kątem. Jakiś mężczyzna podjął przerwana budowę trzymetrowego sfinksa i piramidy z piasku. To taki sam piasek jak po drugiej stronie, pomyślał Winter. Wiatr przeniósł go nad Morzem Śródziemnym.

Uliczny muzyk, który siedział na krześle jakiś metr od niego, założył sandały i zaczął jedną z pierwszych pieśni tego dnia, *Adiós Graanaaaaaada, Graanaada miiia*. Winter wrzucił mu kilka peset do futerału i ruszył w stronę samochodu.

Pokój 1108 był pusty. Winter poczuł coś dziwnego w żołądku.

Dlaczego nie zadzwoniła, do wszystkich diabłów? Przecież cały czas miał przy sobie telefon.

Wyszedł na korytarz i podał nazwisko ojca kobiecie, której tam nie było, kiedy się zjawił. Zapytana wskazała wyjście i z zatroskaną twarzą powiedziała: *Cuidados Intensivos*. Tylko spokojnie, pomyślał Winter. Właśnie tego się spodziewałeś, kiedy tu wczoraj przyjechałeś.

Przed wejściem na oddział spotkał matkę.

- Nie zdążyłam zadzwonić - powiedziała.
- Co z nim?
- Mówią, że stan stabilny. Teraz jest stabilny.
- A co się stało?
- Miał problemy z oddychaniem. I pulsem.

- Co mówią lekarze?
- Doktor Alcorta wolałby jeszcze zaczekać z diagnozą.
- Cholerny Alcorta. Gdzie on jest? Chcę z nim porozmawiać.
- Właśnie operuje.
- Tatę?
- Nie, innego pacjenta.
- Gdzie jest tata?
- Śpi. Możesz pójść ze mną.

Weszli na OIOM. Wszystko było białe i czyste. Nie było okien wychodzących na zwirowany dziedziniec i zakurzone palmy kołysane wiatrem. Ale było okno z korytarza do pokoju: Winter zobaczył ojca na łóżku, w otoczeniu rurek i maszyn. Wyglądał, jakby był częścią jakiegoś medycznego projektu.

- Nie powinniśmy do niego wchodzić - powiedziała matka.
- Masz rację. - Winter popatrzył na nią. W ostrym świetle wyglądała na tak samo chorą jak jej mąż, może nawet bardziej, bo jej wychudzona twarz niczego nie była w stanie ukryć. Winter poczuł zapach tytoniu, którym przesiąknęła jej sukienka, i pomyślał o ulotce, którą nadal miał w kieszeni. *La vida. Paciencia.* Życie i cierpliwość, w tej kolejności.

- Jak długo będzie tak leżał?
- Nie wiem, Eriku.
- Jak długo tu jesteś bez przerwy? Trzy dni? Cztery? Może pojedziesz do domu, a ja zostanę na cały dzień i noc?
- Jeszcze nie, Eriku.
- Pomyślałem, że powinnaś się na chwilę od tego oderwać. Tylko na kilka godzin, jeśli chcesz. Możesz wziąć mój samochód z wypożyczalni.
- Nie sądzę, żebym teraz mogła prowadzić.
- Weź taksówkę, bo...

Spojrzała na niego. Oczy miała bardziej czerwone niż białe.

- Może powinnam to zrobić. Tylko na chwilę.
- Ja tu zostanę - powiedział Winter. - Możesz jechać.

Bartram i Morelius wrócili na komisariat z podwójną porcją smażonego kurczaka w sosie słodko-kwaśnym z baru Ming na rogu. Siedzieli w pokoju socjalnym i z roztargnieniem śledzili telewizyjny kryminał.

- To moglibyśmy być my - rzucił Bartram, wskazując głową telewizor.

- Detektywi kryminalni?
- To mogliśmy być my. Rozwiązujemy problemy. I wszystkie kobiety nasze.

- Rozwiązujemy wystarczająco dużo problemów. Także damskich.
- Wiesz, o czym mówię.
- Tak, niestety.
- Co masz na myśli?
- Może nie mam siły słuchać.

Bartram w milczeniu polewał swój ryż sosem sojowym i chili. Kryminał się skończył, leciała reklama pieluch. Niemowlę turlało się po dywanie, potem podniosła je uśmiechnięta kobieta.

- Dobra mama - powiedział Bartram.
- Przynajmniej kiedy ją filmują.
- Dobra mama - powtórzył Bartram. Przeżuwał i połknął, potem dołał sobie jeszcze sosu sojowego.

- Teraz ryż jest czarny - zauważył Morelius. - *Black rice*.
- Dobra pani - powiedział Bartram. - Dobra pani. Dobra mama.

Morelius starał się nie słuchać, koncentrował się na czymś innym. Ściana. Nowa reklama. Znow ściana. Ostatni ociekający tłuszczem kawałek kurczaka. Bartram dalej gadał.

- Dobra... pani - powiedział.
- Zamknij się już.

- Co ci jest?
- Po prostu się zamknij.
- Ale... co ja takiego powiedziałem?
- ZAMKNIJ SIĘ WRESZCIE! - krzyknął Morelius. Wstał, podszedł do zlewu i wyrzucił do śmieci foliowany kartonik. Marzył o tym, żeby móc tam wepchnąć również Bartrama.

Szybko wyszedł z pokoju, zamknął się w toalecie i usiadł na sedesie. Obrazy migotały mu w głowie. Mieszały się z nimi strzępki rozmów, jakieś ruchy, znikwały, pojawiały się znowu. Rozmowa z Hanne... kiedy to było? Kilka tygodni temu? Dwa tygodnie? To był błąd, że do niej poszedł. Przecież tylko ci młodszy chodzą do pastora, i to tylko wtedy, gdy... gdy...

- Nie mogę się tego pozbyć - powiedział.
- To zawsze musi trochę potrwać - tłumaczyła mu wtedy
- Więc trzeba być cierpliwym?
- Nie chcę używać tego słowa.
- Staram się o tym nie myśleć, ale czasem to jest za... trudne.
- Nie masz z kim porozmawiać o... swoich przeżyciach?
- Nie. Chodzi o to, czy z kimś mieszkam? Nie.
- A jak jest z kolegami?

Morelius pomyślał o Bartramie i Vejehagu. Żadnego z nich tam wtedy nie było. Nie zrozumieliby. Reszta? Ci, którzy zjawili się później? Nie. Przyjechali za późno.

- Nie - powtórzył. - Pojechałem tam z nowym kolegą, całkiem świeżym. Po minucie do niczego się nie nadawał. Leżał na brzuchu przy samochodzie i rzy... wymiotował. - Spojrzał na nią. - Sam nie wiem, dlaczego ja tego nie robiłem.

- Każdy reaguje inaczej - powiedziała Hanne.

Naprawdę przypadło mu koszmarnie zadanie.

Przyjechali na skrzyżowanie zaledwie kilka minut po zderzeniu. To był inny wypadek, nie ten w tunelu.

Szkło i kawałki blachy porzucane w promieniu pięćdziesięciu metrów. Deszcz ze śniegiem, wcześniej jak na tę porę roku. Drogi śliskie. Przy wysiadaniu z auta kolega potknął się o stopę. Samą stopę, tkwiącą w bucie. Potem kolega już do niczego się nie nadawał. Morelius zaczął wzywać przez radio; zanim skończył, usłyszał w oddali karetki i straż pożarną.

Może ktoś krzyczał z piekła pogiętych blach, które leżały wszędzie, popłatane, na autostradzie. Krzyczał coraz głośniej. Głośniej niż sygnał karetek, które ciągle jeszcze nie dojechały. Gdzie, do cholery były karetki? To przecież była ich robota. On już nic nie mógł zrobić, ale pobiegł tam, skąd dochodził krzyk, żeby coś zrobić, lecz krzyku już nie było słychać.

Najbliższy samochód miał zmiążdżony przód, kierowcę wyrzuciło na zewnątrz. Może poleciał nad drogą i leżał za barierką ochronną. Morelius nie widział ciała we wraku.

Obok stało mniejsze auto, wbite między dwa inne. To zostało przepołowione, nie miało dachu. Z przodu siedziało dwoje ludzi.

To był ten obraz. To był ten obraz, od którego nie mógł się uwolnić. Budził się w środku nocy z poczuciem, że przez jego głowę pędzi pociąg towarowy, i z obrazem ciał ze ścietego samochodu przed oczami.

To wszystko opowiadał Hanne. Próbował.

Najpierw nie wiedział, co widzi. Podeszedł bliżej, pod kątem, z tyłu, żeby zobaczyć, dlaczego oni się... dlaczego się tak dziwnie pochylili. Mężczyzna i kobieta, mógł to rozpoznać z tyłu, bo jedno z nich miało na sobie marynarkę, a drugie sukienkę z krótkim rękawem. Siedzieli w aucie bez płaszczy.

Stanął z boku i zobaczył, że nie mają głów. Wiedziony impulsem poszukał ich wzrokiem i znalazł. Głowa mężczyzny leżała na kolanach kobiety.

Słyszał karetkę, głosy lekarzy i sanitariuszy, i tysiące innych głosów

służb ratunkowych, które krzątały się na miejscu wypadku. Ale nadal stał jak przyspawany do karoserii, jakby przymarzył do asfaltu.

Znów zamknął oczy i w tej samej chwili usłyszał pukanie do drzwi.

- Co z tobą, Simon? - Przed ubikacją stał Bartram. - Musimy jechać.

Nacisnął spłuczkę.

- Ja... już idę.

- Czekam w samochodzie.

9.

Noc była tak spokojna, jak tylko to było możliwe. Winter szukał doktora Alcorty, ale w końcu się poddał. Jego ojciec leżał zakotwiczony przewodami i rurkami wśród maszyn, które odmierzały jego życie. Winter długo siedział i wpatrywał się w jego twarz, nie myśląc o niczym szczególnym. Wózki jeździły tam i z powrotem korytarzem za jego plecami. Ludzie przychodzili i wychodzili. Pielęgniarka coś do niego powiedziała, a on skinął głową, nic nie rozumiejąc, potem wyszła i już nie wróciła. Jakby to była część tajemnicy, tej dziwnej nierzeczywistości.

Ale to nieprawda. To była rzeczywistość, naga rzeczywistość. Drobiazgi życia, to, co było najbliższe. Wszystko inne było bez znaczenia, myślał, kiedy wczesnym rankiem wszedł do małego pokoiku przy dyżurce pielęgniarek i położył się na łóżku.

Coś mu się śniło, ale zapomniał co, kiedy matka lekko dotknęła jego ramienia. Usiadł, zerwał się gwałtownie.

- Coś się stało?
- Nie, nie. Właśnie przyszłam.
- Chyba zasnąłem - powiedział i spojrzał na swój przegub. Ósma. - Wcześniej wróciłaś.

- Nie mogłam spokojnie siedzieć tam dłużej. - Usiadła na krawędzi łóżka. - Ale chyba jestem trochę nieprzytomna. Zostawiłam w domu kosmetyczkę z przyborami... całą torbę z rzeczami do spania. Taksówka przyjechała i... wszystko potoczyło się tak szybko.

- Zaglądałaś do taty?
- Tak. Bez zmian, stan stabilny - odparła matka.

Winter przeciągnął się po niespokojnym śnie. Czuł się spocony i rozbity.

- Pojadę i przywiozę ci rzeczy.
- Naprawdę mógłbyś to zrobić?
- Naturalnie.
- Zobaczysz przy okazji dom. - Przerwała na chwilę. - Choć o wiele fajniej by było, gdyby... gdybyśmy my też mogli przy tym być.

Winter przejechał całą Marbellę, zostawił za sobą hotel Guadalpin po drugiej stronie. Choć było wcześniej, na drodze było dość dużo samochodów. Wzdłuż drogi, na wschód, tłoczyły się działki najróżniejszych firm: wielkie dyskonty, autokomisy, handel starociami, hotele, mieszkania do wynajęcia na wakacje, niemieckie kliniki. Świat Europejczyków z Północy, z pieniędzmi i w podeszłym wieku.

The Fielding Partnership, Marbella Forum, Hipermercado Marbella, Hotel Marbella Club, La Legenda, La Hacienda, dyskoteka La Fiesta, pusta i brudna. Marbesol. Venta de Coches, gdzie Winter zauważył kilka mercedesów, które kiedyś były tego samego koloru co jego samochód. Pomyślał o swoim aucie stojącym w podziemnym garażu pod Vasaplatsen. To było wariactwo, myśleć o nim teraz.

Na skrzyżowaniu przy Hotel Coral Beach zablądził. Pojechał na północ zamiast na zachód, przez Puerto Banus. Trzech konnych policjantów przecięło jezdnię. Winter musiał jechać dalej na północ i znalazł się w nowo wybudowanym osiedlu. Góra była bliżej niż kiedykolwiek przedtem. Białe mieszkania o trzech kondygnacjach stały na środku pustyni, jakby czekały, aż morze się tu zapuści. Winter uśmiechnął się na widok tej *urbanization*: to było jak transplantacja organu w suche, kamieniste zbocze. Góra prędzej czy później odrzuci tę narośl.

Słońce też mu się tu wydawało obce, niemal kłamliwe.

Jechał dalej, aż znalazł się przy nowym polu golfowym. Było całkiem małe, obszar startowy znajdował się naprzeciwko przystanku autobusowego. Jakiś mężczyzna walnął kijem w trawę, kępki wyrwane wraz z ziemią wyleciały w powietrze.

To wyglądało obscenicznie, wręcz kryminalnie. Świeża zielona trawa musiała tutaj być czymś tak cennym i delikatnym jak skóra, pomyślał Winter. Soczyście zielona trawa była czymś obcym w tej okolicy. Kolejny element bogatego świata. Pola golfowe były jak rany w krajobrazie.

Zawrócił i pojechał z powrotem przez Puerto Banus, przejechał obok domu towarowego Corte Inglés, długiego na dwieście metrów, wjeżdżał na pagórki, między wille. Dotarł do skrzyżowania, o którym opowiadała matka. Był w sercu Nueva Andalucia. W miejscu zamieszkania rodziców. Zostawił samochód na placu przy Supermercado Diego i spojrzął na niewielką mapkę, którą narysowała mu matka drżącą ręką. Wyłączył hiszpańską muzykę i wyszedł na październikowe słońce, mocne i gorące. Jeszcze nie było dziesiątej, ale cyfrowy wyświetlacz w Puerto Banús pokazywał dwadzieścia dziewięć stopni, przez chwilę nawet trzydzieści.

Ruszył ku skrzyżowaniu trzech ulic. Naprzeciwko przystanku autobusowego odchodziła na północ Calle Rosalia de Castro. Patrząc w tę stronę, Winter widział Sierra Blanca. Stąd było go widać wyraźnie, lepiej niż ze szpitalnego pokoju ojca. Po lewej, pięć metrów dalej, na wzniesieniu, stała Johnny Restaurant, obok Clinica Dental i Rent a Car. Za jego plecami, naprzeciwko zakurzonego parkingu przy supermarkecie, Ristorante Casa Italia, po drugiej stronie Restaurante Romántico z czerwonym patio, siedziba jakiegoś banku i Fitness Center.

Więc to tu toczy się życie jego rodziców. Tutaj. Tu przychodzili kupić dżin i tonik, jajka i chleb. Czy wieczorami przesiadywali w ogródku

Johnny'ego i spoglądali w dół, na miasto?

Przeciął skrzyżowanie i poszedł na północ. Sto metrów dalej stał niewielki *supermercado* z wystawionymi rzędami pocztówek, wyblakłych i powyginanych od słońca, jakby stały tak całą wieczność. Szedł dalej, minął Torre de Andalucía, które mogło być zarówno hotelem, jak i blokiem mieszkalnym. Droga kończyła się przy Bistro de la Torre. Winter zobaczył w dole dolinę, kilka małych kamiennych domów na pustkowiu. Zdawały się stać tam w dole jako przypomnienie o innym życiu dla tych wyżej, twardszym, cięższym i bez cienia.

Skręcił w prawo i kilkaset metrów dalej doszedł do Calle Luís De Góngora, skąd kilka małych jednokierunkowych uliczek biegło na wschód.

Kawałek na południe. Pasaje José Cadalso. Więc to tutaj. Znalazł się na niewielkiej uliczce, w przesmyku raczej, z kilkoma parterowymi i piętrowymi willami po każdej stronie. Czuł, że słońce pali go w głowę, żałował, że nie kupił sobie czapeczki. Wszystko było białe i zielone. Bardziej zielone, niż się spodziewał. Znad białych murów zwieszały się krzaki. Bugenwilla.

Starannie podlewane trawniki błyszcząły między kratami. Przeszedł kilka metrów do domu rodziców, drugiego i równocześnie przedostatniego po lewej. Porcelanowa tabliczka: WINTER. Skrzynka pocztowa na CARTAS i szyld po drugiej stronie czarnej żeliwnej bramy, ostrzegający przed PERRO. Uśmiechnął się. Jego matka nigdy nie podeszła do żadnego psa bliżej niż na dziesięć metrów. Może tabliczka miała odstraszać andaluzyjskich złodziei, którzy umieją czytać.

Naprzeciwno furtki odczytał na tabliczce nazwisko: BERGLUND. Przedtem minął sąsiadów nazwiskiem WESTERLUND. Jego matka rzadko mówiła o sąsiadach podczas krótkich rozmów telefonicznych. Teraz też nikogo nie widział ani nie słyszał.

Furtka ustąpiła bez oporu, kiedy przekreślił klucz. Wszedł na górę małymi schodami i skierował się na tyły domu, na niewielką werandę

wychodzącą na prostokątny trawnik ocieniony trzema palmami. Mają palmy, pomyślał. W tej samej chwili usłyszał dzwonek telefonu w domu. Trochę potrwało, zanim otworzył drzwi kluczem. Telefon ucichł. Po dziesięciu sekundach znów zadzwonił. Winter wszedł do chłodnego, zaciemnionego pokoju i podniósł słuchawkę.

- Halo?
- Więc jesteś na miejscu, Eriku! To dobrze.
- Właśnie wszedłem.
- I co myślisz?

Rozejrzył się po pokoju. Czuć było samotnością i ciszą, słońcem, kwiatami i może papierosami. Palmowe liście za oknem lśniły w słońcu. Na werandzie stał biały stół i trzy białe krzesła z żółtymi poduszkami.

- Właśnie wszedłem. Przed minutą. Ale jest pięknie.
- Torba stoi na górze, w sypialni.
- Mówiłaś już.
- Jedź ostrożnie.
- Macie palmy - rzucił Winter. - Nie wiedziałem.
- Czyż nie są piękne?
- Tak.
- Aż trzy.
- Ale tu wszystko wygląda inaczej niż na zdjęciach, które widziałem.
- Co masz na myśli?
- Myślałem, że będzie bliżej do morza.
- To tylko kilometr, nawet niecały.
- Ale go nie widać.
- Za to nie mamy wiatru - wyjaśniła matka. - Czasem porządnie wieje.
- Jak się czuje tata?
- Leży tak jak przedtem, bez zmian.
- A co doktor Alcorta teraz mówi?

- Czekaj na najświeższe wyniki.
- Jak się zjawi, musisz go przywiązać. Póki nie przyjadę.
- Postaram się.
- Potrzebujesz czegoś jeszcze? Może o czymś sobie przypomnieć?
- Nie.

Pożegnał się i odłożył słuchawkę. Poszedł na górę i wziął torbę stojącą przy podwójnym łóżku w małej sypialni. Wyrzwał przez okno i nadal nie widział morza, ale przynajmniej więcej nieba. Było całe błękitne, bezchmurne. Mógł spojrzeć z góry na inne domy przy ulicy. Na trawnikach nie było ludzi. Nikt nie siedział na krześle na werandzie. Żadnego psa ani włamywacza. Nic.

Nie chcę tu dłużej zostać, pomyślał. Zobaczył zdjęcie ojca na nocnym stoliku i zapragnął uciec, tak samo mocno, jak ojciec marzył, żeby wrócić.

Zszedł na dół.

Chcę tu wrócić, kiedy oni tu będą. Możemy posiedzieć na werandzie, każdy z nieodłącznym ginem z tonikiem, i patrzeć na palmy.

Wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Potem zamknął furtkę i zszedł stromą uliczką z powrotem do skrzyżowania przy Johnny Restaurant. Poczul, że bardzo chce mu się pić. Przy Johnnym kręcił się jakiś mężczyzna. Winter wszedł na schody i zobaczył, że tamten właśnie otwiera lokal, więc zapytał, czy może zamówić piwo z beczki. Mężczyzna skinął głową i Winter usiadł. Po chwili mężczyzna zjawił się z kuflem cruzcampo. Winter wypił, pokazał, że chce jeszcze jedno piwo, *otra caña, por favor*. Spoglądał w stronę skrzyżowania. Nadjechał autobus, wysiadły dwie kobiety. Potem pojechał dalej, w stronę Puerto Banus. Przejechał jakiś młodzieniec na skuterze. To był najgłośniejszy dźwięk, jaki dzisiaj słyszał. Jakiś jogger przebiegł obok, Winter aż tu, wysoko, słyszał jego oddech. Łyknął piwa. Czy kiedykolwiek będzie mógł tu usiąść o zmierzchu i zjeść kolację z rodzicami? Czy oni tu przychodzili?

Siadywali tutaj? Nagle zapragnął się tego dowiedzieć.

Zapłacił i wyszedł na słońce. Alkohol go uspokoił. Poszedł prosto do samochodu. Przeszedł obok biura Trabajo Temporal, które w tym otoczeniu wyglądało na żart. Zobaczył też lokal z szyldem Arte y Cultura, w tym samym budynku co restauracja Romántico. Część należąca do Arte y Cultura była zamknięta. Coś rozrastało się w pęknięciach wietrzącego betonu pod drzwiami. To nie jest dobre miejsce na kulturę, pomyślał Winter, wchodząc do chłodnego *supermercado*. Kupił butelkę wody mineralnej na drogę. Półki z alkoholem pełniły taką samą rolę jak dział produktów mlecznych w północnej Europie. Litr miejscowego *larios* za tysiąc sto osiemdziesiąt pięć peset. Angielski gin marki Gordon dziewięćset osiemdziesiąt pięć za siedem dziesiątych litra. Wino rosé dwieście siedemdziesiąt pięć.

Kiedy jechał z powrotem, morze leżało przed nim jak srebrna blacha. W Puerto Banus byli wszyscy ci ludzie, których nie widział w Nueva Andalucía. Po drugiej stronie Corte Inglés zobaczył krater wykopu czekający na kolejne budynki. Bliżej wody na wysokim cokole stała rzeźba anioła z ramionami wyciągniętymi ku morzu. Winter wjechał z powrotem do Marbelli, minął minaret, którego wcześniej nie zauważył, tuż obok Oriental Carpets, Real Estate Ivar Dahl. Widział górę, cały czas. Była jak magnes, nieustannie przyciągający spojrzenie.

Kiedy przyszedł na oddział intensywnej opieki, łóżko ojca było puste. Matki też nie było.

- *What the hell has happened?* - zapytał pielęgniarkę, który do niego podszedł.

- *Your father is operating* - powiedział mężczyzna.

Nagle ozdrowienie, pomyślał Winter. Ojciec jest już na nogach i nawet został chirurgiem.

- Gdzie doktor? - zapytał Winter. - *A... donde está?* Doktor Alcorta?

- Operuje.

- Mojego ojca? Operuje mojego ojca?

Mężczyzna skinął głową. Ktoś wszedł do sali. Winter odwrócił się w stronę drzwi.

- Dzwoniłam, ale nie miałam sygnału.

- Siedziałem dłuższy czas za jakimś cholernym dźwigiem. Nic nie docierało.

- Nagle jego stan znów się pogorszył. Znowu.

- Boże wielki. Co to było? Co się stało?

- Nie wiem. Och, Eriku - powiedziała i zaczęła płakać.

Winter podszedł i objął ją.

- Mam twoje rzeczy. - Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. - Tu jest torba.

- Doktor Alcorta przyjdzie, kiedy będzie gotowy.

- To znaczy kiedy?

- Nie umiem powiedzieć, Eriku. Nie wiem więcej niż ty.

- Czy on wie więcej? Alcorta? - Matka spojrzała na niego. - Przepraszam. Jestem tylko... zrozpaczony, że nic nie wiemy.

- Chyba jesteś przyzwyczajony do czekania, Eriku. Do cierpliwości. Nie... zresztą... to coś całkiem innego.

Winter zastanowił się nad tym, co powiedziała. Czy był dość cierpliwy? Czy jako policjant umiał czekać? Właściwie o to chodzi w tej pracy, ale nigdy nie odczuwał prawdziwego spokoju, który jest potrzebny, kiedy się czeka na wyniki. Niepokój zawsze brał górę. Czasami to nie było dobre, ale w większości przypadków było. Jego niepokój pchał śledztwo naprzód. Zawsze gdzieś otwierało się coś nowego, ale teraz nie był pewien, tym razem nie. Nie mógł nic zrobić. Nawet porozmawiać z Alcorta.

To tutaj to coś zupełnie innego, jak powiedziała matka.

- Pójdziemy na dół napić się kawy? - zaproponował. - Wystarczy zejść po schodach.

- To niezły pomysł. - Matka powiedziała coś po hiszpańsku do pielęgniarki stojącego opodal przy jakiejś szafce. Ten rzucił kilka słów, matka kiwnęła głową. - Zawołają nas natychmiast, jak tylko coś się będzie działo. Zresztą nie będzie nas tylko dziesięć minut.

10.

Angela zamknęła za sobą drzwi i próbowała zdjąć płaszcz przeciwdeszczowy tak, żeby nie zalać za bardzo parkietu w przedpokoju. Miała mokrą twarz, włosy też nasiąkły wodą, kiedy szybko szła od przystanku tramwajowego do bramy

Co za dzień. Pacjenci na noszach na korytarzu. Na nic nie było czasu. Jakiś krewny nazwał ją mityczną panią doktor, bo od dwóch dni próbował się z nią skontaktować, może od trzech. Byłam tutaj i pracowałam, powiedziała mu, ale na jego twarzy widziałam powątpiewanie. Wściekła się, ale tego nie okazała. Oczywiście. Była zmęczona i znów miała mdłości.

Zdjęła kozaki i poszła do kuchni. Stukanie deszczu o szyby. Ledwie słyszalny szum tramwajów za oknem na Vasaplatsen. Jej nowy dom. Wielki dom przy Vasaplatsen.

To wcale nie było takie oczywiste. Przecież zatrzymała swoje mieszkanie przy Kungshöjd. Uśmiechnęła się. Erik wróci do domu, a ona mu powie, że chce zatrzymać mieszkanie. Pewnie nawet by uwierzył. Czasami jej się wydawało, że można mu wmówić wszystko. A czasem nic mu nie umykało, najmniejszy szczegół.

Nie. Tutaj będzie im lepiej, przynajmniej na początku, kiedy dziecko... zatrzymała się w myślach na chwilę, nie chciała za dużo o tym dywagować, zanim... zanim ciąża nie będzie bardziej zaawansowana. Zanim się nie wprowadzimy, pomyślała. Zamieszkamy razem. Przecież jeszcze tu tak naprawdę nie mieszkam. Tylko przychodzę po pracy, bo tak jest lepiej. Żeby się oswoić.

Zrobiła sobie filiżankę herbaty, potem siedziała przy stole i wsłuchiwała się w deszcz. Poszła do salonu i wróciła, kiedy Springsteen śpiewał już od pół minuty o cenie, jaką się płaci za swoje uczynki. Poglądziła się powoli po brzuchu. Cena za swoje czyny. Znów się uśmiechnęła. *You make up your mind, you choose the chance you take.* Springsteen dźwigał na swoich ramionach całą ludzką kruchość. Erik też zaczął go słuchać. Tylko smutnych piosenek oczywiście. Ale zawsze to coś. Choć to nie tylko ze względu na nią. Jeżeli ktoś nastawia się na rozwój, dużo się wokół niego dzieje. Coltrane dalej był na tapecie, ale musiał zrobić trochę miejsca dla innych. Teraz Erik zna dwa hasła z historii muzyki współczesnej: The Clash i Bruce Springsteen. To powinno wystarczyć na długo. Mają jeszcze coś wspólnego, pomyślała i jeszcze raz pogładziła się po brzuchu.

Czy się boję? Nie. Czy on się boi? Może. Czy o tym powie? Mówi coraz więcej. Za kilka miesięcy skończy czterdzieści lat i właśnie zaczął się uczyć rozmawiać. Dla większości mężczyzn to i tak wcześniej.

Lodówka trochę brzęczała, ale była pusta. Angela stała w świetle wydobywającym się przez otwarte drzwiczki. Panujący w mieszkaniu półmrok szybko zęstniał w wieczór. Myślała, że znajdzie w lodówce trochę sera. Nie było nawet tyle margaryny, żeby wystarczyło do jutra. Nagle poczuła wielką chęć na sardele. Taką zachciankę, o jakich czytała i słyszała, ale jakie jeszcze jej się nie zdarzyły. Oczywiście. Sardele nie pasowały do paskudnej pogody, ale pasowały do ciąży. Tak samo jak pasztet z nutellą, ogórki kiszzone i inne opowieści. Spaghetti z sosem o smaku coli.

Sardele. Ser. Margaryna Lätta. Może nowy numer „Feminy”. Zrezygnowała z prenumeraty w związku z przeprowadzką, ale brakowało jej teraz pisma w skrzynce, zarówno tutaj, jak i w domu... nie, nie w domu, tam były tylko jej meble, zostaną tam jeszcze kilka tygodni, ale to wszystko.

Clean break.

Nagle poczuła, że bardzo tęskni za „Feminą”. I za pudełkiem sardeli, tak rozkosznie karmelizowanych w kryształkach soli. Wyjrzała przez pokrytą smugami deszczu szybę. Uliczne latarnie już się paliły, ale nie mogły się przebić przez ciemność. Westchnęła, sama to usłyszała. Zamknęła lodówkę, wyszła do przedpokoju, włożyła buty i płaszcz przeciwdeszczowy. Parasola nadal nie było, szukała go rano.

Winda była na dole, więc postanowiła zejść schodami. Kroki odbijały się echem na klatce, dźwięk był niższy niż ten, do którego była przyzwyczajona, który słyszała codziennie w domu... przy Kungshöjd.

Podeszła kawalek Vasagatan, do Borgö Livs. Deszcz prawie ustał, głównie kapało z dachów. Podeszła do krawędzi chodnika i usłyszała za sobą odgłos silnika, jeden z wielu. Ale po minucie ten sam dźwięk wciąż jej towarzyszył, był za jej plecami, więc odwróciła się na chwilę i zobaczyła radiowóz. Sunął powoli kilka metrów za nią. Szła dalej, patrząc przed siebie, ale samochód ciągle jechał za nią, w tym samym żółtym tempie. Odwróciła się jeszcze raz, żeby się przyjrzeć kierowcy, ale dojrzała tylko zarys sylwetki.

Czyżby kogoś śledzili? Dlaczego radiowóz jechał tak wolno? Dlaczego za nią? Nagle kierowca zamrugał światłami, skręcił w lewo na skrzyżowaniu i pojechał z powrotem w stronę Vasaplatsen. Angela rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma innego policyjnego samochodu, ale żadnego nie zobaczyła.

Weszła do sklepu i zrobiła zakupy. Wychodząc, przy stoisku z papierosami kupiła gazetę i zanim się spostrzegła, wzięła jeszcze torebkę długich żelków o smaku coli.

Spaghetti o smaku coli. Mit stawał się rzeczywistością.

Znów zaczęło padać i już nie miało znaczenia, którą częścią chodnika idzie. Reklamówka z zakupami była cięższa, niż się spodziewała, zwłaszcza kiedy zmieniła rękę, żeby wstukać kod do bramy. Kącikiem lewego oka znów zauważyła radiowóz. Jechał w dół Aschebergsgatan,

przeciął skrzyżowanie i zwolnił, kiedy znalazł się bliżej. Trzymała dłoń na panelu domofonu. Samochód przejechał wolno obok niej, ale i tym razem nie mogła dojrzeć twarzy kierowcy, zasłona przeciwsłoneczna była opuszczona. Powiodła za nim wzrokiem, kiedy ją mijał i się oddalał, a tylne światła znów zamrugały, jak dwoje czerwonych oczu. Potem skręcił za ostatnim domem kwartału i zniknął.

Widocznie dużo radiowozów kręciło się tej nocy po okolicy. Wsiadła do windy. A może to był ten sam radiowóz. Jakaś oblawa w podejrzanych zakątkach Vasastan. Najbardziej szemrane okolice. Same wyrzutki. Najgorsze dno. Komisarze policji. Lekarze. Zwariowane wdowy z majątkiem zdobytym w podejrzany sposób. Jedna z nich mieszkała na piętrze Erika, przypomniała sobie. Bardzo stara, ale mnie nie oszuka, powiedział raz Erik, kiedy ją spotkali przed drzwiami. Czasami słyszę z jej mieszkania odgłosy, jakby jakiejś mszy. Widziałaś jej paznokcie? Nie? Nic dziwnego, bo ich nie ma! Ale za to miewa niesamowitych gości.

Rzeczywiście, poczuła wtedy dreszcz niepokoju. Pomyślała o tym, kiedy wysiadła z windy i zobaczyła ciemne drzwi pani Malmer.

Rosemary's Baby. Ta myśl przysła znikąd. Ona była Rosemary, która właśnie się wprowadziła, ze wszystkim i na dobre. Erik zaczął składać pani Malmer późne wizyty, a ona słyszy tylko przez ścianę miarowe pomrukiwanie. Następnego ranka Erik będzie miał plaster na ramieniu. Ktoś z jego pracy zginie tragicznie. Szef wydziału. Erik dostanie jego posadę. Angela zostanie przedstawiona ekscentrycznemu, lecz bardzo szarmanckiemu staremu przyjacielowi pani Malmer, a ten z kolei zapozna ją z nowym ginekologiem, który bę...

Otworzyła drzwi i usłyszała dzwonek telefonu. Upuściła reklamówkę, zrzuciła kozaki i podeszła kilka kroków do komody w przedpokoju, na której stał jeden z telefonów.

- Słucham? - powiedziała i usłyszała swój oddech.

- Biegasz po schodach?
 - Witaj, Eriku!
 - Czy to dobrze biegać po schodach w twoim stanie? Nie lepiej robić gimnastykę dla gospodyń domowych?
 - Jechałam windą.
 - Może być ciężka w obsłudze.
 - Jest niesamowita.
 - Właśnie.
 - Człowiek stoi i snuje fantazje na temat strasznych rzeczy, które mogą się dziać w tym domu.
 - Starsza pani Malmer.
 - Dlaczego o niej mówisz? - zapytała i wydało jej się, że słyszy w swoim głosie cień podejrzliwości. Wielki Boże.
 - To było kretyńskie. Nie chciałem cię nastraszyć...
 - Daj spokój, lepiej powiedz coś o swoim tacie. Wygląda na to, że mogłeś się trochę odprężyć.
 - Może. Znow przez chwilę był w stanie krytycznym, zrobili jakąś poprawkę przy naczyniach. Teraz znow jest na normalnym oddziale.
 - Czy udało ci się wreszcie porozmawiać z lekarzami?
 - Zwariowałaś? Kto jak nie ty powinien wiedzieć, że to niemożliwe. Na całym świecie tak samo.
- Przypomniała sobie oskarżenia, których się nasłuchiwała, dzisiaj, w szpitalu. Że nigdy jej nie ma na oddziale.
- Nie sądz nas zbyt surowo - powiedziała.
 - Tata nie narzeka, a to najważniejsze - powiedział Winter. - A co poza tym u ciebie?
 - Naszła mnie klasyczna chętką na sardele, poszłam w deszczu po zakupy i śledził mnie jeden z twoich kolegów.
 - Śledził? Policja kryminalna? To znaczy, że nie byli zbyt dyskretni.
 - Co ty mówisz? Masz z tym coś wspólnego?
 - Ja? Nic nie rozumiem.
 - Ze śledzeniem. Przez kryminalnych.

- Naprawdę czujesz się śledzona przez policję kryminalną?
- Tego nie powiedziałam.
- Właśnie że tak, przed chwilą.
- Powiedziałam, że śledzili mnie twoi koledzy, to znaczy policjanci.

Usłyszała westchnienie w słuchawce, z samego Costa del Sol.

- Jeszcze raz od początku - powiedział. - Opowiedz wszystko jeszcze raz. A ja słucham i nic nie mówię.

- Poszłam po zakupy i wtedy nadjechał ten radiowóz, jechał za mną. Bardzo powoli. Cały czas. Kiedy się zatrzymałam, żeby zobaczyć, czy mi się nie wydawało, zamrugał i skręcił.

Winter milczał.

- A kiedy wracałam i wchodziłam do bramy, znów nadjechał radiowóz i wolno przejechał obok mnie, dokładnie tak samo - ciągnęła Angela. - A kiedy mnie minął, znów zamrugał, tym razem tylnymi światłami.

- I to wszystko?

- Tak. Mój Boże, musieli urządzać jakąś obławę, czy jak to się nazywa. To na pewno był przypadek. Opowiadam ci to raczej jako żart.

- Ha, ha.

- Nie był zabawny?

- Nie sprawdziłaś numeru rejestracyjnego? Albo numerów, jeśli to były różne samochody?

- Naturalnie. Zapiisałam wszystko na wewnętrznej stronie powiek.

- Zaśmiała się. - Niestety, Eriku, ja nie skończyłam szkoły policyjnej.

- Ale... nie wiem, co powiedzieć.

- Nie myśl o tym po prostu. To zbieg okoliczności, całkiem zwyczajnie. Jeśli nie jest tak, że... cię dyskretnie obserwują, kiedy mnie nie ma.

- To raczej nie było dyskretne.

- Czyli to nieprawda?

- Żartujesz?

- Tak. Trochę.
- Nie mam takich uprawnień. Przynajmniej jeszcze nie.
- Ale może wkrótce?
- Co?
- Gdyby coś się stało twojemu szefowi? Szefowi wydziału. Jak on się nazywa?
- Birgersson. Co ty właściwie wygadujesz, Angelo?
- Nic takiego. - Znów się zaśmiała. - Tak tylko bredzę przez sen. Albo może mam urojenia. - Na linii z Costa del Sol zapadła cisza. - Halo? Eriku?
- Bardzo dziwna ta nasza rozmowa.
- To moja wina. Przepraszam. Chyba ciągle czuję się obco w tym domu... choć tak często tu bywałam, przez tyle lat. Ale teraz jest inaczej. I właściwie chodzi mi o to, że chcę cię mieć z powrotem, tutaj, w domu. Jak najszybciej. Gdy tylko twój tata poczuje się lepiej.
- Miejmy nadzieję.
- To zajmie jeszcze trochę czasu.
- O ile jeszcze jest czas.
- Wszystko na to wskazuje.
- Teraz musisz się zająć sardelami.
- Na pewno masz tam pod dostatkiem takich rzeczy.
- Jeszcze nie próbowałem.
- Żadnych tapas?
- Nie było jakoś... czasu. Dzisiaj nocowałem w szpitalu.
- Jak było?
- Lepiej niż gdzie indziej. Ale teraz ty musisz zatroszczyć się o siebie i zjeść coś słonego, żebyś nie myślała tak dużo o duchach.
- Pani Malmer.
- Radiowozy.
- Kupiłam też żelkowy makaron.
- Zjedz go z przecierem z sardeli i parmezanem.
- Zanotuję - powiedziała Angela.

Radiowóz krążył po centrum, wrócił na Vasaplatsen. Kierowca słuchał komunikatów. Korek gdzieś przed Tingstadstunneln. Napad rabunkowy w Kortedali. Pasażer na gapę uciekł z tramwaju w Majoma.

Zaparkował przy kiosku Pressbyrån, wysiadł i kupił gazetę, pierwszą z brzegu. Może ją przeczyta, a może tylko położy na siedzeniu. A może zaraz wyrzuci do kosza.

W większości mieszkań się świeciło. Wiedział, który to dom, ale nie które piętro. Z łatwością mógłby podejść do bramy i popatrzeć na nazwiska na domofonie, ale jaki to miałyby sens? Zadał sobie pytanie, kiedy znów wsiadł do samochodu i zapiał pas. Jaki-to-miałyby-sens? Miał pytanie, ale nie znał odpowiedzi. Kiedy będzie wiedział, po co miałby podchodzić do bramy, żeby sprawdzić adres i piętro, będzie wiedział też wiele innych rzeczy. Które się zdarzyły. Które się zdarzą. Się-zdarzą.

Czy zamrugał światłami? Jeśli to zrobił, to miało to jakiś sens. To było jak początek. Spojrzał na gazetę leżącą na jego kolanach. Nie wiedział, co to było, „Göteborgs Tidning”, „Expressen” czy „Aftonbladet”, wiedział tylko, że w tej i w innych przeczyta o rzeczach, które sam mógłby im powiedzieć, tylko że nikt go nie zapytał, bo normalnie nikt go nigdy nie pytał o nic, o nic, co miałyby SENS, ale teraz koniec z tym, teraz musi być koniec z tym, KONIEC Z TYM. Zacisnął dłonie na gazecie i szarpnął, a po minucie, a może po roku, kiedy nadal siedział w aucie przed kioskiem, znów spojrzął na gazetę i zauważył, że przedarł ją na pół.

11.

Winter wstał przed ósmą. Kawalek nieba, który widział z okna łazienki w La Luna, był niebieski. W powietrzu już czuć było słońce i płyn do mycia, którym Salvador, gospodarz hostelu, przecierał rano płytki patio. Winter słyszał stukot młotka i głos kobiety.

Czuł ciepło, przez kraty w oknie przedostawało się do jego pokoju. To może być najgorętszy dzień od przyjazdu. Salvador wskazał na niebo i przewrócił oczami, kiedy przechodził obok niego. Lato nie odpuszczało.

Wypił kawę w kawiarnianym ogródku Gaspara i zapalił corpa. Obsługa już go znała, podobnie jak gruzlik, który siedział przy tym samym stoliku co zawsze i kaszlem psuł poranek w Plaza Puente de Málaga. Kiedy kelner przyszedł ze szklaneczką ginu, na chwilę uciął. Skinął Winterowi przyjaźnie, kiedy podnosił szklanekę do ust.

Winter miał wrażenie, że całe ciało ma sztywne. Powinien zaraz jechać do szpitala, ale zdecydował się na krótki spacer, żeby rozruszać stawy. Opróżnił szklanekę, zgasił cygaretkę i zapłacił. Zanim wstał od stolika, zadzwonił jeszcze szybko do matki, do pokoju, w którym ojciec odpoczywał po ostatniej operacji. Nic nowego, ani w tę, ani we w tę.

Przyglądał się chwilę swojej małej turystycznej mapce miasta. Mógł pójść w górę, do dworca autobusowego, znajdującego na wzniesieniu nad miastem, wróciłby na piechotę. Może godzina marszu. Całkiem niezła dawka ruchu.

Calle de las Peñuelas biegła na północ od plaży. Szedł nią kawalek, potem skręcił w lewo w Calle San Antonio, która według mapy zakolami wiła się aż na wzgórze.

Już po stu metrach znalazł się w innej Marbelli, innej niż te względnie normalne dzielnice mieszkaniowe, w których mieszkał. Bary i sklepy

dla Hiszpanów. Staruszki całymi rzędami siedziały przed domami, mężczyźni w kawiarniach, dzieci w drodze do lub ze szkoły. Heladerie, panaderie, carnerie. Zapach świeżego mięsa przed sklepem rzeźnika. Dziewczynka z naręczem chlebów pod pachą. Słońce i cienie, jak gra, już od wczesnych godzin poranka. Minął duże budynki Caja Ahorros Ronda, Bar Pepe Duna, Colegio Publico García Lorca naprzeciwko, gwar uczniów na przerwie. Na rogu kiosk z dużą reklamą miejscowego dziennika „Sur”.

Szedł ciągle na północ. Znalazł się na większej drodze przelotowej Avenida Arias de Velasco, a potem, spojrzawszy najpierw na mapę, skręcił w lewo.

Po około stu metrach dostrzegł z lewej komisariat policji, Comisaría de Policía Nacional. Niewielki budynek, z szarego marmuru i częściowo ze szkła. Do wejścia prowadziły podwójne schody. Zobaczył dwie tabliczki: *Oficina de Denuncias* i *Pasaportes Extranjeros*. Poczul przyływ sympatii dla kolegów. W Marbelli na pewno jest dużo roboty, zwłaszcza w szczycie sezonu. Kieszonkowcy, zgubione paszporty. Znow kieszonkowcy. Winter miał problem z kieszonkowcami. Nie wiedział też, co myśleć o tych nieszczęśnikach, którzy nie umieją się przed nimi zabezpieczyć.

Mafia. Mówiło się, że Marbella stała się nowym centrum przestępczości zorganizowanej. Czytał nawet jakiś raport na ten temat.

Uciekinierzy podatkowi i mafia. Wille w górach. Tapas w Paseo Marítimo wieczorem, przy załatwianiu interesów.

Dwóch kolegów w mundurach schodziło po schodach. Winter niemal skinął im głową, kiedy go mijali, przechodząc na drugą stronę ulicy, do Bar el de Enfrente. Szklaneczka dżinu na wzmocnienie w ten późny poranek. Winterowi chciało się pić i pomyślał o piwie, ale nie przerwał wędrówki pod górę. Jeden z policjantów wyszedł z baru

i zajrzał do sklepu motocyklowego.

Winter dotarł na szczyt wzgórza. Przeszedł kładką nad autostradą, potem skręcił w lewo, do *Estación autobús*. Odwrócił się, popatrzył chwilę na miasto w dole, na morze i horyzont. Na niebie ani jednej chmurki. Ten spacer naprawdę się opłacił. Miał stąd doskonały widok, aż do Nueva Andalucía, a na wschodzie dostrzegał kolosa - może to był Hospital Costa del Sol.

Był bliżej gór. Widział je przez szklane drzwi dworca autobusowego i postanowił wejść do środka. Właśnie wychodziła duża grupa ludzi, na schodach wokół niego zrobiło się tłoczno. Poczuł zapach potu, kremu przeciwsłonecznego, czyjs łokieć trącił go w bok, próbował się uchylić.

Pół minuty później już ich nie było, a on był w środku. Rozejrzał się i wszedł na półpiętro po prawej stronie, zamówił kawę i małą wodę mineralną. Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni lnianej marynarki i... i... co, do jasn... wsunął dłoń do drugiej kieszeni. Tam też pusto. Znów sięgnął do lewej kieszeni i wyczuł dziurę. Palce wyszły na wierzch. Co jest, do jasnej cholery. Mężczyzna za barem, który czekał na pieniądze, najwyraźniej zauważył panikę w jego oczach. Wskazał na Wintera, na jego marynarkę. Winter podniósł rękę i spojrzał na bok marynarki. Czyste cięcie przez warstwy materiału, aż do wewnętrznej kieszeni, w której miał portfel. PORTFEL. Co tam miał? Może z dziesięć tysięcy peset. Adresy. Prawo jazdy. Karty kre... niech to szlag, karty, VISA, Mastercard. Wyszarpnął z kieszeni komórkę, wybrał numer i czekał niecierpliwie.

- Angela.

- Tu Erik. Nie wiedziałem, czy już nie wyszłaś. Zostałem obrabowany, a nie mam przy sobie numeru, żeby zablokować karty. FirstCard albo Nordbanken, i jeszcze Sparbanken.

- Obrabowany? Nic ci nie jest?

- Nie, nie. To był kieszonkowiec. Ale o szczegółach możemy porozmawiać potem. Mogłabyś od razu do nich zadzwonić? Wydaje mi się, że numery są na tablicy w przedpokoju. Nad komodą, tak. Dwie karty. Nie, tylko zadzwoń. Mają dane. Co? To się stało przed chwilą, jakieś pięć minut temu. Może siedem. Jestem kawałek za miastem i ten skurwiel musi się najpierw dostać do bankomatu w centrum. Jeśli zablokujemy teraz, raczej nie zdąży.

- Zajmę się tym.

- Zadzwoń do mnie zaraz potem.

Rozłączył się i spojrzał na barmana, który cały czas na niego patrzył. Jeszcze się nawet nie napił, ani kawy, ani wody.

- *Un ladron, eh?*

Winter nie rozumiał, co mówi, ale w odpowiedzi zrobił jakiś nieokreślony gest.

- *Ha robado la cartera, eh?* - Wskazał pachę Wintera. - *La cartera. Hijo de la puta.* - Potrząsnął głową, jakby nad wszystkimi lotrami świata. - *Hijo de la puta.*

- *Yes-* potwierdził Winter. - *The son of a bitch stole my wallet.* - Spojrzał na filiżankę. Kawa nadal parowała. Chciał się napić, ale nie było go stać.

- *Sírvase* - powiedział barman, współczującym gestem wskazując na bar i filiżankę. - *Please. It's on the house.*

Ona się z niego śmiała. Było jak za pierwszym razem... kiedy wszystko się zaczęło. Ona, ten drugi i on... oboje się śmiali.

Powiedziała, że nie jest prawdziwym mężczyzną. Tylko popatrz na siebie, mówiła.

Teraz robił, co chciał, w tym pokoju, który stał się całkiem biały przed jego oczami, prawie ich nie widział, kiedy podchodził do gramofonu i włączał muzykę, którą ten drugi z przekleństwem na ustach wyłączył zaledwie kilka sekund później.

- Nie-wy-łączaj-muzyki - powiedział.

- Ty chyba jesteś porąbany.
- Nie-wy-łączaj.
- Idź stąd.
- Wynos się, do cholery! - krzyknęła ona. - Nie chcemy cię tutaj.
- Ja-tu-zostanę - powiedział i nastawił głośniej muzykę. Potem zaczął się kiwać w rytm basów i gitar. Pokój był biały. Zaciśnął mocno powieki. Przestał cokolwiek widzieć. Nie było ciemno. Poczul coś na brzuchu, jakby uderzenie czy kopniaka, ale nie otwierał oczu. Biel dalej zalewała pokój. Nie chciał jej widzieć. Muzyka była wszędzie, WOAHWOAHWHwhaawhoawhaawho, poczul kolejne uderzenie, ktoś szarpał go za włosy, aż otworzył oczy. Ten drugi uderzył go jeszcze raz, aż upadł na bok. Usiłował się dostać do sprzętu grającego, ale to on tu rządził. On rządził. Gdyby leżał spokojnie i pozwolił tamtemu wyłączyć muzykę, wszystko by się skończyło, i on życzył sobie, żeby się skończyło, ale nie mógł tego zrobić. On tu teraz rządził. Prawdziwy mężczyzna. Wstał i znów otworzył oczy, i patrzył na nich przez biel, i nie wiedział już, czy w pokoju jest cicho. Nic nie słyszał, kiedy ją złapał, ani potem, kiedy chwycił jego. Biała poświata nadal tam była, ale teraz w pewnej odległości, jakby czekała. Znów wyciągnął rękę po nią, potem znowu po niego.

Długo.

Dygotał jak pies. Muzyka nadal grała, kiedy wszystko się skończyło. Zrobił wszystko i pod koniec dostał nawet pomoc... której mu wcześniej brakowało. Nadal tkwił w białej poświacie. Słyszał słowa, jedno za drugim, tam gdzie nikt inny nie zrozumiałby słów zagłuszanych przez łomot muzyki, *the-blood-is-sacrificed-in-my-face*.

Angela zadzwoniła po pięciu minutach.

- Załatwione.
- Dobrze.
- I co teraz zrobisz?

- Dzisiaj pożyczę od matki. Ale możesz zadzwonić do banku i poprosić, żeby do jutra wysłali pieniądze.

- Dokąd?

- Do jakiegoś banku w mieście. Pójdę do pierwszego lepszego i zapytam, czy przyjmują przesyłki pieniężne. Potem zadzwonię do ciebie, a ty przekażesz mojemu bankowi. Zresztą sam zadzwonię, jeśli mi podasz numer.

- Okej. To był... pech.

- To było cholernie nierozsądne. To nie powinno się stać.

- Może to ma też dobre strony. Będziesz lepiej rozumiał... ofiary.

- Hm...

- I musisz to zgłosić na policję.

- Daj spokój.

- Chyba sam rozumiesz, Eriku. Przecież nie możesz wrócić do domu i zgłosić tego do towarzystwa ubezpieczeniowego ani nigdzie indziej, jeśli nie zgłosisz tego na miejscu. Czy naprawdę muszę akurat tobie tłumaczyć takie rzeczy?

- Nie.

- Może złodziej ukradnie tylko karty, a resztę odniesie na policję.

- Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie.

- Mówię poważnie, Eriku.

- Okej, OKEJ, pójdę z tym na policję. Wiem nawet, gdzie jest komisariat.

- Dobrze. I jeszcze jedno... Eriku...

- Tak?

- Zdarzają się gorsze rzeczy.

- Wiem, Angelo. Wiem.

Obszedł dookoła budynek dworca, zaglądał do wszystkich koszy na śmieci, między zakurzone krzaki, ale złodziej nie zabrał tylko kart i pieniędzy i nie wyrzucił portfela.

Nadal był wściekły, ale Angela miała rację. Niektórym zdarzają się gorsze rzeczy.

Szary marmur komisariatu stał się biały, kiedy padły na niego promienie słońca. Wszedł schodami po lewej. Na drzwiach wisiała tabliczka: *Oficina de Denuncias*. Spróbował przedstawić sprawę umundurowanemu policjantowi siedzącemu za kontuarem. Mężczyzna podniósł tylko dłoń, drugą wskazał drzwi obok. Były zamknięte, białe litery na niebieskim tle głosiły: *Interpreter's Office*.

Winter usiadł. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i wyszło dwoje ludzi. Sądząc po wyglądzie, mogli być Szwedami. Policjant kiwnął na Wintera.

W pokoju za biurkiem siedziała kobieta. Wypełniała jakiś dokument, podniosła na chwilę wzrok i poprosiła Wintera, żeby usiadł na krześle naprzeciwko. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, może trzydzieści. Miała ciemne, krótko obcięte włosy i kiedy na chwilę na niego spojrzała, zobaczył, że oczy ma niebieskie. Najwyraźniej nie była umalowana. Była piękna. Miała na sobie luźną sukienkę, i jasną skórę. Zdziwiał ją jasną, pomyślał.

Opowiedział krótko, co się stało. Kobieta słuchała, nie okazując zdumienia. Zdziwiło go to.

- Proszę wypełnić ten formularz, wróć za chwilę - powiedziała.

Dostał blankiet opatrzony tytułem *Diligencia* i zaczął wpisywać dane i opisywać przebieg wydarzeń. Przy rubryce *Profesión* chwilę się zawahał, ale postanowił napisać prawdę.

Kobieta wróciła, przejrzała szybko dokument.

- Paszport pan ma?

- Na to wygląda. Inaczej nie wpisałbym numeru, nieprawdaż? - Był trochę naburmuszony. Od razu tego pożałował. Dziewczyna nie zareagowała.

- A więc jest pan komisarzem policji? - Wydawało mu się, że dostrzega cień uśmiechu w kącikach jej ust, ale nie był pewien.

- Policji kryminalnej - uzupełnił.

- Jest pan dość młody jak na to.

- Ach tak? Mam przecież ponad pięćdziesiąt lat.
- To znaczy, że w formularzu skłamał pan w sprawie wieku.
- Żartowałem. - Poczł lekki zawrót głowy. Dziewczyna spojrzała na niego. - Pani też jest dość młoda jak na... tłumaczkę - powiedział. Cholera. Mam nadzieję, że z nią nie flirtuję.

Teraz ona się uśmiechnęła. I wstała. Była wysoka, wyższa, niż się spodziewał.

- Przepraszam za naszych przestępców z południa. - Wskazała mu drzwi. - Jeśli zaczeka pan na zewnątrz, zaniosę papiery do policjanta, który przyjmie zgłoszenie. Zaraz zostanie pan do niego wezwany.

- To wszystko? - zapytał Winter.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Wstał. Na ścianie przy drzwiach wisiała tabliczka z trzema nazwiskami w tabelce. Było tam napisane coś, co zapewne oznaczało „policyjni tłumacze”. Dwa nazwiska męskie i jedna kobieta: Alicia. Dziewczyna zobaczyła, że patrzy na nazwiska.

- Tak. Mam na imię Alicia.

- Erik.

- Wiem - odparła z uśmiechem i wskazała na blankiet, który trzymała w drugiej dłoni.

Winter czekał na korytarzu. Po chwili wyszedł konstabl. Wprowadził go do pokoju, którego okna wychodziły na ulicę. Za biurkiem siedział ten sam policjant, którego Winter widział rano, jak wchodził do baru i sklepu motocyklowego.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało, panie komisarzu.

- To był mój błąd.

Mężczyzna nie odpowiedział. Może się zastanawia, jak mogłem być takim idiotą. Zresztą sam się temu dziwię.

- Oni się robią coraz bardziej bezczelni.

- To prawda.

- Ale nie możemy się poddawać, prawda?

- Nie możemy.

- Co by się stało z tym światem, gdyby policja się poddała? - zapytał retorycznie policjant, a Winter zastanawiał się, czy powinien powiedzieć, że nie ma teraz czasu na filozoficzne dywagacje. Policjant znakomicie mówił po angielsku. Długo mogliby tak rozmawiać. - Gdyby nie policja, świat by się stoczył.

- Potrzebujecie jeszcze jakichś informacji?

- Co? Nie. Muszę to tylko spisać.

Pisał w milczeniu, wyraźnie wolniej, niż mówił. To kwestia koncentracji. Winter nie zamierzał mu przeszkadzać. Mógłby się zdenerwować.

- No. Gotowe. Może pan tu podpisać? Obydwie kopie.

Winter złożył podpis i wstał, kopię włożył do kieszeni.

- Niech pan uważa, komisarzy - powiedział policjant, a Winter próbował doszukać się w jego głosie ironii. Ale jego twarz miała całkiem neutralny wyraz, najwyżej lekko zatroskany. - To niebezpieczny świat.

Kiedy przechodził obok kontuaru, drzwi Alicii się otworzyły. Wyszła z kolejnym formularzem w dłoni, w pokoju Winter zobaczył innego turystę. Właśnie wstawał z krzesła przed biurkiem.

- *Goodbye, inspector Erik* - powiedziała i posłała mu piękny uśmiech.

Myślał o niej, schodząc ulicą w dół. Siedział już w samochodzie, gotów jechać do szpitala, kiedy przypomniał sobie o banku.

12.

Maria i Patrik krążyli po centrum. Zrobiło się chłodniej. Wiało z północy. Maria włożyła ręce do kieszeni.

- Nie wzięłaś rękawic?
- Nie zdażyłam. A może myślałam, że są w kieszeni.
- Jest zimno.
- Lepsze to niż deszcz. Masz papierosy? - zapytała i zatrzymała się przed McDonalodem. Sklepy w Nordstan już pozamykano, ale drzwi do ciepła były jeszcze otwarte.

- Chciałem rzucić.
- Rzucić? Przecież dopiero co zacząłeś.
- Nie lubię tego.
- A kto lubi? - odparła i weszła do centrum handlowego. Czuli ciepły powiew z wentylacji. Grupa dorosłych weszła za nimi, potem ich wyprzedziła, wszyscy roześmiani. Maria poczuła zapach alkoholu, perfum i wody po goleniu. Dorośli zatrzymali się przed King Creole i weszli do środka, kiedy Maria i Patrik mijali lokal.

- Dansing - powiedział chłopak i zaśmiał się.
- Oni przynajmniej mają gdzie pójść.
- To ja już bym wolał zostać na dworze.
- Ale mają.

Ludzie stali grupkami na placu Femman. Dwóch policjantów przecięło otwartą przestrzeń i zatrzymało się przed gitarzystą. Nie przestał grać, choć przy nim stali. Zaczął śpiewać. Jeden z policjantów, wyglądał na starszego, dał się ponieść rytmowi. Pieśniarz śpiewał głośniej.

- Jakby się uderzył - stwierdził Patrik.
- To ma tak brzmieć - wyjaśniła Maria. - To coś hiszpańskiego. Jakieś flamengo chyba.

- Flamenco. To się nazywa flamenco.
- Myślałam, że nie wiesz.
- Ale to brzmi, jakby go coś bolało.
- Pomyśl. Ale by było fajnie, gdybyśmy mogli gdzieś wyjechać.
- *Last minute* na Wyspy Kanaryjskie.
- Ty chyba już tam byłeś?
- Byliśmy tam... całą rodziną, zanim matka się wyprowadziła.
- I jak było?
- Jak się matka wyprowadziła? Daj spokój.
- Chodzi mi o Kanary.

Patrik stał bez ruchu i patrzył na gitarzystę. Zaczął grać jakąś inną melodię, bardzo podobną do poprzedniej.

Mógł powiedzieć, że pamięta basen, jak nurkował z małej kamiennej ławy, była tam też palma, a basen tylko schody dzieliły od balkonu ich mieszkania. Jego młodsza siostra miała deskę do pływania, a matka chodziła za nią i się śmiała. Całymi dniami nurkował, a wieczorami grali w bingo. Nurkował też po ciemku, pokazywał rodzicom nowe sztuczki, kiedy siedzieli z siostrą przy stole. Popatrzcie, wołał, a oni bili brawo. Wieczorem było prawie tak samo ciepło jak w dzień, a w Szwecji leżał wtedy śnieg. Trzymał ojca za rękę, wiele razy.

Ale nie było żadnej młodszej siostry, nie było mamy, nie było urlopu na Wyspach Kanaryjskich, nie było basenu, palmy ani bingo. Nigdy nie było. Czasami tak sobie marzył. Marzył na głos. Maria o tym nie wiedziała. Ona mogła pojechać na każdą wyspę świata.

- Kanary to nic specjalnego - powiedział.

Morelius stał przed klubem Harley's i czekał na Bartrama, który wszedł porozmawiać z właścicielem. Przytupywał. Zrobiło się zimno, chłód w kilka godzin przepędził wilgoć.

- To będzie jutro - powiedział Bartram, wychodząc. - Nie zamierzali tego przesuwac.
- Ach tak.
- Może to nawet lepiej.

- A czy to ma jakieś znaczenie, kiedy harleyowcy urządają sobie imprezę?

- Nie, chyba nie ma.

- Zawsze ten sam syf.

- Ale laski są niezłe - stwierdził Bartram. - Zawsze mają świetne dziewczyny.

- Czy one nie są członkami?

- Są dodatkiem - wyjaśnił Bartram. - Pięknym dodatkiem. - Tupnął, żeby się rozgrzać. - Przydałaby się teraz taka laska harleyówka, żeby się rozgrzać.

- Mówisz?

- Żeby tak się dostać pod tę skórę. - Poglądził własną skórzaną kurtkę. - Dotrzeć do sedna. Rozumiesz, Simon? Sedno sprawy?

- Daj spokój.

- Co znowu.

- Mam dość twoich gadek.

- Wrzuć na luz, chłopie. To jest za... - Bartram umilkł i zaczął się przyglądać dwójce zbliżających się nastolatków. Szli Avenyn. Teraz dzieliły ich może dwa metry. - My się chyba znamy. Dobry wieczór, dobry wieczór.

- Dobry wieczór - odpowiedział Patrik.

- Znów sobie spacerujecie - powiedział Morelius.

- To wolny kraj - odparła Maria.

- Rzeczywiście - przyznał Bartram. - Nie jest wam zimno?

- Nie - rzuciła Maria, a Morelius przyjrzał się zbieletemu koniuszkowi jej nosa i nagim przegubom wystającym z kieszeni. Czoło też miała blade, i koniuszki uszu.

- Idziecie do domu? - zapytał Morelius.

- Czyjego domu? - odpowiedział pytaniem Patrik.

- Wybierzcie sami - odparł Morelius. - My i tak idziemy do samochodu.

- Jeszcze młoda godzina - powiedział Patrik. Słyszał to gdzieś i uznał, że to brzmi tak dobrze, że koniecznie musi to powiedzieć, tylko dlatego.

Morelius spojrział na Bartrama, ale nic nie powiedział.

- Naprawdę młoda - przyznał Bartram. - Jakież plany?
- Chcieliśmy iść do pubu - oświadczyła Maria.
- Chyba jesteście na to za młodzi.
- Właśnie. I w tym cały problem.
- W czym?
- Że nigdzie nas nie wpuszczą.
- Nie powinniście przesiadywać po pubach.
- Nie mówię akurat o pubach. Chodzi mi o jakiegokolwiek miejsce. Coś w tym rodzaju. Cokolwiek, gdzie mogliby się zabawić młodzi ludzie.

- Zabawić?
- Zabawić, spotkać z innymi.
- Okej - powiedział Morelius.
- Beznadziejna sprawa - powiedział Patrik. - Nie ma nic takiego.
- Więc co do tego się zgadzamy - stwierdził Morelius.
- A co robicie w sylwestra? - zapytał Bartram.
- Co?
- Sylwester stulecia. Tysiąclecia. Zobaczymy się przy Skansen Lejonet?

- Ech...
- Nie przyjdziecie? My będziemy.
- Pracują panowie w sylwestra?
- Tak. Obaj jesteśmy na służbie i będziemy na miejscu, kiedy wybije godzina.

- Ale siara. Pracować w sylwestra.
- A co za różnica? Pół miasta i tak tam będzie. Przynajmniej młodsza połowa. A nam jeszcze za to zapłacą. - Zwrócił się do Morelius: - Czyż nie mamy farta, Simon?

- Jasne.

Patrik spojrział na Marię i potrząsnął głową.

- Musimy iść.

- Idźcie do domu się rozgrzać - rzucił Morelius.

- To wolny kraj - odparł Patrik. To też mu się podobało, zabrzmiało tak mocno. *It sucks.*

Bergnhem zakończył wieczorną służbę, ale nie wrócił od razu do domu. Pojechał na południe. W samochodzie słuchał czwartej płyty z albumu *Tracks* Springsteena, *happy with you in my arms, happy with you in my heart*. Wczoraj w nocy Martina szeptała coś do niego i gładziła go po ramieniu, ale udawał, że śpi. Potem ona się odwróciła, a on w końcu zasnął. Usiłował o niczym nie myśleć.

Zatoka migotała po prawej, kiedy mijał Askim. Jechał dalej przed siebie. Ruch malał, kiedy metropolia stawiała się niższa i rzadziej zabudowana. Bogatsza. Wille jaśniały jak oazy po drugiej stronie asfaltu, którym pędził, aż opony śpiewały. Ostatnie autobusy przystawały na przystankach. Po ciemku wyglądały jak wyludnione, *happy darling come the dark, happy when I taste your kiss, I'm happy in love like this*. Słuchał z rękami na kierownicy, jakby słuchał języka, którego nie rozumie, a jednak odbiera każde słowo.

Myślał o swoim dziecku. Myślał o żonie. Skręcił przy Billdalsmotet, wąskimi drózkami zjechał nad wodę i wysiadł z auta. Od strony południowej na wysokości wysepek migotała latarnia rybackiego kutra. Wokół niego rysowały się sylwetki wyciągniętych na ląd żaglówek. Na morzu coś migotało, a dalej było widać większe światło, może nocnego promu do Frederikshavn.

Niedługo zaczniesz robić rejsy sylwestrowe. Nowe tysiąclecie na wodach międzynarodowych, pomyślał Bergnhem. Woda. Kucnął i włożył rękę do wody, poczuł, jakby założył lodowatą rękawicę. Jestem na głębokiej wodzie, pomyślał. Muszę rozwiązać tę sprawę.

Na obwodnicy zobaczył radiowóz, zaparkowany na przystanku, przy wiacie. Kierowca stał przy samochodzie. Poza nim nie widział nikogo, ani na przednim, ani na tylnym siedzeniu. W lusterku wstecznym ujrzał policjanta. Stał wpatrzony gdzieś ponad domy i korony drzew. Może trzymał w dłoni papierosa. Każdy czasem potrzebuje przerwy, pomyślał. Na początku mu się wydawało, że rozpoznaje kolegę, ale teraz nie był pewien. To nie był nikt z posterunku Frölunda.

Nagle coś zabębniło o szyby, grad, który po minucie przeszedł w śnieg, pierwszy w tym roku. Prawie listopad. Springsteen dalej śpiewał: *and honey I just wanna be back in your arms, back in your arms again.* Bergenhem dojechał do domu i wsunął się w chłodną pościel. Martina spała, on też udawał, że śpi.

Winter oparł głowę na ramieniu i sekundę później nagle się obudził, wzdrygnął się.

- Połóż się na chwilę na łóżku dla gości - powiedziała matka.
- Nie trzeba.
- On teraz odpoczywa.

Winter spojrział na ojca. Jego twarz straciła tę odrobinę koloru, którą dostrzegł, kiedy go zobaczył na szpitalnym łóżku po raz pierwszy. To było trzy albo cztery dni temu, pomyślał.

Że też on jeszcze może oddychać. Wstał i podszedł do łóżka. Ojciec leżał z głową zwróconą do okna, oczy miał zamknięte. Sylwetka góry rysowała się na tle nieba. Samolot podchodzący do lądowania w Maladze. Pomyślał o Szwecji, kiedy nagle odezwał się telefon w jego kieszeni. Wyszedł szybko na korytarz i odebrał.

- I jak?
- Wydaje mi się, że źle. Pogorszenie.
- Postaram się przylecieć jutro. - Jego siostra zakaszłała, na chwilę odebrało jej głos. Próbowała coś powiedzieć, razi drugi. - Dziś rano miałam tylko trzydzieści osiem i dziewięć.

- Powinnaś chyba leżeć w szpitalu. Tak wysoka gorączka u... dorosłych jest niebezpieczna, pani doktor.

- To jest wku... za...

- Co? Nie słyszę, co mówisz, Lotto.

- To wkurzające, że leżę tu z grypą stulecia... zresztą tysiąclecia, grypą tysiąclecia, kiedy coś takiego dzieje się z tatą.

Winter nie wiedział, co powiedzieć. Korytarz oświetlało słabe niebieskawe światło, ale silniejsze niż w pokoju ojca. Wyglądał jak lodowy tunel.

- Gorączka musi spaść - powiedział. Doleciały go głosy dwóch pielęgniarek. Rozmawiały przy dyżurce oświetlonej innym, cieplejszym światłem.

- Chyba łyknę jakieś tabletki z czarnej listy - powiedziała Lotta. - Wóz albo przewóz.

- Ty wiesz najlepiej.

- Do diabła. Przecież teraz wcale nie chodzi o mnie. - Zaczęła kaszleć, skrzeczeć, jakby nie mogła zaczerpnąć powietrza. Znów chciała coś powiedzieć i znów zaniosła się kaszlem. - Może dam radę powiedzieć kilka słów do mamy.

- Pójdę do pokoju - rzucił Winter. Poszedł w stronę sali, dał telefon matce, która wyszła na korytarz.

Ojciec coś wymruczał i odwrócił głowę. Winter zobaczył, że się obudził.

LISTOPAD

13.

Bank, Unicaja, w końcu dostał pieniądze, dwie minuty przed zamknięciem. Winter trzy razy musiał konferować przez telefon ze swoim szwedzkim bankiem: numer referencyjny, OSN, Swift code: cecaesmm039. Bank nie przyjął przekazu w hiszpańskiej walucie. Musiał zaakceptować ich regulamin i zapłacić według kursu wymiany.

Brakowało mu kontaktu z plastikiem. Banknoty były nowe i sztywne, tkwiły w wewnętrznej kieszeni marynarki numer dwa. Wychodząc z banku, rozejrzał się na boki, chciał uniknąć tłumów i grup ludzi.

Zaczął się nowy miesiąc, ale upał nadal dawał się we znaki. Salvador z La Luna bezradnie rozłożył rano ręce i mówił coś o *el tielo azul*. Błękitne niebo, nieustannie, nad głowami ludzi pragnących ochłody.

Winter stał przed bankiem, na głównej ulicy, Avenida Ricardo Soriano. Był głodny. Nagle poczuł taki głód, jak jeszcze nigdy od chwili, kiedy tu przyjechał. Skręcił w prawo i natknął się na Alicję, szła z przeciwka. Sama. Może nawet to ona się zatrzymała i go zagadnęła.

- Załatwił pan jakoś sprawy finansowe, komisarzu?
- Właśnie odebrałem - powiedział, wskazując okno banku.
- To dobrze.
- To dużo ułatwia.
- Si,
- Teraz stać mnie na lunch.

Dziewczyna wciąż nie ruszała się z miejsca, ale spojrzała na zegarek.

- Nie chcę pani zatrzymywać - rzucił.
- Właśnie skończyłam - powiedziała.

- Ach tak. - Winter zrobił krok naprzód. - Chyba pójde wreszcie zjeść ten lunch, zanim pojedę do szpitala.

- Został pan ranny, komisarzu?

- Proszę mi mówić Erik. Nie, mój ojciec jest ciężko chory. To dlatego tu jestem.

- To przykre. - Wyglądała, jakby naprawdę tak czuła. Miała na sobie czarną spódnice i cienką brązową bluzkę, która mimo koloru najwyraźniej dobrze sobie radziła z upałem. Winter zauważył, że hiszpańskie kobiety znoszą te temperatury inaczej niż mężczyźni. Oni sapali przez cały dzień. Kobietom to aż tak nie dokuczało. - Mam nadzieję, że wyzdrowieje. - Wyglądała, jakby jej przyszła do głowy jakaś myśl. Odwróciła się w stronę, z której przyszła, i znów na niego spojrzała. - Myślałeś o jakimś konkretnym miejscu? Chodzi mi o lunch?

- Nie... chyba pójde gdzieś tam. Stare miasto to chyba w tamtą stronę? Nie widziałem jeszcze za wiele w Marbelli. Miasta.

Alicia znów spojrzała na zegarek.

- W takim razie... - powiedział Winter i już zamierzał ruszyć w swoją stronę.

- Znam dobrą restaurację, tylko kilkaset metrów stąd. Jeśli chcesz, mogę cię zaprowadzić.

- A ty już jadłaś?

- Nie, jeszcze nie. Ale zwykle zjadam jakąś kanapkę w biegu.

- Jeśli mi pokażesz to miejsce, możemy zjeść razem - zaproponował Winter.

Restauracja znajdowała się przy Calle Tetuán, nazywała się Sol y Sombra, jej specjalnością były ryby i skorupiaki, *pescaitosy mariscos*. Na zewnątrz stało kilka stolików pod parasolami. Wnętrze było duże, wyglądało na chłodne, z białymi obrusami i oknem otwartym na wąski deptak.

- Co powiesz? - zapytała Alicia.

Winter zobaczył duży przeszklony kontuar z rybami, homarami i langustami w lodzie. Za nim stał mężczyzna z czarnymi, gładko zaczesanymi do tyłu włosami, w białej koszuli. Prezentował się bardzo dumnie. Przy jednym ze stolików siedziało kilku Hiszpanów. Przed restauracją siedziała para, której właśnie przyniesiono butelkę wina. Szkło natychmiast pokryło się rosą. Wyglądało na to, że nawet pod parasolami jest bardzo gorąco.

- Przyjemnie tu. Chyba wolałbym siedzieć w środku. A ty? Dotrzymasz mi towarzystwa?

- Okej.

Usiedli i mężczyzna zza kontuaru podszedł z kartą i dzbankiem wody z lodem.

- Możesz złożyć zamówienie - powiedział Winter.

- Bardzo jesteś głodny?

- Dostyc.

- Zakąska i coś na gorąco?

- Tak... albo kilka mniejszych dań naraz.

- Wino?

- Może jeden kieliszek.

Alicia złożyła zamówienie i już po chwili przyniesiono im karafkę wina, razowy chleb i kilka dużych zielonych oliwek. Winter nalał wina. Smakowało ziemią i solą.

- Tłumaczysz na pełny etat?

- W tej chwili tak. Właściwie jestem nauczycielką w liceum, ale cóż, w zeszłym roku poczułam się tym zmęczona i teraz pracuję dla policji.

- Mieszkasz tutaj?

- W Marbelli? Nie, niestety. Choć może nie powinnam tego mówić tobie, kiedy właśnie cię okradli.

- Mimo to wygląda to na... przyjemne miasto. Nie za dużo turystów. Tylko że jest już po sezonie.

- Nawet w sezonie jest całkiem nieźle. Inaczej niż w moim mieście. Torremolinos.

- Aha. Jesteś z Torremolinos.
- Znasz Torre?
- Wszyscy, na całym świecie, słyszeli chyba o Torremolinos? Ale nigdy tam nie byłem. Widziałem tylko z daleka.
- To najlepszy sposób zwiedzania tego miasta - stwierdziła Alicia.
- Niestety nie wszyscy tak myślą.
- Jest aż tak źle?
- Nawet gorzej. Może akurat nie tam, gdzie ja mieszkam, ale cała reszta jest taka. Anglicy nazywają je *Terrible Torrie*. To dobra nazwa dla tego koszmaru, któremu zresztą oni są winni.
- Właśnie, przecież to ulubione miejsce Anglików
- Tak, ale tych ogolonych na łyso i wytatuowanych. Guardia Civil odbiera ich z lotniska i opancerzonymi samochodami z eskortą przewozi do hoteli.

Winter zaśmiał się, prawie zakrztusił się winem. Alicia się uśmiechnęła.

- A to dopiero początek urlopu - dodała.
- I ty mieszkasz w samym środku czegoś takiego?
- Jak mówiłam, tam, gdzie ja mieszkam, jest trochę lepiej, za starą osadą rybacką La Carihuela, kawałek za miastem. Można się przechadzać po plaży, stamtąd do Torre. Jeśli ktoś się odważy.
- Ale pracujesz tutaj.
- Tutejszy komisariat jest przyjemniejszy - wyjaśniła i napiła się wina. - Podobnie jak... interesanci - ciągnęła, spoglądając z uśmiechem na Wintera.
- Ja też jestem ogolony prawie na łyso - stwierdził.
- Ale nie widzę przed tobą trzylitrowego kufła piwa ani porcji *fish & chips* - zauważyła Alicia.
- A to co takiego? - zapytał Winter, wskazując na dwa pełne półmiski, które kelner postawił na stole między nimi.
- *Fish & chips* - odparła Alicia ze śmiechem. - Ale będą też inne rzeczy.

Morelius przyglądał się smażonym krewetkom. Wyglądały, jakby przyrosły do plastikowej tacki. Wstał i wyrzucił wszystko do kubła. W telewizorze znów gędzili o nowym milenium. Jeszcze rok temu nikt nie słyszał tego słowa. Przecież to się nazywa tysiąclecie, pomyślał.

Jeśli człowiek tak się przejmuje pracą, że musi rozmawiać z pastorem, to znaczy, że się do tej pracy nie nadaje. Trzeba mieć taką mentalność, żeby temu sprostać. Chirurg z kliniki onkologicznej nie może potrzebować terapeuty, kiedy operuje czy kontaktuje się z pacjentami.

A potem człowiekowi odbija. Potem-człowiekowi-odbija, pomyślał Morelius.

- O czym myślisz? - zapytał Bartram.
- O co ci chodzi?
- Masz taką niesłychanie skoncentrowaną minę.
- Myślałem o klubie Gamlestadens MC. Niedługo będą mieli świąteczną imprezę w Harley's - odparł Morelius.
- To rzeczywiście jest o czym rozmyślać.
- W tym roku mi się upiecze.
- Znasz datę?
- Sprawdziłem.
- Załatwi to służba miejska. Będą chcieli mieć kordon z pięciu patroli.

Niektórzy radzą sobie ze służbą na ulicach, niektórzy nie, pomyślał Morelius. Ja sobie poradzę. Przecież już to robiłem, nieprawdaż? Nieprawdaż? Byłem już na mieście nocą.

- Ta dziewczyna z koncertu rockowego w Parku zmarła wczoraj. Wiedziałaś o tym?

- Co? Nie. Nie wiedziałem, że było z nią tak źle.
- Jej chłopakowi też już niewiele brakuje.
- No.
- Myślisz, że sama to wzięła?
- GHB? Nic nie myślę.

- Nie była taka.
- Nikt z nich nie jest.
- Ładna była.

- Chcesz deser? - Spojrzała na niego swymi pięknymi oczami.

- Tak, chyba tak. - Zerknął na zegarek. Siedzieli tu godzinę, choć jemu wydawało się, że dłużej. - Coś małego i szybką kawę.

- Mały kawałek *tocino al cielo*?

- A co to jest?

- Coś w rodzaju budyniu karmelowego.

- *Toc...?*

- *Tocino al cielo*.

- Ładna nazwa. Okej, wezmę to.

- Tłumaczenie nie jest już chyba takie ładne. Znaczący niebieskie mięso. Boczek z nieba.

- Ciekawe.

- Prawda?

Na Calle Tetuán się pożegnali.

- Może się jeszcze spotkamy - powiedziała Alicia. - Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jeśli będziesz głodny i będziesz szukał miejsca, gdzie można coś zjeść. - Spojrzała na niego. - Albo znów wpadniesz w tarapaty. - Wyjęła wizytówkę i wręczyła mu.

Wziął ją i wsunął do kieszonki na piersiach.

- Może mógłbym cię podwieźć kawałek na wschód? Mam samochód, zaparkowałem przy banku.

- Nie, mam jeszcze coś do załatwienia, potem pojedę autobusem. Mam nadzieję, że z twoim ojcem wszystko będzie dobrze.

Winter skinął głową i rozeszli się, każde w swoją stronę. On wrócił na *avenide*. Samochód był nagrzany z wierzchu i w środku, poczuł, jak pot spływa mu po łądźwiach, zanim jeszcze usiadł za kierownicą. Zadzwoiła komórka.

- Nie da się - powiedziała jego siostra. Usłyszał kolejny atak kaszlu. - Jutro. Na pewno.
- Właśnie znów tam jadę.
- Dalej jest przytomny? To znaczy czy coś kontaktuje?
- W każdym razie rozmawialiśmy trochę wczoraj wieczorem.
- To dobrze - wydyszała zdławionym głosem.
- Nie wiem. Próbował robić coś w rodzaju bilansu, ale mu nie pozwoliłem.

Ściana była szorstka jak pień drzewa. Znalazł gdzieś w mieszkaniu pedzel? Czy przyniósł go ze sobą? Był tak spokojny, że potrafił zadawać pytania, ale nie był w stanie na nie odpowiadać.

No. Gotowe.

Śledzili wszystkie jego ruchy. Ona i on. Nie podchodził bliżej. Musieli tam siedzieć. Podniósł nawet trochę rolety, żeby nie było tak ciemno. Nie było też wcale cicho. Teraz-wcale-nie-było-cicho. Grała muzyka, włączył autorewers. Światło latarni ulicznych muskało głowę tamtego, przyglądał się wszystkiemu z sofy. Było całkiem spokojnie. Podobało mu się, że jest tak spokojnie. Z nią było trochę gorzej, ale teraz i ona była spokojna i tylko mu się przyglądała. Nikt już się nie śmiał. Kto teraz miał władzę? Kto decydował?

Pokazał im.

Pokaże jemu, zmusi, żeby zrozumiał.

Wyłączył muzykę, ale nie było dobrze. Włączył, ale ściszył i rozejrzał się dookoła. Teraz mógł już tylko wyjść.

14.

Angela obudziła się przed północą z poczuciem, że coś się za chwilę stanie. Coś, o czym wołała nie myśleć.

Na pograniczu snu i jawy widziała w głowie zdjęcia, jedno po drugim, jak wyświetlone rzutnikiem na wielkiej pustej ścianie w sypialni.

Poczuła ucisk w piersiach, wstała i narzuciła szlafrok. Wystarczyło jej światło nad blatem w kuchni. Usiadła przy kuchennym stole ze szklanką mleka. Za oknami było cicho. Ktoś w domu spuszczał wodę w toalecie, gdzieś daleko. Zastanawiała się, czy nie włączyć radia, ale zrezygnowała. Nie chciała się za bardzo rozbudzić. Siedziała z ręką na brzuchu. Nie planować za dużo.

Szum w rurach ustał. Nadal nie jechał żaden nocny tramwaj, żadnych głosów w pachnącej śniegiem nocy. Poczuła to, kiedy wstała i otworzyła okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zapowiedź zimy. Zamknęła okno, odstawiła szklankę i przeszła przez przedpokój. Winda szczykała na klatce, słychać było, że jedzie. Słyszała, jak drzwi windy się otwierają i zamykają, słyszała odgłos szurania żwiru na podłodze. Zatrzymała się, zaczęła nasłuchiwać. Dlaczego tak stoję w przedpokoju? Chcę usłyszeć, jak te kroki wchodzą do mieszkania. Do pani Malmer.

O Boże.

Znów kilka szurających kroków. Brzmiały, jakby ktoś był za drzwiami, tuż za jej drzwiami. Nagle poczuła, że nie może się ruszyć. Wszystko w niej skupiło się na słuchaniu kroków.

Nie powinnam tu spać, kiedy nie ma Erika.

To niemądre.

Znów szuranie, zgrzyt na posadzce. Kroki, znowu. Ale tym razem się oddalały. Słyszała stuletnią windę z wysiłkiem wjeżdżającą na

górze i krótkie stuknięcie, kiedy wreszcie mogła się zatrzymać. Za jej drzwiami. Szybki zgrzyt żelaznej kraty, przesuwanej tam i z powrotem, potem pstryknięcie i odgłos opadania, kiedy winda opuściła piętro.

Angela stała przy drzwiach. Wyglądała przez wizjer i widziała klatkę schodową groteskowo rozciągniętą wszcz, ale nie było tam nikogo. Nadal paliło się światło. Otworzyła drzwi i zauważyła za progiem kilka ziarenek żwiru i wodę. Płytką kałużą rozlała się po posadzce i błyszczała w świetle.

Może ja to przyniosłam na butach, pomyślała. Minie dużo czasu, zanim woda wyparuje, cały czas wieje zimne powietrze z dołu. Jeśli naprawdę mam początki paranoi, to obejdę inne drzwi i zobaczę, czy tam też jest żwir i woda. Niemal zachichotała sama do siebie i zamknęła drzwi.

Budzik na nocnym stoliku, obok telefonu, pokazywał piętnaście po dwunastej. Za sześć godzin musi wstać, gotowa do pracy, do biegania po korytarzach. Dziury w zielonych ścianach gabinetu. Czy zawsze wszystko musi być czerwone? Z drzwi łuszczyła się farba. Pacjenci chyba tracili nadzieję, kiedy podczas oczekiwania musieli się przyglądać, jak szpital się rozsypuje. Jeśli ktoś nie może naprawić ściany, to dlaczego ma umieć wyleczyć ciało, które...

Zadzwoił telefon. Podskoczyła. Znow zadzwonił, wyglądał, jakby się poruszał na blacie. To Erik, zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim sięgnęła po słuchawkę.

Teraz to się stało.

- Słucham? Angela.

Nie słyszała niczego poza szumem na linii.

- Halo? Eriku?

Znow tylko szum. I jeszcze jakiś inny dźwięk, którego nie umiała zidentyfikować. Czy tam w tle był jakiś głos? Może, słaby. Rozmowa z trudem przedzierała się przez całą Europę.

- Nic nie słychać. Może spróbuj zadzwonić jeszcze raz? Słyszysz mnie? Ja ciebie nie słyszę.

Słyszała echo wielu głosów, ale to było normalne, fragmenty rozmów ze świata mogły przechodzić do innych światłowodów i mieszać się w dziwne esperanto. To mógłby być jakikolwiek język, rozmowa gdzieś na szczycie góry miliony mil stąd, a jednak dająca się wyróżnić.

Potem usłyszała oddech. Nie dochodził ze szczytu góry. Słyszała go bardzo blisko.

- Halo? Czy ktoś tam jest?

Znów oddech, najwyraźniej ktoś odetchnął specjalnie. Zagłuszył nawet odległe paplanie.

Nagle ogarnął ją wielki strach. Zapragnęła, żeby paplanina wróciła. Tak byłoby bezpieczniej. Pomyślała o obrazach, które pojawiły się w jej głowie, potem kroki, znów obrazy, kałuża wody...

Znów oddech.

- Odpowiedz! Słyszę, że ktoś tam jest. - Starła się, żeby to brzmiało groźnie, ale mówiła cienkim głosem, słychać było, że się boi. - Kto tam jest? - Nagle wydało jej się, że słychać coś jeszcze, coś innego... i upuściła słuchawkę.

Uderzyła w kant stolika, spadła na podłogę, leżała mikrofonem do góry. Angela patrzyła na telefon, po dziesięciu sekundach go podniosła.

W słuchawce było cicho. Usłyszała krótki trzask, a potem rozległ się dobrze znany sygnał wolnej linii.

Na Boga, kobieto. Uspokój się. Nie brakuje idiotów, którzy wybierają zły numer, a potem nie potrafią się do tego przyznać. Zdarzają się też czubki, które dzwonią po ludziach na chybił trafił, żeby ich nastraszyć.

Chciała porozmawiać z Erikiem, usłyszeć jego głos. To ją uspokoi.

Wyłączył komórkę. Nie można zrealizować połączenia. Zostawiła wiadomość. Mam to gdzieś. Dlaczego ją wyłączył? Przecież mówił, że cały czas będzie osiągalny.

Spojrzała na słuchawkę w swojej dłoni. Czy do rana ma być odłożona? To byłoby głupie. Może Erik będzie musiał zadzwonić w środku

nocy. Może z tą komórką to jakieś chwilowe zakłócenia. Jeszcze raz wybrała numer.

- Mówi Erik.

- Dlaczego, do diabła, nie odpowiadasz!?

- Co? Co się stało?

- Nie odbierasz. Miałeś wyłączony telefon.

Spojrzał na aparat w swojej dłoni, jakby mógł znaleźć jakiś widoczny defekt.

- Kiedy?

- Przed chwilą. Kilka minut temu.

- Ach tak... ale teraz działa.

- Słyszę przecież, cholera jasna.

- Co się dzieje, Angelo? - Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. - Sprawiasz wrażenie...

- Ktoś tu wydzwaniał.

- Co mówisz?

Opowiedziała wszystko.

- Mnie też się to zdarzało - przyznał. - Chyba każdemu kiedyś musi się to przytrafić.

- Od razu jestem spokojniejsza.

- Ale nie jest przyjemnie słyszeć takie rzeczy od ciebie. To pierwszy raz?

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam. Nigdy w moim mieszkaniu.

- Więc chodzi o moje mieszkanie?

- Nie, Eriku. Na Boga, sama nie wiem, co mówię. Na pewno ktoś się pomylił i stchórzył, po prostu.

- Hm...

- Zmyślam. Tak naprawdę chciałam tylko usłyszeć twój głos. A teraz słyszę tramwaj za oknem. Już jestem spokojna.

- Możesz dzwonić, kiedy chcesz.
- Jak się czuje twój tata?
- Tak sobie. Jestem teraz w szpitalu, ale chyba skoczę do miasta na kilka godzin.
- Rozmawiałeś już z jego lekarzem? Al... jak on się nazywa?
- Alcorta. Oczywiście, że nie. On chyba jest duchem. Biała szata.

Spał niespokojnie przez kilka porannych godzin. Lodówka w jego skromnym pokoju szemrała głośniejsz niż wcześniej. Nie, nie. Było jak zwykle. Wszystkie dźwięki takie same. W którymś z sąsiednich domów jakaś kobieta zaczęła pokrzykiwać na męża, już przed szóstą, a kwadrans później usłyszał ponure uderzenia młota. Aha. To stolarz.

Opróżnił kieszenie, położył wszystko na ciężkim stoliku przy szafie.

Jej wizytówka zalśniła w świetle poranka wpadającym z patio.

Potrząsnął głową i poszedł pod prysznic.

Usiadł w Gasparze. Stolik obok niego był pusty. Zatęsknił za charczącym znajomym ze śniadań. Kelner przyniósł kawę i tostadas, nie musiał zamawiać. Zauważył, że patrzy na sąsiedni stół i zrobił znak krzyża. Po śniadaniu Winter zapalił corpa i śledził drogę dymu do nieba. Słońce znów wypelzało zza sierry.

Lotta podjechała taksówką pod szpital w tym samym momencie, kiedy on wysiadał z auta z wypożyczalni. Była blada, jej twarz miała ten sam kolor co niebo jeszcze pół godziny wcześniej. Kaszlała, ale to było nic w porównaniu z niedawnym sąsiadem Wintera.

- Dobrze ci się leciało?
- Nie. Koło mnie siedział jakiś pijany żul.
- Tak właśnie wyglądają loty czarterowe.
- Widzę, że raczej nie oglądałeś za dużo słońca - zauważyła.
- Wejdziemy do niego? - zapytał.
- Jeśli się odważymy.

- Nie śpi. Mama przed chwilą dzwoniła.
- Dzwoniła też do mnie. Kiedy jechałam taksówką.
- Jest z powrotem na oddziale ogólnym - stwierdził.
- Który to już raz?
- A czy to ma jakieś znaczenie?
- Chyba powinnam zrobić znak krzyża - rzuciła Lotta, kiedy wchodzili po schodach w chłodny półmrok.

Matka stała na korytarzu. Niski mężczyzna w białym ubraniu zbliżał się do nich z wyciągniętą ręką. Lotta przywitała się z nim i spojrzała na brata.

- *Soy Pablo Alcorta. Médico.*
- *Soy Lotta Winter. Médico también, pero ahora hija de Bengt Winter.*
- *Ah.*

Jest tutaj od trzech sekund i już się spotkała z Alcortą, pomyślał Winter, wyciągając rękę. Może to ja jestem duchem.

Bergenheim przespacerował się z Adą wokół domu. Zwracała uwagę na wszystko. Próbował ją wsadzić do wózka, ale protestowała głośnym krzykiem.

Wczoraj nie dała się zapiąć w foteliku w samochodzie i musiał jechać do sklepu, trzymając ją przed sobą, przy kierownicy. Jak na południu Europy. Nie zostali zatrzymani przez jego kolegów.

Rano Martina była milcząca, prawie tak samo jak on.

Teraz pojechała do pracy. Wrócił z dzieckiem do pustego domu. Dla niego to była chwila wytchnienia. Ada śmiała się do czegoś w swoim świecie. Popatrzył na nią i zawstydził się swoich myśli. Zaczął padać śnieg.

Zrobił jej kisiel morelowy i zaparzył sobie kawę. Gazeta leżała otwarta na pierwszej stronie z wiadomościami. Próbował czytać, a Ada próbowała jeść. Poprawił jej śliniaczek i pozwolił chlapać mlekiem i kisielom po całym stole.

Odłożył gazetę, choć nie pamiętał ani słowa z tego, co przeczytał. Po nudnej nocy w samochodzie przed domem w Hisingen był sztywny. Tylko czekanie, a potem pojechał do domu. Martina zdążyła już odprowadzić Adę do żłobka. Pusty dom, to uczucie uwolnienia. Co to, do cholery, znaczy? Uwolnienie od czego?

Jechał własnym samochodem. Jeszcze nie było dwunastej. Najpierw zamierzał długo pospać, ale to było dawno temu. Zatrzymał się, żeby coś kupić. Nie wiedział nawet co, kiedy wchodził do sklepu. Właściciel skinął mu głową, jakby był stałym klientem.

Coś leżało na ladzie. Czy on to kupił? Czy powinien to kupić? Odwrócił się i wyszedł. Trzymał to w ręce. Żadnych krzyków za plecami. Odwrócił się jeszcze raz, a właściciel znów skinął głową. Ach tak. Już wiedział, gdzie jest.

Jasne. To było tu.

Kiedy znów wyszedł, rozejrzał się na boki. Nikogo.

Zawrócił i poszedł z powrotem, żeby czekać przed sklepem z odwróconą głową.

15.

Był już wieczór, rodzina siedziała w komplecie na oddziale intensywnej opieki. Doktor Alcorta godzinę wcześniej podjął decyzję o przeniesieniu szwedzkiego pacjenta. Przeprowadzka numer pięćdziesiąt jeden, pomyślał Winter.

To był inny pokój, też z oknem na zachód. Winter nie mógł oderwać wzroku od góry. Myślał o białym domu w Nueva Andalucia. Ojciec też spojrział przez okno, może na białą górę. Góra była sceną, a niebo tłem. Cały błękit ciemniał w tle, czerniał.

- Co tam pachnie na zewnątrz? - zapytał ojciec i odwrócił głowę, żeby popatrzeć na rodzinę siedzącą półkolem przy łóżku. - Uderzyło mnie, że niczego tutaj nie czuję. - Potrzebował pomocy, ktoś musiał poprawić rurkę, którą miał w nosie i która uciskała podbródek. Lotta wstała i poprawiła ją. - To nie dlatego - mówił dalej, kiedy córka usiadła. - To nie przez rurkę.

- Pachnie słońcem i igłami - powiedziała Lotta. - Lasem iglastym. Pinią.

- Igłami? Tak sądzisz?

- Tak.

- To prawie tak jak w domu - stwierdził i odwrócił głowę w stronę okna i góry. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Nagle ojciec zakaszłał. Zabrzmiało to, jakby chciał wypluć flegmę. Jego lewe ramię drgnęło. Wyglądał, jakby chciał usiąść. Pielęgniarka szybko podeszła do łóżka i zawołała coś po hiszpańsku. Winter spojrział na maszynę, która najwyraźniej pokazywała bicie serca. Na monitorze biała linia wyprostowała się z metalicznym piskiem. Zobaczył, że matka i siostra wstają i patrzą na niego. Do sali szybko weszli ludzie w bieli. Zaczęli się krzątać wokół łóżka.

Kiedy wreszcie miał okazję porozmawiać z Alcortą, było za późno. Właściwie nie mieli o czym rozmawiać. Nadal był w szoku. Matka była spokojniejsza, niż się spodziewał. Przygotowała się już na to, przynajmniej częściowo. Siostra sprawiała wrażenie, jakby w środku zamarzła, kiedy tak siedziała na jednym z zielonych krzeseł w salonie. Powinna była zostać w domu, powiedziała przed chwilą, ale nie miała świadomości, co mówi.

- Za ostatnim razem już nic się nie dało zrobić - powiedział Alcorta.

- *No. I understand.*

- *I am sorry.*

- *Yes. Thankyou.*

- Co teraz będzie?

Siedzieli w kafeterii. Pachniało oliwą i rybami. Grupka lekarzy i pielęgniarek jadła obiad przy południowych oknach. Winter pił kawę, bardzo mocną. Matka i siostra nie tknęły swoich filiżanek.

- I co teraz zrobimy? - ponowiła pytanie Lotta.

- Szpital ma umowę z firmą pogrzebową z miasta - powiedziała matka. - Z Marbelli.

- Nigdy nawet o tym nie pomyślałam - stwierdziła Lotta. - Ale chcesz przez to powiedzieć, że tata zostanie pochowany tutaj?

- Sam tego chciał. Po raz pierwszy powiedział mi to dawno temu.

- I co ty na to?

Matka wzruszyła ramionami.

- Taka była jego wola. I... moja też.

Popatrzyła na dzieci.

- Przecież tu jest nasz dom.

- Chcesz tu zostać?

- Nie wiem, Lotto. Mam tu przecież... przyjaciół, paru. Sama nie wiem.

- Czy ta firma pogrzebowa zajmie się wszystkim? - zapytał Winter.

- Tak. Kiedy doktor Alcorta określi... przyczynę śmierci i takie tam. Firma załatwia wszystkie pozwolenia i papiery z urzędu stanu cywilnego i co tam jeszcze. Sąd. W Hiszpanii sąd musi wydać formalne orzeczenie.

Jej dzieci pokiwały głowami.

- Chodźmy jeszcze raz do taty - powiedziała matka.

Winter szedł ulicą Ricardo Soriano. Kolejny dzień, wieczór. Wszedł do piwiarni Monte Carlo i zamówił piwo w szklance. Knajpa była pełna mężczyzn, oglądali jakiś mecz na dużym ekranie. Real Madrid przeciwko Valladolid. Napił się piwa i poczuł się spokojny i bezpieczny w tym hałasie. Nie widział ani jednej kobiety. Siedziały na zewnątrz, przy stolikach na chodniku, i czekały, aż skończy się mecz i zacznie wieczór.

Przeciął główną ulicę i wszedł w zaułki starego miasta. Plaza de la Iglesia była pełna ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy coś wołali i bili brawo. Winter rozejrzał się i zobaczył młodą parę wychodzącą z kościoła Nuestra Señora de la Encarnación. Świątynia górowała nad placem, zasłaniała niebo. Dwoje dzieci z przejęciem klasnęło w dłonie. Panna młoda była piękna, jaśniała, bił od niej blask. Trzech młodych mężczyzn we frakach zagwizdało, a pan młody dał znak kumplom z dawnych czasów. I co, głupio wam teraz?

Dwa stojące obok siebie posągi nie miały głów. Nowożeńcy przeszli obok nich, spojrzeli na siebie, a potem zniknęli, przepadli w tłumie gości.

Przy Targu Pomarańczowym dużo ludzi siedziało w ogródkach kawiarnianych pod drzewami pomarańczy i zamawiało karafki sangrii.

Winter słyszał rozmowy po norwesku, szwedzku i niemiecku. Czarnoskóry mężczyzna w białym garniturze i z koralikami we włosach grał na akordeonie *Liii Marlene*. Winter szybkim krokiem minął kawiarnię i skierował się na zachód, do Plaza Victoria. Usiadł na ławce naprzeciwko baru tapas.

Ojciec leżał w chłodni na Cementerio Virgen del Carmen. Jednym z trzech cmentarzy w Marbelli.

- Na tym starym nie ma chłodni - powiedziała wczoraj matka takim tonem, jakby mówiła o wyposażeniu wakacyjnej kwatery. Reakcja obronna, naturalnie. Cieszył się, że tak się zachowywała. - San Bernabé jest ładnie położony, ale Virgen del Carmen też. W zagajniku piniowym na północ od miasta. Zresztą wcale niedaleko od tamtego.

Winter skinął głową. Matka ocierała łzy, ale jej głos nadal brzmiał rzeczowo, była skupiona.

- Nie wybraliśmy miejsca, ale byliśmy tam kiedyś, żeby się rozejrzeć. Tata i ja.

- Tak.

- Jest tam też mała kaplica.

- Hm...

- Pogrzeb odbędzie się tam. Szwedzki kapłan oczywiście. Przedtem protestanci mogli odprawiać swoje uroczystości pogrzebowe w starym kościele w Marbelli, ale wydaje mi się, że katolicy księża nie byli tym zachwyceni.

- A więc uroczystość odbędzie się na cmentarzu.

- Pojutrze. Pół godziny temu dostałam wiadomość.

- To dość... szybko.

- Nie wiem.

Wstał z ławki i ruszył z powrotem na wschód, przez wąskie uliczki i małe place z wieloma restauracjami. Bar przy niewielkim placu wyłożonym kocimi łbami nazywał się Altamirano. Wszystkie stoliki były zajęte. Goście zajadali się smażonymi rybami i skorupiakami. Winter

przeszedł obok i wydawało mu się, że widzi Alicję w grupie kilku osób przy jednym ze stolików. Kiedy ich mijał, uniosła rękę w geście pozdrowienia.

Szybko wszedł w zaułek naprzeciwko, nie oglądał się za siebie.

W pokoju zobaczył na stole jej wizytówkę.

Wziął zimny prysznic i napił się whisky. Lotta zadzwoniła z domu w Nueva Andalucia.

- Mama nie da rady jechać teraz do miasta.
- Aha. Rozumiem ją doskonale. A jak ty się czujesz?
- Jestem wykończona, jeśli mam być szczerą.
- Przyjadę do was jutro rano.
- Dobrze, może tak będzie lepiej.

Siedział po ciemku, ubrany tylko w bokserki, i dopijał whisky. Słuchał czegoś, co mu rozbrzmiewało w głowie. Potem się ubrał i poszedł z powrotem na Plaza Altamirano.

Cmentarz znajdował się na Carretera a Ojen, wystarczająco daleko od nowego kompleksu handlowego La Cañada.

Po ojcu została tylko urna z prochami. Tylko tyle zostało, pomyślał Winter. Będziemy musieli wyjaśnić sobie wszystko kiedy indziej.

Słońce stało wprost nad ich głowami, góra wydawała się wznosić bardzo blisko, na wyciągnięcie ręki. Cmentarz znajdował się całkiem blisko białej góry. Poniżej linia horyzontu zakreślała półkole. Morze było spokojne.

Przed kaplicą pachniało słońcem i igłami, zapach wszedł z nimi do środka. Winter znał niewielu z obecnych. Jedna z par przyleciała ze Szwecji tym samym samolotem co Angela. Starzy przyjaciele. Angela wyglądała na opanowaną, kiedy odbierał ją z lotniska pod Malagą.

Na grób padał cień góry. Angela wzięła go za rękę. Jakiś mężczyzna, którego Winter wcześniej nie zauważył, zaśpiewał psalm po szwedzku, a potem po hiszpańsku.

Potem pili kawę w Puerto Banús, bardzo blisko plaży.

- To ulubiona kawiarnia taty - powiedziała matka.
- Co to za posąg? - zapytał Winter i kiwnął głową w stronę anioła.

Stał na wysokim cokole, odwrócony ku wodzie.

- *Un Canto de la Libertad.*

- Słucham?

- Ma symbolizować pieśń o wolności. - Skinęła głową w stronę figury. Stała jakieś sto metrów od nich. - To był ulubiony pomnik taty.
- Winterowi wydało się, że lekko się uśmiechnęła.

Poczuł, że trochę mu ulżyło. Nie dopuszczał do siebie pewnych myśli i miał wrażenie, że teraz przychodzi mu to nieco łatwiej, przynajmniej chwilowo. Może to ta zapowiedź uśmiechu u matki mu pomogła. Może potem będzie mógł myśleć o pewnych rzeczach.

Chciał coś pokazać samemu sobie, coś zrobić. Angela spojrzała na niego. Lotta patrzyła na morze, śledziła oddalający się jacht.

- Pojedziemy do domu na drinka - zdecydował Winter. - Tanqueray & Tonic. Ulubiony drink ojca.

16.

W kieszonce na jego piersi zadzwonił telefon. Wydawało mu się, że go wyłączał. Bertil Ringmar. Starszy komisarz był bardziej przygaszony niż zwykle.

- Chciałem tylko przekazać pozdrowienia... w tym trudnym dniu.
- Dziękuję, Bertilu.
- Myślimy tutaj o tobie.
- Dzięki.
- Cóż... nie bardzo wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.
- A jak tam u was poza tym?
- Spokojniej niż zwykle.
- Moja nieobecność działa na świątek przestępczy uspokajająco.
- Ale równocześnie jest trochę nudno - dodał Ringmar.
- Może powinienem zniknąć na dłużej.
- Mówisz poważnie?
- Skąd.
- Kiedy wracasz do Szwecji?
- Jutro po południu. Zobaczymy się pojutrze.
- Trwamy na pozycjach, jak to się mówi. W napięciu przygotowujemy się na nadejście nowych czasów.
- Znaczy nie ustajecie w wysiłkach, innymi słowy.
- Lars wzięł kilka dni wolnego.
- Dlaczego?
- Nie czuje się za dobrze. Nie wiem, co z nim jest. Ból głowy, który nie chce minąć. I jakieś zmartwienie.
- Mówił coś?
- Nie... ale na pewno coś go gryzie. Nie jestem psychologiem, ale widzę to wyraźnie.

- Rozmawiał z kimś... kto mógłby mu pomóc?
- Nie wiem, Eriku. Ale tak myślę, bo przecież wziął wolne.
- Tak.
- Może to stres przed nowym tysiącleciem. Słyszałem, że różnie to może wpływać na ludzi. Czasem poważnie.
- Ach tak.
- Nie mogę powiedzieć, żebym się jakoś dużo nad tym zastanawiał.
- Ja też nie.
- A jak ty się czujesz? - zapytał Bertil.
- Akurat o tym nie myślałem.

Winter zszedł na patio. Palma rosnąca w północnej części ogrodu była tylko czarną sylwetką, egzotycznym obrazem, zupełnie nierzeczywistym, jakby ją wycięto z tektury i oświetlono elektrycznym światłem.

Kobiety zapaliły świece i cienie trzepotały w ogrodzie i na ich twarzach. Matka podniosła wzrok, kiedy się zbliżał. Wypiła już dwa T&T, wyraźnie tego potrzebowała.

Winter usiadł i sięgnął po swoją szklankę.

- Zrobiło się za ciepło - powiedziała matka.

Spróbował drinka. Miała rację.

- Mogę ci zrobić nowe.
- Nie trzeba.
- Ale chcę. I tak powinnam się trochę poruszać.
- W takim razie poproszę.

Wstała i poszła do domu z jego szklanką w ręce. Lotta wypiła już swojego drinka. Angela piła wodę mineralną, pogrążona w myślach. Matka wróciła.

- Proszę bardzo. Mam nadzieję, że odpowiednio wytrawny.
- Dzięki.

Zapalił cygaretkę. Matka zapaliła papierosa. Spojrzał na nią z czułością.

Ucieszyło go to, już dawno nie miał dla niej takich uczuć. Jego matka. Nie całkiem idealna, ciepła, domowa mamusia. Shaker i popielniczka zamiast miksera i stolnicy. W garderobie nie miała kwiecistej bawełny. Za to miliony butów na obcasie rozrzuconych po podłodze. Migreny. Ataki złości. Ale zawsze była miła.

- W każdym razie musisz koniecznie przyjechać do domu na święta - powiedziała Lotta, jakby ciągnąc rozmowę, która została przerwana.

- Jeszcze zobaczę.

- Po prostu musisz.

- Albo wy przyjedziecie tutaj. - Rozłożyła ramiona. Jedna ze świeczek zgasła od podmuchu. - Wszyscy jesteście tu zawsze mile widziani.

- Nie powinnaś zostać w domu? Masz chyba jutro klasówkę.

- Już się przygotowałam.

- Kiedy?

- W szkole.

- Nie chcesz, żebym cię odpytała?

- Nie trzeba.

- Mario. Posłuchaj. Nie możesz zostać w domu?

- Muszę już iść. Czekają na mnie.

- Kto? Kto na ciebie czeka?

- Patrik i reszta.

- Nie możesz poprosić, żeby oni do ciebie przyszli? - powiedziała Hanne Östergaard i natychmiast poczuła się jak idiotka. Może jeszcze ma ich ugościć babką piaskową i sokiem?

- Oni tu już byli.

- Przecież przenieśliśmy wideo do twojego pokoju. - Znowu poczuła się jak idiotka.

- Pa, mamó.

Maria zamknęła za sobą drzwi. Hanne słyszała jej kroki na schodach

i na ścieżce. Śnieg leżał już tak grubą warstwą, że szło się po nim jak po twardym materacu. Zima w listopadzie. Mogła przyjść już na dobre, ale tego nikt nie wiedział. Równie dobrze na Boże Narodzenie mogło być plus dwanaście stopni.

Hanne Östergaard wróciła do kuchennego stołu i gazety, założyła okulary do czytania. Próbowwała maksymalnie przedłużyć tę chwilę, zanim będzie musiała zasiać do pisania niedzielnego kazania.

Spokojne święta, pomyślała. Powinny wyjechać, tak daleko, jak się tylko da... dwa tygodnie na Wyspach Kanaryjskich.

Właściwie to należałoby nie wracać, pomyślała. Dom na południu. Tyłu Szwedów osiadło za granicą. Dużo pracy dla pastora. Wielu szwedzkich kapłanów pracuje na... Costa del Sol. Myślała o Eriku Winterze. Wczoraj ktoś mówił o śmierci jego ojca, kiedy była na komendzie.

Usłyszała tramwaj od strony S:t Sigfrids Plan. Brzmiał, jakby musiał przeorywać śnieg. Może w środku siedziała Maria. Znowu pomyślała o Winterze, o jego ojcu. Jego ojcu. Ojciec Marii zostawił je, kiedy Maria była niemowlęciem. Czy właśnie teraz zbierała tego owoce? Jakim językiem mam mówić?, zastanawiała się. Zbierzesz to, co zasiejesz.

To się zdarzyło tylko raz. Można to uznać za pecha, za wypadek. Nie musi się powtórzyć. Przecież jest nastolatką, do diabła. To normalne, że w tym wieku traktuje się dom jak potencjalne więzienie.

Tak powinno być.

Muszę wreszcie napisać to kazanie.

Malaga wyglądała tak jak przedtem. Nic się nie stało ani z miastem, ani z morzem, od kiedy ostatni raz patrzył na nie z góry.

Samolot skręcił w powietrzu i Winter widział tylko niebo. Brzeg został z tyłu. Stewardesy zaczęły chodzić przejściem ze swoimi wózkami, pasażerowie zamawiali pierwsze drinki. Angela miała mdłości. To

normalne, powiedziała. Choć akurat w samolocie wolałaby nie mieć.

Próbował czytać, ale nie szło mu za dobrze. Zrezygnował z alkoholu, pił wodę Ramlösa, tak jak Angela. Kanapki nie tknął.

Na północy weszli w strefę niskiego ciśnienia, samolot zadrżał kilka razy.

- Pomogło - powiedziała Angela. - Mdłości mi przeszły.
- No widzisz.
- Widzę brzeg.
- Jaki?
- To chyba Dania, tak mi się wydaje.

Pół godziny później zapięli pasy i samolot zaczął opadać. Winter widział miasto między chmurami, potem przebili się na drugą stronę. Domy były szare, ale ziemia biała.

Na Landvetter warstwa śniegu przy pasach mogła mieć dziesięć centymetrów, może więcej.

Kiedy wyszli z budynku i skierowali się na parking, pachniało jak w obcym kraju. Winter czuł chłód przenikający przez cienki płaszcz. Dokoła było mnóstwo ludzi, ale mniej, niż widywał ostatnio. Zawsze tak było, kiedy wracał. Dużo różnych odgłosów, ale ciszej niż podczas podróży.

W samochodzie nie rozmawiali dużo. W windzie Angela chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- W sobotę przewozimy ostatnie twoje rzeczy, tak? - zapytał Winter.

17.

Patrik zaczekał, aż pług odgarnie trochę śniegu. Aż tyle go chyba nie było? Znow im się dostało. Gminie. Kiedy tylko w Göteborgu padał śnieg, służby komunalne zawsze zbierały ciężki, że nie wysyłają w porę pługów. Teraz wyjechali na ulice i odśnieżali, choć wcale nie napadało tak dużo. Patrik spojrział na zegarek, potem naciągnął rękaw na zmarzniętą dłoń. Rękawice zostały w domu, bardzo się przydawały, leżąc na półce, ha, ha.

Wyjął z walkmana Becka i włożył *The Boy With The Arab Strap*. Potem przeszedł przez Aschebergsgatan, a muzyka zmyła wszystkie odgłosy miasta. To było cudowne. Czasem targał ze sobą więcej kaset niż gazet, ale tak chciał, bo lubił często zmieniać muzykę. Wtedy czas szybciej zlatywał. Odgłosy miasta zmieniały się w coś innego. Nie było ich znowu tak dużo. Pierwsze tramwaje. Kilka taksówek pędzących na złamanie karku. Pijani faceci i ich kobiety wydzierający się za taksówkami, zwłaszcza po piątkowym lub sobotnim wieczorze.

I odgłosy takie jak teraz: pług śnieżny skrobiący lemieszem asfalt z nieprzyjemnym zgrzytem. Jego wibracje wstrząsały asfaltem i docierały do niego, przebiegały po nogach i wyżej.

Wyjął kasetę *The Boy* i wsunął Gomeza. Muzyka była jego życiem. Wyprzedzał innych o całe tysiąclecie. Był do przodu. Ludzie słuchali Pettera. Nawet jego znajomi. Albo dawni znajomi. Kiedyś zaprzyjaźnieni kolesie. Czuł, że na myśl o Petterze się krzywi. Petter go prowokował. Oglądał kiedyś jakiś durny quiz z nim w roli głównej, występowały też jakieś dwie laski, Maria to oglądała. Widział, że jej się podoba.

Poszedł wtedy do swojego pokoju i zapodał sobie *Walking into Clarksdale*, na ful. To był czad. O milenium naprzód. Page i Plant, wkrótce sześćdziesięcioletni, nadal zostawiali wszystkich daleko w tyle, ale inni tego nie rozumieli i śmiali się, kiedy ich puszczał. Z Morrisseyem było prawie tak samo, może trochę lepiej. Albo niewiele lepiej.

Kod do drzwi nie zadziałał, jak zwykle. Musiał go wklepać dwa razy. Na klatce pachniało stęchlizną, był już zmęczony. Zostało mu jeszcze tyle schodów do pokonania, zanim porzuci wszystkie gazety. Właśnie tutaj zawsze nachodziła go ta myśl. Był na trzecim piętrze. I właśnie tutaj czasami się zatrzymywał w ostatnich dniach i zastanawiał się nad tym. Wyłączył walkmana i wyjął słuchawki z uszu.

To było kilka dni temu, właśnie miał wsunąć gazetę. Przypomniał sobie tamtą chwilę, znowu. Kilka gazet stanęło na sztorc i blokowało kłapę. Musiał mocno pchać i wtedy usłyszał ze środka muzykę. Była piąta rano, jak teraz. W środku nie paliło się światło, ale wyraźnie słyszał muzykę. Kto słucha trashu o piątej nad ranem?! Death metal, co nie? Albo black. Ktoś tam siedział i słuchał metalu, ale nie czytał gazet i nie otwierał listów.

Na drzwiach było napisane Valke. Tylko tyle. Nie był w stanie weisnąć do środka kolejnej gazety. Przykucnął, spojrzął w czerń po drugiej stronie i usłyszał muzykę, jak zwykle. Było tam coś jeszcze... nie dało się nie zauważyć, uniknąć. Zapach, gorszy niż... sam nie wiedział, gorszy niż... nic nie przychodziło mu do głowy, ale czuł ten zapach i pamiętał go od kilku dni, i to nie tylko rano. Przychodził kilka razy, żeby sprawdzić, musiał przychodzić, kurczę, lepiej się przyznać, że był ciekawy. Maria była tu z nim wczoraj.

- Czujesz?

- Tak, fuj.
- Co to jest?
- Nie wiem.

- Wiesz, co ja myślę, że to może być?
- Chyba tak.
- Co?
- Ktoś... leży tam w środku.
- Właśnie.
- Ktoś zmarł.
- To możliwe.
- A jednak dalej słucha... tego tutaj.
- Cóż... może to właśnie jest część tego. Słuchanie takiej muzyki.

Nie bez powodu nazywają ją death metal.

- Ha, ha.
- Chyba leci na funkcji repeat. Czy tam autorewers. Zawsze jest włączone.
- Że też sąsiedzi jeszcze nie dostali od tego szału.
- Tu są grube ściany, sufity i podłogi. Co zrobimy?
- Nie wiem. Czy to naprawdę muzyka?
- Tak.
- Czy takie coś można nazwać muzyką? Przecież to jest... jakiś koszmar.

- Zdziwiłabyś się, ile ludzi w naszym mieście słucha takiego gówna.

- Jak ci z tego mieszkania. Co to w ogóle jest? Ty przecież wiesz wszystko. Nawet o muzyce, której nie znosisz.

- Nie jestem pewien. Dużo tego podobnie brzmi. To może by...

Jakiś mężczyzna przeszedł obok, więc odsunęli się od drzwi. Nie wiedział o niczym, spojrzał na nich przez ramię. Patrik zaczął schodzić na dół, Maria ruszyła za nim.

- Byłeś tu już kilka razy, prawda? - zapytała. - To znaczy zauważyłeś to. Powinieneś to zgłosić. Myślę, że musisz to zrobić.

Stał przed tymi drzwiami i myślał o tym, co powiedziała. Musiał położyć gazetę na wycieracze, tak jak wczoraj. Tak nie powinno być.

Pomyślał o tym znowu. Teraz miał wrażenie, że odór jest silniejszy niż przedtem, teraz to sobie uświadomił. Tak jakby się rozchodził wszędzie razem z muzyką, która dudniła przez grube mury. Dziwne, że sąsiedzi jeszcze nie wyskoczyli z krzykiem.

Położył gazetę, a potem poroznosił resztę gazet. Na końcu sprawdził na dole, przy bramie, czy na tablicy nie ma nazwiska dozorczy.

Wyszedł na ulicę. Wciąż tak samo ciemno, ale więcej przechodniów i tramwajów. Był spóźniony, ale to nic dziwnego. Odechciało mu się słuchania muzyki. Nie wyjął walkmana z kieszeni. Poszedł w stronę Vasaplatsen. Wszedł do bramy, przy której stali kiedyś z Marią. Mieszkała tam dziewczyna tego gliny. Czyli on też tam mieszkał. Czy ten, kto roznosi tu co tydzień gazety, nie powinien tego wiedzieć? Powiedział to Marii, właściwie przypomniał jej.

To był taki sam duży czarny dom jak tamten. Takie samo echo, zgrzyt, kiedy winda ruszała do góry.

Rozmowa została przełączona do centrali komisariatu Lorensberg, potem dalej do dyżurnego asystenta, który przyjmował zgłoszenia, na końcu do szefa. Szef wysłuchał, zadał kilka pytań i zanotował najważniejsze informacje.

Był piątkowy wieczór. Za pół godziny wybije ósma i komisariat zostanie zamknięty dla interesantów.

Oficer dyżurny popatrzył na swoją listę i wyszedł do asystenta. Był zajęty rozmową z jakąś kobietą, która weszła z ulicy. Oficer czekał. Kobieta wyszła, z formularzem w ręce. Widział ją tutaj już wcześniej. Przed budynkiem czekał pies, przywiązany do nie wiadomo czego. Rozszczękał się radośnie, kiedy kobieta otworzyła drzwi. Oficer zwrócił się do młodszego kolegi.

- Złap Morelius, kiedy wróci z treningu. Bartrama zresztą też. Przyślij ich do mnie, natychmiast.

Kwadrans później obaj siedzieli w radiowozie na Aschebergsgatan. Dozorca czekał w bramie. Starszy, szpakowaty. Ostatni rok pracy, a tu coś takiego.

- To trzecie piętro - powiedział. - Niestety winda jest zepsuta. Wezwałem już konser...

- Czy to pan złożył zawiadomienie? - przerwał mu Morelius.

- No tak. Ja. No przecież.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Myślałem już o tym przedtem... wydawało mi się to dziwne... no i potem zadzwoniłem i zgłosiłem to. - Oddychał z wysiłkiem. - W każdym razie to tutaj.

- Ach tak. - Morelius zobaczył gazety na podłodze. Jedna wystawała ze szczeliny w drzwiach. - Próbował pan dzwonić?

- Tak... nawet kilka razy w ciągu ostatnich kilku dni. - Machnął ręką w stronę drzwi. - Tylko że nikt nie otwiera.

- Kto tu mieszka? - Morelius spojrział na tabliczkę z nazwiskiem. - Valker. Czy to jeden człowiek? Singiel?

- To para... tak mi się przynajmniej wydaje. Przecież nigdy nie wiadomo... Ale widywałem dwoje ludzi. Mężczyznę i kobietę.

Morelius zadzwonił i usłyszał, jak sygnał dzwonka odbija się echem za drzwiami. Nacisnął dzwonek jeszcze raz, ale nikt nie otworzył. Spojrzął na Bartrama, ale Bartram się nie odzywał. Schylił się i podniósł klapę.

- Ożeż kurwa.

- Też to czułem - stwierdził dozorca.

- Co to jest? - zapytał Bartram.

- Sam się przekonaj - powiedział Morelius i zrobił mu miejsce.

- Powiedz po prostu, co to jest - poprosił Bartram.

- Tego się nie da opisać - odparł Morelius i znów spojrzął na dozorcę.

- Ja nie wiem - powiedział tamten.

- Słyszać jakieś dźwięki. Co to takiego?
- Też nie wiem, co to może być. Ale słyszać to już od dłuższego czasu.

- Dłuższego?
- Najwidoczniej. Przynajmniej tak twierdzi roznosiciel gazet. I ja też to słyszałem, kiedy tu byłem i się... zastanawiałem. Ale człowiek nie chce się wtrącać.

- Niech pan otworzy drzwi - powiedział Morelius.
- Nie powinniśmy zaczekać? - zapytał Bartram.
- Na co? - Morelius ponaglił spojrzeniem dozorcę. - Niech pan otwiera.

Morelius patrzył na drzwi. Nic nie czuł. To mogły być każde drzwi. Jacyś ludzie. Na klatce schodowej świeciło ostre światło. Nie niepokoiło go to.

Dozorca przeglądał pęk kluczy. Wreszcie wybrał jeden, wsunął go do dziurki i przekręcił.

Winter rozgniół sardele na gładką masę, doprawił oliwą z oliwek i czosnkiem. Nagle przez bas Charliego Haydena przedarł się dzwonek telefonu.

- Ja odbiorę - powiedziała Angela. Właśnie szła z łazienki.
Weszła do kuchni.

- Do ciebie. Odłożę w przedpokoju.

Winter podniósł słuchawkę telefonu stojącego na kuchennym blacie.

Przed domem stały dwa samochody. Winter zobaczył je od razu, kiedy tylko wyszedł z bramy. Sto metrów dalej.

Krótki spacer do pracy. Krótki spacer na miejsce zbrodni. Można było mieć mieszane uczucia. Potarł podbródek ręką. Pachniała jeszcze czosnkiem i sardelami. Poczul się tak, jakby zbrodnia wprowadziła się do jego dzielnicy, do jego mieszkania.

Na dole przy schodach stał jakiś młody policjant, nie znał go. Kiedy

wchodził w bramę, usłyszał hamujące na ulicy samochody i pomyślał, że wkrótce w mieszkaniu zjawi się dużo ludzi. Przed domem też.

Witaj w domu, komisarzu.

Ruszył schodami na górę.

- Cześć, Winter.
- Och, to ty, Bartram? Dawno się nie widzieliśmy.
- Dostaliśmy cynk.
- Kto to jest? - Winter wskazał na starszego mężczyznę opierającego się o ścianę.
- Dozorca.
- Nie wygląda za dobrze. Dopilnuj, żeby go zawieźli na komendę, potem z nim porozmawiam.
- Okej.
- Kto jest w środku?
- Simon. Simon Morelius. My jesteśmy... pierwsi. I teraz ty.

Winter podszedł do drzwi. Musiał zrobić wielki krok nad stosem gazet i listów. Przedpokój był ciemny, podłużny, właściwie podobny do jego przedpokoju. Nigdzie nie paliło się elektryczne światło. Wiedział, że ci dwaj mają wystarczająco dużo doświadczenia, żeby nie zostawiać śladów na ścianach i kontaktach.

Odór był straszny, ale spróbował się na to przygotować, i pomogło. Wdychał go przez kilka sekund, potem wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zasłonił nos i usta.

W całym mieszkaniu dudniła muzyka. Nie umiał powiedzieć, skąd dochodziła. Nie była nastawiona zbyt głośno, ale słyhać było wyraźnie.

To było coś z innego świata. Nigdy czegoś takiego nie słyszał. Żyłem pod kloszem, pomyślał.

Wściekle młójące gitary bas, bębny... Skojarzyło mu się to z betoniarką. Nagle: głos, wręcz nieludzki, piskliwy, wysoki dyszkant. Żadnych zrozumiałych słów. Perkusista najwyraźniej miał atak epilepsji.

Stał chwilę bez ruchu, nasłuchiwał, by stwierdzić, że muzyka musi dochodzić z pokoju na wprost. Drzwi w drugim końcu przedpokoju były otwarte. Przez wielkie okna wpadało światło z ulicy. W drzwiach widać było postać, odcinała się od jaśniejszego tła pokoju. Stała bez ruchu, zastygła. Winter widział zarys sylwetki policjanta, mundur, broń. Zdawał się go nie słyszeć, choć powinien, mimo muzyki.

Od dawna nie widział Simona. Był młodszy od niego, ale nie tak dużo.

Muzyka ucichła i Winter podszedł bliżej. Ciemna sylwetka się poruszyła i znów odwróciła w stronę pokoju, nic nie mówiąc. Muzyka odezwała się znowu, nagle jeszcze głośniejszej, ostrzej. Jakby ktoś ją podkręcał, kiedy Winter podchodził bliżej. Gdy znalazł się przy drzwiach, ciemna postać się usunęła, zmieniając się w mężczyznę w mundurze. Winter skinął głową. Czuł odór nawet przez chusteczkę, wkroczył do pokoju.

Wokalista już nie pisał. Teraz wrzeszczał tak głośno, jak tylko potrafił. Wieża stereo stała po lewej, jarzyła się czerwonymi i żółtymi lampkami. Obok niej stała sofa, a na niej siedziało dwoje ludzi. Oboje wyglądali, jakby nie mieli na sobie ubrań. Ciała majaczyły jasno w świetle wpadającym przez okno, w smugach jasności i cienia, i czegoś jeszcze, czegoś, czego Winter dokładnie nie widział.

Twarze mieli zwrócone w stronę drzwi, do policjanta, który stał i się im przyglądał. Winter nagle się zawstydził. To było jak przelotny atak mdłości.

Zawsze było tak samo. Zadawał gwałt ludziom, kiedy byli najbardziej bezbronni.

Podszedł krok bliżej. Ich szyje otaczały ciemne kręgi, jak drut kolczasty. Podszedł jeszcze bliżej, spojrział w ich twarze i nagle mdłości stały się czymś bardziej konkretnym niż chwilowe doznanie. Zawrócił do drzwi.

- Jest też napis na ścianie - powiedział policjant i wskazał w prawo, w przeciwny koniec pokoju.

18.

Pokój szybko wypełniał się ludźmi. Winter dziesięć minut siedział sam, u siebie, i przyglądał się, jak za oknem pada śnieg. Ktoś zostawił mu w pokoju kwiaty, bez bilecika. Kiedy wstał, żeby pójść na zebranie, usłyszał pukanie do drzwi i wszedł Ringmar. Był w domu, po tabletki penicyliny na zapalenie gardła. Nie wyglądał dobrze, kiedy tam przyszedł. Popatrzył na ofiary, a potem zaniósł się kaszlem i wycofał do przedpokoju.

- Powinieneś leżeć w łóżku - powiedział Winter.
- Tak.
- Masz gorączkę?
- Tak.
- Jedź do domu.
- Po spotkaniu?
- Nie możesz nas wszystkich zarazić, Bertilu. Po prostu nie chcę, żebyś tu był.
- Eriku...
- Jeśli już musisz pracować, to weź ze sobą zdjęcia i całą resztę i myśl nad tym w łóżku, o ile z taką infekcją można myśleć.
- Tak, tak. - Ringmar zrobił kilka kroków w głąb pokoju. - To był niezły powrót do domu. - Spojrzał na Wintera, który wyszedł zza biurka. - Co za pieprzona sprawa.

Poszli na zebranie. Winter prowadził. Streścił wszystko, co wiedzieli. Zdjęcia przechodziły z rąk do rąk.

Nie opalił się za bardzo, pomyślała Aneta Djanali. Nie po to pojechał do Hiszpanii.

Fredrik Halders słuchał Wintera. Patrzył na zdjęcia, które trzymał w rękach. Jak my z tym wyjdziemy do ludzi? Co im powiemy?

- Jak przedstawimy tę sprawę? - zapytał, podnosząc do góry jedno ze zdjęć. - Ile chcemy... zdradzić?

- Ale o czym? - zapytała Sara Helander. Siedziała dwa krzesła za Haldersem.

- Co się z nimi stało - wyjaśnił Halders. - Ile możemy powiedzieć o tym, jak wyglądają.

- Mamy do czynienia z parą zamordowaną we własnym mieszkaniu. To wszystko, co będziemy mówić - powiedział Winter. - Nie ma powodu zdradzać więcej na tym etapie.

- Czy kiedykolwiek są powody? - zapytała Aneta Djanali, ale Winter zostawił to pytanie bez odpowiedzi.

- Christian i Louise Valker - powiedział głośno. - Byli małżeństwem od czterech lat. On miał czterdzieści dwa, ona trzydzieści siedem lat. Nie mieli dzieci. Christian Valker pracował jako sprzedawca w branży komputerowej... hardware... a Louise Valker dorywczo jako fryzjerka. - Spojrzał na swoje papiery. - Mieszkali na Aschebergsgatan od dwóch i pół roku, umowa wynajmu, wysoki czynsz. - Może nawet wpadaliśmy na siebie na Vasaplatsen, pomyślał. W spożywczaku Bogö Livs, na ulicy, może w garażu. Garaż zajmował setki metrów kwadratowych pod domami. Musimy sprawdzić, czy mieli miejsce w garażu. - Przedtem mieszkali w Lunden, w dwupokojowym mieszkaniu wynajmowanym z drugiej ręki. Wcześniej Christian mieszkał sam, w Kålltorp. Louise przyjechała do Göteborga siedemnaście lat temu, z Kungsbacki. Zaczęła pracować w salonie damskim przy Mölndalsvägen. Mieszkała wtedy w Rannebergen, sama. Żadne z nich nie zawierało wcześniej związków małżeńskich. Nie byli też karani. Przynajmniej nie u nas w kraju. Wysłaliśmy zapytanie do Interpolu. Nie wiadomo o żadnych krewnych w Göteborgu. Christian Valker pochodzi z Västerås, Louise z Kungsbacki.

- Przyjechała tu szukać szczęścia - mruknął Halders do Anety Djanali, która siedziała obok niego.

- Cicho, Fredriku - upomniła go.

Winter dał znak asystentowi ustawiającemu projektor. W sali zgasło światło. Było wystarczająco ciemno, żeby nie musieli zasuwać zasłon.

- Sami widzicie obrażenia. Tutaj i tam. Tu. Mogli umrzeć od któregośkolwiek ciosu. Zadano je z ogromną siłą.

- Zębate ostrze - rzucił Halders.

- Nie jestem całkiem przekonany - odparł Ringmar schrypniętym głosem.

- Musiał piłować - stwierdził Halders. - Z piekielną siłą.

Sara Helander zamknęła na chwilę oczy. Jeszcze nigdy nie widziała czegoś takiego. Słyszała za sobą jakieś odgłosy, rozpoznawała je. Nagle ktoś się zerwał i wybiegł z sali.

Winter poprosił asystenta, żeby wyłączył projektor i zapalił światło. W szóstym rzędzie trzeba było przesunąć kilka krzeseł, w miejscu, gdzie młody policjant zwymiotował. Z przodu jeszcze nie było nic czuć.

Ringmar stał z boku i patrzył na wyświetlane ciała. Pomyślał o kimś, kto się zakrada do kina porno i gapi się, nie może się powstrzymać. Jak od natręctw. Ciała w ruchu. Tylko że tutaj było gorzej. Tych ciał nic nie chroniło. Były wydane na pastwę wszystkich. Oglądanie ich było czymś obscenicznym.

Morderca wiedział, że będziemy tu siedzieć i oglądać jego dzieło na zdjęciach, pomyślał, kiedy woń wymiocin dotarła do jego kąta. Winter podszedł bliżej, wyciągnął rękę w stronę ciał, ale Ringmarowi się wydawało, że się waha. Myśli tak samo jak ja. On też na pewno się wstydzi.

Winter powiedział coś, czego Ringmar nie dosłyszał. Jakby uszy miał zakorkowane woskowiną, jakby jego stan się pogorszył od chwili, kiedy tu kilka godzin temu przyszedł. Znów zrobiło się ciemno, potem zapalono górne światło.

- A to było słycać, kiedy weszliśmy do pokoju - powiedział Winter i wcisnął klawisz magnetofonu. W sali zabrzmiała muzyka, głośniejsza, niż się spodziewał, więc trochę musiał przyciszyć. Można było odnieść wrażenie, że znów zrobiło się głośniejsze, kiedy ktoś zaczął śpiewać. Śpiewać?, pomyślał Winter. To dla mnie coś nowego.

Policjanci słuchali, spoglądając po sobie. Ktoś się lekko uśmiechnął, ktoś na chwilę zasłonił uszy Winter nie zauważył, żeby ktokolwiek zrobił minę świadczącą o tym, że to rozpoznał, nawet nikt z młodszych nie podniósł ręki. Wcisnął stop.

- Ja pierdolę - powiedział Halders.

- Mieli to włączone? - zapytała Aneta Djanali.

- Tak. Jak twierdzi dozorca, muzyka dobiegała z mieszkania przez kilka dni.

- Właśnie ta? - zapytał rejestrator Möllerström.

- Twierdzi, że nie jest znawcą - odpowiedział Winter sarkastycznie. - Ale mniej więcej tak to brzmiało.

- A cóż to takiego, do jasnej anielki? - zapytał Halders.

- Nie wiem - odparł Winter. - Dlatego puściłem wam tę... muzykę. Czy ktoś to kojarzy?

Nikt nie odpowiedział. Po kilku sekundach Winter zobaczył czyjąś rękę w górze. Jeden z młodszych. Setter. Johan Setter.

- Johan?

- Ehm... chcesz wiedzieć, co to za zespół? To znaczy jak się nazywa zespół, który to gra?

- Chcę po prostu wiedzieć, co to jest. Jeśli ktoś może podać nazwę zespołu, bingo. Ale ja się na tym... kompletnie nie znam.

- To musi być jakiś trash metal - stwierdził Setter. - Nie do końca moja bajka, ale to na pewno metal. Nawet death metal, tak bym powiedział. Albo black metal.

- Death metal? - zapytał Winter i spojrzał na Settera, który nie wyglądał na szczególnie pewnego. - Death metal? Metal śmierci?

Nagle ktoś zachichotał.

- Cholernie adekwatna nazwa - powiedział Halders.
- Co to takiego, na litość boską, death metal? - zapytał Ringmar.
- Właśnie słyszałeś - wyjaśnił Halders. - Nieźle buja.
- Zamknij się, Fredriku - mruknęła Aneta Djanali.
- To dość popularne - tłumaczył dalej Setter. - Uhm... bardziej, niż można przypuszczać.

- Popularne gdzie? - zapytał Halders. - Wśród socjaldemokratów? Wśród liberałów?

- Wśród małżeństwa Valkerów? - zapytał Möllerström.
- Nie wiemy tego - powiedział Winter, spoglądając na Haldersa. - Nie zdążyliśmy jeszcze przejrzeć płyt w mieszkaniu.

- To nie była płyta? - zapytała Sara Helander.

- Nie, nieopisana kasetka magnetofonowa. BASF. CE II Chrome Extra. Dziewięćdziesiąt minut.

- Odciski palców?
- Technicy się tym zajmują. Przegraliśmy to, słuchacie innej kasety.

- Mieli dużo kaset? - zapytał Halders.

- Najprawdopodobniej ani jednej - odparł Winter. - W każdym razie żadnej nie znaleźliśmy.

- Gdzie Bergenhem? - zapytał Halders. - Lasse słucha różnych porąbanych rzeczy.

- Na zwolnieniu.
- Poślijcie mu to dziadostwo do domu, niech sobie posłucha.
- Właśnie - zgodził się Ringmar.
- Więc to może być jakiś komunikat - powiedziała Aneta Djanali. -

Wiadomość dla nas. Czy może za bardzo się rozpedziłam?

- To możliwe - stwierdził Winter. - Przynajmniej... morderca zostawił to włączone. Leciało na autorewersie.

- Jak długo? - zapytał któryś z młodszych.

- Skąd, u diabła, mamy wiedzieć? - zapytał Halders. - Gdybyśmy to wszystko wiedzieli, zagadka byłaby prawie rozwiązana.

- Więc to tę muzykę słyszał dozorca? - upewniła się Sara Helander.

- Tego nie wiemy - odparł Winter. - Ale wiem, co masz na myśli. Jeśli sobie przypomni, kiedy mniej więcej usłyszał to po raz pierwszy, może coś nam to da.

- Od jak dawna nie żyją? - zapytała Aneta Djanali. - Mamy wyniki obdukcji?

- Może od czternastu dni - powiedział Winter. - Może trochę krócej.

- O w morde - rzucił Halders.

- Czy taśma wytrzyma tak długo? - spytał Möllerström. - Może się kręcić w tę i z powrotem czternaście dni?

- Widocznie może - potwierdził Winter.

- To się nazywa autorewers - wyjaśnił Halders, patrząc na Möllerströma. - Taśma się odwraca, kiedy się przewinie do końca, i jest odtwarzana od nowa. I tak to leci w koło, póki nie zabraknie prądu. Albo taśma się nie urwie.

- Ale jest też inne wytłumaczenie.

Ringmar skinął głową, stał przy Winterze.

- Jakie? - zapytał Setter.

- Że ten ktoś zakradł się z powrotem tydzień albo coś koło tego po morderstwie i puścił muzykę dla poprawy nastroju - wyjaśnił Halders.

Znów ktoś zachichotał.

- No to co zamierzamy z tym zrobić? - zapytała Sara Helander.

- Padła propozycja, żeby dać tę kasetę do przesłuchania Berghemowi. Ja też uważam, że to dobry pomysł - powiedział Winter. - Ale musimy sprawdzić wszystkie miejsca, gdzie mogą nam pomóc. Sklepy muzyczne z nowymi i używanymi płytami. Zespoły, które grają w mieście. Jeśli to takie popularne, to ktoś musi to rozpoznać. Wytwórnice płytowe. Zapytajcie krytyków muzycznych od rocka z czasopism, z

radia albo telewizji. - Rozejrzał się po sali. - Johan, to będzie zadanie dla ciebie. Dostaniesz kogoś do pomocy. Weź tę kasetę i jedź do Larsa do domu. Potem zobaczymy, co dalej.

Setter kiwnął głową.

- Jest jeszcze jedna rzecz - ciągnął Winter. Znów dał znak asystentowi. Na ekranie zajaśniało nowe zdjęcie. Przedstawiało ścianę w pokoju, w którym siedzieli zamordowani. Coś napisano na ścianie. Wszyscy mogli to odczytać, litery miały około pół metra wysokości, pokrywały znaczną część ściany:

WALL

- To było tam napisane, kiedy weszliście do mieszkania - zapytała Aneta Djanali.

- Tak - potwierdził Winter. - Sprawdzimy, jak długo było na ścianie.

- Pewnie tak długo, jak tamci siedzieli na sofie - stwierdził Halders.

Winter nie odpowiedział.

- Komunikat - powiedziała Aneta Djanali. - Co do tego chyba nie ma wątpliwości.

- Czy to czerwona farba? - zapytał Halders.

- Nie - odparł Winter.

- WALL - powtórzył Ringmar. - Ściana. Czy morderca chciał nam powiedzieć, że namalował coś na ścianie?

- Jeśli to morderca - odparł Winter. - Ale to nie jest jedno słowo. Sam nie wiem, co to ma znaczyć. Koło wokół W. O co może chodzić? Przerwa między W i ALL.

- All - powiedział Ringmar. - Wszyscy. To może oznaczać wszystkich. Wziął wszystkich.

- Wszystkich dwoje?

- Wszystkich, którzy przyjdą potem.

- Daj spokój, Bertilu. Idź lepiej do domu i się połóż.
- Czy wszyscy mają iść na chorobowe? *All?*
- Lars wraca jutro.
- Rozmawiałeś z nim?
- Pół godziny temu.
- Setter był już z kasetą?
- Tak. To nie jego para kaloszy. Tak powiedział.
- Okej. Więc mamy jeszcze jeden komunikat, razem z kasetą. On chce nam coś powiedzieć.
- Chce zostać ujęty? - zastanawiał się głośno Winter.
- Albo pobawić się z nami?
- Zajął mu trochę czasu napisa... zrobienie tego wszystkiego. Zdobywanie... farby. Musiał chyba chodzić tam i z powrotem.
- Używał pędzla.
- No tak.
- Czyżby miał ze sobą pędzel?
- On? Ciągłe mówisz „on”.
- A myślisz, że to mogła być ona?
- Nie.
- Należy zadać pytanie, czy miał ze sobą pędzel.
- To jedno z pytań - odparł Winter. - A kolejne brzmi, gdzie się ten pędzel podział.
- Nienawidzę takich spraw - stwierdził Ringmar. - Zagadek.
- Czy nie tym właśnie zawsze się zajmujemy?
- Zagadki w zagadkach. Nienawidzę tego. Obraża mnie to. Wkurza mnie to. Wkurzam się tak, że aż czuję, jak mi przechodzi infekcja.

Winter był w mieszkaniu przy Aschebergsgatan. Sam. Wrócił. Wciąż ten zapach. Obrazy, które pamiętał z rana, te, które widział najpierw tu, a potem na zdjęciach. Widziałem ich *live*, pomyślał. Widziałem śmierć *live* i słyszałem soundtrack. Co mi przyszło do głowy? Soundtrack?

Sofa była teraz pusta, cała w plamach. Miał wrażenie, jakby ryk z kasety nadal tu rozbrzmiewał. Tekst na ścianie jarzył się we wpadającym przez okno świetle. Kiedy przechodził przez ulicę, chmury się rozdzieliły i teraz do środka wpadało silniejsze światło, chwiejne litery wyglądały solidniej, mocniej. Spojrzał na koło otaczające pierwszą literę. Co to miało oznaczać?

Jak można interpretować stopnie szaleństwa?

Czy to takie proste?

A może to chore dzieło zdrowego człowieka?

Wcześniej tylko raz widziałem coś, co mogło się z tym równać. Miałem nadzieję, że nie będę musiał do tego wracać.

Widział przed sobą chłopców, samotnych na swoich krzesłach. Czy to było trzy lata temu?

Ale teraz to teraz. Świat toczy się dalej.

Ktoś spuścił wodę, gdzieś w budynku. Rozpoznał ten szum w rurach. Budynek był taki sam jak ten, w którym mieszkał. Te same kamienie. Kamienny dom wybudowany w innych czasach. Równie dobrze mógł się znajdować w swoim mieszkaniu. Nagle pomyślał o Angeli.

Angela i jej brzuch, który teraz stał się także jego częścią. Przecież tak było.

Mieszkanie miało rozkład dokładnie taki sam jak jego własne. Nie pomyślał o tym, kiedy wszedł tu wczoraj wczesnym wieczorem, koncentrował na czymś innym. Ale teraz to zobaczył. Wejścia do pokoi z przedpokoju i kuchni, duży salon, w którym właśnie stał, za ścianą sypialnia, jeszcze jeden pokój. Łazienka i osobna ubikacja.

Ekipa techniczna jeszcze badała wszystko, ale on chciał tu pobyc chwilę sam. Idźcie na kawę, chłopaki, zróbcie sobie pół godziny przerwy.

Wszędzie leżały ubrania. Zaczynało się w kuchni, kończyło na sofie. Kiedy to rozbieranie się zaczęło? W kuchni? Dlaczego? A może ubrania zostały tu ułożone potem? To się musi dać sprawdzić. Czy jest

w

tym jakaś metoda?

Czyżby to był kolejny pieprzony komunikat? Jeszcze jedna zagadka? Pomyślał o Ringmarze, który cudownie, błyskawicznie ozdrowiał.

Cała krew w salonie. Żadnych śladów w przedpokoju, w kuchni też nie. Wyglądało to tak, jakby w zwłokach nie mogło zostać już ani kropli. Christian i Louise Valker. Ona miała przynajmniej zamknięte oczy.

Siedzieli w kuchni. Winter nie wiedział, ale był pewien, że wino, którego zaschniętą resztkę widział w kieliszkach i odrobinę na dnie butelki, otwarto wtedy. Kojarzył etykietę, widział ją na przeszklonych półkach w monopolowym na Avenyn. Jedna z tańszych hiszpańskich marek.

19.

Angela wróciła późno, weszła do ciemnego mieszkania. Zapaliła lampę w przedpokoju, zdjęła płaszcz i buty. Z salonu dobiegała muzyka. Gitary. Mocny wokół, prawie jak nawoływanie.

- Halo?

Nie usłyszała odpowiedzi, więc zawołała jeszcze raz.

- Jestem tutaj.

Weszła do salonu i zobaczyła Wintera w skórzanym fotelu przy oknie. Pokój był pogrążony w półmroku. Widziała tylko jego zarys.

- Siedzisz po ciemku.

- Przyjemnie czasem tak posiedzieć.

Gitary nabrały tempa, energii. Śpiew przeszedł w krzyk.

- Myślisz o... swoim ojcu?

- Tak. Między innymi.

- Muzyka pomaga?

- Nie wiem. Może. Kupiłem tę płytę w jakimś sklepie w Marbelli.

- Jest... niesamowita. - Wsłuchiwała się w śpiew, który w tej chwili zagłuszał nawet akustyczne gitary. - Flamenco ma w sobie tyle bólu.

- Ból i rozpacz. Romero. Nazywa się Rafael Romero. To starzec.

- Słysząc, że miał bogate życie.

Winter wstał, przeszedł przez pokój i objął ją. Pogładził po twarzy, pocałował w koniuszek nosa i w usta.

- Jak było?

- Młodości powoli przechodzą. Najgorzej było na początku.

- To dobrze.

- Poza tym zwykła bieżanina od pacjenta do pacjenta, z sali do sali. Przepraszam, kiedy przychodzę do pacjenta spóźniona, ale chyba jestem jedyną, która to robi. - Poglądziła go po ramieniu. - A u ciebie? Jak w pracy?

- Mamy podwójne morderstwo - powiedział i podszedł do odtwarzacza, żeby ściszyć. - Ale nie pytaj mnie o szczegóły

- Nawet mi to nie przeszło przez myśl.

Zadzwonił telefon, na stoliku obok fotela. Winter odruchowo spojrzął na zegarek. Kwadrans po jedenastej. Zrobił dwa kroki i odebrał.

- Winter. - Nikt nie odpowiedział. - Halo? - Słyszał szum na linii. Dał Angeli znak, żeby wyłączyła muzykę. - Halo? Kto tam? - Słyszał dalekie głosy, rozchodziły się gdzieś w przestrzeni. Wydawało mu się, że rozróżnia hiszpańskie słowa. Nagle w słuchawce trzasnęło i zabrzmiał ciągły sygnał. Trzymał ją w dłoni. Popatrzył na nią, a potem odłożył na widełki.

- Kto to był?

- Nikt - odparł Winter. - Nikt, kto chciałby coś powiedzieć. - Popatrzył na nią; wciąż stała przy sprzęcie stereo. - Czy nie mówiłaś niedawno, że ktoś dzwonił i nic nie mówił?

- Dzwonił znowu?

Winter rozłożył ręce w pytającym geście.

- To on - powiedziała. - Co to, do cholery, ma znaczyć?

- Usiądź - poprosił i przysunął do okna drugi fotel. Zapalił lampę na biurku. Od razu lepiej. - Siadaj tu, Angelo.

- Człowiek zaczyna się bać - powiedziała, siadając. - Nie można go jakoś zlokalizować?

- To nie jest takie łatwe, jak się niektórym wydaje. Ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć to ktoś, kto wybrał zły numer i jest zbyt nieśmiały, żeby się przyznać. Albo jest w szoku, kiedy słyszy obcy głos. Potem szok mija i odkłada słuchawkę.

- Więc jesteś przyzwyczajony do takich rozmów?
- Zdarza się od czasu do czasu.
- I chcesz mi wmówić, że to nie ma nic wspólnego z... twoją pracą?

- Co masz na myśli?
- Przecież stykasz się z Bóg wie jakimi typami. Może ktoś chce cię nastraszyć. Zemścić się.

- Chyba trochę przesadzasz.
- A czy to można wykluczyć?
- Nie wiem, Angelo. Może kilka razy ktoś dzwonił, ale nie wiem, bo się nie przedstawił.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę czasem do wniosku, że przeprowadzenie się tutaj było pomyłką - powiedziała.

- Znow przesadzasz. Wydaje mi się, że każdemu się zdarzają takie głuche telefony.

- Mnie nie. To nie ja przywlokłam tu za sobą *Mr Creepa*, jeśli to chcesz powiedzieć.

- *Mr Creep?*

- Ten w telefonie.

- Nie, nie.

- W jakim nawiedzonym domu ty mieszkasz, Eriku? - Pomyślała o sąsiadach, widziała przed sobą klatkę schodową. Okropne światło, kiedy się wychodzi z windy. Dzisiaj przez sekundę chciała się podkraść pod drzwi pani Malmer i popodśłuchiwać. Prawie się uśmiechnęła do tej myśli. Czy to przez ciążę? - Anonimowe rozmowy. Nocne msze pani Malmer. - Teraz uśmiech rozjaśnił jej twarz. Erik to zauważył. Poczula się głupio, jak histeryczka. Pomyłka. Nie ma się czym przejmować. A jednak.

Winter nadal siedział w fotelu. Dolną część jego twarzy oświetlała lampa stojąca na biurku. Na podbródku cień zarostu, pojawił się w

ciągu dnia. Nie przebrał się, kiedy wrócił do domu, ale zdjął marynarkę i krawat. Koszulę marki Harvey & Hudson miał rozpiętą pod szyją, dyskretne paski rozmywały się w mroku.

Poczuła jakiś... smutek na myśl o nim, o jego życiu. Wiedziała, że zмага się ze wspomnieniami, z trudną relacją z ojcem. Próbował sobie z tym radzić, nic o tym nie mówiąc, ale to nie był dobry sposób. Powinien z kimś porozmawiać, chociaż kilka razy. Widziała, że podbródek opadł mu trochę niżej, jakby zasnął tam, w fotelu, kiedy muzyka umilkła.

Jest przecież inteligentny, rozumie to. Ale od rozumienia do zrobienia długa droga. Cofnąć się we wspomnieniach. Przemilczanie nic nie pomoże. Albo rzucanie się prosto w nową... straszną sprawę do rozwiązania. Na chwilę to może przynieść jakąś pociechę, ale tylko na chwilę.

- Widzę, że mi się przyglądasz - powiedział i podniósł brodę. Teraz całą twarz miał ukrytą w cieniu.

- Myślałam, że śpisz.

- Odpoczywam. Kiedy odpocznę, będę gotowy na kolejne osiemnaście godzin pracy

- Ale w takim razie musisz coś zjeść.

- Jest środek nocy.

- Nocną przekąskę. Jadłeś coś w ogóle wieczorem?

- Kawę. Bułkę z serem.

- Mogę ci zrobić zapiekana kanapkę po parysku, z szynką zamiast mielonego mięsa.

- Kanapka paryska! Czy to jeszcze istnieje? Czy to słowo jest jeszcze w słownikach? Nie jadłem tego ze trzydzieści lat.

- No to najwyższy czas. To jedna z moich nocnych specjalności.

- Więc są jeszcze rzeczy, których o tobie nie wiem, Angelo. - Podniósł się z fotela, przyczołgał do niej i położył głowę na jej kolanach. Głaskała go po głowie, choć jej palce ześlizgiwały się z krótko

obciętych włosów - Mroczne nocne tajemnice - ciągnął Winter. - Tak. Tak! Postanowiłem spróbować tego... tej paryskiej kanapki.

Zjadł, a potem starał się nie myśleć o ojcu i o ostatnich dobach w Marbelli. Prawie mu się udało, ale zobaczył Alicię, mignęła mu na pół sekundy. Stolik w Altamirano, jej zdumienie, może nawet radość, kiedy stanął obok tamtego wieczoru, a jej przyjaciółka od razu załatwiła wolne krzesło, żeby mógł usiąść. Przynieśli jedzenie. Musieli czekać. Za długo, powiedziała Alicia i spojrzała na niego, jakby miał odpowiedzieć na jakieś pytanie, którego nie zadała. Pił wino i czarne żeliwne balkony po drugiej stronie placu nagle się zbliżyły, jakby buginville je przeniosły Czuł, że pot występuje mu na czoło.

- Co powiesz?

Angela patrzyła na niego, skinieniem wskazała na jego talerz.

- Fantastyczne - rzucił i odkroił kawałek chleba z jajkiem i szynką.

- Prawda?

- A równocześnie takie proste.

- Właśnie. Tak jak mówisz. Fantastyczne.

- I jak szybko. Jest niewiele po północy - powiedział i rzucił okiem na zegarek. Właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Patrik i Maria patrzyli przez okno kawiarni na białą ulicę. To nie jest normalne, żeby śnieg leżał w centrum, kiedy w ogóle cokolwiek spadło z nieba. Patrik tylko czekał, aż jacyś debile zaczną wywieszać świąteczne dekoracje na ulicach i w oknach. *Merry Christmas* w listopadzie. Po co w ogóle czekać? Można obchodzić Wigilię dwudziestego czwartego listopada. *Why not? Santa Claus is coming to town.*

- Że też coś takiego zdarzyło się praktycznie za rogiem - powiedziała Maria i napiła się czekolady. Jej papieros dymił w popielnicze.

W całej kawiarni w popielniczkach dymiło około trzydziestu milionów papierosów i kiedy wychodzili, Patrik czuł ten zapach w ubraniu i w środku mózgu. Nie lubił tego. Nie musiał palić dlatego, że wszyscy to robią.

- Kawalek dalej - poprawił. - Ale w sumie to prawie za rogiem.
- I to ty to odkryłeś.
- Dozorca też coś zauważył.
- To dlaczego nic nie zrobił? - zapytała i zaciągnęła się papierosem. - Dlaczego wcześniej nigdzie tego nie zgłosił?

- Skąd mogę wiedzieć? Ale on jest stary. A starzy to cykory
Zaśmiała się, odłożyła papierosa i znów upiła łyk czekolady. Ale kombinacja. Gdyby piła espresso, jeszcze by rozumiał, ale papieros z czekoladą? Sam pił espresso. Podwójne. Smakowało ohydnie. W dodatku w filiżance było tego bardzo mało.

- Jak myślisz, co zobaczyli, kiedy tam weszli? - zapytała.
- Nie mam pojęcia.
- To musiało być coś strasznego.
- Martwe małżeństwo - powiedział. - Jest tylko jedna gorsza rzecz.
- Co takiego?
- Żywe małżeństwo.

Uśmiechnęła się, ale zauważyła, że jego usta pozostały poważne. Może to nie był żart. Wiedziała, jak wyglądało jego życie i jak jest teraz. Wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć jego ręki, ale trafiła na swoją dłoń z papierosem i oparzyła się.

- Aj!
- Tak się kończy, kiedy się człowiek bawi w to gówno.
Pogładziła palec, dmuchała na niego.
- Piecze.
- Czas z tym skończyć.
- Nawet jeszcze dobrze nie zaczęłam.
- Wyobrażam sobie, że zobaczyli coś jeszcze gorszego niż u Wesa Cravena - powiedział Patrik.

- Co takiego?
- Halloween. Myślę, że tam w środku było coś w rodzaju Halloween.
- Co masz na myśli.
 - Mańka, posłuchaj... Przynajmniej raz zajrzałem do gazet. Człowiek czuje się jakby osobiście zainteresowany sprawą. Myśli, że policja powie trochę o tym, co tam znaleźli. Co się stało. Rozumiesz, Mańka?
 - Nie.
 - Ale nie było nic. Nie napisali, co się stało. Jak to się rozegrało ani nic takiego. To mi się wydaje podejrzane.
 - Bez przesady. Przecież nigdy nie piszą wszystkiego o takich sprawach.
 - Czytasz regularnie gazety?
 - Czytam program telewizyjny. Aveny.
 - Rozumiesz, o czym ja w ogóle mówię?
 - Chcesz powiedzieć, że oni... milczą, bo to było jakoś szczególnie straszne, to, co się tam stało?
 - Tak. To moja interpretacja. Im mniej piszą, tym gorzej było. - Wypił ostatnie krople zimnego espresso i skrzywił się. - *The less the more.*
 - Mocne.
 - Co?
 - To, co powiedziałaś. *Less is more.* Mniej znaczy więcej.
 - Jest jeszcze jedna rzecz.
 - Tak?
 - Chyba wiem, co to za metal leciał tam w środku.

20.

Byli trzy samochody dalej, kiedy Morelius zobaczył, że volvo przejeżdża na czerwonym. Brudna przednia szyba, inaczej by do tego nie doszło. Ludzie powinni lepiej dbać o samochody.

- Dopadniemy go pod mostem - stwierdził Bartram.

Wyprzedzili samochody stojące na światłach i dogonili volvo na stacji Shella. Kierowca czekał, kiedy zbliżali się do auta, z obu stron. Był sam, opuścił brudną szybę, kiedy Morelius był blisko. To był mężczyzna w jego wieku.

- Czy mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy? - spytał Morelius.

Mężczyzna wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni kurtki i spośród mnóstwa plastikowych kart wyciągnął prawo jazdy. Miał na sobie grubą bluzę z kołnierzykiem polo i cienką kurtkę. Okulary i rzadkie, zaczesane do tyłu włosy. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, ale to nie powinno dziwić w tej sytuacji. Morelius nie poczuł zapachu alkoholu.

- Trochę za bardzo się pan rozpędził przed chwilą.

- Tak, wiem.

- Na czerwonym świetle trzeba się zatrzymać.

- Wiem, wiem. Myślałem, że zdążę na żółtym. - Podniósł wzrok na Morelius. - Zwykle na żółtym jeszcze się da.

- To zależy - powiedział Morelius. - Bardzo się panu śpieszy?

- Jestem spóźniony do przedszkola. Bardzo spóźniony nawet. Już nawet dzwonili. - Spojrzał znowu na Morelius, ale nie błagalnie. - Nawet dzwonili - powtórzył.

Morelius miał wrażenie, że Bartram parsknął, jakby się śmiał.

- To prawda - zapewniał mężczyzna. - Przedszkole jest we Fräntorp - dodał, jakby to miało ich przekonać. - Mogę do nich zadzwonić - zaproponował i skinął głową w stronę komórki przypiętej na rzepie nad deską rozdzielczą.

- Nie trzeba - powiedział Morelius i oddał mu prawo jazdy. - Ale na przyszłość niech pan nie jeździ na czerwonym.

Mężczyzna wziął dokument i spojrzał na niego, jakby w każdej chwili mogła się zamienić w nakaz aresztowania.

- Ehm... to nic nie będzie?

- Nie będzie czego?

- Mandatu ani punktów, czy co tam się dostaje.

- A chce pan?

- No... nie.

- Niech pan będzie ostrożny na przyszłość - powiedział Morelius i zawrócił do radiowozu. Bartram wycofał się już wcześniej i wsiadł. Morelius usłyszał, jak mężczyzna uruchamia silnik i rusza.

- Miał szczęście, że trafił na gliny, ale nie z drogówki - stwierdził Bartram.

- Tamci muszą myśleć o statystykach. - My musimy myśleć o wszystkim, pomyślał Morelius. Policja porządkowa to najbardziej wszechstronni funkcjonariusze w policji: narkotyki, ruch uliczny, kradzieże, przemoc. Wielozadaniowi. Podwójne morderstwa.

- Człowiek chodzi po mieście i widzi na ulicy skurwiela, który obrabował kobietę i rozwalił jej szczękę, tak że musiała być na zwolnieniu trzy lata, a on posiedział za to ledwie miesiąc. Czy w takim razie powinniśmy przywalić facetowi, który się śpieszy do przedszkola, tysiąc dwieście koron mandatu?

- Nie dzisiaj - odparł Morelius.

- Ja kiedyś wypuściłem sklepowego złodziejaska - powiedział Bartram.

- Co?
 - Pozwoliłem odejść sklepowemu złodziejowi, nie zgłosiłem tego - wyjaśnił Bartram. - Całkiem niedawno.
 - Ach tak?
 - Nie można się zawsze tak nadymać. Napawać się władzą.
- Coś zaskrzeczało w radiu:
- Jedenaście dziesięć, gdzie jesteście?
 - Jesteśmy na rondzie, na północ od Centralnego - odpowiedział Bartram.
 - Ktoś zadzwonił z komórki z Kungsportsplatsen. Zatrzymali faceta, który zaatakował kogoś nożem w tramwaju, trzymają go.
 - Zrozumiałem - odparł Bartram, a Morelius włączył syrenę i koguta i zjechał z ronda na południe.
 - Czekają przy wiacie, w kierunku na północ. Czy rozumiałeś?
 - Tak, zrozumiałem - potwierdził Bartram. Przejechali po torach wzdłuż Brunnsparken i skręcili w lewo.

Winter napisał: WALL. Pierwszą literę otoczył kółkiem. Czy to ma sens siedzieć tutaj nad tym? Zagadki takie jak ta zabierają czas na inne zagadki, ale ten komunikat go przyciągał. Może nadawał mu większe znaczenie, niż rzeczywiście miał. Tutaj nie ma żadnych odpowiedzi, myślał, rozważając możliwe rozwiązania. Jedno słowo? A może morderca chciał tylko powiedzieć, że to ściana? Czy ściana jest symbolem? Czy to się jakoś łączy z muzyką? Może ściana jest ważnym symbolem w muzyce satanistycznej? Setter powiedział, że taką muzykę mogą grać sataniści. Miał nową propozycję: to black metal. Nie death metal. Black metal. Jeszcze gorzej.

Muzycy niekoniecznie muszą być satanistami. Ale ci, którzy słuchają tej muzyki, wykorzystują ją do takich celów. Przynajmniej niektórzy. Z pewną pomocą zespołów oczywiście, jak powiedział Johan.

To nie mogła być prawda. Winter nie chciał jeszcze iść w tę stronę. Jeszcze nie. Valkerowie mieliby siedzieć w jakichś satanistycznych klimatach? Dowiedzą się tego, kiedy przesłuchają ich znajomych.

Znów spojrzął na to słowo. Napisał je jeszcze raz, zakreślił nowe kółko. Wszyscy? Zabił wszystkich? Wszyscy mają umrzeć? Nad tym już się zastanawiałem. Dlaczego zakreślił W? Czy mam myśleć o W? Co się zaczyna na W?

Wstał od biurka, podszedł do lustra nad umywalką, którą kazal zamontować w swoim pokoju, kiedy latem remontowano piętro wydziału śledczego, może w ramach przygotowań do nowego tysiąclecia. Chcieli być jak najlepiej przygotowani na nadchodzącą nową epokę.

Lekka opalenizna, którą przywiózł z Costa del Sol, zniknęła, zastąpił ją typowy dla zimy sinawy odcień. Zima. *Winter*. Winter zaczyna się na W Lekko nacisnął prawą dłonią policzek. Winter. Trochę za wcześnie na paranoiczne myśli.

Dochodzenie dopiero się zaczęło, ale nie miał poczucia, że tak jest. Miał wrażenie, że śledztwo zaczęło się w chwili, kiedy wsiadał do samolotu do Malagi. To się zaczęło właśnie wtedy.

W Double-u. Podwójne morderstwo.

Zadzwoił telefon, a on nadal stał przy umywalce. Pomyślał o głuchych telefonach do domu. Wczoraj w nocy odebrał, jedząc kanapkę paryską, ale po drugiej stronie nie było nikogo. Tym razem nie było nawet oddechu, tylko ciągły sygnał wolnego łącza. Może powinien zastrzec numer.

Podszedł do biurka i odebrał.

- Cześć, tu Lotta. Może przeszkadzam, ale czy nie mielibyście ochoty przyjść do nas z Angelą jutro wieczorem? Jutro jest piątek.

- Zapytam ją.
- A jak tam u ciebie?
- No... ja mogę przyjść...
- Słyszę entuzjazm w twoim głosie.

- Jeśli nie zdarzy się nic więcej... nic nowego.
- Czytałam o tym. Para z Vasastan.
- Mieszkali tam, właśnie.
- To tylko parę domów od was.
- Nie przypominaj mi. A przede wszystkim Angeli.
- Postaram się tego unikać. A tak poza tym, mama dzwoniła przed chwilą.

- I jak?
- Wygląda na to, że jest silna. Silniejsza, niż się spodziewałam, naprawdę.

- Co teraz robi?
- Wygląda na to, że bardziej się otworzyła. Częściej się spotyka z dawnymi znajomymi stamtąd.

- To dobrze.
- Przyjedzie do nas na święta.
- Tak powiedziała?
- Właściwie tak.
- Będę musiał zrobić zapas tanqueray.

Usłyszał, że siostra zrobiła przerwę. Wiedział, co teraz powie. Sam się zastanawiał, kiedy powinien coś o tym powiedzieć.

- Tata śnił mi się dzisiaj w nocy - powiedziała. - Wyszedł z jakiegoś lasku. Było lato. Takie ostre słońce, wiesz chyba.

- Był sam?
- Nie wiem. Potem się obudziłam, tak mi się wydaje. Zresztą... był młodszy... jak my teraz mniej więcej. Pamiętam, że poznałam to po jego twarzy, naprawdę. Czy to nie dziwne?

- Nie wiem. Chyba nie jest dziwne, że ci się śnił. Ja... też o nim myślę. Mnie też się śniło coś podobnego.

Kiedy dotarli na miejsce, szalenciec z nożem zdążył się już uspokoić. Był tak spokojny, że położył się na ziemi. Morelius nachylił się nad nim.

- Żyje?

Morelius podniósł wzrok na Bartrama.

- Jest nieprzytomny. Chyba na prochach.
- Karetka już jedzie.
- Mówiłem, żeby wezwali też pogotowie - powiedział młody człowiek. Nadal trzymał komórkę w dłoni.
- A więc to pan to zgłosił? Okej. Co się stało?
- Wymachiwał nożem na wszystkie strony i gonił za kimś, kiedy się tu zatrzymaliśmy. Siedziałem w środku, wyskoczyłem za nim i podłożyłem mu nogę.
- A potem?
- Próbował się podnieść, ale kilka osób mocno go przytrzymało.
- Gdzie nóż?
- Zgubił go. Tam leży. - Wskazał na chodnik. Morelius dojrzał nóż, między chodnikiem a jezdnią.
- Czy ktoś został ranny? Podczas jazdy albo tutaj?
- Nie. Chyba tylko on.
- Kogo gonił?

Odsunęli się, kiedy nadeszli sanitariusze z noszami. Szybko zbadali leżącego mężczyznę. Nadal był nieprzytomny.

- Chyba naćpany - powiedział Morelius.

Sanitariusze położyli nieprzytomnego na noszach i zanieśli do karetki. Morelius jeszcze raz zadał mężczyźnie z komórką to samo pytanie:

- Więc gonił kogoś?
- Nie wiem. Tak wyglądało, ale on był... naćpany, więc...
- Nikogo konkretnego pan nie zauważył?
- Chyba nie.

Winter poszedł na kawę, a potem wrócił do swojego gabinetu. Znowu padał śnieg. Grudzień jeszcze się nie zaczął, ale zima już przyszła. Dziesięć centymetrów śniegu. Wiedział, że będzie leżał przez całe nadchodzące święta. Nowa epoka. Odetchnął głęboko, wciągnął mocno powietrze, a potem wypuścił.

Jeszcze nigdy tak nie było. Nie mógł się skoncentrować, potem mu się to udawało, później znów był rozkojarzony Myślał o ojcu, o Angeli, o dziecku, o matce, siostrze, o sprawie, o telefonie, który dzwonił, znów o Angeli. O Alicii.

Möllerström przyszedł z nowymi zdjęciami. Winter chciał obejrzeć wszystkie. Zrobiono wszelkie możliwe ujęcia.

Z przodu nie było widać wiele więcej niż kolczasty naszyjnik. To samo z boku. Zarówno u niej, jak i u niego.

Z tyłu można było coś dostrzec, o ile się wiedziało. Jakiś element nie całkiem pasujący do reszty, jakieś zakłócenie równowagi. Trzeba było dużo siły, żeby czegoś takiego dokonać, powiedziała Pia. Była lekarzem sądowym, wiedziała, co mówi. Nawet ona zbladła, kiedy to zobaczyła.

I to zachwianie równowagi.

Nie było odcisków palców, nikogo poza zamordowaną parą. Sprawdzaliśmy szczególnie dokładnie wokół oczu, mówił Beier. Zastępca szefa wydziału technik kryminalistycznych wyglądał na wstrząśniętego, on też, i zdziwionego. Jakby zostali postawieni przed czymś, co nie mogło być prawdziwe.

Ale pytanie i tak brzmiało tak samo jak zawsze: Dlaczego? Dlaczego ktoś to zrobił?

Winter spróbował obejrzeć zdjęcia jeszcze raz. Najgorsze było to zrobione ukośnie, z boku, jej twarz z profilu. Jej ciało podparte poduszką, wielką i grubą.

Trzymali się za ręce w mocnym śmiertelnym splocie. Ale dopiero potem, jak powiedziała Pia E:son. Palce zostały splecione po fakcie.

Włączył muzykę. Gitary tak wysokie, jak się tylko dało. Niestłuchane tempo. Przede wszystkim perkusja nakręcająca przyśpieszony rytm. Bas, pang-pang-pang-pang. Wokal skrzeczał jak upiór. Wiedźma. Czy to były słowa?

- Nawet ktoś, kto ma wprawę, czyli fan takiej muzyki, prawie nigdy nie rozumie słów.

Johan Setter siedział naprzeciwko Wintera. Jego skórzana kurtka była równomiernie powycierana. Marki Bondelid, pomyślał Winter. Setter miał na czole delikatne zmarszczki.

- Zaniósłem tę kasetę do Madhouse przy Drotningatan, ale nie potrafią nam pomóc. Posłuchali, ale nie potrafili powiedzieć nic konkretnego.

- Nic konkretnego? Co to znaczy?

- To znaczy, że nie mieli bladego pojęcia. A przecież to najlepszy sklep z muzyką metalową w mieście. No, dziewczyna stamtąd powiedziała, że to raczej black metal. Raczej black metal niż death metal. Choć różnica nie jest jakaś ogromna. To jeszcze bardziej utrudnia sprawę, tak powiedziała.

- A jaka jest różnica?

- Jeśli chodzi o muzykę, to w black metalu tempo jest szybsze. Wokal bardziej piskliwy. W death metalu śpiewa się niżej. Jakby z głębi gardła.

- A jeśli chodzi o inne rzeczy?

- Co takiego?

- Powiedziałeś: jeśli chodzi o muzykę. O co innego miałyby chodzić? O teksty?

- No tak, w black metalu teksty są najwyraźniej bardziej, hm... mitologiczne. Trochę romantyzmu wikingów i takich tam bzdur. Trochę satanizmu.

- Satanizmu?

- Przynajmniej fani czerpią z tego inspirację... częściej niż ci, którzy słuchają death metalu.

- Inspirują się tekstami?

- Najwidoczniej.

- Jak, u diabła, można się inspirować tekstami, kiedy nie da się ich zrozumieć?

- Konieczne są broszurki z tekstami - wyjaśnił Setter. - Zawsze są dołączane do płyt.

- Więc to jest bardziej intelektualne, niż na pierwszy rzut oka wygląda - stwierdził Winter.

Setter spojrział na niego. Spodziewał się zobaczyć uśmiech, ale nie dostrzegł nic takiego.

- Więc potrzebujemy do tego broszurki z tekstami - powiedział Winter i ruchem głowy wskazał na kasetę leżącą przed Setterem. - Wtedy dowiemy się też, kto to gra. I śpiewa. Skrzeczy.

- Myślałem, że to nie będzie szczególnie skomplikowane - przyznał Setter. - Oni sami byli bardzo zaskoczeni, że nie potrafią tego rozpoznać. Ale powiedzieli, ci tam, w Madhouse, że wiele z tych zespołów brzmi podobnie.

- I nie mogli nawet powiedzieć, czy to szwedzka, czy zagraniczna grupa?

- Nawet tego nie. To nie takie łatwe.

- Kto powiedział, że ma być łatwe? - Winter sam pomyślał, że to zabrzmiało, jakby narzekał. - Ale już wyeliminowałeś kilka możliwości. - Niezłe słowo. Eliminować. - To nie jest death metal.

- Kupiłem gazetki i fanziny, to, co tam mieli - powiedział Setter i schylił się. Wyjął z torby na ramię cienki plik i położył go na stole. - Jeszcze nie zdążyłem ich przejrzeć.

Winter wziął do ręki kilka cienkich zeszytów. *Nekrologium - the 9th book of blasphemy*. Przegapił pierwsze osiem numerów. *Combichrist. Fear. Reinforce*. Zatrzymał dłużej wzrok na następnym tytule: *Amputation Magazine*.

21.

Zdjęcie leżało na stole, wziął je do ręki i obejrzał. Kto to zrobił? Kto mógł zrobić coś takiego? Ten, kto to zrobił, niech podniesie rękę. No, ręka w górę!

Podniósł prawą rękę, polaroidowe zdjęcie trzymał w lewej. Jak to leworęczni? Chyba tak się właśnie robi, prawda? Dlaczego ktoś miałby robić odwrotnie? Trzymać zdjęcie w prawej ręce? Potrząsnął głową i zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić ze zdjęciem. Nie mógł się zdecydować. Zawsze tak było.

A jednak się zdecydował, prawda?

Opuścił prawą rękę i przypiął zdjęcie do ściany, szpilką z czarną główką. Stał tuż przy nim i przyglądał się. Oni odwzajemniali jego spojrzenie, ale coś tam było nie tak, prawda? Tamten na sofie najwidoczniej chciał kiwnąć głową, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, żeby nie paść wprzód. Całkiem dobrze sobie poradził, zdolna bestia. Ona tak samo. Z-d-o-l-n-a.

Rozpląkał się. Poza tym było zupełnie cicho. Cicho. Śnieg wszystko wyciszał. Płakał i słyszał własne jęki. Wiedział, że jest ktoś, kto słucha, ale ten... szatan jeszcze się nie pokazał.

Nie chciał, żeby było cicho. Podszedł do sprzętu stereo, wybrał płytę, włączył ją i zaczął nucić melodię, *the old home town looks the same, as I step down from the train*, podśpiewywał razem z płytą, to była muzyka, czuł, że się jej spodoba, kiedy jej puści Toma pierwszy raz, ale ona się z niego śmiała. Nie tak jak później, kiedy była... dla niego taka podła.

Wyłącz to, śmiała się. To mi przypomina o domu. O Boże, ha, ha, ha, przestań, bo zaraz umrę.

Przejrzała jego płyty i jeszcze bardziej się zaśmiewała.

- Ty tego słuchasz? No nie, nie mogę, zaraz umrę.

Ha, ha, ha. H-a, h-a, h-a.

Prawie jak wtedy, kiedy to się stało. Powinien to zrozumieć.

- Co jest? - zapytał go kiedyś ojciec. - Masz jakiś problem.

Kiedy znów pojechał do domu, nic nie powiedział, bo nie mógł nic więcej powiedzieć, prawda? Już nic.

Cały pokój rozświetlało słońce, przebiło się przez chmury Zdjęcie rozmyło się w jego promieniach, spłonęło. Teraz mogę o tym zapomnieć, pomyślał.

Fredrik Halders i Aneta Djanali odwiedzili salon Hair.

- Uniseks - powiedział Halders.

Młodzi mężczyźni i młode kobiety obcinali włosy młodym mężczyznom i młodym kobietom. Halders miał to już za sobą. Oglądał swoją ostrzyżoną głowę w mnóstwie luster. Artysta fryzjer nie miałby tu nic do roboty. Uratował głowę.

- Bywasz w takich miejscach? - zapytał.

- Co?

- Prostujesz sobie afro w takich miejscach?

- *Shut up* - rzuciła Aneta Djanali z lustra.

Byli dziwną parą. Nie pierwszy raz przyszła jej do głowy ta myśl.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytała kobieta po trzydziestce. Właśnie wyszła z pokoju na lewo i stanęła przy kontuarze z kasą, przy którym czekali. Była wysoka, może z metr osiemdziesiąt, miała na sobie czarną bluzkę i czarną spódnicę. Przedziałek z boku, z pozoru prosta fryzura. Halders czuł te wszystkie oszałamiające zapachy, słyszał muzykę z komercyjnego radia. Czuł się niezręcznie i na pewno wszyscy to widzieli. Peda... nie, opanuj się, chłopie. Jesteś z Anetą. Musisz pokazać, że coś potrafisz. Olej pedałów.

- Chcielibyśmy pani zadać kilka pytań. Chodzi o Louise Valker - powiedziała Aneta i pokazała legitymację. - Jesteśmy z policji kryminalnej.

Kobieta z poważną miną skinęła głową.

- Czy to pani salon?

- Tak. Nazywam się Irma Fletcher. - Spojrzała na drzwi, którymi właśnie weszła. - Możemy przejść do biura.

Usiedli przy owalnym szklanym stole pokrytym błyszczącymi czasopismami. Halders widział tylko kobiece głowy na okładkach. Na chwilę zamknął oczy, potem skierował wzrok na ścianę, na czarno-białe plakaty reklamowe z kobietami w podartych ubraniach. Wyglądały, jakby były wysmarowane krwią. Jedna leżała na podłodze, oczy miała dziwnie wytrzeszczone. W tle majaczyła postać mężczyzny w kapeluszu, długim płaszczu i z karabinem maszynowym w dłoni. Halders widział tylko jego zarys, ale poznał, że to atrapa uzi.

- A co to takiego, u diabła? - zapytał, wskazując skinieniem ścianę.

- Co? - Właścicielka salonu ze zdziwieniem odwróciła głowę.

- Co to za zdjęcia? Wykradliście je z wydziału technik kryminalistycznych? Zdjęcia z miejsca zbrodni?

Kobieta spojrzała na ścianę i oboje zauważyli, że poczerwieniała. Cała krew napłynęła jej do twarzy, pomyślała Aneta Djanali. Zaraz z przegrzania rozleje jej się cały makijaż.

- O, myślałam, że już je zdjęliśmy. Nikt o tym nie pomyślał. Wisiały tu jakiś czas i... w końcu człowiek zaczyna widzieć tylko ścianę. - Twarz wciąż miała purpurową. - Ale to bardzo niestosowne.

- Ale co to jest? - nie poddawał się Halders.

- Hm... to zdjęcia mody. - Spojrzała na ścianę. - Dostaliśmy trochę takich rzeczy jesienią.

- Czy to moda na nowe tysiąclecie? - zapytała Aneta Djanali.

- Krew na głowie - rzucił Halders. - Nowy, wspomniał świat.

Irma Fletcher wyglądała, jakby chciała wziąć całą winę na siebie. Nagle wstała, zerwała trzy zdjęcia, zmięła je i wrzuciła do dużego przezroczystego kosza stojącego przy drzwiach. Usiadła.

- Z tego co wiemy Louise Valker pracowała tutaj przez ostatnie dwa miesiące. - Aneta Djanali zajrzała do notatnika.

- Nie. Pracowała raczej... dorywczo, czy raczej... dołączała do nas na chwilę, kiedy potrzebowaliśmy więcej ludzi. Dość nieregularnie.

- Czyli to nie było nic stałego.

- Właśnie to miałam na myśli, mówiąc, że nieregularnie. Ale tak chciała.

- Chciała tak pracować?

- Rok temu zaproponowałam jej stałe zatrudnienie na pół etatu, ale odmówiła.

- Odmówiła? To chyba rzadko się zdarza?

Irma Fletcher wzruszyła ramionami.

- Nie wyjaśniła, a ja nie pytałam.

- Była dobra?

- Tak... była dobra. Może nie całkiem otwarta na nowe rzeczy, ale cóż, to mogło wynikać z tego, że nie była już najmłodsza. Sama nie wiem, wolałabym nie spekulować.

- Spotykała się z innymi fryzjerami stąd?

- Nic o tym nie wiem. Możecie ich zapytać, ale nie sądzę.

- Raczej wolała być sama? - zapytał Halders.

- My tu ciężko pracujemy i każdy chyba w jakimś sensie woli być sam - wyjaśniła Irma Fletcher. - Część ma własne fotele. Pracują na własny rachunek. A potem... potem idzie się do domu, kiedy się skończy.

- Czy pani choć trochę ją poznała?

- Nie, właściwie nie. Kiedyś wypiliśmy razem kawę w barze po sąsiedzku. To było wtedy, kiedy proponowałam jej pracę. To był chyba jedyny raz.

- Co pani może o niej powiedzieć? Jaka była?

- Lubiła mężczyzn.

- Słucham?
- Odniosłam wrażenie, że była zainteresowana mężczyznami. Taka trochę flirtiera. Takie rzeczy zauważa się od razu.

- Christian był świetnym sprzedawcą. Co za... tragedia.

Siedzieli w biurze z widokiem na miasto, wszyscy z wyjątkiem Haldersa woleli stać.

Comee miał swoją *open space* na dwunastym piętrze. Ludzie stali pochyleni nad komputerami. Rozmawiają ponad głowami komputerów, pomyślał Halders. Muszę sobie dać spokój z tymi skojarzeniami.

Szef do spraw zatrudnienia i sprzedaży w jednej osobie siedział przed nimi i raz sprawiał wrażenie poważnego, raz zadowolonego. On się zapomina, pomyślała Aneta Djanali.

Było wczesne piątkowe popołudnie, wszyscy mężczyźni byli ubrani swobodnie, w kraciaste koszule, T-shirty pod tweedowymi marynarkami, koszulki polo. Nieliczne kobiety, które Halders zauważył, wyglądały jak zwykle. Może jedna była w dzinsach. Szef sprzedaży miał na sobie czarny T-shirt, czarną jednorzędową marynarkę, kowbojki, czarne dzinsy.

Casual wear, pomyślała Aneta Djanali. Będę musiała wytłumaczyć Fredrikowi. W piątki w biurach obowiązuje luz. Poza tym królują krawaty. Mężczyźni się bawią. Comee prawie jak komik.

- W jakim sensie świetnym? - zapytał Halders.
- Wiedział, co robi. Nastawiony na realizację celów. Miał wyniki.
- Dlaczego w takim razie go państwu nie brakowało?
- Słucham?
- Nie było go dziesięć dni. I nikomu go nie brakowało?
- Po pierwsze to nie tak u nas wygląda - odpowiedział mężczyzna i założył nogę na nogę. - Nie kontaktujemy się z pracownikami codziennie. To są ludzie o szczególnych kompetencjach, pracują samodzielnie.

Szczególne kompetencje, *my ass*, pomyślał Halders. Jedyna rzecz...

- A poza tym Christian wziął właśnie tydzień urlopu, mniej więcej w tym czasie. Dowiedziałem się o tym dopiero po fakcie.

- Ale to tylko tydzień.

- Jak mówiłem, pracują samodzielnie. Może nie miał żadnych terminów parę dni przed czy po urlopie. Nie sprawdzałem tego. Jeszcze nie. - Potem spojrział na Haldersa, może nawet z pewną dozą arogancji. Halders nie był pewien i wołał tego nie sprawdzać.

- Znał pan Christiana Valkera? - zapytał.

- Słucham?

- Czy znał go pan poza pracą? Czy spotykaliście się prywatnie?

- Nie. Czasem jakieś piwo z chłopakami - odparł, patrząc na Anetę. - To znaczy... z zespołem.

- Okej. A poza tym? - rzucił Halders.

- Co pan ma na myśli?

- Co może pan powiedzieć o jego osobowości? Czy opowiadał... coś o przyjaciółach. Albo o żonie. O tym jak spędza wolny czas. Cokolwiek, poza pracą.

- Tylko to co zwykle.

- Co takiego? - zapytała Aneta Djanali.

- Babki.

Pojechali tramwajem numer cztery do Hagen. Angela była zaskoczona, kiedy to zaproponował.

- Przecież ty nigdy nie jeździsz tramwajem.

- Dziś wieczorem pojedę.

- Dlaczego?

Co miał odpowiedzieć? Że chciał zobaczyć miasto takim, jakim je widzi większość mieszkańców? Ech. Nie chciał jechać taksówką ani prowadzić. Chciał też się trochę przejść.

- Chcę się trochę przejść. Podejźmy do Avenyn i tam wsiądziemy w tramwaj. Jesteś gotowa?

- Chyba widzisz, że nie jestem - zawołała Angela z łazienki.

- Okej. Zaczekam.

Angela przyglądała włosy i nałożyła błyszczyczkę na usta. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała w lustro. Kiepskie światło. Miała w nim worki pod oczami. Kiedy się przeglądała w lustrze w szpitalu, nie widziała ich. Zrobiła minę do swojego odbicia. To nie wina światła. Chcesz mieć dom. *Your flat days should he over*. Dom nad morzem.

Winter poszedł do salonu i stanął przy oknie. Coltrane dął razem z Redem Garlandem. *Soft Lights and Sweet Music*.

Miasto było utulone gazą. Z opatrunków unosiło się miękkie światło. Wysokie punkty migały. W ostatnich latach zmieniła się topografia miasta. Wyciągnęło się ku niebu. Samoloty krzyżowały trasy w drodze na lotnisko.

Spojrzał w dół. Tam w dole. Gdzieś tam. Ile razy stałem tu i myślałem: może tam jest odpowiedź, rozwiązanie. Tam chodzi ten, którego chcę spotkać, może właśnie przechodzi ulicą pode mną. Może to ten, co przecina park. Teraz mija obelisk. A potem mi się udawało. Zawsze umiałem go odnaleźć.

- Gotowa - powiedziała Angela z przedpokoju. Równocześnie ucichła muzyka, to był ostatni utwór.

Winter wyłączył sprzęt i wyszedł z pokoju.

Kiedy czekali na windę, z mieszkania pani Malmer wyszedł starszy mężczyzna. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Widząc ich, zawahał się, ale potem stanął obok i skinął im głową. Też czekał na windę. Był wysoki, szpakowaty, na twarzy miał plamy wątrobowe.

- Kto to był? - zapytała Angela, kiedy znaleźli się na dole i skręcili na zachód. Obcy ruszył ku Allén.

- Nigdy go nie widziałem.

- Hm...

- Co jest?

- Nic.

Na przystankach na Vasaplatsen stało mnóstwo ludzi. Z ich ust unosiły się obłoki pary. Angela czuła chłód przenikający przez płaszcz i pożałowała, że nie wzięła czapki. Już jej zmarzły uszy. Minus siedem, a to nawet jeszcze nie adwent. Może w Wigilię będzie plus siedem.

- Twoi koledzy - powiedziała do Wintera.

- Co?

- Radiowóz po drugiej stronie.

- Ach tak, widzę.

- Zaparkowany.

- No cóż...

- Możesz zobaczyć, co to za jedni?

- O co ci chodzi?

- Skąd są.

- Z jakiego rejonu? Nie wiem, pewnie z Lorensbergu. Dlaczego pytasz?

- Nic...

- Teraz sobie przypominam. Moż...

Radiowóz ruszył i skręcił na skrzyżowaniu, potem przejechał obok nich. Winter podniósł rękę.

- Simon - powiedział.

- Kierowca? Znasz go?

- Wiem, kto to jest.

Wsiedli do pełnego wagonu i stanęli na środku, trzymali się zwisających z góry uchwytów. Angela zapierała się stopami, żeby utrzymać równowagę. Wyglądało to tak, jakby chciała chronić brzuch. Nie za dobrze pomyślane, Eriku, pomyślał Winter.

Wielu pasażerów wysiadło przy Kungsportsplatsen i Angela mogła usiąść. W ich części wagonu było spokojnie, ale z tyłu ktoś krzyczał, groził i awanturował się. Wszyscy omijali go wzrokiem. Przy Brunnsparken dosiadło się jeszcze kilku pijanych. Winter musiał się przesunąć.

Po kolejnych dwóch przystankach miejsce obok Angeli się zwolniło. W wagonie pachniało dymem zmieszany z alkoholem i potem siedzącego przed nimi tłuściocha. Kilka nastolatek przyglądało się Winterowi. Czarnoskóry mężczyzna słuchał muzyki z walkmana, poruszał rytmicznie głowę. Przy Järntorget wsiadła grupka chłopaków w czarnych skórzanych kurtkach z mnóstwem nazwisk i symboli. Diabeł, dwie wiedźmy. Siekiera z ociekającym krwią ostrzem. Reklamówki z piwem zadzwieczały, kiedy je postawili na pokrytej brzoją z czarnego śniegu podłodze. Para nastolatków trzy rzędy przed nimi odwracała się kilka razy, najwyraźniej przyglądali się jej albo jemu. Dziewczyna wydawała mu się znajoma. Wyrzwał na ulicę. Zanim wjechali na Stigberget, wyprzedził ich radiowóz. Znów długie ramie prawa, pomyślał Winter.

Lotta przyjęła ich w chmurze zapachu czosnku i ziół.

- Gdzie dziewczynki? - zapytał Winter.
- Piątek wieczorem. Ósma. One już nie zostaną w domu, nawet dla ciebie, Eriku. Muszę was uściskać! - Objęła ich. - Ależ jesteście ZIMNI.

- Chyba wrócą przed jedenastą? Dziewczynki?
- *Grow up.*
- Wszystko jeszcze przed nim - stwierdziła Angela.
- Należ mi wina, a Angeli wody - poprosił Winter.
- Rozmawiałaś z mamą?
- Tak.
- Jak było?
- Przyjedzie na święta - powiedział Winter.
- A poza tym jak? Jak sądzisz? - spytała siostra.
- Tak jak mówiłaś... sprawia wrażenie... silnej. Miejmy nadzieję, że to się utrzyma.

Miejmy nadzieję, że wszyscy się utrzymamy, pomyślała Lotta, nalewając wino i wodę.

22.

Hanne Östergaard odgarniała śnieg. Łopata skrobała kamienne płyty. Zaspy śniegu. Ogród był pokryty bielą. Drzewa sterczą teraz jak szkielety, którymi zresztą są, pomyślała i poczuła, że zaczyna się pocić pod czapką.

Kilkoro sąsiadów też męczyło się z łopatami do śniegu w to sobotnie przedpołudnie albo z różnymi rodzajami rydli. Niewiele z nich było pożytku. To nie Norrlandia, tutaj nikt się nie spodziewa, że śnieg utrzyma się dłużej.

Trzy domy dalej jakiś mężczyzna zmieniał koło. Hanne spojrzała na swój garaż i zobaczyła, że bocznymi drzwiami wychodzi Maria w grubym swetrze i dwumetrowym szaliku owiniętym wokół szyi, bez czapki i rękawiczek. W ręce trzymała miotłę. Włożyła ją między uda i zeskoczyła z trzech stopni.

- Chciałam trochę polatać - powiedziała.
- To nie te święta, kochanie.
- A właśnie. Wielkanoc. Więc wierzysz w czarownice?

Wierzę we wszelkie zło, pomyślała Hanne Östergaard, ale to była tylko przelotna myśl.

- Wierzę w tę, co stoi przede mną - powiedziała. - Przynajmniej czasami.

Nagle na twarzy Marii zobaczyła smutek. Zniknął po kilku sekundach. Potem znów podniosła wzrok.

- Pomyślałam, że ci trochę pomogę. - Przejechała miotłą po płytkach. - Zmiotę tę resztkę śniegu.

- To świetnie.

Maria zamiatała w skupieniu. Jej twarz wyglądała tak dziecinnie. Hanne Östergaard zobaczyła w niej dziecko. Kiedy spojrzała na nią i

się uśmiechnęła, poczuła przyływ czułości. Ona tak przeprasza. Zamierzała to puścić w niepamięć, całkiem. Jest tylko dzieckiem. Co ona może wiedzieć. Po odśnieżonych płytkach nadchodził Patrik, w wielkiej grubej czapie na głowie. Starczyłoby jej również dla Marii.

- Witaj, Patriku. - Hanne wyciągnęła rękę. - Dawno cię nie widziałam.

- Dzień dobry. Pomyślałem sobie, że was odwiedzę. Miałem ochotę na spacer za miastem. - Rozejrzał się. - Ależ tu jest sakramencko białe.

- Tak też można to nazwać.
- Sakramencko białe. W mieście śnieg już właściwie stopniał.
- Chcecie się napić gorącej czekolady?
- Co ty na to? - Maria spojrzała na Patrika pytającym wzrokiem.
- Sakramencko chętnie, naprawdę. Trochę zmarzłem. Ogrzewanie w wagonie nie działało.

Podawała im kanapki z serem i dwa kubki czekolady. Trzeci właśnie się robił.

- Już wiesz, co to jest? - zapytała Maria z ustami pełnymi chleba.
- Słuchałem trochę wczoraj, ale byłem taki zjeb... zmęczony - odpowiedział.

- Okej.
- A ty słuchałaś płyty, którą pożyczyłaś? - zapytał.
- W życiu. To ty mi ją wcisnąłeś. - Odgryzła kolejny kęs. - Nie podoba mi się.

- Co ci się nie podoba? - zapytała Hanne. - Zaczyna mnie to interesować.

- Hard rock.
- Death metal - wyjaśnił Patrik. - Black metal.
- Ach tak?
- To nie dla Mańki. Za bardzo *heavy*.
- Ale co to jest? Coś jak punk?

Patrik się roześmiał.

- Chyba hardcore punk - odparł i dopił resztkę czekolady.

Hanne podeszła do kuchenki, żeby zagrzać więcej mleka.

- Patrik wie wszystko o muzyce - powiedziała Maria. - I o tym, co nie jest muzyką, też.

- Czyli ten... metal się do muzyki nie zalicza?

- Nie dla mnie, mamo.

- Nie można tak po prostu tego... pomijać - stwierdził Patrik.

- Ale jak to w ogóle brzmi? - zapytała Hanne, podchodząc do stołu z ciepłym mlekiem. - Jestem ciekawa.

- Okej - rzuciła Maria i wstała z krzesła. - Poczekajcie.

- Nigdzie się nie wybieramy - powiedział Patrik.

Maria wyszła. Minutę później dom wypełniło coś w rodzaju muzyki. Hanne spojrzała na Patrika, a on zaczął skrzeczeć jak szalony do dźwięków przypominających katastrofę lotniczą.

- Black metal - powiedział.

Maria wróciła.

- Chodzi o to, żeby brzmiało jak śpiew czarownicy - wyjaśnił Patrik.

- Mogę przynieść miotłę - rzuciła Maria.

Patrik pił czwarty kubek czekolady. W końcu opowiedzieli o jego podejrzeniach przed tamtymi drzwiami i o telefonie do dozorca.

- Policja jeszcze z tobą nie rozmawiała? - zapytała Hanne.

- Nie.

- To dziwne.

Patrik odstawił kubek na dobre. Wzruszył ramionami.

- Mnie to na rękę. Zresztą to chyba nie takie ważne. Przecież się dowiedzieli. A nie powiem więcej niż ten dozorca.

- Takie sprawy rozstrzyga policja.

- Ech, mamo, za dużo przesiadujesz na komendzie.

- A on sobie przypisał całą zasługę. Może myślał, że będzie za to nagroda. - Spojrzał na Hanne. - Może zresztą była. - Spojrzał na Marię.
- Może popełniłem *big mistake*.

- Powinieneś się chyba skontaktować z... wyjaśniającymi tę zbrodnię - powiedziała Hanne. - Z wydziałem dochodzeniowo-śledczym.

- To ten, co go znasz - powiedziała Maria. - On chyba tam pracuje, nie?

- Erik? Erik Winter? Nie wiem, czy pracuje właśnie nad tą sprawą. Ale chyba powinien.

- To był on - powiedziała Maria, spoglądając na Patrika.

- Mówiłaś - przyznał.

- Jestem pewna.

- Co? - Hanne Östergaard spojrzała pytającym wzrokiem na córkę.

- Co masz na myśli?

- Widzieliśmy go w tramwaju, wczoraj wieczorem - wyjaśniła Maria. - Jechał ze swoją dziewczyną, żoną, czy kim tam ona jest.

- Z Angelą.

- Siedzieli w naszym wagonie. Jechaliśmy do Stigbergstorget.

- A po co tam jechaliście? - zapytała Hanne. Usłyszała, że jej głos nagle stał się ostry, zabrzmiało to podejrzliwie.

- Ależ mamo. Była dopiero ósma albo coś koło tego, a Bengans miał otwarte do późna.

- Piątek wieczorem?

- Tak - przyznał Patrik. - Była jakaś impreza promocyjna. Ultramario grali kilka kawałków z nowej płyty

- To wszystko wyjaśnia. - Hanne spróbowała się uśmiechnąć.

Maria sprawiała wrażenie rozszalonej, wyglądała przez okno na tyły domu. Słońce zaczęło rozświetlać śnieg. Oboje z Patrikiem zamilkli.

- Widzieliście Erika Wintera? Nie sądziłam, że jeździ tramwajami.

- To był on - powiedziała Maria. - A ją widzieliśmy, jak wchodziła w bramę, tam gdzie on mieszka.

Jeździecie po całym mieście, pomyślała Hanne, ale nie powiedziała tego na głos.

Patrik powiódł wzrokiem za spojrzeniem Marii, na tyły ogrodu. Słońce świeciło ostro, rozlewało się po śniegu. Było jak lampa. Pomyślał o tym niebiesko-żółtym świetle na klatce schodowej, o gazetach, o tej cholernej muzyce, która skrzeczała w przedpokoju, kiedy otwierał klapę.

Ale tam było coś jeszcze.

Coś jeszcze.

Ta myśl tkwiła gdzieś w tyle głowy, może to było wspomnienie. Coś, co widział kilka tygodni temu, czy kiedy to było.

To coś się rozrastało. Wspomnienie, czy co to mogło być. Rosło. Łączyło się z rozmyślaniami, co to mogła być za muzyka, co to za zespół. Mógł próbować zgadnąć, może nawet nie. Ale... tamto drugie. Widział to znowu, kiedy się gapił na słońce na śniegu, który błyszczał jak gwiazdy na białym niebie. Ciągle tam było, kiedy podziękował za czekoladę i poszedł do pokoju Marii. Ona poszła już wcześniej i wyłączyła muzykę. Przyjął to z ulgą, dzięki, *mucho*.

Usiadł na łóżku i znów wyglądał na ogród. W cieniu stała szklarnia. Przyjrzał się jej. Jakby mu pomagała szukać w pamięci. Rośnie. Roślina. Szklarnia dla roślin. Światło, które nie sięga do wszystkich zakamarków. Coś tam się kryło, w pamięci. Coś leża...

- Coś tam odkryłeś? - zapytała Maria. - Jest coś tajemniczego w szklarni?

Nie odpowiedział.

- Powiedz coś, Patriku. Nie lubię, kiedy taki jesteś. To już wystarczająco nieprzyjemne. - Znów spojrzała na niego. - To, co się stało, i w ogóle.

- Ktoś tam był... wtedy - powiedział Patrik.

- Co mówisz? Ktoś był w szklarni?

- Nie, nie. - Oderwał wzrok od okna i spojrzał na nią. - Schody. Dom. Kiedy przyniosłem gazety któregoś ranka.

- Musisz jaśniej, *please*.

- Rano ludzie wychodzą i wychodzą. Ale nie tak często. Niewielu widuję o tej porze.

- Aha. Teraz rozumiem. To wszystko wyjaśnia.

- Posłuchaj, Mańka. Raz, kiedy miałem iść schodami na górę, ktoś gdzieś na wyższych piętrach wsiadał do windy i jechał na dół. To mogło być kilka tygodni temu, dziesięć dni.

- Mówisz o tych schodach. W tym domu.

- Tak, jasne. Przeważnie nie zawracam sobie głowy windą, ale miałem lekką gorączkę i chciałem pojechać z gazetami na górę. Dlatego mi się to teraz przypomina. Ale windy nie było, więc ruszyłem na górę i wtedy usłyszałem jej szcęk, gdzieś na drugim piętrze. Teraz mi się to przypomniało i myślę, że to chyba było to piętro. Może.

- Dlaczego tak myślisz?

- No wiesz, człowiek się trochę uczy, kiedy dużo chodzi po schodach. Uczy się słuchać. I sam też jeździ windą.

- No, mów dalej. - Obgryzła skórkę przy paznokciu kciuka i nawet tego nie zauważyła, ale teraz zabolalo. - Powiedziałeś, że zjeżdżał windą na dół.

- Stałem na schodach trochę wyżej i czekałem, aż zjedzie na dół, żebym ja mógł pojechać na górę.

- I co?

- Winda zjechała. Ktoś wysiadł i wyszedł przez bramę. Jakiś facet.

- Widział cię?

- Nieee... Stałem kilka metrów wyżej, na schodach, a on się nie odwrócił.

- A jak wyglądał?

- Mówiłem już, że się nie odwracał.

- Ale był stary albo coś takiego?

- Nie wiem. Nie wyglądał na starego. Kiedy podchodził do bramy, wydawało mi się, że widzę kawałek twarzy. Profil.

- To okropnie nieprzyjemne.
- Nie pierwszy raz widziałem ludzi wczesnym rankiem.
- Dlaczego pomyślałeś o tym akurat teraz? Tutaj?
- Nie wiem, może to ten czas... nie... myślę, że to może muzyka.

Że coś było słyhać z za drzwi.

- Jak to?

- Przedtem nie było jej stamtąd słyhać. Pomyślałem, że zacząłem ją słyheć po tym, jak zobaczyłem tego faceta wychodzącego z windy.

- To naprawdę megaobrzydliwe. Może widzia...

- Trzeba do tego podejść *tranquilo*.

- Mama naprawdę ma rację, absolutną, Patriku. Musisz iść na policję.

- Ech...

- Musisz. *You must, you must.* - Sięgnęła po poduszkę i zaczęła go nią tłuc w ramię. - *You must testify, you must testify!*

- Przestań, Mańka.

Rzuciła poduszkę na podłogę.

- Na pewno jest dużo ważnych rzeczy, o które mogliby cię zapytać.

- Na przykład o co?

- Czy ty naprawdę jesteś taki głupi? Na przykład jak był ubrany. - Znow podniosła poduszkę, objęła ją, zamyśliła się. - Pamiętasz, w co był ubrany?

- Miał na sobie płaszcz.

- Krótki? Długi? Czarny? Brązowy? Beżowy?

- Ciemny... czy to przesłuchanie? - Ale na twarzy Marii nie dostrzegł uśmiechu. - Było jeszcze... jest jeszcze coś. Zastanawiałem się trochę nad tym... albo miałem to gdzieś w tyle głowy. Coś, co miał na sobie, pod płaszczem, co widziałem. Nie mogę sobie przypomnieć, co to było.

- Chcesz powiedzieć, że coś rozpoznałeś?

- Nie wiem. Tak, może. Coś, co wyglądało... znajomo. Nie mogę sobie teraz przypomnieć.

23.

List leżał trzeci od góry, na małym stosiku. Pieczęć Direction General de la Policía, ale Winter wiedział, kto jest nadawcą. Odłożył na bok białą kopertę. Odcinała się od blatu jak oznaka wtargnięcia prywatnego życia do jego służbowego gabinetu. Pieczęć hiszpańskiej policji symbolizowała granicę między życiem i śmiercią, niebezpieczną, płynną. List wypalił ślad na biurku, jak wizytówka Alicii wypaliła dziurę w ciemnym pokoju w La Luna.

Wypili po kieliszku wina, czy może tylko on pił. Nagle na Plaza Altamirano usłyszał kilku przechodniów mówiących po szwedzku. Poczul, że jego rozpacz jeszcze się pogłębia. Głos starszego mężczyzny przypominał głos ojca. Alicia to rozumiała. Właśnie wtedy, w tamtej chwili, czuł, że rozumie.

Kilka godzin później oglądał morze z okna domu nad morzem. Nie znał nazwy ulicy, nie znał drogi. Pies zaszczeakał w dole kilka razy, potem zrobiło się cicho. W pobliżu nie było nikogo.

Kolejne kilka godzin później obudził się w swoim pokoju w La Lunie i nic nie pamiętał. Było przedpołudnie. Wziął prysznic, ubrał się i pojechał na lotnisko.

Bergnhem zapukał i wszedł. Winter trzymał w ręce kopertę.

Bergnhem wyglądał na wychudzonego. Nie od razu spojrział na Wintera. Nie siadał.

- Chciałeś czegoś? Ależ siadaj, Lars.

Bergnhem usiadł i potarł ręką czoło. Włosy miał wilgotne.

- Trochę się spóźniłem. Ktoś wpadł w poślizg za mostem.
- Ludzie zawsze są tak samo nieprzygotowani na zimę.
- Tu prawie nigdy nie ma zimy.
- A jak tam poza tym, Lars? - Winter mówił przyciszonym głosem.
- Dobrze. Zostawiłem Adę w żłobku, trochę się to przeciągnęło.
- Udało ci się... trochę odpocząć?
- Tak, w mordę. Wystarczyło tylko kilka dni.
- Tydzień. Czy jest coś, o czym... moglibyśmy porozmawiać?
- Co masz na myśli?
- Czy coś ci szczególnie ciąży? W pracy?
- Nie, skąd.

Winter odetchnął głęboko, namyślał się chwilę. Potem pochylił się do przodu.

- Słuchaj, Lars. Wiem, że pewne rzeczy, którymi się zajmujemy, są... szczególnie trudne do zniesienia. Zostają wspomnienia. Trudno się od nich uwolnić. A ty dostałeś mocniej niż wielu innych. Nie, nie dostałeś. To nie jest dobre słowo. Musiałeś... doświadczyłeś na własnej skórze.

- To przecież był mój błąd - stwierdził Bergenhem.
- Daj spokój.
- Ale tak było.
- Powiedziałem DAJ SPOKÓJ. - Winter ściszył głos. - Próbuje tylko powiedzieć, że musimy tworzyć zespół i dać z siebie wszystko, co możemy. Co możemy. Jeśli czujesz, że...
- Do diabła, Eriku, siedziałem w domu kilka dni, żeby trochę odpocząć, a wygląda na to, że chcesz się mnie pozbyć, zamknąć w jakimś domu wariatów. Pod opieką psychologa.
- Czy coś takiego powiedziałem?
- Nie, ale...

Bergnhem wpatrywał się w jakiś punkt, gdzieś nad głową Wintera.

- Spójrz na mnie, Lars. - Bergnhem spojrzał na niego.

- Chodzi mi o to, że jesteś całkiem normalny. To ludzkie. Ale jeśli ktoś się czuje... czuje, że może mieć problem, lepiej, żeby się z nim uporał.

- Co ty w ogóle wiesz?

- Słucham?

Bergnhem wstał.

- Ty przecież nawet nie wiesz wszystkiego, do cholery - powiedział głośno. Winter zobaczył, że jego dolna warga zaczęła drżeć, ledwo zauważalnie. Spróbował z powrotem usiąść, ale nadal stał. - Pomyśl tylko, gdybyś ty sam... - zaczął i jednak usiadł. Winter czekał na dalszy ciąg. Bergnhem podniósł na niego wzrok. - O rety, Eriku, przepraszam cię. Słyszałem przecież... twój ojciec...

- Może to ja powiedziałem za dużo. - Winter wyciągnął rękę, położył ją na ramieniu Bergnhema. - Pamiętaj tylko, że zawsze możesz ze mną porozmawiać... o wszystkim, o czym myślisz. Postaram się wysłuchać. Nie wplątując w to żadnych psychologów.

Bergnhem odetchnął z ulgą. Zabrzmiało to tak, jakby przez ostatnie pół godziny zbierał w płucach powietrze.

- Mam tylko trochę problemów w domu.

- Hm...

- Takie rzeczy człowiek wolałby załatwić sam.

Praca i życie prywatne, pomyślał Winter i spojrzał na kopertę. Leżała między nimi. Takie rzeczy powinno się załatwiać samemu. Teraz jest czas na pracę. Życie prywatne będzie wieczorem. W nocy. Właściwie chciał zapytać Bergnhema o inne rzeczy. O dzieci. Jak to było.

Innym razem.

- Johan był u ciebie, w domu - powiedział.

- Setter? Tak, to prawda.

- To nie była twoja muzyka?

- Death metal? Nie, dziękuję, postoję.
- Albo black metal. Najwyraźniej czymś się różnią.
- Nie jestem pewien, czy chcę to wiedzieć - powiedział Bergenhem i po raz pierwszy się uśmiechnął.
- To może się okazać konieczne - odparł Winter. - Setter mówił dziś rano, że jest w mieście jakiś dystrybutor, który rozprowadza ten gatunek, czy gatunki. Mają też kilka wytwórni płytowych. Jeśli oni nie będą wiedzieli, to chyba nikt. Tak mówił Setter.
- Czy on tam był?
- Nie, ale pomyślałem, że my moglibyśmy się tam wybrać, ty i ja.

Lokal znajdował się przy Kyrkogatan. Ulica Kościelna, odpowiednia nazwa, pomyślał Winter, kiedy się wspinali po schodach. Ściany były obwieszane plakatami z diabłami i szatanami.

Afisz wiszący na lewo od drzwi biura Desdemona Productions przedstawiał nagą kobietę pogrążoną w modlitwie: *Fuck Me Jesus*. Nowe utwory grupy Marduk. I jeszcze: *The Rocking Dildos*, *Driller Killer*, *The Unkinds*, *Ritual Carnage*. *Necromania*. *Dellamorte*. *Order from Chaos*. *Angelcorpse*.

Winter zatrzymał się na chwilę przy nazwie *Angelcorpse*. Z dumą prezentowali swój nowy album: *Exterminate*.

Mężczyzna z długimi czarnymi włosami, ubrany w kolorowy T-shirt, otworzył po trzecim dzwonku. Koszulka była czarna, ale zdobił ją wściekle żółty zachód słońca za górami, a nad tym wszystkim unosił się płonący krzyż. Całość uzupełniało wyryte w przestrzeni hasło: *Eternal Death*.

Człowiek czuje się jak w domu, pomyślał Bergenhem. Albo w pracy.

- Tak?
- Rickard Nordberg?
- Tak. Pan Wester? Policja kryminalna? - Spojrzał na Bergenhema.
- Dwóch śledczych z wydziału kryminalnego?

- Winter, a to Bergenhem. Możemy wejść? - Winter usłyszał muzykę dobiegającą z biura, gitary perkusję. Wokalista wrzeszczał coś o bezimiennym lęku. Patrole śmierci wykonywały jeden wyrok za drugim.

Rickard Nordberg zaprosił ich do środka.

Firma miała siedzibę w lofcie. Komputery, dokumenty, sprzęt grający, w kącie kilka gitar. Wszędzie stosy płyt kompaktowych, plakaty. Loft był jasny i czysty, światło wpadało przez okno w dachu. Ukazywało błękitne niebo nad ich głowami. Rickard Nordberg usiadł za biurkiem. Winter zauważył, że nie może być dużo młodszy od niego. Miał długie do pasa włosy, poprządkowane siwizną. Na czubku zaczynały się przerzedzać. Ubrany był w wąskie czarne dżinsy i kowbojskie buty z łańcuchami. Zapalił papierosa. Sprawiał wrażenie zadowolonego z życia. Na ścianie za jego plecami wisiał plakat reklamujący ich własną wytwórnę Dead Sun. W imieniu firmy komuś wyrywano wnętrze. Nordberg częściowo zasłaniał naręczne flaków. Kiedy strzepywał papierosa, Winter zauważył zdjęcie dwóch małych dziewczynek przy popielniczce. Obok stała oprawiona w ramki kartka: Dla najukochańszego tatusia na świecie. Na prawo od zdjęcia leżał stos płyt. Winter odczytał napis na leżącej na wierzchu: *Tortura Insomnae*.

- Dużo tu śmierci - stwierdził Bergenhem, rozglądając się.

- Cóż, to moja praca. - Winter zauważył błysk w oku Nordberga. - Zresztą panom też te sprawy nie są chyba tak całkiem obce.

Mówił starannym dialektem göteborskim, który Winterowi kojarzył się ze snobistycznymi mieszkańcami Orgryte. Wyglądało na to, że Nordberg ewakuował się stamtąd w samą porę.

- Mają panowie tę taśmę? - zapytał Nordberg i gestem przywołał mężczyznę w podobnym stroju i zbliżonym wieku.

Podszedł do nich, nie przedstawiając się. Winter podał taśmę, a Nordberg włożył ją do magnetofonu. Zabrzmiała muzyka i Winter

znów znalazł się w pokoju przy Aschebergsgatan.

Nordberg i jego kolega przysłuchiwali się w skupieniu.

- Niskobudżetowe - stwierdził Nordberg po dziesięciu sekundach.

Jego kolega potrząsnął głową po minucie.

- Nigdy tego nie słyszałem. Może być ze Stanów. Prawdopodobnie. W każdym razie nie brzmi to jak coś norweskiego.

- Norweskiego? - zapytał Bergenhem.

- Oni są najlepsi w black metalu - wyjaśnił Nordberg.

- Więc to jest black metal? - upewnił się Winter.

- Zdecydowanie.

- Po czym to się poznaje?

- Rozpęd, tempo. Werbel w każdym taktie. Co najmniej.

- I śpiew - uzupełnił kolega. - Jest bardzo wysoki. - Wysłuchali się w krzyk, który już dawno przekroczył granicę falsetu. - To jest DOBRE - dodał.

- Ja tak nie uważam - odparł Nordberg.

- Dlaczego to jest dobre? - zapytał Bergenhem, spoglądając na tego drugiego.

- Jest czyste i szczerze. Totalnie autentyczne. Widać wpływ wczesnych lat osiemdziesiątych.

- Czy to są wczesne lata osiemdziesiąte? - zapytał Winter.

- Nie. To brzmi jak nagranie sprzed kilku lat. Kiepska produkcja. Trochę jak Bathory, ale to nie oni.

- A dlaczego to nie jest dobre? - Winter zwrócił się do Nordberga.

- Zbyt jednostajne. Nic się nie wyróżnia. Ja wolę kawałki, które mają więcej melodii. - Zatrzymał kasetę i puścił muzykę z kompaktu. Znów gitary na najwyższych obrotach, wszechobecne bębny Śpiew z głębi krypty. - Słyszycie? To miałem na myśli.

Bergenhem spojrzał na Wintera.

- Słyszę melodię - stwierdził Winter. - Trochę kojarzy się z The Clash.

Nordberg spojrzał na niego zaintrygowany.

- To zabawne, że pan to mówi - powiedział. - Oni sami mówią, że wiele zawdzięczają Clashom.

- *London Calling* - rzucił Winter.

- Właśnie ten utwór - przyznał Nordberg i podsunął mu paczkę papierosów, ale Winter potrząsnął głową. Nordberg odwrócił się i znów włączył kasetę.

- Na pewno nie są z Europy - powiedział jego kolega. - Przez chwilę myślałem, że to mogą być Szwedzi, ale jednak nie.

- Szwedzi bardzo się liczą w black metalu - dodał Nordberg.

- Jak bardzo? - spytał Berghem.

- To zależy, z czym porównujemy. To jednak bardzo niszowy gatunek. Powiedzmy, że dobry szwedzki zespół sprzedaje pięć tysięcy płyt. Ale są wyjątki, w dużych wytwórniach, jak Music for Nations. Na przykład Dimmu Borgir z Norwegii, Cradle of Filth z Anglii. Tam mówimy o nakładach rzędu stu pięćdziesięciu tysięcy.

- Black metal?

- Black metal.

- Kto tego słucha?

- Właściwie to głównie faceci. Prawie wyłącznie faceci. Zwyczajni ludzie.

Zwyczajni ludzie, pomyślał Winter. Najpocziwsi w świecie.

- A jak wygląda sprawa z... satanizmem? - zapytał.

- To podstawa black metalu - wyjaśnił kolega Nordberga. - Ale tu chodzi raczej o kult diabła.

- A jaka jest różnica?

- Kult diabła odnosi się tylko do samego diabła, pomija resztę rekwizytów - powiedział Nordberg swoim wytwornym tonem. - Ale nie jestem ekspertem ani nie praktykuję.

- Więc to jest muzyka dla czcicieli diabła - powiedział Winter, skinieniem wskazując na sprzęt stereo. Zaczęła się kolejna piosenka, tak samo ostra jak poprzednia.

- Niekoniecznie - odparł kolega Nordberga. - Niewielu słuchających tej muzyki naprawdę jest czcicielami diabła czy satanistami. Chodzi raczej o otoczkę.

- O otoczkę?

- Styl liczy się tak samo jak muzyka. Ludzie chcą wyglądać jak Kiss, tylko jeszcze bardziej odjazdowo.

- Sverker jest ekspertem od Kiss - wtrącił Nordberg z uśmiechem.

- Zresztą chyba nie dokonałem prezentacji. Kryminalni, Sverker. Sverker, kryminalni. - Przestał machać ręką. - Sverker ma własną wytwórnię. Depression. Głównie hardcore punk. Doskonale zna się na punku. Tak jak pan - powiedział Nordberg i kiwnął głową w stronę Wintera. - Właśnie dzisiaj dokonał kilku muzycznych odkryć.

- Slaktmask i Skitsystem - powiedział skromnie Sverker. - I Arsedestroyer.

- Ale żaden z panów nie rozpoznaje muzyki z kasyty? - zapytał Winter.

- Możemy zrobić tak - zaczął Nordberg. - Wstawimy *soundfile* z jednym z tych kawałków do sieci. Mogę to zrobić i napisać, że dostałem od kogoś nieopisaną taśmę i jestem ciekaw, co to jest.

- Co zresztą jest prawdą - dodał Sverker i odgarnął długie, cienkie pasma włosów.

- To znakomity pomysł - ucieszył się Winter.

- On ma kilka tysięcy adresów z całego świata - powiedział Sverker. - Radiostacje, firmy płytowe, prywatni klienci.

- To wspaniale. Kiedy może pan to zrobić?

- Jak tylko skończymy. Ale czy to coś da, to inna sprawa.

Winter po raz ostatni wrócił do tego mieszkania. Wszystko było tak jak przedtem. Plamy nie były ani większe, ani mniejsze. Nadal było

słyszać muzykę, black metal. Miał ją świeżo w pamięci, prosto z jasnego loftu Desdemona Productions.

Technicy kończyli pracę. To, co trzeba było zbadać, znajdowało się już w laboratoriach, w opisanych woreczkach. Mieszkanie będzie jak nowe. Ktoś inny się tu wprowadzi. Będę miał nowych sąsiadów, pomyślał Winter.

Czekał na windę, nie chciała nadjechać. Może ktoś nie domknął drzwi gdzieś na wyższych piętrach. Zaczął schodzić po schodach, a wtedy winda szczęknęła i ruszyła w dół. Minęła go, ale człowiek, który nią jechał, zdążył już wyjść, kiedy Winter znalazł się na parterze. Ciężka brama powoli się zamykała.

Wiał ostry wiatr, ale wieczór był bezchmurny. Winter zobaczył plecy mężczyzny oddalającego się ulicą. Może to on jechał windą. Winter skręcił w lewo. Niebo nad Nordstan miało matowoniebieski kolor. Wsunął szalik pod płaszcz i zapiał dwa guziki.

W piekarni zostały już tylko cztery kajzerki. Miał nadzieję, że Angela już jest w domu. Chciał porozmawiać z... nimi. Mógłby poleżeć przy brzuchu i opowiedzieć mu coś miłego.

Kiedy wyszedł z piekarni, minęła go kobieta z wózkiem. Odsunął się, żeby ją przepuścić. Nagle poczuł, że bardzo chce popatrzeć na dziecko. Dogonił ją.

Kto kierował jego krokami? To on.

Przeprosił ją, zatrzymała się.

- Czy mogę popatrzeć na dziecko?

- Słucham?

Wyglądała raczej na zdumioną niż przestraszoną.

- Chciałbym tylko na sekundę spojrzeć na pani dziecko. - Poczul się jak świr, ale akurat w tej chwili chciał nim być. - Sam niedługo będę miał dziecko. Pierwsze. - Wózek był bezbarwny, oświetlony neonami. - Zostanę ojcem - dodał, jakby musiał jej to wyjaśnić jeszcze lepiej.

24.

Próbowali prześledzić życie Christiana i Louise Walker. Zażądali wszelkich dostępnych informacji od kolegów z Västerås i Kungsbacki, ale nie doszło tam do żadnych zbrodni, które można by z tym jakoś połączyć. Kościół, państwo i gminy też doniosły o wszystkim, co wiedziały, ale na razie nie znalazło się nic, co mogłoby pomóc.

- Czy to był ich znajomy? - zapytał Ringmar. Siedzieli w jego pokoju, po porannej naradzie. Aneta Djanali i Halders również.

- W każdym razie się nie włamał - odparł Winter. - Możliwe, że ukradł klucze albo sobie dorobił. Ale to nie była niespodziewana wizyta.

- Właśnie - przyznał Ringmar. - Nie w ten sposób. Przecież razem jedli. I pili.

- Dwie butelki wina - dodał Winter.

- I drinki. Beier mówi, że w szklankach był gin z tonikiem.

- Niezły są ci technicy - stwierdził Halders. - Ale czy mógłby powiedzieć, jakiej marki?

Winter pomyślał o tanqueray. Właściwie mógł już kupić bożonarodzeniową butelkę na przyjazd matki. Ringmar spojrział na Haldersa.

- Hm... a czy to by nam jakoś pomogło?

- Jeśli morderca przyniósł alkohol ze sobą. Gdyby na przykład zawsze pił gordona i ktoś w monopolowym, na przykład na Avenyn, pamiętałby faceta, który zawsze kupuje gordona.

- Musiałby chyba kupować skrzynkami. I to co tydzień. Trochę wydumane, Fredriku - stwierdziła Aneta Djanali. Spojrzała na kolegę. - Szczerze powiedziawszy, wydaje mi się to bardzo wydumane.

- Ale czy nie tak właśnie powinniśmy pracować? - zapytał Halders.

- Porozmawiam z Beierem - powiedział Winter. - Wszystkie szczegóły są ważne, jak wiadomo.

- Co jeszcze wiemy? - rzuciła Aneta Djanali, nie kierując tego pytania do nikogo konkretnego. - Co wiemy w tej chwili o tych ludziach?

- Że nie mieli szczególnie dużego kręgu przyjaciół - pośpieszył z odpowiedzią Halders. - Niewiele osób obchodziło, czy oni w ogóle żyją, czy nie.

- Jacyś ludzie dzwonili i nagrywali się na sekretarkę - zaprzeczył Ringmar.

- Trygg-Hansa - wyjaśnił Halders. - Wciskanie ubezpieczenia emerytalnego. To często jedyny kontakt ludzi ze światem w dzisiejszych czasach. Firmy ubezpieczeniowe, które chcą sprzedać ubezpieczenie na niedołączną starość. - Ale tutaj nic nie zarobili, pomyślał, ale nie powiedział tego.

- I dwie inne rozmowy - powiedział Ringmar. Cierpliwie czekał, aż Halders skończy.

- Rozmawialiśmy z nimi - stwierdził Halders. - Z tymi drugimi, wczoraj wieczorem.

- Coś tam było dziwnego - dodała Aneta Djanali.

- Co masz na myśli? - zapytał Winter.

- To prawda - potwierdził Halders. - Coś z nimi było... nie tak.

- Nie do końca umieli nam wyjaśnić, czego chcieli od Valkerów - powiedziała Aneta.

- Chwileczkę - przerwał Winter. - Po kolei. Kto chciał czego od kogo i kiedy.

- Dobra. Para mniej więcej w podobnym wieku jak Valkerowie. Per i Erika Elfvegren... mieszkają w Järnbrott.

Podobni do Valkerów pod wieloma względami. Bezdzielni, ten sam

wiek, w pewien sposób podobnie wyglądają... - Aneta spojrzała szybko na kolegów, jakby chciała powiedzieć: wyglądają podobnie jak oni „przed”. - Odwiedziliśmy ich wczoraj koło piątej. Kobieta powiedziała, że dzwoniła do nich tylko po to, żeby się dowiedzieć, co słychać.

- A skąd się znali? - zapytał Ringmar.

- Właśnie o tym mówili bardzo... niejasno. Poznali się na jakimś dansingu, tak mówili, ale nie pamiętali, gdzie konkretnie. Kiedyś byli u nich na kolacji, raz zaprosili ich do siebie. - Aneta spojrzała na Haldersa. - Odnieśliśmy wrażenie, że to była bardzo powierzchowna znajomość.

- Nie wiedzieli o Valkerach zupełnie nic - dodał Halders.

- Pamiętali, gdzie byli, kiedy ich zamordowano? - zapytał Winter. Pia E:son określiła, kiedy to mniej więcej było.

- W domu - powiedział Halders. - Oboje byli w domu. Jedyńm świadkiem jest telewizor.

- Hm...

- Ale co w nich takiego dziwnego? - Ringmar skinął głową w stronę Anety Djanali. - Mówiłaś, że coś w nich było dziwnego.

- Sama nie wiem... coś w ich zachowaniu. Z jednej strony tacy... mało zainteresowani, a z drugiej wyraźnie przestraszeni.

- Czy to takie dziwne? - zapytał Ringmar. - Przecież ich znajomi zostali zamordowani.

- No tak, jasne. Ale jestem pewna, że coś ukrywają. Czegoś nie chcą powiedzieć. - Podniosła wzrok. - Wicie, jak to jest. To się widzi. Czasem są jakieś sprawy, o których tacy ludzie wiedzą, że chętnie byśmy się o nich dowiedzieli, ale właśnie o nich nie chcą nam powiedzieć.

- Z nimi właśnie tak było - dodał Halders i skinął głową w stronę Anety. - Nie umiałbym tego lepiej wyrazić.

- Tak samo było z tymi drugimi - mówiła dalej Aneta. - Naprawdę jest w nich coś dziwnego.

- Drugimi? - zapytał Winter. - To drugie nagranie z automatycznej sekretarki?

- Tak. Nazywają się... - Zajrzała do notatnika. - Martell. Bengt i Siv Martell.

Bengt i Siv, pomyślał Winter. Jak moi rodzice.

- Żadnego pokrewieństwa z koniakiem - powiedział Halders.

- Wiedziałam, że to powiesz - powiedziała Aneta.

- No więc co z nimi? - zapytał Ringmar, z lekka poirytowany. - Mieszkają w... Mölnådal, o ile się nie myłę.

- Tak. Moglibyśmy właściwie przekalkować wszystko z tamtej rozmowy. Ten sam typ... że się tak wyrażę. Te same odpowiedzi. Tak samo powierzchowna znajomość.

- Byliśmy u nich wczoraj wieczorem - powiedział Halders. - Choć było też kilka różnic. Przede wszystkim Elfvegrenowie są bezdzietni, a Siv Martell jest rozwódką i ma dwoje nastoletnich dzieci. Dzieciaki mieszkają u ojca w Malmö. - Halders spojrział na Anetę. - Nawet ja byłem w stanie zauważyć, że nie miała nic do powiedzenia na ich temat. To było... przykre.

- Nie mają praw rodzicielskich? Oboje? - zapytał Winter.

- Na pewno nie widziała dzieci od kilku lat.

- Ale nie sądzę, żeby była alkoholiczką - stwierdziła Aneta. - Ani teraz, ani przedtem.

Nawet nie upija się koniakiem, pomyślał Halders, ale nie powiedział tego głośno.

- Kolejna różnica? - zapytał Ringmar.

- W odróżnieniu od Elfvegrenów, którzy byli tylko przestraszeni, Martellowie byli śmiertelnie przerażeni - wyjaśnił Halders. - Ale nie z naszego powodu.

- Jeszcze wyraźniej było widać, że coś ukrywają - dodała Aneta. - Nie wiem, czy to ma związek z morderstwem.

- Alibi? - spytał Winter.

- Możliwe - odparł Halders. - Dwa wyjścia do restauracji i kilka innych... spotkań. Tak mówili. Musimy to sprawdzić. Jeszcze nie zdążyliśmy tego zrobić.

- Oni coś ukrywają - powtórzyła Aneta.

- Porozmawiam z nimi - zdecydował Winter. - Zacznę od Martellów.

- Jedź do nich do domu, jeśli mogę coś doradzić - rzucił Halders. - Sprawiali wrażenie... skrepowanych, we własnym domu.

- Wracając do Valkerów... mówiłaś na spotkaniu, że w miejscach pracy każde było tematem plotek. - Ringmar zwrócił się do Anety Djanali.

- Plotek... tak chyba nie powiedziałam. Raczej robiono aluzje. Nikt nie chciał powiedzieć więcej.

- Ale oboje byli zainteresowani podrywem? - upewnił się Ringmar.

- Właśnie, coś takiego. O nim może krążyły plotki. On... no cóż, spotykał się z innymi kobietami. Ona po prostu była typem flirciary.

- Więc może są jeszcze inni - powiedział Winter. - Zaczniemy od Elfvegrenów i Martellów. Czy raczej zaczniemy drugą kolejkę.

Winter przeglądał swoje notatki. Pozostali już się rozeszli. Puścił sobie black metal z kasyty, niezbyt głośno, ale wokalista krzyczał tak samo przenikliwie. Zadzwoił telefon.

- Winter.

- Sacrament.

- Słucham?

- Rolf Nordberg z tej strony. Chyba znaleźliśmy tę kapekę. Nazywa się Sacrament. Z Kanady. Sverker wcale tak bardzo się nie pomylił.

- Jest pan pewien?

- Tak sądzę. Dostaliśmy dużo odpowiedzi z niezależnych od siebie źródeł, jak to się mówi. Dwadzieścia, tak mi się wydaje. Wszyscy

twierdzą, że to Sacrament. Nigdy o nich nie słyszałem. Sverker też.

- Sacrament - powtórzył Winter. I pomyślał: chrzest. Albo komunia.

- Niektórzy podali też tytuł utworu i całej płyty - ciągnął Nordberg. - Wstawiłem MP3 pierwszego kawałka, nazywa się *Evil God*, a cała płyta nosi tytuł *Daughter of...* chwileczkę... *Daughter of Habackuk*, czy jak to się wymawia.

- Habakuk? Co to takiego?

- Nie mam pojęcia. Gdybym miał zgadywać, pomyślałbym, że to jakieś wymyślone imię diabła.

- Córka Habakuka - powiedział Winter.

- Może jest całkiem miła - rzucił Nordberg i zaniósł się śmiechem, w którym pobrzmiwała autoironia. - Choć nie sądzę. Okej. Weszliśmy do internetu i wstukaliśmy Sacrament do wyszukiwarki. Wyrzuciła dziewięćdziesiąt osiem trafień. Konsekwentnie brnęliśmy w ciemność i dowiedzieliśmy się, że pochodzą z Edmonton, wydali jedną płytę oprócz tego Haba... czy jak tam się to nazywa. I promo.

- To wspaniale - ucieszył się Winter.

- Tak sądzi cztery tysiące siedemset dwadzieścia jeden osób - stwierdził Nordberg. - Dotychczas mieli na swojej stronie internetowej cztery tysiące siedemset dwudziestu jeden gości. Potwierdza się to, co mówiliśmy, kiedy był pan u nas w biurze. Przeciętnie taki zespół ma pięć tysięcy fanów, mniej więcej.

- Nie ma pan żadnych nazwisk?

- Co? Ha, ha.

- Więc co możemy zrobić? - zapytał Winter. Wyjątkowo zdam się na radę eksperta, pomyślał.

- Otóż... możemy próbować ściągnąć tę płytę bezpośrednio z Kanady. Albo sprawdzić u innych dystrybutorów, skoro mamy nazwę i tytuł. Jakie sklepy dostały płytę. Mogła być wymieniana w ogłoszeniach w różnych fanzinach. Czyli poza sklepami. W tym przypadku

typowałbym raczej fanziny. To może być piekielna robota. Problem polega na tym, że płytka jest z roku 1996, ale potem wyszło tak dużo rzeczy, że równie dobrze mógłby to być 1986. - Nordberg znowu prychnął. - Zresztą produkcja też za tym przemawia.

- Czy mógłby mi pan w tym pomóc? - zapytał Winter.

- Okej. Sam jestem ciekaw. Proszę poczekać... Sverker coś mi podpowiada.

Winter czekał, słyszał słabe głosy w słuchawce. Znowu odezwał się Nordberg.

- No właśnie, co roku dostajemy mnóstwo materiałów promocyjnych, dużo rozdajemy kumplom albo do sklepów, albo jeszcze gdzie indziej, ale część zachowujemy, czy raczej wywalamy do archiwum na strychu. Jest przepełnione. Istnieje możliwość, że ta płytka gdzieś tam leży. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że mieliśmy tę płytę. Jesteśmy całkiem dużą firmą, nawet w skali międzynarodowej.

- Macie czas, żeby przejrzeć archiwum?

- Nie.

- Wyślę do was kolegę.

Nadszedł wieczór. Winter szedł do domu przez Heden. Nadal było bardzo zimno, mroźno. Kilkunastu facetów grało w piłkę nożną na jednym z boisk, przy akompaniamencie krzyków i miękkich, głuchych odgłosów kopania piłki. Piłka nożna w listopadzie. Dlaczego nie? W Anglii sezon dopiero co się na dobre zaczął. Winter pomyślał o Stevie i usłyszał jakieś wołanie. Odwrócił się i zobaczył, że piłka toczy się w jego stronę. Zamierzył się wewnętrzną stroną stopy i odesłał ją z powrotem. Mógłby dać z siebie dużo więcej.

Steve nadal uparcie przysyłał płyty Winter mógł mu wysyłać jazz, ale wiedział, że to nie miałyby sensu. Ja łatwiej ulegam wpływom niż on. Ci, którzy słuchają klasycznego rocka, są konserwatywni. *Conservatives.*

Nie rozmawiali od miesiący. Winter zastanawiał się, czy nie polecieć do Londynu przed świętami, ale teraz nie był pewien. Ależ możesz, powiedziała Angela. Jeśli się da.

Dlaczego miałoby się nie dać? Dziecko miało się urodzić na początku kwietnia. Pierwszego, twierdziła Angela, i nie był to żart. Londyn wzywał. *London calling*. To było dawno temu.

Słyszał odbicia piłki za plecami, słyszał radość, kiedy ktoś ją posłał do bramki.

Kiedy ostatnio rozmawiali przez telefon, komisarz Steve Macdonald siedział z nogą w gipsie po obowiązkowym niedzielnym meczu swojej drużyny z pubu w Kent. Wpadnij na kilka dni, kiedy będziesz w Londynie, powiedział. Właściwie nie chodzi o ciebie. Chętnie bym się po prostu znów zobaczył z Angką.

Spotkali się ze Steve'em na chwilę w Göteborgu, niecałe trzy lata temu, ale nie poznali jego żony. Ani bliźniaczek. Może powinni zaczekać, aż będzie ich troje. Na początku kwietnia. Troje.

- Co powiesz na Eliasza? - zapytała Angela, kiedy wszedł do kuchni. Miała łzy w oczach.

- Mam przejąć? - zapytał.

- Tak, proszę. - Przekazała mu nóż i Winter stanął nad deską do krojenia. Została połowa cebuli.

- Co sądzisz? Eliasza? Albo Izaak? Emanuel?

- A dlaczego nie Ezaw?

- Nie wygłupiaj się.

- No nie... żywcem wyjęte z Biblii... ale to chyba nikomu nie powinno przeszkadzać.

- Przecież wierzysz w jakiegoś boga.

- Przynajmniej czasami.

- Zawsze mówiłeś, że skądś musimy czerpać siłę.

- Tak.

- Mamy jeszcze Isabellę.

- Pięknie.
- Olivię.
- Też pięknie.
- Leo.

Winter mruganiem powstrzymywał łzy.

- No... może tak. Mdłości chyba już ci przeszły?
- Oczywiście. Normalnie nie trwają dłużej niż do dwunastego tygodnia, a my już dawno mamy go za sobą. Teraz czas na spokój i odpoczynek. Przynajmniej dla mamy.
- A jak się miewa brzuszek? Eliasze?
- Zobacz sam - powiedziała i wstała od stołu, przy którym na chwilę przysiadła. - Chodź ze mną.

Weszła do sypialni. Winter odłożył nóż, który nadal trzymał w ręce, i poszedł za nią. Angela położyła się i odsłoniła brzuch. Znowu był trochę większy. Winter usiadł na łóżku. To mógłby być pierwszy raz. Wcześniej nic nie czuł. Wszystko to tak trudno było ogarnąć. Czy to się dzieje naprawdę? Angela czuła ruchy płodu od czterech tygodni, może pięciu. Kopniaki. Winter znowu pomyślał o piłce nożnej, przypomniał sobie facetów grających na Heden.

- Połóż rękę tutaj.

Położył. Poczul, że coś się poruszyło. Naprawdę.

25.

Morelius i Bartram zatrzymali się na czerwonym świetle. Morelius zauważył, że coś się rusza w jakimś samochodzie, gdzieś na prawym skraju jego pola widzenia. Odwrócił głowę i zobaczył, jak starszy mężczyzna zapina pasy. Bartram też go zauważył. Morelius skinął mu przyjaźnie głową. Należy zapinać pasy

Bartram uśmiechnął się:

- Gdyby się nie ruszał, nic byśmy nie zauważyli.
- No.
- Jedną z rzeczy, które daje ta praca, jest *split vision* - stwierdził

Bartram.

- Co jeszcze ci daje? - zapytał Morelius i ruszył.
- Co?
- Co jeszcze ci daje ta praca poza *split vision*?

Bartram nie odpowiedział. Rozglądał się po centrum. Na ulicach i przy wejściach do arkad zaczynały się pojawiać świąteczne dekoracje.

- No i znów się zaczyna - rzucił Bartram.
- Co takiego?
- Znów się zaczyna ten świąteczny syf.

Morelius zatrzymał się na pasach. Młoda kobieta pchała szeroki, ciężki wózek z dwójką maluchów. Pokiwała im z wdzięcznością. Morelius też uniósł dłoń.

- Pomyśl tylko: ona musi taszczyć ze sobą ten pojazd, żeby zrobić świąteczne zakupy - powiedział Bartram.

- Pomyśl, że ty sam musisz się zataszczyć na świąteczne zakupy - odparł Morelius.

Bartram nie odpowiedział.

- Ty chyba dzisiaj wcale nie słuchasz, co mówię, Greger.
- Słucham.
- Ale nie odpowiadasz.
- Nie robię świątecznych zakupów. Nigdy nie chodzę do centrum, kiedy mam wolne. Przede wszystkim nie w czasie tej całej hysterii.
- No nie.
- Nie wkurzają cię te pijaczyny i reszta tej choleralnej żułu, która się tu kłębi? Idzie sobie koleś, na pewno jest poszukiwany... i on tu jest, a gdzie jest policja?

Morelius pokiwiał głową. Nieważne, czy się jest na służbie. Kiedy szedł Avenyn, zawsze widział boczne wejścia, przy których łapali sklepowych złodziei. Widział fasadę pubu czy poczty, przy której wszyscy szczeni po ciemku. Tam kiedyś zmiażdżono jednemu facetowi ramię. Tam kobieta dostała ataku szału. Tam został postrzelony. Tam stłukli...

- Nie lubię Bożego Narodzenia - powiedział Bartram.
- A co ty tak naprawdę lubisz, Greger?

Bartram nie odpowiedział. Patrzył prosto przed siebie. Morelius zawrócił przy Götaplatsen. Słońce mocno świeciło z wysoka, niebo było niebieskie. Utrzymywało się wysokie ciśnienie, co nieczęsto się zdarza. W narożnikach schodów zostały jeszcze małe kupki śniegu. Przed Biblioteką Miejską stała grupka młodzieży. Ludzie wchodzili do Parku, szli na lunch. Dwadzieścia taksówek czekało na nich przed hotelem. Niektórzy idioci grzali silniki pół godziny. Samochody tonęły w kłębach spalin. Morelius miał ochotę się zatrzymać i kazać im spieprzać.

- Jak tam było? W środku? - odezwał się Bartram.
- Co? - Morelius skręcił w prawo za hotelem i ustawił się za autobusem na Engelbrektskatan. - Co powiedziałeś?
- Jak tam było w środku, w tym mieszkaniu? Aschebergsgatan. Podwójne morderstwo.

- Pytasz o to teraz? - Prawie o tym nie rozmawiali od tamtego czasu. Czasami tak bywa. On nic nie mówił. Greger stał na zewnątrz, na

klatce. - A co takiego chcesz wiedzieć?

- Jak to wyglądało?

- Co jak wyglądało? - Morelius spojrział w prawo, na Bartrama, ale Bartram nie odwrócił głowy. Przejeżdżali obok Scandinavium. Żadnych komunikatów. Grupa kibiców hokeja szła ulicą z transparentami, przygotowywali się do wieczornego meczu. - Chodzi ci o to, jak oni wyglądali?

Bartram skinął głową, nie patrząc na niego. Morelius nic więcej nie powiedział. Wjechali na rondo Körsvägen. Byłem tu osiemnaście milionów razy, pomyślał. Tam się kiedyś wrąbałem w inny radiowóz. Tutaj wyciągałem pijanych nastolatków z Lisebergu, żeby potem ich kumple wlekli ich z powrotem. Kupowałem w kiosku gazety i snickersy. Teraz wjeżdżamy na Eklandabacken. Trzymam kierownicę. Auto sunie prosto jak po szynach.

- Co się dzieje, Simon? - Bartram odwrócił się w jego stronę, a potem dalej patrzył przed siebie. - No KURWA, uważaj! - O mało nie wjechali w taksówkę stojącą przed Panoramą. Morelius zahamował w miejscu. Od taksówki dzieliło ich kilka milimetrów. Kierowca gapił się na nich zaskoczony. Pasażer, który właśnie wysiadał, również. - Czy ty zasnąłeś za kierownicą?

Morelius wycofał i wyjechał na ulicę. Wszystko było jak przedtem. Samochód jechał prosto przed siebie. Bartram patrzył na niego. Morelius skręcił w stronę Mossen. Słyszeli jakiś komunikat, ale nie był przeznaczony dla nich.

- Głowy były zamienione - powiedział Morelius.

- Co?

- Mieli zamienione głowy. Nie wiedziałeś? Nie podawali tego do wiadomości publicznej, ale chyba każdy gliniarz w mieście o tym słyszał.

- Ja nie. Nikt mi nie powiedział.

- On miał jej głowę, a ona jego.

- BOŻE miłosierny.
- Trzymali się za ręce.

Morelius dojechał do kolejnego ronda. Musiał uważać. Zanim się włączył do ruchu, dokładnie sprawdził, czy na rondzie nie ma innych samochodów. Tak należy robić. Dlaczego dla niektórych to taki problem? Nie rozumiał tego.

Patrik zrozumiał, że musi coś zrobić. Zadzwoił. Połączono go z kimś, kto się nazywał Möller, czy jakoś tak. Musiał podać nazwisko.

- Chodzi o... tamto morderstwo - wyjaśnił.
- Wydawało mi się, że rozmawialiśmy ze wszystkimi roznosicielami gazet - powiedział Möller, kiedy Patrik się przedstawił.

Teraz siedział naprzeciwko policjanta o krótko obciętych włosach - nie wyglądał na szczególnie starego - i jeszcze jednego. Ten już był stary. Poczul się jak gwiazda. *Important*. Ale to nie było zabawne. Kiedy przyszedł, ten młodszy spojrział na niego tak, jakby był zrobiony ze szkła.

To o nim wspominała Mańka. Widział go już kiedyś, w tramwaju. Z ładną laską. Koleś wyglądał na twardziela. Droga koszula. Wyglądał, jakby występował w gangsterskim filmie. Wypożyczyli kiedyś *Tajemnice Los Angeles*, bo Mańce podobała się okładka. Ten tutaj mógłby spokojnie zagrać w tym filmie. Miał ten styl.

- Więc widziałeś, jak ktoś wysiadał z windy - powiedział Winter.
- Tak.
- Czy to był mężczyzna?
- Na pewno.
- Skąd ta pewność?
- Widziałem go trochę z boku, kiedy wychodził. Profil.
- Ile z profilu?
- Ech... ukośnie, z góry. Ale wystarczająco dobrze, żeby zauważyć, że to był... starszy facet.

- Starszy facet? - powtórzył Ringmar. - Ile mógł mieć lat według ciebie?

- No... może tyle co pan - powiedział Patrik, skinieniem głowy wskazując na Wintera. - Nie... taki całkiem stary.

- Okej. I co się stało? Opowiedz wszystko od chwili, kiedy wszedłeś do domu.

Patrik opowiedział. To, co opowiedział Marii. Wydawało mu się, że niczego nie pominął ani nie dodał. Pytali go o daty, dni, godziny.

- Porozmawiajmy o ubraniu - zaproponował Winter. - Płaszcz. Długi, krótki?

- Dłuższy niż krótki. Ech...

- Nad kolana?

- Tak mi się wydaje.

- Coś jeszcze?

- Ale co?

- Co oprócz płaszcza widziałeś?

- Właśnie na tym polega problem. Było coś jeszcze... coś, czego nie mogę sobie przypomnieć. Naprawdę dużo o tym myślałem. Coś innego.

- W jakim sensie innego?

- W takim, że nie miało związku z płaszczem.

- Włosy?

- Nie przypominam sobie nic szczególnego, jeśli chodzi o włosy, jak już mówiłem. Kiedy miałem spojrzeć na włosy, wchodził już w cień, w bramę. Nie potrafię nic powiedzieć o jego włosach. Jaki kolor i tak dalej.

- Zwróciłbyś pewnie uwagę, gdyby to były długie włosy? - zapytał Winter.

- No... chyba tak. - Patrik podrapał się w brodę. - Chybabym zauważył.

- Czy ten mężczyzna był wysoki?

- Normalny.

- Normalny?

- To znaczy nie żaden karzeł ani nic w tym rodzaju. Ani jakiś dwumetrowy gigant. Ale stałem na schodach kawałek wyżej... i światło było kiepskie. - Spojrzał na lampę pod sufitem. To by była jeszcze inna rzecz. Miał tamtą lampę przed oczami. Była sł... - Właśnie! Światło było słabsze niż zwykle. Pomyślałem o tym wtedy i teraz sobie przypominam. Pewnie w środku było kilka żarówek i jedna wysiadła, bo kiedy byłem tam następnego dnia, wszystko znów było w porządku.

- Znów w porządku? Światło znów było silniejsze?

- Tak. Dozorca musiał wymienić żarówkę. Załatwił to.

- Kiedy to zrobił? - zapytał Ringmar. - Kiedy miałby to zrobić?

- Wtedy. Tego samego dnia. Jestem prawie pewny. Wtedy, rano, światło było słabe.

- Jesteś prawie pewny?

- Tak... prawie pewny. Pewny, tak jakby

- Okej.

- Musicie porozmawiać z dozorcą - stwierdził Patrik.

- Zrobimy to - powiedział Winter. Na twarzy Ringmara widział coś w rodzaju dyskretnego uśmiechu. - Dziękujemy. Ale wróćmy do ubrań. Jeśli tamto nie miało związku z płaszczem... czy to były spodnie? Było coś szczególnego w jego spodniach?

- Nic mi się nie przypomina. Ale było coś, na co... zwróciłem uwagę. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie śpiesz się, Patriku.

- Nie sądzę, żeby mi się teraz przypomniało.

- Możesz się oczywiście nad tym zastanowić w domu.

- Jasna sprawa.

- Gdzie mieszkasz, Patriku? - zapytał Winter.

- Co?

- Skoro roznosisz gazety przy Vasaplatsen, to może mieszkasz w pobliżu?

- Kastellgatan. Mieszkam z ojcem przy Kastellgatan. To po drugiej stronie Hagi - wyjaśnił chłopak.

- Okej. Myślisz, że mógłbyś go rozpoznać, gdybyś go znów zobaczył?

Patrik wzruszył ramionami.

- Tam było takie szczególne światło... i do tego z tyłu. Sam nie wiem.

- I to nie był ktoś, kogo już kiedyś widziałeś? - upewnił się Winter.

- Co pan ma na myśli? Kogo widziałem kiedyś... na schodach?

- Od tego możemy zacząć. Kogo widziałeś na klatce schodowej, kiedy roznosiłeś gazety.

- Nie przypominam sobie. Problem polega na tym, że prawie nigdy nikogo tam nie widuję.

- Hm... Może cię poprosimy, żebyś nam pomógł przyjrzeć się ludziom, którzy tam mieszkają. Sprawdźmy, czy to nie był ktoś z nich.

- Aha.

- A następne pytanie brzmi: czy w ogóle widziałeś wcześniej tego człowieka - powiedział Winter. - Gdzie indziej. Nie w domu ani na schodach. W jakimś innym miejscu, w innych okolicznościach.

- Tak, rozumiem.

- Pomyśl o tym.

Patrik już myślał. Myślał, myślał. Popatrzył na policjanta, który zadawał mu wszystkie te pytania. Starszy wyglądał, jakby zasypiał, ale nagle odwrócił głowę i wyrzał przez okno. Widać było przez nie nagie gałęzie i błękitne niebo. Facet miał profil... kurna... to był prof...

- To mógł być profil - powiedział głośno Patrik.

- Co mówisz?

- Profil - powtórzył Patrik. - To coś znajomego. To może mógł być profil, mogłem go... może rozpoznać. Widziałem go kiedyś. Jego głowę.

- Cały czas robisz postępy, Patriku. - Młodszy policjant się uśmiechnął. - Podczas naszej rozmowy przypominałeś sobie kilka rzeczy.

- Ale teraz to już koniec.

- Może na razie koniec - powiedział Winter. - Ale pomyśl o tym jeszcze w domu, jak mówiliśmy.

- Jasne.

- Jeszcze jedna sprawa - dodał Ringmar. - Nie słyszałeś, żeby w mieszkaniu grała muzyka, kiedy wkładałeś gazety?

- Oczywiście. To ja powiedziałem o tym dozorczy.

- Co ty mówisz!?! - zdziwił się Winter.

- To ja mu o tym powiedziałem. O metalu.

Winter spojrział na Ringmara, Ringmar zrobił gest, jakby opadł z sił. Nic o tym nie wiedzieli. Czyżby nie sprawdzili roznosiciela gazet?

- Słyszałeś ją długo? - spytał Winter. - Kiedy wkładałeś gazety?

- Kilka dni. Nie mogę dokładnie powiedzieć ile. - Popatrzył na Wintera. - Nad tym muszę się zastanowić.

- Rozpoznałeś ją? - zapytał Winter. - Tę muzykę?

- Nie całkiem. Brzmienie się zmienia przez echo, do tego wąska szczelina i tak dalej.

- Powiedziałeś: nie całkiem. Co miałeś na myśli?

- To jasne, że to musiał być death metal albo black metal. Ale to nie jest moja działka.

- Podejrzewamy, że to może być kanadyjska grupa o nazwie Sacrament - wyjaśnił Winter. - Znasz taki zespół?

- Sacrament? *Never heard of.*

- *Daughter of Habackuk.* Tak się nazywa płyta. Czy to nie brzmi znajomo?

- Nie. Ale mam paru kumpli, których metal kręci, że tak powiem. Albo miałem, w gimnazjum. W zeszłym roku. Teraz chodzą do innej szkoły i właśnie...

- I to jest ich działka?

- Możliwe. Nie wiem, czy akurat to konkretnie, ale interesują się black metalem. Jeden zresztą gra. Na bębnach. - Patrik po raz pierwszy napił się wody ze stojącej przed nim szklanki. Nagle poczuł, że bardzo mu się chce pić. Za dużo gadał. Nie wiedział dlaczego. Jakby musiał. - Mam zapytać kumpli? Jak się ten zespół nazywał? Sacrament, tak?

26.

- Dlaczego dozorca to zataił? - zapytał Winter.

- Ale czy to prawda? - powiedział Ringmar.

- Że chłopak pierwszy usłyszał muzykę? Sądzę, że tak.

- Niektórzy nie lubią się dzielić zasługami. Może liczył na jakąś nagrodę.

- Ciekawe, czy widział jeszcze coś, czego nie widział - zastanawiał się Winter.

- To znaczy czy jeszcze coś przed nami ukrywa?

- Właśnie.

- Warto się nad tym zastanowić - przyznał Ringmar.

- Musimy go przesłuchać jeszcze raz - zdecydował Winter.

- Chłopak sprawia wrażenie bystrego - stwierdził Ringmar.

- Ma w głowie coś, czego potrzebujemy.

- Wierzysz w to?

- Jestem tego pewien. Kiedy sobie przypomni, bardzo nam pomoże. - Winter zapalił corpa i zmrużył oczy w smudze dymu. Zaciągnął się jeszcze raz i znów przymknął oczy.

- Myślałem o tym napisie na ścianie - zaczął. - Może wiesz, jest taki zwrot... pisanie po ścianie... *the writing on the wall*.

- *I know.*

- To znaczy mniej więcej, że nie można nie dostrzec czegoś oczywistego... to jest tam dla kogoś, kto chce zrozumieć.

Pisanie po ścianie. A może dostaliśmy jakąś dwuznaczną wiadomość? Albo to jakiś podtekst? Może ten napis chce nam powiedzieć, że odpowiedź mamy tuż pod nosem? Część odpowiedzi. Nie wiem. Ale może słowo *wall* jest właśnie tym: mówi o tym, że to pisanie po ścianie.

Samo słowo nie jest ważne... nie ważniejsze niż strzałka w przeciwnym kierunku. Rozumiesz, o co mi chodzi, Bertilu?

- Nie wiem. Mów dalej.

- Więc nie powinniśmy się zastanawiać nad komunikatem jako takim, raczej nad faktem, że został nadany. Że tam jest.

- Że rozwiązanie jest bliżej, niż nam się wydaje?

- Tak. Że mamy pod nosem coś, czego nie zauważamy.

Ringmar potarł oczy, przesunął dłonią po czole. Widział przed sobą tamtą ścianę, czerwony tekst na białym tle. Jak tytuł.

- Myślałem też, że to może wyglądać jak tytuł - powiedział, odrywając dłoń od twarzy. - Tytuł w sensie zapowiedzi czegoś, co nadejdzie. Że to właśnie jest najważniejsze w tym, co ma nadejść.

- Hm...

- Wiesz, że szwedzkie słowo „tytuł”, *rubrik*, pochodzi od łacińskiego *rubrica*, czyli czerwona farba?

- Nie. Naprawdę?

- Powiedział mi Jonas, rozmawiałem z nim w weekend. Zapytał mnie, czy wiem, co to znaczy, i wyjaśnił mi.

- Studiujecie dziennikarstwo?

- Pierwszy semestr w Wyższej Szkole Dziennikarskiej - powiedział Ringmar, dumny z syna.

- Najwyraźniej jabłko pada niedaleko od jabłoni - powiedział Winter. - Mówił coś jeszcze o pochodzeniu tego słowa?

- *Rubrica*. Postanowienia rzymskiego senatu zaczęto podawać do wiadomości publicznej w roku 59 przed Chrystusem. W miejscach publicznych umieszczano gipsowe tabliczki. - Ringmar mówił, jakby stał na katedrze. - Tablice nazywały się *Acta Senatus*, tytuły wypytywano na nich czerwoną farbą.

- Zastanawiałeś się, czy jest jakiś związek?

Ringmar rozłożył ręce.

- To tylko taka myśl.
- Morderca orientuje się w łacińskim piśmiennictwie? Może powinniśmy szukać w szkole dziennikarskiej? Czy to dziennikarz? Nie miałbym nic przeciwko temu.
- To była tylko luźna myśl.
- Ciekawe - stwierdził Winter. Znow się zaciągnął dymem, przyglądał się smużce. Może to jeden z ostatnich razów? Miał ważny powód, żeby rzucić palenie, przed pierwszym kwietnia, żeby wywietrzyć te przyjemne, lecz mocne zapachy z mieszkania i ubrań. - Ale to nas donikąd nie zaprowadzi. Na razie. Równie dobrze może się okazać, że to nic nie znaczy.
- Co masz na myśli?
- Że po prostu napisał cokolwiek. Może to był jakiś spontaniczny pomysł. Może po to, żeby nas zmylić.
- Świadoma dezinformacja? No tak, to byłoby najgorsze. Wtedy nie mamy nic, czego moglibyśmy się trzymać - powiedział Ringmar.
- To prawda - przyznał Winter.
- To byłby najgorszy scenariusz - ciągnął Ringmar. - To by oznaczało, że to nie jest ktoś, kto potrzebuje pomocy.
- Tak.
- Tylko ktoś, komu to sprawia przyjemność - dokończył Ringmar.
- Może. I nie potrzebuje pomocy, jak mówiłeś - zgodził się Winter.
- Ty też tak myślisz?
- Że napis to wołanie o pomoc? Tak. Inaczej nie mamy szans.
- Nie poradzimy sobie z tym sami - stwierdził Ringmar.
- A kiedy sobie poradziliśmy? - zapytał Winter.
- Czy to się zdarzy jeszcze raz? - powiedział Ringmar, ale nie spojrzał na Wintera.
- Nie.
- Dlaczego nie?

- To nie jest seryjny morderca. Może psychopata, ale nie jestem pewien. Prawdopodobnie nie jest psychopata. Szalony, ale inaczej. I nie jest seryjnym mordercą.

- To znaczy, że to coś... osobistego?

- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że odpowiedzi trzeba szukać w ich przeszłości. Obojga, jej albo jego. Tak. To może być osobiste w takim sensie.

Ringmar westchnął ciężko.

- Nie damy rady obejrzeć każdego papierka, sprawdzić każdej pamięci, w Västerås i Kungsåce.

- Ale przecież nie jesteśmy sami. Jest nas więcej.

- Trzeba dużo czasu, żeby prześledzić całe ludzkie życie. Wszystkie znajomości, od urodzenia. Wszyscy mogą być ważni. Ktokolwiek z tych, z którymi się stykał, może być tym, którego szukamy. Ktokolwiek.

- Musimy zacząć eliminować.

- Już zaczęliśmy - odparł Ringmar bez uśmiechu.

- A może to jest osobiste w takim sensie, że ofiary... zastąpiły kogoś innego - powiedział Winter. - Symbole. Może statyści. Coś reprezentują. Styl życia. Albo coś tak banalnego jak wygląd zewnętrzny. Oboje albo tylko on, albo ona.

- Myślisz o głowach?

- Nie, nie o to chodzi. Ale to też niesamowity... komunikat. Może. Symbol czegoś. Boję się spekulować na ten temat. Potrzebujemy pomocy, jak mówiłem.

Patrik siedział w swoim pokoju ze słuchawkami na uszach i nie usłyszał, kiedy ojciec wszedł i mu je zerwał. Muzyka syczała jak wąż, wiła się po podłodze między kablami.

- Wołam cię od paru godzin!

- Nie słyszałem.

- Nic dziwnego, ciągle słuchasz tego gówna.

Patrik poczuł odór alkoholu. Dostrzegł potknięcie, kiedy ojciec cofnął się od łóżka. Potem zmienił zdanie i usiadł ciężko obok syna.

- Czego chciałeś? - zapytał Patrik i próbował dosięgnąć słuchawek. Leżały za daleko, więc wstał. Chciał podejść i je wziąć, kiedy ojciec schwycił go za ramię.

- Niech tam leżą, zostaw. Muszę z tobą pogadać.
- Ale o co chodzi?
- Zaczekaj, muszę tylko coś... zrobić.

Ojciec wstał i wyszedł z pokoju. Patrik wyraźnie usłyszał odgłos odkręcania butelki. Ojciec wrócił. Zapach alkoholu był silniejszy niż przedtem. Usiadł na łóżku.

- Ona się tu wprowadza - powiedział.
- Co?

Ojciec popatrzył na niego. Kilka cienkich naczynek popękało mu w oku. Wyraźnie było to widać, kiedy patrzył w bok.

- Ulla, wiesz. Ta, co się z nią... spotykałem jakiś czas.

Patrik wiedział, kto to jest Ulla. Widział ją dwa razy, i o dwa razy za dużo. Raz ojciec taszczył ją przez próg, za drugim razem role się odwróciły, choć właściwie trudno było stwierdzić, kto kogo prowadzi. Ulla. Kiedyś nachyliła się nad nim, za drugim razem. Kiedy ojciec leżał i chrapał jak dzik na sofie, na której go położyła. Pomyślał, że zwymiotuje, kiedy tak nad nim wisiła. Coś bełkotała, ale wymknął się, a ona padła na jego łóżko.

A teraz miała się wprowadzić. *Fucking great. Fucking great.* Miał dość samego ojca, a teraz będzie podwójnie milusio.

- Ona się tu wprowadza? Ale to niemożliwe.
- Niemożliwe? Czy dobrze słyszałem? - Ojciec wyprostował się, jeszcze trochę się chwiał w przód i w tył. - Dlaczego moja narzeczona nie miałaby tu zamieszkać?
- Bo tu są tylko dwa pokoje. My tu mieszkamy... ja tu mieszkam.
- Można znaleźć większe mieszkanie.

Na pewno. Kto by chciał im cokolwiek wynająć?

- Ale mamy tylko jedną sofę.

Składaną, na której śpi w przedpokoju, pomyślał Patrik.

- Ty ją dostaniesz - powiedział ojciec.

- Co?

- Potrzebujemy twojego pokoju. Kurwa, jaki on tam twój.

Potrzebujemy tego pokoju. I tak nigdy cię nie ma w domu, wystarczy ci ta sofa.

Patrik poczuł na czole zimny pot. Spojrzał na swoją kolekcję płyt. Gazety. Plakaty.

- Mam się... wyprowadzić z pokoju?

- Ona przyjdzie jutro. - Ojciec wstał. - No to obgadaliśmy sprawę.

- Wyszedł i Patrik znów usłyszał odgłos odkręcania butelki.

Przedtem mógł przynajmniej zamknąć drzwi i się odciąć, kiedy zaczynała się impreza. Gdzie się teraz podzieje, jeśli będzie musiał być w domu?

Nie musiał być w domu. Nie wiedział, dokąd pójdzie, ale nie musiał przychodzić do domu. Spojrzał jeszcze raz na swoje płyty. Może Mańka je przechowa? Może by tam został sublokatorom na jakiś czas? Zaśmiał się tylko dlatego, że nie chciał się rozplakać.

Angela zrzuciła buty i nastawiła wodę na herbatę. Słońce paliło fasady domów po drugiej stronie. Tutaj było jaśniej, jaśniej niż w inne zimy, jakie pamiętała. To była zima. Ostatni rok zdecydował się na zimę o wiele wcześniej, niż powinna się zacząć.

Poczuła jakiś ruch w brzuchu, potem jeszcze raz. Siedziała na krześle w kuchni. Rozglądała się. Wszystko, co widziała, było teraz jej. To było przyjemne uczucie. Przywiozła ze sobą swoje rzeczy i wszystko w tym kawalerskim mieszkaniu wyglądało już inaczej. Ale nie można go było tak nazywać. Od dawna było częścią jej życia.

Położymy świeże tapety i parę rzeczy zmienimy, pomyślała. Albo przeniesiemy się do domu nad morzem. Przyjęcie w ogrodzie, pod parasolami. Dziecięce głosy i zabawki porzucane w trawie.

Erik w kucharskiej czapce przy grillu. Uśmiechnięty jak samo słońce.

Zadzwonił telefon. Wstała z trudem i podeszła do blatu.

- Halo? - Nikt się nie odezwał. Spojrzała na zegar nad drzwiami, kwadrans po piątej. - Halo? - Linia znów była wolna, ciągły sygnał. To na pewno pomyłka, pomyślała.

GRUDZIEŃ

27.

Czuł się jak w dzieciństwie. Słońce w oczy. I wszystkie zapachy, które utrzymywały się w nosie aż do wieczora. Czuło się je w ubraniach, kiedy się siedziało w domu. Pachniało trochę dymem, bardzo śniegiem.

Schylił się i nabrał garść śniegu, który leżał wszędzie dokoła. Słońce padało na śnieg i zmieniało go w migotliwy proszek. Powąchał. Zastanawiał się, jak określić ten zapach. Pachniał jak wspomnienie, którego nie umiał odnaleźć. Tak właśnie było. Wspomnienie czegoś pięknego.

Odepchnął to wspomnienie, rozwiało się w powietrzu. Wszedł w cień między domami i słońce zniknęło.

Śnieg był jak ściana, widział go niemal przez całą drogę do skrzyżowania. Sklep znajdował się na rogu. Minimarket, tak się nazywał. Zmienili nazwę, ale nie wiedział, jak się nazywał przedtem. Może go komuś opisywał? Mówił, jak się nazywał przedtem? Niebezpośrednio, przecież nie mógł powiedzieć wszystkiego, nieprawdaż? Nie teraz.

Był tam dobrze znany. Tak przynajmniej sądził. Spełnił tam kiedyś swój obowiązek. Swoją o-b-o-w-i-ą-z-e-k. Był przecież jej przyjacielem, widział, że patrzyła na niego w ten szczególny sposób, ale nie myślał, że to taki sposób. Był tylko przyjacielem.

Raz już prawie to powiedział. Jestem tylko przyjacielem.

Jestem tylko kimś, kto jest na miejscu. Tylko ktoś, kto akurat jest na miejscu. We właściwym czasie na właściwym miejscu. Ale tak nie było. Był na miejscu w niewłaściwym czasie. Choć to może dotyczyło raczej tego drugiego, mówiąc ściśle. Precyzja. A-b-s-o-l-u-t-n-a p-r-e-c-y-z-j-a.

Kilkoro dzieci bawiło się na placu zabaw między domami a drogą.

Dużo dzieci. Teraz miały śnieg do zabawy. Nie był to najlepszy śnieg do lepienia, nie widział bałwanów ani latarni śniegowych. Wiedział, jaki śnieg jest do tego najlepszy. Znów podniósł z ziemi garść i próbował ulepić śnieżkę, ale mu się nie udało. Dzieci się na tym znają, wiedzą, do czego można go używać, kiedy można coś ulepić, a kiedy robić inne rzeczy.

Zrobiły sobie też lodowisko. Niemal zamarzył, żeby mieć ze sobą łyżwy. Ale jak by to wyglądało? Stopy miał przecież dwa razy większe niż kiedyś, nieprawdaż?

Droga była odśnieżona, ale można to było zrobić lepiej. Domy nie wyglądały najlepiej. Wyglądało to tak, jakby to miejsce w środku miasta się wyludniało. Wyludnienie w mieście! Półki w sklepie z każdym dniem coraz bardziej pustoszały. Chwalili się, że mają pracownika na stoisku mięsnym, ale on nigdy nikogo tam nie widział. Nigdy. Wprawdzie nie bywał tam zbyt często, ale mimo wszystko.

Przejechał samochód, musiał stanąć na nasypie. Tutaj śnieg był brudny, nie chciał go dotykać. Zszedł z powrotem na dół. Wkrótce nadejdzie czas, żeby pójść do domu i coś zjeść, potem musi iść do pracy, długa wieczorna zmiana, potem wróci do domu i nie będzie mógł się położyć spać, będzie siedział przed telewizorem i oglądał filmy na wideo.

Nagle znalazł się przed sklepem, nie wiedział, jak to się stało. Miał pod pachą filmy. Przed drzwiami wisiały dwa plakaty reklamujące filmy. Jeden z aktorów wyglądał znajomo, ale nie zatrzymał się, wiedział, co chce wypożyczyć.

Za ladą stała jakaś inna, nie widział jej wcześniej. Nie powiedział nic, kiedy płacił za filmy. Potem przeszedł przez ulicę. Spojrzał w stronę wielkich bloków, stały jak ułożone rzędem klocki.

Dziś wieczorem będzie przejeżdżał obok wysokich domów w centrum miasta.

Kiedyś rano czekał na ulicy i widział, jak wsiada do tramwaju. Jechał za nią, choć wiedział, dokąd jedzie. Ale chciał zobaczyć, jak wysiada i znika w tłumie wchodzącym lub wychodzącym przez szpitalną bramę.

28.

Winter skręcił. Przejechał obok czterech siedmiopiętrowych domów po prawej, minął skrzyżowanie i zatrzymał się na parkingu naprzeciwko klocków z logo spółdzielni mieszkaniowej HSB. Klocki, pomyślał.

Domy sprawiały wrażenie zadbanych. Przy wejściu było coś w rodzaju dobudówki, na ziemi kamienne płyty Jak patio.

Usłyszał w domofonie Bengta Martella i wszedł na górę. Klatka schodowa była przyjemna, pomalowana w spokojne, pastelowe kolory, jeszcze niepobazgrane przez grafficiarzy. Może tu nie ma nastolatków. Nie widział nikogo przed domem.

Martell otworzył. W przedpokoju pachniało kawą. Słońce prześwietlało całe mieszkanie, musiało mieć okna na wszystkie strony. Mężczyzna był nieco niższy od Wintera, mniej więcej w podobnym wieku, miał na sobie szare spodnie i kardigan, który mógł być zielony. Wyciągnął rękę.

- Martell.
- Winter.
- Moja żona zeszła na dół, kupić coś do kawy.

Poprowadził Wintera przez mieszkanie. Winter widział przez okno górę i ulice poniżej. Na niebie było więcej chmur, zebrały się w ciągu tych kilku minut, kiedy wchodził i jechał windą.

- Proszę, niech pan siada - powiedział Martell. Wytarł nos. To już drugi raz. Nie brzmiało to tak, jakby musiał.

Może potrzebował coś zrobić z rękami. W mieszkaniu nie było czuć dymu. Powinien jakoś inaczej zająć ręce, pomyślał Winter.

Otworzyły się drzwi. Winter spojrzał w stronę przedpokoju.

- To moja żona - powiedział Martell, jakby chciał uspokoić gościa.

Kobieta weszła do salonu. Była wysoka, może wzrostu męża. Miała krótko obcięte włosy Wyglądała, jakby była opalona. Była ubrana w długą brązową spódnicę i obcisłą koszulkę polo. W prawej dłoni trzymała papierową torbę, przełożyła ją do lewej, przywitała się z Winterem, a potem wyszła do kuchni, którą Winter widział przez uchylone drzwi.

- No właśnie - powiedział Martell. Wstał, kiedy jego żona weszła do pokoju, a teraz usiadł. - Coś straszego.

Winter skinął głową i też usiadł na sofie. Wróciła gospodyni z tacą z filiżankami, dzbankiem z kawą i francuskimi bułkami z kremem. Ustawiła filiżanki i zapytała Wintera, czy używa do kawy mleka, czy śmietanki. Podziękował za jedno i drugie i zaczekał, aż mu naleje. Jej mąż znów wytarł nos. Pani Martell uniosła filiżankę, dłoń jej drżała. Ujęła filiżankę obiema rękami i odstawiła na stolik, nie napiła się.

- Kiedy ostatnio spotkali państwo Louise albo Christiana Valkerów? - zapytał Winter.

Martellowie wymienili spojrzenia.

- Czy nie mówiliśmy tego temu... policjantowi, który tu był? - powiedział Bengt Martell.

Winter zerknął do notesu. Wyjął go z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- To było trochę niejasne. Może pomyliłem jakieś fakty.

- Spotkaliśmy się kilka miesięcy temu - odparła Siv Martell. - Oni byli u nas... na kawie. - Spojrzała na nakryty stolik, jakby chciała podkreślić, że to, co mówi, jest prawdą.

- Dwa miesiące temu - odczytał Winter z notatek. - Czy to się zgadza?

- Jeśli tak powiedzieliśmy, to chyba tak - stwierdził Bengt Martell. Popatrzył na Wintera. - Trudno pamiętać takie rzeczy dokładnie. - Znów się wysmarkał, a potem rozejrzał się, jakby szukał miejsca, gdzie mógłby odłożyć chusteczkę.

Skępowany, pomyślał Winter. Skępowani we własnym domu, tak powiedział Halders. Śmiertelnie przerażeni, mówił jeszcze. Ale teraz nie sprawiali takiego wrażenia. Może dobrze się kryli.

- Nie zapisywaliśmy tego w kalendarzu - powiedziała Siv Martell. Napiła się kawy, szybki łyk. - Rzadko to robimy

- I nigdy państwo nie byli u nich? - zapytał Winter.

- Nigdy - powiedział Martell.

- Dlaczego nie?

Martell spojrzął na żonę. Wyglądała przez okno.

- Ale co? Dlaczego nie spotykaliśmy się u nich w domu? - Przeniósł wzrok z powrotem na Wintera. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Wszystko jest dla nas ważne - odparł Winter. - Szczegóły. Wszystko, na co ktokolwiek zwrócił uwagę. - Nachylił się nad stolikiem, podniósł filiżankę i napił się kawy. Już robiła się letnia. - Nie udało się nam jeszcze porozmawiać z nikim, kto... był u nich w domu.

Nie powiedział o Elfvegrenach. Per i Erika Elfvegren.

- Cóż, my też nie byliśmy.

- Nigdy państwo o tym nie rozmawiali?

- Właściwie... to muszę przyznać, że wcale nie znaleźliśmy ich tak... dobrze. - Bengt Martell pochylił się do przodu. - Spotkaliśmy się kilka razy i to wszystko.

- Ale dzwonili państwo do nich. - Winter podniósł wzrok znad notatnika. - Nagrali państwo wiadomość na sekretarce.

- Tak... - powiedział Martell. - To dlatego policja nas znalazła.

- Chcieliśmy ich zaprosić do restauracji - wyjaśniła Siv Martell.

- To znaczy, że spotykali się państwo w restauracjach.
- Tak. W... restauracji z dansingiem. Nie wiem, czy mówiliśmy o tym przedtem, kiedy tamci policjanci tu byli. King Creole w Nordstan czy może to część kompleksu Femman.

- Często państwo tam bywają?
- Bardzo rzadko - odparł Bengt Martell.

Spotkaliście się w knajpie, do której nigdy nie chodzicie, i nigdy się nie widywaliście, pomyślał Winter. A jednak chcieliście podtrzymywać tę znajomość.

- Czy spotykali się państwo z kimś jeszcze? - zapytał.
- W jakim sensie?
- Jakieś imprezy czy coś takiego... gdzie byłoby więcej ludzi?
- Więcej niż kto? Niż nasza czwórka?
- Tak.
- Nigdy - odparł Bengt Martell.
- Więc nie znali państwo żadnych Valkerów?
- Żadnych.
- Nikogo państwo nie spotkali w tej restauracji z dansingiem?
- Nie.

- Dolać panu kawy? - Siv Martell podniosła dzbanek.
- Nie, dziękuję. - Winter znów zajął do notatek. Do niczego z nimi nie dojdzie. Nie wiedział, czy siedzenie u nich ma sens. Mogli po prostu być samotni, a Valkerowie to była przelotna znajomość, która mogła się rozwinąć w coś więcej.

Może byli wystraszeni, ale równocześnie... dziwnie obojętni. Jakby robili wszystko, żeby nie myśleć o Valkerach. Byli uprzejmi, ale niechętni. To mógł być jakiś spóźniony szok. Albo coś innego, coś, co się kryło gdzieś pod powierzchnią. Coś, co ich połączyło. Jakieś zdarzenie. Cokolwiek.

- Co się tak naprawdę stało? - zapytał nagle Martell.
Jego żona wstała i wyszła do kuchni.
- Słucham?

- Co się tak naprawdę z nimi stało? - powtórzył Martell. - Z Christianem i Louise. W gazetach było dużo na ten temat, ale nie... jak. Od czego zginęli. - Sprawiał wrażenie, jakby się wsłuchiwał w odgłosy z kuchni, gdzie jego żona puszczała wodę z kranu. - Jak to wyglądało?

- Ze względu na dobro śledztwa nie mogę powiedzieć wszystkiego - odparł Winter. - Ale właśnie zamierzałem do tego przejść. - Przerzucił dwie strony w notatniku i zaczął pytać o muzykę.

Kiedy wyszedł na dwór, niebo było całkowicie zachmurzone. Zaczęło wiać z północnego zachodu. Zatrząsł się, a kiedy przełknął ślinę, poczuł drapanie w gardle. Lekki ból głowy przez ostatnie kilka dni mógł wskazywać na to, że kroi się jakaś infekcja. Musiał zaufać swojej odporności. Ból głowy oznaczał mobilizację sił. W twoim organizmie toczy się walka, mówiła Angela. -

Wsiadł do samochodu. W środku było zimno, pachniało wilgocią.

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął list i dopiero teraz go otworzył. Papier był, tak samo jak koperta, opatrzony pieczęcią hiszpańskiej policji.

Angielskie słowa napisane ręcznie, prostym i zdecydowanym charakterem. Tylko kilka zdań, rodzaj pozdrowienia i podziękowania za spotkanie. Przeczytał list kilka razy. Był częścią snu. Nie było powodu, żeby na niego odpisywać. Ani nawet go czytać. Mógł zamknąć na chwilę oczy, potem je otworzyć i listu by nie było, tak jak snu.

Dlaczego o tym myślę?, zdziwił się, a potem pomyślał o Angeli.

Angelo, jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Nie, nie było nic, o czym musiałby powiedzieć, ponieważ nic się nie stało. Angelo, miałem dziś w nocy dziwny sen. Doprawdy? Chcesz opowiedzieć? Prawie go zapomniałem, niemal wszystko. Czy ja też w nim byłam?

Ona też w nim była. A kilka godzin później nawet ją spotkał przed terminalem w Maladze. Po kolejnych kilku godzinach stali razem nad grobem w pobliżu góry Grobem ojca.

Winter opuścił szybę. Poczul powiew na twarzy i pomyślał o ojcu.

Zamknął okno i wysiadł z samochodu. Zobaczył coś w rodzaju minimarketu, poczuł, że potrzebuje cukierków na gardło. Podszedł, zobaczył, że nad drzwiami wisi nowy szyld. Sklepik nazywał się Krokens Livs.

Wiatr szarpał ramami plakatów wystawionych przed wejściem. Odczytał: *Miasto Aniołów*. Obok: *Mściciele*.

Przyjechał bus opieki społecznej. Niezgrabny pojazd zatrzymał się dziesięć metrów dalej i wypuścił kilkoro staruszków. Winter wszedł do Krokens Livs, który oferował zwykłą mieszankę nabiału, czipsów, słodczy, filmów wideo, szczotek do szorowania i prasy. Kupił paczkę pastylek Läkerol, od kobiety o tureckiej lub arabskiej urodzie.

W Mieście Aniołów wiatr przybrał na sile. Winter poczuł krople deszczu. Żółte rzędy domów po drugiej stronie Hagåkersgatan straciły kolor na wilgotnym wietrze.

Morelius jak zwykle siedział nad smażonymi krewetkami z baru Ming. Że też nigdy nie przyszło im do głowy, żeby zamówić coś innego.

Jakiś przedstawiciel lokalnych władz opowiadał w telewizji, czego mieszkańcy mogą się spodziewać w sylwestra. Jeśli mówił prawdę, to impreza miała przyćmić Londyn, Sydney i Nowy Jork.

Będzie to samo wycie i ryki, chwiejne postacie. Płacz, krzyk, śmiech, fajerwerki odpalane na wysokości oczu przez szalonych pirotechników w samym centrum miasta. Ten sam ryk co zawsze.

- Zamieniłem się - powiedział Bartram.

- Co? - zapytał Morelius. Właśnie wstał, żeby wyrzucić resztę krewetek i lepkiego sosu. Jak zwykle.

- W sylwestra jestem na liście Luddego - wyjaśnił Bartram i skinął głową w stronę telewizora. - W samym środku imprezy.

- Witaj w klubie - powiedział Morelius. - Ale chyba zmieniłeś zdanie. Najpierw miałeś pracować, a potem nie.

- Właśnie. Tak samo jak ty. - Bartram wyskrobywał plastikową tackę. - Ty przeszedłeś do Luddego.

- Dlaczego nie zrobić dobrego uczynku? - odpowiedział pytaniem Morelius. - Inni bardziej potrzebują wolnego niż my.

- Mów za siebie.

- A jaki ty masz powód w takim razie?

- Nie mam nic lepszego do roboty - stwierdził Bartram, a potem wstał i wyłączył telewizor. Leciała pogoda dla zachodniej Szwecji. Znowu miało być słonecznie i zimno. - A potem możesz sobie odebrać za to wolne.

- Kiedy możesz sobie to odebrać?

- Może latem. Jeszcze nie wiem, do cholery.

- A co będziesz wtedy robił?

- Latem? Jeszcze nie wiem. Do lata jeszcze dużo czasu.

- Ale najpierw będzie impreza - powiedział Morelius i wskazał głową telewizor.

Podszedł do swojej szafki, otworzył ją. Płaszcz pachniał chłodem. Nie przestało być zimno, kiedy spadł deszcz.

Jutro znowu ma się spotkać z Hanne, to ma być ostatni raz. Nie mogła mu już pomóc, a on nie potrzebował pomocy. Stało się, ale teraz to było raczej jak sen. Nie mógł powiedzieć więcej. Może nie wiedziałby, co mówi, gdyby o tym mówił. Wszystkie pytania, które sobie zadawał po nocach, kiedy telewizor migotał od filmów na wideo, których tytuły zapomniał i których nigdy nie rozumiał, nie rozumiał, o co w nich chodziło.

Włożył słuchawki do uszu i włączył walkmana. Tylko na kilka minut. Zauważył, że Greger porusza ustami, więc wyłączył.

- Co?
- Słysząc to aż tutaj.
- Ach tak.
- Brzmi strasznie.

Patrik poprosił o połączenie z młodym policjantem o krótkich włosach. Winter odebrał akurat, kiedy po powrocie z Mölndal wszedł do swojego pokoju. - Tak?

- No... dzień dobry... mówi Patrik Strömblad...

Winter właściwie nie rozpoznał jego głosu, coś go zakłócało.

- Witaj, Patriku.
- No więc... tamta płyta. Sacrament.
- Tak?
- Jimmo ją ma. Mój kumpel Jimmo...

Bergenheim na próżno przeszukał strych Desdemony. Pomoc nadeszła z innej strony.

- Ma właśnie tę płytę? *Daughter of Haback*... wiesz sam, jak się nazywa.

- To ta płyta - potwierdził Patrik. - Od razu ją wyciągnął. Może ją pan kupić niedrogo... Jest lepsza...

Głos zanikał. - Co?

- Może ją pan niedrogo kupić.

Winter nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Okej! Gdzie ona jest?

- Mam ją tutaj. - Patrik jakby prychnął do słuchawki. - Brzydka okładka. - Znów mówił niewyraźnie, jakby coś żuł.

- Możesz ją tu przynieść? - zapytał Winter. - Teraz?
- Samą okładkę?
- Nie żartuj sobie, Patriku.
- Nie żartowałem. - To wcale nie brzmiało tak, jakby żartował.

- Mógłbyś być u nas za pół godziny? - Winter spojrzął na zegarek.
- Jesteś w szkole?
 - Nie...
 - Możesz przyjść na komendę? Albo spotkamy się na mieście.
 - Nie moglibyśmy tego zrobić jutro?
 - Dlaczego?
 - Jestem... nie wiem, czy ja...
 - Co jest, Patriku?
 - Ee... przyjdę.

Winter odłożył słuchawkę i spojrzął na nieopisaną kasetę leżącą w jednej z przegródek na biurku. Włożył ją do magnetofonu i puścił pierwszy utwór. Na cały regulator. Znow sięgnął po zdjęcia, ale patrzył tylko na dwa leżące na wierzchu. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Beiera, ale kolegi z wydziału technik kryminalistycznych nie było w biurze. Winter znow przyjrzał się jednemu ze zdjęć, potem coś zanotował.

29.

Akurat Halders, ze wszystkich jego ludzi. Nie powiedział tego na spotkaniu. Znalazł to później, po południu, i wszedł do Wintera, bez pukania. W ręce miał czarną książkę.

- W sprawie Habakuka - powiedział Halders. - Tego, co był ojcem tej córki.

- Tak, wiem - powiedział Winter i podniósł wzrok znad najświeższych notatek.

- Był prorokiem. Ma nawet w Biblii własną księgę. - Halders podniósł książkę do góry. - Raczej drobna rzecz.

Stary Testament, pomyślał Winter. Księgi kanoniczne. No właśnie. Powinni wcześniej na to wpaść. Byli za bardzo zeświecczeni. Nowy przekład Biblii ukazał się kilka tygodni temu, powinni być bardziej na bieżąco.

- Świetnie, Fredriku.

- Miałem tę myśl gdzieś w tyle głowy. Pojawiła się przed chwilą, poleciałem do biblioteki i go znalazłem. Proroka Habakuka, między Nahumem a Sofoniaszem. - Halders znów podniósł wysoko Biblię. - Wiem, dlaczego mi się to przypomniało. Nie zdążyłem jeszcze znaleźć swojej Biblii z confirmacji, ale jestem pewien, że pastor napisał mi na pierwszej stronie jakiś cytat, właśnie z Habakuka.

- Jak możesz coś takiego pamiętać?

- A potem zapomnieć?

- Pamiętać, powiedziałem.

- Chyba przez to imię. Wydaje mi się, że nawet je sprawdzałem, bo brzmiało tak... szczególnie. Pewnie z powodu trzech ostatnich liter*.

- Halders przyjrzał się książce, którą trzymał w dłoni. - Może ubliżam temu dziełu. - Znow spojrzął na Wintera. - Musiałem znaleźć ten cytat, bo byłem ciekawy. A teraz znow do niego sięgnąłem.

* *Kuk* to szwedzkie wulgarnie określenie męskiego członka (przyp. tłum.).

Winter wziął od niego Biblię. Przekład z 1917 roku. Otworzył na Księdze Habakuka, niezbyt obszernej, i zaczął czytać. Pastor konfirmujący Haldersa musiał mieć dar jasnowidzenia. Tekst dotyczył pracy w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Pierwszy rozdział opatrzone nagłówkiem „Lamentacja”.

„Widzenie wieszczce, które miał prorok Habakuk.

Dokądże, Panie, wzywać Cię będę - a Ty nie wysłuchujesz?

Wołać będę ku Tobie: Krzywda mi się dzieje! - a Ty nie pomagasz?

Czemu każesz mi patrzeć na nieprawość i na zło spoglądasz beczynnie?

Oto ucisk i przemoc przede mną, powstają spory, wybuchają waśnie.

Tak więc straciło prawo moc swoją, sprawiedliwego sądu już nie ma;

bezbożny bowiem gnębi uczciwego, dlatego wyrok sądowy ulega wypaczeniu”**.

** Cytaty biblijne pochodzą z internetowego wydania Biblii Tysiąclecia, wydanie IV Wydawnictwo Pallotinum (przyp. tłum.).

Sprawiedliwego sądu już nie ma. Czemu każesz mi patrzeć na nieprawość i na zło spoglądasz beczynnie? Odczytał jeszcze raz początek pierwszego rozdziału. Sam miał dużo do czynienia ze złem. Ale zaczął myśleć inaczej, a może myślał tak od początku: zło nie jest żadnym bytem piekielnym. Zło to ludzie, ich czyny. Zło to ucisk i przemoc.

Tak więc straciło prawo moc swoją.

Do diabła, wcale nie. Zamknął Biblię z trzaskiem i odłożył na biurko. To mógł być przypadek, ale on nie wierzył w przypadki. Jeśli morderca wybrał właśnie taką muzykę i płytę o takim właśnie tytule, to znaczy, że to ma jakiś sens. Wkrótce będą mieli płytę, teksty i Biblię i będą się wczytywać. Dlaczego? Czyżby morderca chciał powiedzieć, że świat jest zły? Widzieli *writing on the wall*. Czy chciał powiedzieć, że jego świat jest zły? Świat mordercy. Czy świat Wintera? Świat ludzi. Czy to ten sam świat?

Teksty. Niecierpliwie czekał na Patrika. Jeszcze więcej do czytania. Ubrani na czarno ludzie z Desdemony powiedzieli, że black metal nic nie znaczy bez tekstów, ale to teksty, których nikt nie zrozumie, słuchając ich.

Halders zostawił drzwi otwarte i Winter zobaczył na korytarzu Patrika w towarzystwie Möllerströma. Rejestrator pokazał Patrikowi, gdzie ma iść, i oddalił się. Winter wstał. Chłopak podszedł do biurka.

- Co ci się stało?
- O co chodzi? - odparł Patrik. - To przecież nic takiego.
- Masz tu solidnego krwiaka.

Patrik dotknął prawą dłońią kości policzkowej, tuż pod prawym okiem:

- Nic takiego. Potknąłem się, kiedy wysiadałem z autobusu.
- Kiedy wysiadałeś z autobusu? Co to za bzdury - powiedział Winter. Wyszedł zza biurka i nachylił się, przybliżając twarz do twarzy Patrika. - Byłeś z tym w szpitalu?
- Nie.
- To może być złamanie kości jarzmowej. - Pohamował odruch, żeby dotknąć jego policzka. - Mogę sprawdzić?
- Jest pan też lekarzem?
- Tylko dotknę. - Ledwie musnął palcami twarz Patrika. Patrik z bólu odsunął głowę. - Aż tak boli?

Patrik powiedział coś, czego Winter nie rozumiał. Potem spuścił głowę.

- Co powiedziałaś? Nie dosłyszałem - powiedział Winter.
- To był... autobus.
- Nie - powiedział Winter. - Ktoś cię pobił.

Patrik podniósł na niego wzrok. Siniak zaczynał przypominać nieregularne znamię. Jakby miał krzywą twarz.

- Niedawno.

Patrik nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby chciał jak najszybciej wyjść. W lewej ręce trzymał płaską reklamówkę.

- Kto to był? - pytał Winter. - Ktoś w szkole?

Patrik potrząsnął głową. Winter zobaczył, że jego ramiona drżą. Nie mogą go straszyć. Oczy mu się zaszkliły. Płacze. To przecież dziecko.

Patrik patrzył w dół i bezgłośnie płakał. Winter się przełamał i chwycił go za ramiona, lekko drgały. Patrik stał plecami do otwartych drzwi. W progu stanął Ringmar, ale Winter kiwnął głową i kolega się wycofał.

- Już dobrze, Patriku, już dobrze.

Usłyszał, że chłopak pociągnął nosem. Potem uwolnił się z uścisku. Sprawiał wrażenie bezbronnego, jak uciekinier.

- Usiądź, Patriku.

Osunął się na krzesło, niemal upadł. Winter przykucnął na piętach jakiś metr od niego.

- To się stało w domu, prawda?

Patrik nie odpowiedział, nie kiwnął głową, pociągał tylko nosem i patrzył na wszystko z wyjątkiem Wintera.

- Dobra, dajmy temu teraz spokój, ale ktoś powinien cię zbadać - stwierdził Winter. Wstał i poszedł do Ringmara. - Czy mógłbyś załatwić radiowóz? Trzeba zawieźć chłopaka do Sahlgrenska?

- Kiedy?

- Jak najszybciej.

Wrócił do Patrika, obszedł dookoła biurko i usiadł na obrotowym fotelu. Twarz Patrika wciąż się wykrzywiała. Widział, że płacz też sprawia mu ból. Znow wstał i przyniósł szklankę wody. Patrik wypił.

Znów pociągnął nosem, odstawił szklanke i machnął ręką w stronę leżącej na biurku reklamówki.

- Nie chce jej pan?
- Oczywiście, że chcę - powiedział Winter. Przyciągnął torbę i wyjął płytę. - Wspaniale, Patriku.
- Sacrament - powiedział Patrik, już pewniejszym głosem. - To właśnie ta płyta. Córka.
- Jak się nazywa twój kolega?
- Jimmo.
- A skąd ją ma?
- Second hand w Hadze, tak mi się wydaje. Nie pamiętam który.

On mo...

- Okej. Potem się tym zajmiemy. Teraz chcia...
Zadzwonił stojący na biurku telefon.
 - Dwóch kolesi czeka na dole - powiedział Ringmar.
 - Okej. - Winter spojrział na Patrika. - Chcę, żeby ktoś obejrzał twój policzek. To bardzo ważne, mam nadzieję, że to rozumiesz. Fundujemy ci podróż do Sahlgrenska, a potem jeszcze trochę porozmawiamy. Okej?
 - Ja wie...
 - Nie musisz mówić, kto cię uderzył. Chcę tylko, żeby ktoś się tym zajął. - Winter wstał. - Jesteś naszym współpracownikiem w tej sprawie, a do tego trzeba być w jak najlepszej formie. Okej? - Wyciągnął do Patrika dłoń, jakby chciał go podeprzeć. - Okej?
 - Okej - powiedział Patrik i wstał.
 - Będę pilnował płyty - obiecał Winter i włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Szerokiej, włoskiej. Włosi robią duże kieszenie w niektórych ubraniach.
- Zjechali na dół windą. Kiedy czekali przed wejściem, aż radiowóz czekający na Patrika podjedzie bliżej, znów zaczął padać śnieg. Kierowca wysiadł i obszedł samochód. Winter uniósł rękę.
- Cześć, Simon.

- Witaj, Eriku.
- Dawno się nie widzieliśmy
- To prawda.
- Jak tam w Lorensbergu?
- Jak zwykle. Pilnujemy twoich okolic.
- Wydaje mi się, że cię niedawno widziałem. Na Vasagatan.
- To najczęstsza trasa.

Winter przeniósł wzrok niżej. Kolega Simona opuścił szybę i przedstawił się:

- Bartram.

Winter skinął głową.

- Greger jest stosunkowo nowy w mieście - powiedział Simon.
 - Ale już się widzieliśmy - powiedział Winter. - Nawet byłeś przy tym. - Spojrzał na Morelius. - Chciałbym was prosić, żebyście pomogli temu chłopcu dotrzeć na pogotowie.

- Bertil Ringmar już nam mówił - przyznał Morelius. Popatrzył na Patrika. Znów wyglądał, jakby uciekł z domu.

- Cześć, Patriku.
- To wy się znacie? - zdziwił się Winter.
- To tylko powierzchowna znajomość - wyjaśnił Bartram. Dotychczas się nie odzywał. - Ale nigdy nie widzieliśmy go bez Marii.

- Odwrócił się z trudem na siedzeniu i spojrzał na chłopca. - Gdzie ona jest?

- Maria? - zapytał Winter.
- Córka Hanne. Pastorki - wyjaśnił Morelius.
- Hanne Östergaard? - upewnił się Winter.
- Tak.
- Możemy już jechać? - zapytał Patrik.

Winter skinął głową, nie pytał o nic więcej. Chłopak musi trafić do lekarza.

Patrik usiadł na tylnym siedzeniu i radiowóz ruszył. Winter miał jego domowy telefon. Zastanawiał się chwilę, jak tam może być. Pomyślał

o Hanne Östergaard, po raz pierwszy od dawna. Poczul, że płyta uwiera go w żebra, i pomyślał o muzyce.

Partik zamknął oczy. W policzku i oku czuł bolesne pulsowanie, wyraźniej niż przedtem. Gliniarze się nie odzywali. Na dworze zrobiło się ciemno, prawie czarno. Siedzący z przodu mężczyźni byli raz jaśniejsi, raz ciemniejsi od ulicznych świateł, jaśniej, ciemniej. Wyglądali, jakby siedzieli na skos w stosunku do siebie. Widział głównie ich potylicy. Nie mieli na głowach czapek. Teraz znów zrobiło się jaśniej, byli przed Slotsskogen. Znów zamknął oczy, znów otworzył. Znów widział przed sobą profile tych z przodu, nikt nic nie mówił. Zamknął oczy, otworzył. Był na klatce schodowej, tamtego ranka. Był tam. Na schodach. I tutaj. Znów poczuł ból w policzku. Pocił się, wydawało mu się, że gna schodami na górę, taszcząc naręcze gazet. Zatrzymał się, spojrział. Ktoś wychodził z bramy, ze światła w cień. Profil.

Morelius zatrzymał się przed wejściem na izbę przyjęć i odwrócił się do tyłu.

- Okej, Patriku.

Patrik się nie odezwał. Żadnego ruchu. Bartram też się odwrócił.

- Patriku?

- Zemdlął - powiedział Bartram.

Winter słuchał płyty na swoim panasonicu, stał na podłodze pod oknem. Pierwszy utwór, drugi utwór. Puścił kasetę, te same kawałki. Na razie żadnych różnic. Przesłuchał wszystko i porównał. To było wyzwanie.

Do płyty dołączono wkładkę, ale nie zszytą książeczkę, tylko składaną harmonijkę. Sama okładka była brązowo-czarna, nieporadny rysunek: brązowy ocean i czarne skały, horyzont zlewający się z nocą, niebo czarne, a gwiazdy małe i rozjarzone. W dolnym rogu napis Sacramento, gotykiem, jak w pismach i katalogach, które przewertował.

W lewym górnym rogu jakiś symbol, może srebrny nietoperz albo prehistoryczny ptak.

Na trzech z czterech stron wkładki umieszczono zdjęcia mężczyzn, pewnie członków zespołu. Albo jakichś innych metalowych muzyków, którzy przypadkiem załapali się na zdjęcie, pomyślał Winter. Równie dobrze mogliby to być Nordberg i Sverker plus jeszcze ktoś z Desdemony: czarne koszulki i spodnie, ognistożółte nadruki, ćwieki jak gwiazdy na niebie, czarne włosy do pasa, bardzo blade twarze. A do tego szczególne atrybuty: nagie pnie, miecze i maczuga. Każda postać miała własne niebo: pomarańczowe, zielone i ciemnoniebieskie.

Nie zauważył nigdzie żadnej córki, żadnego proroka. Brakowało też krzyży, nie licząc maczugi, którą jeden z muzyków trzymał na tle drzewa, tak żeby razem z pniem tworzyła krzyż.

Na ostatniej stronie wydrukowano tekst, białe litery na czarnym tle. Dużo tekstu, w większości bardzo drobnego i gęstego. Jakby specjalnie sformatowano go tak, żeby się nie dało odczytać, pomyślał Winter.

Ale on powinien go przeczytać. Już miał w pogotowiu okulary do czytania. W tym roku stało się to smutną koniecznością.

Płyta została nagrana w The Machine Room, w Edmonton. Narrator szedł przez las, mógł to być ten, którego było widać po drugiej stronie wkładki.

Znów włączył pierwszy utwór i próbował śledzić tekst na bieżąco. Słyszał to samo, co czytał. *Blood trickles to the floor. This woman has broken a sacred bond. The black angel. This woman has deserted me and I must take revenge.* Ta kobieta mnie opuściła i muszę się zemścić. Czarny anioł. Ta kobieta złamała świętą przysięgę.

Czy może umowę.

Winter wyłączył muzykę i czytał dalej. Zatonął w oceanie krwi. Czarne galaktyki nienawiści. Gwiazdy, jakie eksplodowały w podziemiach, tworząc demony, które potem wędrowały przez strefy

zdemilitaryzowane w poszukiwaniu ofiar. Może był w tym jakiś humor, ale trudno było go zauważyć po tym, co się stało w tamtym pokoju.

30.

Znów zapadał zmierzch. Fasada budynku po drugiej stronie w promieniach zimowego słońca zrobiła się złota i czerwona. Słońce znika, kiedy jest najpiękniejsze, pomyślał Winter i odszedł od okna. Potem opuścił pokój i pustymi korytarzami poszedł do wydziału technicznego.

Beier czekał za biurkiem. W białej koszuli z krawatem. Ubierał się starannie prawie przez cały tydzień. Winter usiadł.

- Spermę należy do Valkera - powiedział Beier.

Winter skinął głową. Na sofie, na której siedziała zamordowana para, znaleziono ślady spermy.

- Ale nie tylko - ciągnął Beier. - Jest tam jeszcze spermę dwóch albo trzech mężczyzn. Sądzę, że raczej dwóch.

- Postukał w leżącą na biurku teczkę. - Wszystko jest tu opisane. Kilka plam z różnych okresów. Co najmniej sprzed pięciu miesięcy, i później. - Podniósł ciekawą teczkę i położył przed Winterem. - Ale najnowsze ślady to Valker.

- Czy mogą pochodzić z... tamtego dnia?

- Tak.

- I nikogo innego? Wtedy?

- Nie.

- W mieszkaniu mogło być więcej osób - powiedział Winter. - Wtedy.

- Oczywiście - przyznał Beier. - Mamy kilkanaście odcisków palców różnych ludzi, których nie ma w żadnych kartotekach. Ale odciski palców to nic niezwykłego w mieszkaniu czy w domu. Różni ludzie się przewijają.

- Ale nie każdy zostawia po sobie spermę.

- To prawda. - Beier wstał, przyniesiono kawę. Zawsze częstował

kawą, kiedy Winter go odwiedzał. Beier przejął tacę od sekretarki, postawił ją na biurku i jedną filiżankę podsunął Winterowi.

Winter zastanawiał się chwilę, jak Beier to zrobił, że dziewczyna przynosiła mu tacę z kawą. Może mieli taką umowę. Następnym razem przyjdzie kolej na Beiera, żeby zrobić obchód z tacą. Beier wsypał cukier, nalał mleka, a potem podniósł wzrok na Wintera. - Wszystkie wydzieliny, jakie znaleźliśmy, są na tej sofie. Albo koło niej.

- Co to oznacza?
- Co to oznacza? Że na sofie i tuż obok działały się różne rzeczy.
- Nic od... kobiet.
- Ależ tak.
- Jej wydzielina? I dwóch innych?

Beier potwierdził skinieniem.

- Trzech mężczyzn i trzy kobiety - powiedział Winter.
- Trzy pary.
- Mamy trzy pary.
- Wiem - przyznał Beier.
- Więc musielibyśmy zdobyć świeżą spermę i... wydzieliny, żeby porównać.

- Powodzenia - rzucił Beier.
- Czy za bardzo puściłem wodze fantazji?
- Nie wiem.
- Oni coś wiedzą - powiedział Winter.
- Co masz na myśli?
- Rozmawiałem z Martellami. Aneta Djanali i Halders byli u tych drugich. Elfvegrenów. Coś tam się kryło pod powierzchnią, tak powiedzieli. U obu par.

- To się nazywa podtekst - stwierdził Beier. - Im większa głębia, tym lepiej.

- Albo gorzej. To znaczy dla nas.
- Ale jedno nie musi mieć nic wspólnego z drugim.

- Nie. Nie wiem, czy Martellowie są w jakikolwiek sposób zamieszani w morderstwo. Nie mam żadnej koncepcji. Ale muszę ich trochę bardziej przycisnąć. I tych drugich. Elfvengrenów. Jutro jadę do Järnbrott. - Winter wstał z teczką w dłoni. - Jeszcze jedno. Nie widziałem całej listy przedmiotów z ich mieszkania.

- Ach tak? Jest w tej teczce, rzecz jasna. - Beier popatrzył na Wintera. - Może dojdą jeszcze jakieś uzupełnienia.

- Były jakieś gazety czy czasopisma?

- Żartujesz? Cały przedpokój był pełen starych numerów „Göteborgs Posten”.

- Ale poza tym.

- Niezbyt dużo. Myślisz o czymś konkretnym?

- Sam nie wiem - powiedział Winter.

Znów siedział nad tekstami Sacramento. Bohater utworu numer trzy podróżował w przestrzeni kosmicznej, niesiony własną nienawiścią. Dużo tam było nienawiści, do siebie, do innych.

To najbardziej pokręcone i chore wypociny, jakie kiedykolwiek czytałem, pomyślał Winter.

Oni się z nas nabijają.

Here is the dream I live with, this is my plan. To kill mankind and destroy the universe. Wymordować ludzkość i zniszczyć wszechświat.

To wielkie plany, wielu się do tego przymierzało.

Większość tekstów napisano w pierwszej osobie. Bohater rzadko przebywał na Ziemi. Tylko jedna krótka wizyta na Manhattanie. Rejs po Morzu Czerwonym. Jeszcze jeden rejs po Morzu Czarnym. Poza tym same obce światy.

To może dać zajęcie na lata tuzinowi psychologów, pomyślał Winter. Ale nam to nic nie daje. Mogę zapytać koleśki z Desdemony, czy to się jakoś znacząco różni od innych tekstów w tym gatunku.

Mnóstwo ścian, po kilka w każdej piosence. *Wall of Hate. Wall of*

Blood. Wall of Corps. Wall of Horrors. Winter stwierdził, że po kilku razach to się przejada, zużywa i strzępi, jak odłóżkowe tapety.

Zdjął okulary do czytania i obejrzał je. Miał wrażenie, że szkła się zabrudziły słowami, jakby pokryła je na wpół przezroczysta cienka warstwa sadzy.

Zadzwonił telefon w kieszeni jego marynarki. Na wyświetlaczu pokazał się numer jego matki w Nueva Andalucía. Poczul nagłe ukłucie w piersi.

- Cześć, mamó.

- Witaj, Eriku. Nigdy się nie przyzwyczaję do tego, że odbierający widzi numer.

- Człowiek się zaczyna zastanawiać, dlaczego niektórzy nigdy nie odbierają, prawda?

- Ty zawsze odbierasz, Eriku.

- Właśnie. Jak sobie radzisz?

- Po prostu żyję z dnia na dzień, jak to mówią. Ale czuję się... całkiem dobrze. Jeżdżę na grób prawie codziennie. To jak wycieczka. Widać stamtąd morze.

- To piękne miejsce na grób.

- Jest tak pięknie z tą górą i morzem. Jakby zamieszkał w jakimś wytwornym miejscu.

- Właśnie.

- A teraz zbliżają się święta. Chyba świąteczny handel już na dobre się rozkręca?

- Nawet nie wiem. W każdym razie nie dla mnie.

- Rozumiem. Znów morderstwo. To naprawdę straszne. I właśnie wtedy, kiedy stąd wróciłeś. - W słuchawce na chwilę zapadła cisza, może zabrzączały kostki lodu w szklance tanqueray z tonikiem. - Czytałam o tym w „Göteborgs Posten”. Co za koszmar. W dodatku tak blisko ciebie.

- Vasastan nie jest strefą wolną od zbrodni, mamó.

- Od razu pomyślałam o Angeli. Musiała się zastanawiać, gdzie trafiła.

- Trochę tak.
- Nie, głupio mi się powiedziało. A jak ona się czuje?
- Dobrze.
- Czuleś jakieś kopnięcia?
- Tak.
- I jak było? Opowiadaj!
- To było... coś fantastycznego. Niesamowite przeżycie.
- Pamiętam, kiedy ty... kiedy ja... - Tym razem na pewno usłyszał w słuchawce podzwanianie lodu o szkło. - Przepraszam, Eriku. Myślałam o tym, kiedy ty... i tata... - Głos znów jej się załamał, kolejny brzęk. - Było tak, jak mówisz. Niesamowite przeżycie. Kiedy czuliśmy Lottę i kiedy poczuliśmy, jak ty kopiesz.
- Sama się przekonasz, jak przyjedziesz.
- No...
- Co jest?
- Tylko że...
- Nawet nie mów, że nie przyjedziesz do domu.
- Im bliżej świąt, tym bardziej zaczynam wątpić...
- Nie ma żadnych wątpliwości. Czekamy na ciebie i się cieszymy. Pomyśl o Lotcie, o Bim i Kristinie. I o Angeli. O mnie. Ale przede wszystkim o sobie samej.
- Może byłoby lepiej, żebym tu została... wy macie swoje sprawy.
- Co za zamiana ról, pomyślał Winter. Przedtem to ona nas namawiała, żebyśmy przylecieli do Hiszpanii, a teraz my to odwróciliśmy.
- Wszystko jest przygotowane - powiedział. Mamy tanqueray pomyślał. - Musisz przyjechać.
- No... ale ja przecież chcę.
- Dwudziestego trzeciego grudnia czekam na Landvetter.
- Tylko żeby nie było za dużo śniegu.
- Do tego czasu śnieg stopnieje albo spłynie z deszczem.
- Pozdrów Angele.
- Oczywiście.
- Pozdrów oboje.

- Jasne.
- Macie dużo imion? Dla dziecka?
- Dość dużo.

Rano zaczęły się roztopy. Powietrze wyglądało ciężko, jakby w nocy zostało rozwieszzone jak draperie. Winter stał w bokserkach z kubkiem kawy w dłoni. Puszczal Springsteena Angeli, była w ubikacji. *Happy, happy in your arms.*

Rzadko się zdarzało, żeby rano był w domu tak późno. Na ulicy było spokojniej niż wtedy, kiedy zwykle wychodził.

Usłyszał szum wody w rurach. Angeli wyszła z łazienki.

- Mamy tam być za pół godziny! - zawołała.
- Jestem gotowy - odpowiedział Winter.
- Cooo?
- Prawie gotowy - sprostował, poszedł do kuchni z pustym kubkiem po kawie, a potem zniknął w łazience.

Nie padało, ale powietrze było tak wilgotne, jak się wydawało, kiedy patrzyli przez okno.

- Pójdziemy pieszo - powiedziała Angeli w windzie.
- Ale jest mokro.
- Potrzebuję spaceru.

Dla niego to był pierwszy raz. Czyżby był zdenerwowany? Tak.

Do Sociala huset mieli zaledwie dziesięć minut marszu. Kanałem płynęły cieniutkie kry. Przejechał jakiś samochód, wzbijając fontanny brudnej wody z ulicy. Zalały dół płaszcz Angeli. Winter zapamiętał numer rejestracyjny.

- Chcesz, żebyśmy złapali kierowcę? - zapytał.
- Tak. - Angeli nachyliła się, żeby zetrzeć szare smugi wody z grubego materiału. - Wsadźcie go do pierdła.

Zdjęli okrycia i czekali w pokoju, w którym siedziały jeszcze dwie

młode kobiety, ale żadnych mężczyzn. Winter pierwszy raz miał w rękach numer „Amelii”. Angela poszła do pielęgniarki na pobranie. Winter czytał o tym, dlaczego kobiety w Sztokholmie są takie zadowolone z tego, że są singielkami. W Göteborgu tak nie jest, pomyślał. To już nie jest dobre miasto dla singli. Angela wróciła.

- Co pobierają? - zapytał.
- Krew. Hemoglobina, grupa krwi, poziom cukru.
- Nie możesz tego zrobić sama? W domu?
- Siedź cicho.
- Ale mówię poważnie.
- Ja też. Zrobili badanie na HIV i rubellę, w dziesiątym tygodniu.

Przy zapisie.

- A co to jest rubella?
- Różyczka.

Przypomniał sobie Ringmara i jego studiującego dziennikarstwo syna. *Rubrica*. Czerwone tytuły na ścianach.

- Denerwujesz się, Eriku?
- Ale dlaczego?
- Bo sprawiasz takie wrażenie. - Jakaś kobieta otworzyła drzwi i gestem zaprosiła ich do środka. - Nasza kolej.

Wstali i poszli za nią. Wskazała im drogę do mniejszego pokoiku z biurkiem i stojącymi przed nim dwoma krzesłami. Wyglądały na wygodne.

Miała na sobie normalne ubranie, żadnego białego fartucha. Nie jest umundurowana, pomyślał Winter. Ucisnął dłoń, którą do niego wyciągnęła.

- Nazywam się Elise Bergdorff i jestem położną, jak się pan chyba domyślił. Witam serdecznie. To wspaniale, że mógł pan przyjść.

Winter skinął głową i przedstawił się. Usiedli.

Angela i położna rozmawiały o ostatnich tygodniach. Winter zrozumiał po kilku sekundach, że mają do siebie zaufanie. Angela czuła się bezpieczna. On też się odprężył, słuchał, czasem coś mówił.

Potem przyszedł czas na USG. Angela położyła się na leżance, a położna naniósł turkusowy żel na jej brzuch i przyłożyła coś w rodzaju mikrofonu. Był podłączony do jakiegoś aparatu.

- Co to takiego? - zapytał Winter. Czy to zresztą ważne? - pomyślał. Jestem przyzwyczajony do zadawania pytań.

- To jest *dopetone*. Dla fal ultradźwiękowych. - Trzymała mikrofon nad niebieskim, wypukłym brzuchem Angeli.

Winter usłyszał bicie serca. Naprawdę słyszał serduszko. Uderzało szybko, dwa razy szybciej niż u dorosłego. Dźwięk rozchodził się po całym pokoju, otaczał go. Angela złapała go za rękę. Nie myślał już o niczym, tylko słuchał.

31.

Patrik zamknął lodówkę, ale natychmiast otworzył ją kumpel ojca. Właśnie wyszedł z pokoju, wnosząc ze sobą ostry zapach dymu i alkoholu.

- Miałem tu flaszkę marinelli, miała być zimna i pyszna - powiedział i spojrzał na Patrika. - Zwędziłeś ją? - Zaśmiał się. Oczy miał jak z porcelany, puste, błyszczące. Zaraz wyskoczą mu z głowy, a on padnie na podłogę, pomyślał Patrik. Może ojciec wyłoży się na niego.

Pijany ojciec zawsze przypominał mu Kiwaczka. Teraz Kiwaczek zatrzaskał lodówkę.

- GDZIE JEST MOJE PICIE?! - wrzasnął w stronę pokoju.

Impreza trwała w najlepsze. Właśnie osiągnęła punkt kulminacyjny, nadchodziła faza zejścia. Kiwaczek popatrzył na Patrika. Miał może dwadzieścia pięć lat, ale spokojnie mógłby uchodzić za brata ojca. Zostało mu jeszcze trochę włosów, ale to wszystko.

- Coś se tu zrobił? - zapytał, wpatrując się przymrużonymi oczami w twarz Patrika, potem pokazał palcem. - Niezłą masz śliwę.

- To nic takiego.

- Ktoś to oglądał?

- Tak.

- Przejdzie ci, ale jakiś czas będzie fioletowe - stwierdził Kiwaczek i znów zaczął szperać w lodówce. Na podłogę wypadła paczka margaryny. - No przecież tu jest, kurwa mać! - Podniósł butelkę wypełnioną do połowy żółtoczerwonym płynem.

Kiedys ci do niej naszczam. Tylko połowa szczyń, nic nie zauważy.

- Wygląda jak twoja gęba - powiedział Kiwaczek, patrząc na granatową etykietę. Potem spojrzął na Patrika.

- Tylko żartowałem. - Znow przyjrzał się butelce, potem Patrikowi. - Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję - powiedział Patrik. Wyszedł do przedpokoju, narzucił kurtkę, włożył buty, jeszcze całkiem mokre w środku. Można by je wypychać gazetami, kiedy się w nich nie chodzi, ale u nich w domu już dawno nikt nie robił takich rzeczy. Miał jakieś mgliste wspomnienie. Może to mama, kiedy był tak mały, że niewiele mógł zapamiętać.

Jakaś baba zaczęła śpiewać w pokoju. Ojciec się zaśmiał. Patrik wyszedł na klatkę schodową i cicho zamknął za sobą drzwi.

Kiedy dotarł do Javy Maria siedziała nad filiżanką czekolady.

- Wygląda gorzej - powiedziała.

- Niedługo zniknie - odparł.

- I na pewno nic nie było... złamane?

- Nie.

- Powinieneś złożyć na policji doniesienie na tego... skurwiela.

- Policja też tak uważa - przyznał, zdjął kurtkę i powiesił na oparciu krzesła. - Kumpel twojej matki. Winter.

- Raczej nie żaden kumpel.

- W każdym razie to był on. - Patrik spojrzął na filiżankę Marii.

- Chcesz trochę? - zapytała.

- Czekolady? Nie. Wystarczy mi to, co wypilem u ciebie w domu.

- Pięć kubków. - Uśmiechnęła się. - Mama powiedziała, że mógłbyś figurować w księdze rekordów Guinnessa.

- Zamówię sobie kawę - powiedział i wstał z krzesła.

- Nie przypominało ci się nic więcej z tego, co... co widziałeś na schodach? - zapytała Maria, kiedy wrócił.

- Nie wiem.

Pozdrowił kogoś, kto przeszedł obok. Kawiarnia była pełna młodych ludzi. Palili papierosy i pili kawę, herbatę albo czekoladę. Wszędzie leżały porozkładane książki. Patrik też czasem przesiadywał tu z podręcznikami, kiedy tak naprawdę powinien być w szkole i mieć je przed sobą na ławce.

- Wyglądasz na cholernie zmęczonego - powiedziała Maria. - I to nie tylko przez ten policzek.

- Dzięki.

- Ja bym nigdy nie dała rady roznosić gazet o czwartej nad ranem.

- O piątej. O czwartej to ja wstaję.

- Strasznie wcześnie.

- Idzie się przyzwyczaić.

- Mogę ci pożyczyć, jeśli potrzebujesz pieniędzy.

- Ty? Matka ci nie zakręciła kurka?

- Mam jeszcze trochę.

- Ja też - powiedział. - Nikt nie musi mi pomagać.

Winter poprosił Hanne Östergaard, żeby się z nim skontaktowała, kiedy przyjdzie do budynku przy placu Ernsta Fontella. Właśnie przyszła. Zapukała w jego zamknięte drzwi i weszła.

- Dzień dobry, Eriku.

- Witaj, Hanne. Dobrze, że mogłaś wpaść.

- Miałam coś do załatwienia.

- Siadaj. Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję. - Usiadła na krześle dla gości. Winter miał na sobie koszulę z krótkim rękawem i szelki. Krawat położył na marynarce, wisiała na wieszaku przy umywalce. Włosy miał krótsze niż przedtem. Był szczuplejszy. Twarz miał bardziej wychudzoną, niż pamiętała,

ostrzej zarysowaną. Trochę ją łagodziły okulary w cienkich oprawkach. O ile go znała, nie były to okulary od Armaniego. To byłoby zbyt proste.

- Sprawiliś sobie okulary.

- Do czytania. Wszyscy się starzejemy.

- Ładne. To chyba nie Armani?

- Ech... nie, to... - Zdjął okulary z nosa i spojrzał na zauszniak. - Air Titanium. - Popatrzył na nią pytającym wzrokiem. - Jesteś jakoś specjalnie zainteresowana?

- Oprawkami okularów? - Zaśmiała się. - Nie. Na takie zbytki nie mam czasu.

Winter odłożył okulary na biurko.

Hanne czekała, aż zacznie mówić.

- A jak tam poza tym u ciebie?

- Poza tym? Co masz na myśli? Kiedy nie przychodzę na komendę? - Założyła nogę na nogę. - Dobre pytanie.

- No właśnie...

- Powiedz lepiej od razu. Chcesz wiedzieć, co z moją córką?

- Dlaczego tak myślisz?

- Przecież wiesz.

- Ale co wiem, Hanne?

- Daj spokój, Eriku. Przecież chyba wszyscy tu, na komendzie, wiedzą, że moja córka została znaleziona na ulicy przez twoich kolegów, kompletnie pijana. - Znów założyła nogę na nogę. - Pijaństwo to chyba wykroczenie?

- Przestań, Hanne. Tak, wiedziałem o tym. Nie, nie dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

- Ale możesz, spokojnie.

- Słucham?

- Spokojnie możesz zapytać, jak się czuję... po tym, co się stało.

- To jak się czujesz?

- Już lepiej - powiedziała i znów się uśmiechnęła. - Maria się... pilnuje od tamtego czasu. - Westchnęła. - Przynajmniej z tego co widzę.

- To chyba była dla niej... nauczka, że tak powiem. - Winter założył z powrotem okulary. - Przecież to ludzkie.

- Tak. Wszyscy jesteśmy biednymi grzesznikami. Właśnie próbuję to wytłumaczyć opiece społecznej - stwierdziła Hanne.

- Socjalnym?

- Zawsze jest dochodzenie, kiedy się zdarza coś takiego.

- Potraktuj to jako zwykłą formalność.

- Widać, że nie masz dzieci.

- Już niedługo.

- No właśnie, słyszałam. To cudownie. Gratuluję. I pozdrów Angele.

- Dziękuję. Ale musisz patrzeć na to jak na... formalność.

- Pod warunkiem że to się nie powtórzy.

Winter nie wiedział, co powiedzieć.

- Bo przecież nie ma żadnej gwarancji, że się nie powtórzy, nieprawdaż? - ciągnęła Hanne.

- No cóż...

- Powinam nią być ja. Powinam być taką gwarancją. Ale najwidoczniej poniosłam klęskę.

- Co za bzdury wygadujesz, wybacz dosadne słowa, Hanne. - Powtórzył to słowo, ale tym razem nie przeprosił: - Bzdury.

- Mam nadzieję, że tak jest.

- Są jednak takie przykłady.

- Co masz na myśli?

- Maria ma... kolegę, Patrika, o ile wiem.

- Tak... skąd wiesz?

- Dowiedziałem się od kolegów, którzy poznali Marię. Nic szczególnego. Przecież jeżdżą po centrum. Ale chodzi mi o Patrika.

Rozmawialiśmy z nim, bo roznosi gazety akurat w tym domu, w którym doszło do morderstwa. Czytałaś chyba o tym w gazetach.

Skinęła głową.

- Czy Patrik był świadkiem czegoś?

- Jeszcze nie wiem.

- Ale był tam?

- Roznosił tam gazety, to prawda. Ale chodzi mi o to, że ma kłopoty innego rodzaju. Przyszedł tu z rozwalonym policzkiem, kazałem go zawieźć do Sahlgrenska.

- Co się stało?

- Obawiam się, że jest bity w domu.

- To możliwe - przyznała Hanne i spojrzała na niego z powagą.

- Widziałaś kiedyś coś, co mogłoby na to wskazywać? - zapytał.

- Nic konkretnego, czasem miał taki... trochę zmierzwiiony wygląd, kiedy przychodził do nas... do Marii. Co nie zdarzało się często.

- Może ci coś powiedział?

- Nie. Nawet sugestii, ale ja się trochę zastanawiałam.

- Ojciec go bije. Nie mogę tego na razie udowodnić, ale tak jest.

- Co chcesz zrobić?

- Zobaczymy. Patrik musi spróbować sobie uświadomić, czego sam by chciał.

- To okropne.

- Nie zamierzam tego tak zostawić. - Winter wstał i podszedł do odtwarzacza. - Chciałbym, żebyś tego posłuchała. - Włączył Sacrament. Teraz to już były dobrze znane dźwięki. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że słyszy melodię, jakiś płynny ton w betoniarce. Jak medytacje Coltrane'a.

- To nie jest to, co tygrysy lubią najbardziej - stwierdziła Hanne. - Co to takiego?

Wyjaśnił jej i wręczył książeczkę.

- Patrik puszczał metal u nas w domu.

Przyglądała się okładce, czarnej linii brzegu, niebu, srebrnemu odbłaskowi. Winter przepisał teksty utworów, żeby dało się je odczytać.

Poprosił, żeby przeczytała pierwszy. Hanne sprawiała wrażenie, jakby się uśmiechała, mimo całej powagi.

- Całkiem bogata wyobraźnia - stwierdziła.

- Nieprawdaż?

- Duża rozpiętość. Od samego dołu aż do góry, można powiedzieć.

- Z piekła do nieba.

- No i na dokładkę jeden z proroków.

- I tu docieramy do właściwego powodu naszego spotkania, Hanne. - Skinieniem wskazał pierwszą stronę książeczki.

- Habakuk? Chcesz się czegoś dowiedzieć o Habakuku?

- Tak.

- Eriku, nie jestem teologiem w tym sensie. On był prawym, zawodowym prorokiem, to wszystko, co wiem. Czytałeś jego księgę? W Biblii?

- Tak. Miał córkę?

- Nie mam pojęcia. Nie sądzę, żeby dużo było wiadomo o jego życiu. Musisz sięgnąć do literatury teologicznej, egzegetyki. Leksykonów biblijnych.

- Okej. Zastanawiałem się nad uniwersytetem. Religioznawstwo.

- Tak. Jest na przykład coś takiego, co się nazywa *Interpreter's Bible*. I inne podobne rzeczy. Jeśli jest coś więcej o Habakuku, to tam. - Spojrzała na okładkę płyty. - Że też musiał zostać wciągnięty w coś takiego. Habakuk.

- W morderstwo?

- Albo tę okładkę. To już wystarczy. - Popatrzyła Winterowi w oczy. - Jak to będziecie interpretować?

- Akurat teraz staram się unikać interpretowania, szukam faktów.

- Niebo i piekło.
- Przynajmniej tak to wygląda.
- Ale może to tylko zabawa. Czy ten zespół, Sacrament... czy oni naprawdę coś chcą przez to powiedzieć, wyrazić?
- Może to nie ma znaczenia. Ale ktoś inny chciał przez to coś wyrazić.
- Czytałam artykuł w jakimś dodatku niedzielnym w zeszłym tygodniu - powiedziała Hanne. - O... duchu czasu. O tym, że wkrótce zostaną tylko dwa tygodnie do nowego tysiąclecia i wszystkie pojęcia się rozmywają.
- *Fin de siècle.*
- No właśnie. Koniec wieku, a nawet więcej: koniec tysiąclecia. Już nie potrafimy wyznaczyć kierunku.
- W górę czy w dół?
- Otóż to. Niebo czy piekło.
- I w końcu będziemy mieli przedziwną mieszankę jednego i drugiego - powiedział Winter. - Świat jest rozrywany w różne strony.
- Nie mój świat - odparła Hanne i znów się uśmiechnęła. - U mnie z całego serca walczymy z siłami zła.
- Ale czy to pomaga? - Winter zamknął oczy i znów spojrzał na Hanne. - Dokądże, Panie, wzywać Cię będę, a Ty nie wysłuchujesz? Wołać będę ku Tobie: Krzywda mi się dzieje! - a Ty nie pomagasz?
- Brzmi wielce starotestamentowo. Czy to aby nie Habakuk?
- Dobra odpowiedź.
- Czy tu są jakieś cytaty? Z Biblii? - zapytała i podniosła do góry kartkę z tekstami.
- Przynajmniej na razie nic nie zauważyłem. Nie wprost.
- Hanne odłożyła teksty.
- Coraz więcej ludzi szuka kierunku w życiu - powiedziała. - Na różne sposoby.
- Wszyscy chcą dostać pudełko czekoladek i czerwoną różę - powiedział Winter.

- Czy to nie jest uzasadnione?
 - Ależ jak najbardziej.
 - Albo miskę zupy - uzupełniła Hanne. - Mamy całkiem duży ruch w jadłodajni w parafii.
 - Słyszałem.
 - Czy to nie straszne?
 - Jadłodajnia? Nie wiem. Inaczej ludzie zamarzaliby z głodu w ciemnościach - powiedział Winter.
- Hanne wyrzała przez okno.
- Wkrótce nadejdzie pora światła - odparła.

32.

Morelius stał na czerwonym świetle. Teatr Wielki był pięknie oświetlony. Jak całe miasto zresztą. Do Wigilii został tydzień i lampki świeciły jasno, kiedy zapadała ciemność. Przez ulicę przeszedł mikołaj, zasalutował radiowozowi.

- Czy mikołaje salutują? - zapytał Bartram. Morelius nie odpowiedział. Mieli zielone światło. Avenyn była pełna ludzi obładowanych paczkami.

- Kupiłeś już jakieś prezenty? - zapytał Bartram.
- Jeszcze nie.
- Zostajesz w mieście na święta?
- A co?
- Nic, tak tylko pytam.

Morelius skręcił w Södra vägen. Na Heden służby miejskie wznosiły scenę na sylwestrową imprezę. Göteborg zamierzał powitać rok 2000 w wielkim stylu. Świętować miało całe miasto. Wszyscy mieli być na nogach, oprócz tych, którzy padną przed północą, pomyślał Morelius. A on będzie stał między nimi wszystkimi.

- Okej. Jadę do domu, do matki.
- Kungälv?
- Kungsbacka.
- No właśnie. Ty jesteś z Kungsbacki, Simon. Nie znałeś przypadkiem tej laski, co została zamordowana? Tej Louise?
- Nie.
- Miasto nie jest aż takie małe.
- Właśnie.

- Dużo się o tym mówi? Czy Kungsbacka tym żyje?
- Matka dzwoniła, ale nie słyszała specjalnie dużo. - Morelius zaczął, aż kilkoro ludzi ze sprawunkami przejdzie przez pasy. - Nie znała też tej... Louise. - Ruszył. Wkurzała go taka jazda.

- A ty co robisz? - zapytał.

- W Boże Narodzenie?

- Hm...

- Pracuję.

- Co? Wtedy też masz dyżur?

- W Wigilię i w pierwszy dzień świąt. - Bartram wiercił się na siedzeniu. - Wtedy ma się więcej wolnego latem. - Spojrzał przez okno na ludzi, paczki, światła. - Zresztą i tak tego nie lubię. - Popatrzył na Morelius. - Nigdy nie lubiłem tych świąt.

- Chyba jeszcze mniej się lubi święta, kiedy się musi pracować - stwierdził Morelius. - Nie jest przyjemnie wchodzić do domów, gdzie mama i tata porządnie sobie polali na święta.

Bartram nie odpowiedział, był pogrążony w myślach.

- Chętnie to sobie odpuszczę - powiedział Morelius. - To się czasem wydaje takie... bezsensowne.

- Dokądże, Panie, wzywać Cię będę, a Ty nie wysłuchujesz? Czemu każesz mi patrzeć na nieprawość i na zło spoglądasz beczynnie? - powiedział Bartram.

- To brzmi jak jakiś cytat.

- Z Biblii.

- Ach tak.

- Nie pytaj mnie, skąd go znam. Coś takiego czasem po prostu zapada człowiekowi w pamięć, nie wiadomo dlaczego. Bezwartościowa wiedza.

- Nie zamierzałem pytać.

Winter spotkał się z dozorcą w jego niewielkim kantorku. Najpierw zamierzał znów wezwać go na przesłuchanie, ale w końcu wybrał

łagodniejszy wariant. Dozorca od samego początku sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Mogło to być zabójcze dla jego pamięci.

W niewielkim pomieszczeniu pachniało narzędziami i tytoniem. Zniszczone skoroszyty stały na biurku. Najwyraźniej służyło też za kłoc do rąbania drewna. Tu, na dole, nie było nic z elegancji, jaką te domy zachowywały od stu lat.

Dozorca spojrzął na blat biurka, jakby czegoś szukał.

Winter uświadomił sobie, że mógł się zajmować również jego domem. Zapytał o to.

- A jaki to adres?

Winter podał adres.

- To też ja. To też moja robota. Mam pod opieką cały szereg domów, aż do Storgatan.

- Aha.

- Właśnie tak. - Zapalił papierosa i zaciągnął się dwa razy. - Tak było przez ostatni rok. - Spojrzął na Wintera i strzepnął papierosa do butelki, do połowy wypełnionej petami i czarną nikotynową cieczą. - Ale człowiek się cieszy, że ma pracę.

- To dużo pracy.

- Za dużo.

- Ale cieszę się, że odkrył pan to... że w jednym z mieszkań dzieje się coś dziwnego.

- W końcu tak.

- I z nikim pan o tym nie rozmawiał?

- Ale że co?

- Z kimś innym, kto też podejrzewał, że coś tam było nie tak?

- Nie.

Okej, pomyślał Winter. Zostawmy to na razie. Jest ostrożny, czujny przy każdym pytaniu.

Dozorca znów strzepnął popiół, polowa nie trafiła do butelki. Winter pomyślał o zagrożeniu pożarowym. W końcu ten człowiek siedział

również u niego w piwnicy. O ile u niego też jest taka komórka. Czy jak to nazwać.

- Ma pan biuro również w moim domu?

- Oczywiście. Stąd do skrzyżowania w sumie trzy. - Palił, patrząc przez unoszący się wokół niego dym. - To znaczy do tego drugiego skrzyżowania.

- Rozumiem. - Winter poczuł drapanie w gardle. Dyskretne kasznięcie raczej nie zadziała. Facet właśnie zapalił kolejnego papierosa. Jednak kaszlnął. - Ekhm... Valkerowie... jak pan sądzi, ile razy pan ich spotkał?

Dozorca nie wypuszczał papierosa z ust, rękami przeciągnął po spodniach, jakby chciał ztrzeć z rąk smar. Spojrzał na nie. Od początku nic na nich nie było. Potem spojrzął na Wintera, z nową zmarszczką między brwiami.

- Raczej niedużo razy.

- Pracował pan tutaj, kiedy się wprowadzili?

- Ja tu pracuję od zawsze - wyjaśnił dozorca i parsknął śmiechem. Jego śmiech zamienił się okropny tytoniowy kaszel. Winter przypomniał sobie sąsiada ze śniadań u Gaspara w Marbelli.

Dozorca przestał kaszleć i wrzucił peta do butelki. Zgasł z cichym sykiem. Zapalił kolejnego i czekał na następne pytanie.

- Ale spotykał ich pan? - Będziemy pytać o wszystko po kolei, pomyślał Winter.

- Czy spotykałem, to nie wiem. Tylko nigdy nie byłem u nich w mieszkaniu.

- Nigdy?

- Chyba sam sobie radził z wymianą uszczelek. - Znów się zaciągnął, wycelował papierosa w butelkę. - To tak jak z panem. Zajmuję się pańskim domem, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Widziałem pana, ale to nie to samo. - Spojrzał na sufit, potem znów na Wintera. - Z drugiej strony tamten dom mam pod opieką zaledwie od kilku miesięcy.

- Rozmawiał pan z nim kiedykolwiek? Z Christianem Valkerem?
- Nie.
- A z Louise? Jego żoną?
- Tak. Kiedyś, raz... - powiedział i między jego brwiami pojawiła się nowa zmarszczka. - Kiedyś zapytała mnie o coś... może chodziło o ogrzewanie. Nie przypomnę sobie teraz.
- Nic specjalnego się panu nie przypomina, kiedy pan o nich myśli. Czy o jednym z nich?
- Co na przykład?
- Odwiedziny. - Winter znów kaszlnął, odwrócił się w drugą stronę. - Na przykład czy ktoś ich odwiedzał.
- Ludzie wchodzą i wychodzą z tych domów, jak ze wszystkich innych. Człowiek nigdy nie wie, kto kogo odwiedza. A ja nie ganiam bez potrzeby po piętrach, że tak powiem.

Winter skinął głową.

- Ale czasem chyba urządzali jakieś imprezy - powiedział dozorca.
- Ach tak?
- Kiedyś, raz, może było u nich trochę głośno.
- To znaczy? - Winter zachęcająco skinął głową.
- Przyszło trochę ludzi, potem wyszli. Miałem kiedyś wieczorem robotę na klatce, z jakąś żarówką czy czymś takim. Wtedy może coś słyszałem. - Wyciągnął rękę po paczkę papierosów, ale była pusta. - Ale może to było u kogoś innego.

Winter po raz kolejny kiwnął głową.

- Nie, nie przypomnę sobie, czy to byli oni - stwierdził wreszcie dozorca. - Czy zaraz będziemy kończyć? Muszę iść do kiosku, kupić fajki. - Pomachał w powietrzu pustą paczką. - Skończyły się.

Winter zapytał jeszcze o zepsute żarówki na klatce schodowej, o datę.

- Wielki Boże, ależ ty cuchniesz - powiedziała Angela, kiedy spotkali się w przedpokoju.

- Świadek palił jak szalony.

- Pozwalasz na coś takiego?

- Byliśmy u niego. To nasz dozorca zresztą.

- A w jakiej sprawie jest świadkiem?

- Nic tutejszego. Ale ma pod opieką również tamten budynek - powiedział Winter i zrobił ruch głową.

- Ale czego był świadkiem?

- Niczego. Zgłosił się tylko na policję, wszystko na to wskazuje.

- I można go mimo to nazywać świadkiem?

Ten typ tak ma, pomyślał Winter. Chce całej sławy dla siebie.

- Rozbierz się i idź pod prysznic - poleciła Angela.

Winter postawił aktówkę na podłodze, przy stojaku na buty, zdjął płaszcz i marynarkę i powiesił je. Idąc do łazienki, zaczął rozpinać koszulę. Rozebrał się i włożył wszystkie ubrania oprócz spodni do wielkiego kosza na brudną bieliznę, który przywędrował razem z Angellą.

Zamknął drzwi, stanął pod prysznicem i właśnie miał odkręcić kurek, kiedy Angela zawołała z pokoju. Odkrzyknął, że nie słyszy. Wtedy ona uchyliła drzwi.

- Szukam papierów od położnej - powiedziała. - Wydaje mi się, że ty je włożyłeś do aktówki, kiedy tam byliśmy. To było jakiś czas temu, ale chciałam sprawdzić jedną rzecz.

- No to chyba dalej tam są - stwierdził Winter. - Aktówka stoi w przedpokoju.

Angela poszła, a on zasunął zasłonę i odkręcił wodę. Czuł, jak zapach tytoniu staje się coraz słabszy, aż wreszcie zniknął całkiem, kiedy wtarł we włosy szampon. Próbował nie myśleć o niczym i właśnie splukiwał z siebie pianę, kiedy usłyszał krzyk z przedpokoju. Zakręcił wodę.

- Co?

Nie usłyszał odpowiedzi, więc zawołał jeszcze raz. Znów nic.

- Angela?

Odsunął zasłonę, wziął z wieszaka ręcznik i szybko wytarł włosy, pachy i brzuch. Osuszył stopy, zawiązał ręcznik w pasie i otworzył drzwi. Na podłodze zobaczył otwartą aktówkę.

- Angelo? Wołałaś mnie?

Brak odpowiedzi. Poszedł szybko do kuchni, potem do salonu. Angela siedziała na sofie i patrzyła na niego, trzymając w dłoni jakiś papier. Kartka była biała. Winter z daleka rozpoznał pieczęć hiszpańskiej policji w lewym górnym rogu.

Niech to jasny szlag trafi. Nosił ze sobą ten cholerny list, zamiast go wyrzucić, jak zamierzał. Wyrzucił kopertę, ale listu nie.

- Musiałam przeszukać papiery, które tam miałaś, a ten list leżał tekstem do góry - powiedziała. - Żebyś nie myślał, że myszkuję w twoich rzeczach. - Znów pomachała kartką. - Ale chciałabym usłyszeć jakieś wyjaśnienie. Co to, DO DIABŁA, ma znaczyć, Eriku?

Winter poczuł, że z włosów kapie mu woda. A może to był zimny pot. Choć to przecież nic nie znaczyło. Ten list nic nie znaczył. Nie było nic do wyjaśniania.

- To nic takiego - powiedział. Podeszedł krok bliżej, zostawiał na podłodze mokre ślady.

- Niestety, przeczytałam go. Nie był zbyt długi. Ale wystarczyło.

- Absolutnie do niczego nie doszło - powtórzył.

- Ona chyba nieco inaczej to postrzega. - Angela spojrzała na list. - Alicia. Tak samo czytelne jak reszta. Pisze starannie i wyraźnie. Masz też jej zdjęcie? A może wisi na ścianie w biurze?

Winter podeszedł do Angeli i próbował ją dotknąć. Odtrąciła jego dłoń.

- Przysięgam, Angelo. Nic się nie stało.

- Zamknij się! - Wymachiwała listem w powietrzu. - Tutaj mamy

świadka, który przeżył ciekawe rzeczy. - Zaczęła płakać, cicho, głucho. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś tak płakał. - Jak mogłeś, Eriku? Jak mogłeś!

Usiadł obok niej na sofie. Miał wrażenie, że cała krew napłynęła mu do głowy. Cholera. Powinien jej od razu opowiedzieć, ale przecież nie było nic do opowiadania. Po co mówić coś, co może zaszkodzić, choć nie ma o czym mówić. To bez sensu. To może wszystko zniszczyć.

Zaczął coś mówić, ale Angela wstała i wyszła do przedpokoju.

- Dokąd idziesz?
- Wychodzę.
- Ale przecież muszę... my musimy...

Odwróciła się i rzuciła list w jego stronę. Przeleciał kilka metrów jak papierowy samolot i wylądował na polerowanym drewnie parkietu. Winter zobaczył, że jeden róg zamókł od wody, która z niego spływała. Angela stała w drzwiach.

- Nie mówiłem o tym, bo nie było nic do opowiadania - powiedział i uniósł dłonie, żeby mogła zobaczyć, jakie są czyste i niewinne.

- Masz czyste sumienie? - zapytała. Zabrzmiało to niemal jak śmiech. - Uważasz mnie za idiotkę? - Spojrzała na list. Nasiąkł już porządnie.

- Nie.

33.

Bergenheim obudził się z bólem głowy. Jakby się do tego przygotowywał już we śnie, jakby już był przygotowany.

Usłyszał krzyk z drugiego końca łóżka i zobaczył, że Ada usiłuje się wdrapać na ich małżeńskie łóżko. Słyszał, jak walczy z wysokością. Słyszał, że Martina krząta się po kuchni, usłyszał nawoływanie samotnego morskiego ptaka, który przeleciał przed oknem.

Martina od razu się zorientowała, jak tylko weszła do sypialni. Popchnęła lekko Adę i dziewczynka wpadła na łóżko. Fiknęła pół koziołka i wydała pisk zachwytu.

- Znów to samo? - zapytała Martina.

- Tak.

- Musisz iść do lekarza. - Wyciągnęła rękę, żeby uchronić Adę przed upadkiem. - Powiedziałeś, że to zrobisz, jeśli nic się nie zmieni. - Posadziła córkę na środku łóżka. Bergenheim usiadł, chwycił ją za ręce i podniósł. Zupełnie jakby podnosił poduszkę. - A przecież to się nie skończyło.

- Wiem, wiem.

- Nadal za jednym okiem? - Dotknęła go dłonią. - Lewym?

- Daj spokój - powiedział. Odsunął jej rękę, może trochę niedelikatnie. Spojrzał na nią, ujął jej dłoń. - Przepraszam. Ale człowiek przez to jest... tak cholernie poirytowany.

- Już długo jesteś poirytowany.

- Wiem, WIEM.

- Może jest coś innego?

- Z czym?

- Może coś jest... z nami - powiedziała, starając się nie patrzeć na Adę.

- Nie, nie.
- Nie mógłbyś iść do lekarza rodzinnego? Zdasz jutro przed dziewiątą rano.

- Okej. Pójdę.

Znów wyciągnął się do Ady i podniósł ją. Kwiczała z radości. Kiedy spojrział na nią, w górę, w ułamku sekundy zrobiło mu się czarno przed oczami. Postawił ją z powrotem niemal po omacku.

- Lars, co się stało?
- Zakręciło mi się w głowie.
- Boże, naprawdę musisz iść do lekarza.
- To chyba tylko migrena.
- Nigdy nie miałeś migreny.
- No i co z tego? Powiedz to komuś, kto właśnie zachorował na stwardnienie rozsiane.

- To nie jest śmieszne.
- No to przestań wreszcie gadać.

Wstał z łóżka i wyszedł z pokoju.

- Kawa jest gotowa! - zawołała za nim, ale nie odpowiedział.

Angela włożyła płaszcz i skórzane kozaki i wyszła, a on nie mógł jej zatrzymać siłą.

Podniósł z podłogi ten przekłety list. W dotyku był jak mokry liść. Nagłówek niemal się rozpuścił, zamienił w jakiś brudny syf. Taki sam syf jak ta rozmowa. Ta cała kłótnia.

Wróciła po siedmiu minutach, ale bez bułek w papierowej torbie. Kopniakiem zrzuciła buty, poszła do salonu, gdzie on dalej stał w listem w dłoni. Nie zdjęła płaszcza, tak jakby to miało trwać przez cały wieczór, ciągle od nowa.

- Czytasz sobie jeszcze raz?
- Nie...
- Musisz mieć kurewsko dobre wytłumaczenie. - Uwolniła się od

plaszcz, on też wylądował na podłodze. - Prawdziwe wytłumaczenie. - Podeszła bliżej. - Rozumiesz, Eriku? Chcę usłyszeć prawdę, a nie jakąś ocenzurowaną wersję ani pieprzone kłamstwa.

- Nie musisz tyle kłąć.

- Klnę, KURWA, tyle, ile mam ochotę.

- Okej. OKEJ. - Rozejrzał się po pokoju, potem odłożył list na stolik przy sofie. - Będziemy tak stali czy usiądziemy?

Podeszła do sofy i usiadła. Poszedł za nią.

- Posłuchaj mnie - powiedział do jej profilu. Patrzyła na elektryczne niebo nad miastem. Wieczór był bezchmurny, jak większość ostatnio. Nabrała kolorów, choć wyszła na tak krótko. - Ta... kobieta była tłumaczką w komisariacie. Spotkałem ją, kiedy poszedłem zgłosić kradzież portfela.

- To wspaniale.

- Co?

- Dobry sposób, żeby się spotkać.

- Czy mam ci to wytłumaczyć, Angelo?

- Tak, poproszę. - Nadal siedziała do niego bokiem.

- A potem kiedy odebrałem pieniądze. Z banku. To był absolutny, czysty przypadek. Wpadliśmy na siebie na ulicy, przed bankiem.

- Może szła za tobą? Śledziła cię?

- Angelo, nie wpadaj w paranoję.

- Paranoja? Czy to jest diagnoza pana komisarza? - Wreszcie ruszyła głową i spojrzała na leżący na stoliku list. Papier zaczął wysychać, trochę się zwinął. Zwój papierusa, pomyślał Winter. Zwoje znad Morza Martwego. Można z nich odczytać przeszłość. To może być prawda albo kłamstwo, zależy od interpretacji.

- A potem nie rozstawaliście się ani na chwilę. Aż do mojego przyjazdu - dokończyła Angela.

- Wcale tak nie było, wiesz sama. - No to jak było? Nadal czekam. - Kiwnęła głową w stronę listu. - Nie chodziło chyba tylko o przypadkowe spotkanie przed bankiem?

Winter zamknął oczy i wyjrzał przez okno. Teraz widział tylko wieczór, noc...

- Tamtego wieczoru... nocy... kiedy umarł tata. I potem. Byłem zrozpaczony. Przygnębiony. Wróciłem późno do pokoju. To był wieczór przed twoim przylotem. Siedziałem na łóżku i czułem się... to było takie ciężkie, jakbym popełnił jakiś błąd, którego już nigdy nie da się naprawić. Albo jakby wszyscy zrobili błąd. Albo jedno i drugie. - Popatrzył na Angelę, słuchała go. - Nie wiem już sam, co myślałem, ale nie byłem w stanie siedzieć tam sam w pokoju, gapić się na obrazek Matki Boskiej i wypijać resztkę wolnocłowej whisky. Gdyby tam był telewizor... sam nie wiem. Hiszpański futbol albo jakiś kretyński talk-show. Nie wiem. Nie mogłem tam wysiedzieć. Wyszedłem z hotelu i wybrałem się na stare miasto.

- A tam siedziała ona? I czekała na ciebie?

- To nie było tak. To też był przypadek. - Angela odwróciła głowę. Szybko mówił dalej. - To BYŁ przypadek. Siedziała sobie na niewielkim placu z kilkoma znajomymi. - To mógłby być przypadek, pomyślał. Gdyby jej nie widział wcześniej na tym placu, wtedy to byłby przypadek. Ale potem coś go ciągnęło za nogę i poszedł tam jeszcze raz. Smutek, wszystkie te myśli. Może wstyd. - Przywitaliśmy się, przysiadłem się, zjadłem coś i wypilem trochę wina.

- I to wszystko?

- Zasadniczo tak.

- ZASADNICZO?

- Tak. Potem pojechałem do niej do domu i wypilem jeszcze trochę wina i... to było wszystko. Dużo jeżdżenia taksówkami i wczesny wschód słońca nad Torremolinos.

- Torremolinos?

- Ona tam mieszka.

- I pojechałeś z nią, żeby podziwiać wschód słońca? Jesteś naprawdę ambitnym turystą, Eriku. Wpraszasz się do mieszkań obcych ludzi, czy co to tam było, żeby oglądać wschody słońca.

- Angelo... wiem. Nie powinienem tam z nią jechać i... wcale nie chciałem. To nie byłem JA... tylko ta cała reszta. Ale przysięgam ci, że... nic się nie stało.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

- Bo to prawda.

- Ha. - Znów wyjrzała przez okno. - Ha, ha.

- Nie wiem, co mam zrobić... możemy do niej zadzwonić, jeśli chcesz.

- Nie wygłupiaj się.

- Naprawdę mówię, jak było. Przysięgam. Przyjechaliśmy tam, napiliśmy się wina, a potem przespałem się chwilę w... salonie. Nie zachęcała mnie do niczego, ja też nic nie zrobiłem.

- Jacy kulturalni ludzie, oboje.

Wstał i poczuł, że plecy ma wilgotne od potu. Nie wiedział, co ma zrobić i co powiedzieć.

- To był tylko mój... niepokój - powiedział.

- Chyba coś więcej.

- Co masz na myśli?

- To między innymi - powiedziała, wskazując na swój brzuch.

- Co ty pieprzysz, Angelo.

- Teraz ty klniesz.

- Nie możesz tak mówić.

- Może to prawda. Mamy przecież mówić prawdę, czyż nie? Może ty po prostu nie jesteś mężczyzną, który powinien zakładać rodzinę.

- Mylisz się. Bardzo się mylisz. - Usiadł, próbował wziąć ją za rękę, ale nie chciała. - Cieszę się z tego. Cieszę się ze wszystkiego, co się dzieje. - Teraz udało mu się złapać jej dłoń. - Musisz mi wierzyć, Angelo.

- We wszystko, co mówisz?

- Tak.

- Dlaczego w takim razie nie wyrzuciłeś tego listu?

- To dobre pytanie. Chciałem to zrobić. Nie wiem. Może dlatego,

że tak trudno mi przychodzi wyrzucanie papierów. Wszystko jest dla mnie dokumentem. Zeznania. Raporty. Wiesz sama.

- Wysłałeś raport zwrotny?
- Co?
- Odpowiedziałeś na ten list?
- Nie. Nawet o tym nie pomyślałem.
- Więc i w to mam uwierzyć?
- To absolutna, stuprocentowa prawda.

Odnalazł się w tej roli. Nie, nie w roli, w sytuacji. To było przesłuchanie. Ona stała po drugiej stronie, on był przesłuchiwany. Był podejrzanym, a ona prowadzącą przesłuchanie. Była w tym dobra. Jest lepsza niż ja, pomyślał.

Więc tak to wygląda. Szukanie prawdy w szczelinach między słowami podejrzanego. W szczelinach są też może fragmenty prawdy. Ale on mówił prawdę. To BYŁA prawda, w ważnych i zasadniczych kwestiach to była prawda, musiał o tym przekonać sceptycznie nastawioną prowadzącą śledztwo. Teraz się nie uda. Będzie się ciągnęło, jeszcze długo.

Anecie Djanali słońce świeciło prosto w oczy. Promienie padające z boku na autostradę oślepiły kierowców. Zaraz będzie karambol, a my znajdziemy się w środku, pomyślała. Kiedy mijali piekarnię Påålsa, wyczuła w powietrzu znajomy zapach świeżo upieczonego chleba. Halders patrzył twardo przed siebie, prosto w biały blask, jakby chciał ją poprowadzić.

Zjechała na Järnbrott i poczuła się, jakby odzyskała wzrok.

- Więc znowu tu jesteśmy - stwierdził Halders. Wskazał metrowe zaspę wzdłuż poboczy. - Śnieg - powiedział, zwracając się do Anety. - To się nazywa śnieg.

Here we go again, pomyślała.

Uwielbiał jej przypominać o jej afrykańskich korzeniach. Urodziłam

się w Östra sjukhuset, ale jemu to chyba nie wystarczy, pomyślała i skręciła w lewo.

- Choinka - powiedział znów Halders, wskazując na udekorowane drzewko przed jakimś garażem. - Jest ich więcej. - Pokazał kilka następnych. - Nordycki symbol światła i radosnych świąt.

- Aha.

Przejechali między niewielkimi willami i zaparkowali przy żywoplocie Elfvegrenów. Domy zostały wybudowane w latach pięćdziesiątych, kiedy ludzie tłoczyli się na niewielkich metrażach, ale za to mieli duże ogrody.

Posesja była pokryta śniegiem, żadnych śladów butów. Aneta okryła tropy zająca i kota.

- To ślad rysia - powiedziała i wskazała wgłębienia w śniegu po lewej.

- Lwa - stwierdził Halders. - W tym roku zapuszczają się bardzo daleko na północ.

- Ten tutaj urodził się w zoo w Borås.

- Skąd wiesz?

- Ma pazury zawinięte do środka - wyjaśniła i nacisnęła dzwonek przy drzwiach Elfvegrenów.

Dzwoniła Lotta. Angela nie chciała odebrać, choć była bliżej telefonu.

- Erik.

- Rozmawiałaś z mamą?

- Odbiorę ją z Landvetter.

- To już pojutrze.

- Właśnie.

- Trzy dni do świąt. Szybko przeleciało.

- Hm...

- W takim razie liczę, że przyjdziecie z Angelą na Wigilię.

- Jasne.

- Zdążyłeś kupić jakieś prezenty?

- Tylko gin dla mamy
- Nie żartuj.

Winter popatrzył na profil Angeli. Zawsze tylko profil. Nie żartował.

- Załatwię to jakoś w ostatniej chwili. Oprócz kilku rzeczy
- Dostałeś listy od Bim i Kristiny?
- Mailem. Dość długie.
- One same też się bardzo wydłużyły.
- Pewnie jeszcze z kilka decymetrów, odkąd je widziałem ostatnio.

Nagły podmuch wiatru zamazał część lwich śladów przed domem Elfvegrenów. Wyglądało to tak, jakby zwierzę wycofało się po własnych śladach.

- Musimy uważać - powiedział Halders, kiedy wyszli.

Erika Elfvegren zamknęła za nimi drzwi. Aneta poczuła zimno, jako ruch powietrza za futrzanym kołnierzem.

- Nie grzeją za bardzo - powiedział Halders. - Szkoda, że nie pamiętasz płaszczy z dawnych czasów. To było naprawdę coś na zimę w takiej subarktycznej dziurze na końcu świata.

- Ładny opis.

Wsiedli do samochodu i odjechali.

- Mieli dwa świerszczyki pod sofą, „Aktuell Rapport” - powiedział Halders, kiedy kręcili się w kółko na rondzie.

- Aktuell co?

- „Aktuell Rapport”. Najczęściej kupowane w Szwecji pismo dla panów. A może najczęściej sprzedawane?

- Aha.

- Ciekaw jestem dlaczego. - Powtórzył jeszcze raz: - Jestem ciekawy dlaczego.

- I rozpoznałeś te gazetki?

- Rozpoznałem grzbiety. Na górze jest czerwony pasek, szerokości centymetra. I widoczny kawałek logo.

- Jesteś całkiem niezły w identyfikowaniu świerszczyków.
- Tak. A jeśli myślisz, że kupuję to gówno, to się mylisz.
- Ja nic nie myślę.
- Czy to normalne, że ludzie mają w domach pisma pornograficzne? - powiedział Halders, choć to pytanie zadał raczej sobie.
 - Sama nie wiem - odparła Aneta.
 - Myślę, że to coraz bardziej powszechne. To duch czasów. Uniwersum w rozsypce. Ludzie czytają pisma pornograficzne i oglądają takie filmy na Canal Plus i TV1000.
 - Może coś w tym jest - przyznała.
 - Jest taki kanał, na którym co wieczór lecą reklamy zabawek erotycznych. Co wieczór. W każdy cholerny wieczór. Od ponad roku.
 - Skąd wiesz?
 - Co? - Halders był zaskoczony. Spojrzał na Anetę jak obudzony ze snu.
 - Jak to się stało, że jesteś tak dobrze poinformowany? - powtórzyła z uśmiechem.
 - Bo sprawdziłem oczywiście. Zawsze sprawdz, każdą informację, co nie? To oglądam dwie sekundy, żeby sprawdzić, wkurzam się i mam załatwiony humor na cały dzień.
 - *Make my day.*
 - Chętnie bym ich zapytał - powiedział Halders.
 - Co?
 - Pięknych państwa Elfvegrenów Zapytałbym ich o ulubione czasopisma.
 - Może będziemy jeszcze mieć niejedną okazję.

34.

Psycholog kryminalny Lareda Veitz przyglądała się zdjęciom i słuchała Wintera. Przeczytała część raportów ze śledztwa. To było ich drugie spotkanie w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Siedzieli w pokoju Wintera. Od razu uprzedziła, że nie może stworzyć profilu mordercy, ale może podyskutować z głównym śledczym. Pracowali razem nie pierwszy raz, nie pierwszy raz Winter prosił o pomoc psychologa kryminalnego.

- To oczywiście, że to jest jakaś wiadomość - powiedziała i podniosła wzrok znad zdjęć. - Wszystko jest w jakimś sensie komunikatem.

- Więc to tam jest po to, żebyśmy to potraktowali poważnie?

- Jak najbardziej. A jak sądziłeś?

- Właściwie sam nie wiem. W takich sytuacjach myśli się też... o wszystkim, co jest poza głównym tropem. Że to może być tylko próba zmylenia nas.

- Nie wydaje mi się.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście nie. Pytałeś już o to wcześniej i odpowiedziałam tak samo.

- Okej. Ale człowiek ma po prostu tak dużo... pytań.

Spojrzała na jedno ze zdjęć, leżały na biurku między nimi.

Podniosła je i przejechała palcem po szyjach zabitych.

- Jedną z odpowiedzi może być to - powiedziała. - Odpowiedzią jest zamiana głów. Czy też ciał. Można to też postrzegać jako zamianę... ciał.

Winter skinął głową. Lareda Veitz mówiła neutralnym tonem. To była jedyna możliwość, tylko tak dało się rozmawiać o tak potwornych sprawach. Winter poprosił, żeby nie łączono żadnych rozmów. Wyłączył komórkę. Rozmowy przekierowywano do Ringmara. Siedział u siebie, dziesięć metrów dalej. Był gotowy, gdyby nagle stało się coś ważnego.

Lareda Veitz odłożyła zdjęcia na stół.

- Porozmawiajmy na luzie - zaproponowała. - Będziemy rozważać wszystko po kolei, okej? Z różnych punktów widzenia. Potem będziemy odsiewać i brać pod lupę. - Skinęła głową w stronę małego magnetofonu. Stał obok sterty papierów i zdjęć. - A potem będziesz mógł zredagować nagranie.

- Jasne. - Winter sprawdził, czy taśma się przesuwa i czy klawisz nagrywania jest wciśnięty.

- On... będziemy mówić on... zmienił płęć... i tożsamość ofiar. To, że to zrobił, wyjaśnia, kim jest. Między innymi to. Ta zamiana.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna, czy on sam to wie, Eriku. Może musimy szukać ukrytych w podświadomości motywów, które kazały dokonać tej zbrodni właśnie w taki sposób.

- Czyli kierowało nim coś innego?

- Ktoś inny. Ktoś inny niż on sam.

Winter znowu skinął głową i podniósł jedno ze zdjęć. Tak często je oglądał, że w jakiś chory sposób stały się dla niego zwyczajne. Jakby żył z tymi motywami na ścianach w domu lub miał je w ramach na nocnym stoliku. Aneta Djanali opowiadała o reklamie, która zdobiła biuro salonu fryzjerskiego, w którym pracowała Louise Valker. Morderstwo jako sposób na rozkręcenie sprzedaży. Teraz mu się to przypomniało. Widział wykrzywioną twarz Louise Valker, zatraciła wszelkie ludzkie cechy. Uderzyło go, że sam nie widział tego plakatu. Ciekawe, jak wyglądał.

Jak dokładnie przeczytał protokoły z przesłuchań pracowników salonu?

- Chwileczkę - powiedział i wyciągnął rękę po czarny notes. - Okej, Lareda...

- Trochę będę improwizowała... - powiedziała. - Zostawił po sobie ślad... czy więcej śladów, które mogą się ze sobą łączyć. W jakiś sposób napis, muzyka i... to, co zrobił, są powiązane. - Spojrzała na blat biurka, zerknęła na magnetofon. - I mówią o tym, że chce, żeby ktoś go zatrzymał.

- Właśnie.

- Więc ty też do tego doszedłeś?

- Tak. Chce, żebyśmy go uwolnili od cierpienia.

- Sam czyn to redukcja lęku. Kiedy lęk jest bardzo silny, deformuje się to, co normalne. W końcu musi coś zrobić i odzyskuje spokój. Na chwilę, bo potem lęk i tak zaczyna się nasilać i wszystko zaczyna się od początku.

- Od początku? Czy to znaczy, że coś takiego stanie się jeszcze raz? - Winter patrzył na magnetofon, mówił do niego. - Jeśli go nie powstrzymam? - Spojrzył na Laredę. - Jeśli mu nie pomożemy?

- Wydaje mi się, że mamy do czynienia z kimś, kto od dawna ma zaburzenia psychiatryczne, coraz silniejsze. Jego ja stopniowo się rozpada. Wizje, sny... w końcu musi to z siebie wyrzucić, w działaniu.

- Czy on realizuje swoje wizje? O to chodzi? To masz na myśli?

- Mógł wcześniej przeżyć coś takiego, coś, co to wszystko spowodowało. Lub mocno na to wpłynęło. To mogło być dawno temu. Albo całkiem niedawno. Ale dla niego to było zbyt straszne, żeby mógł o tym zapomnieć. A równocześnie nie mógł o tym pamiętać. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak, chyba tak.

- A potem to wszystko do niego wraca. - Spojrzała na zdjęcia. Błyszczały we wpadających przez okno promieniach słońca, były przełamane na pół, słońce i cień. - W końcu podejmuje próbę odtworzenia

swojego dramatu. To jest taki... przymus, popycha go do urzeczywistnienia dramatu. Rozumiesz? Wewnętrzne wyobrazenie zostaje wyniesione na zewnątrz.

- Co takiego mogło się stać? - Winter nagle wstał, podszedł do okna i poprawił żaluzje. Słońce raziło go w oczy, męczyło go to. Ta rozmowa też go męczyła. Trzeźwy ton Laredy potęgował wrażenie, że wchodzi w jakąś otchłań. Tak było. Otchłanie człowieka, pełne wspomnień, doświadczeń samotności, odrzucenia i braku kontaktu ze światem.

Odrzucił się plecami do okna. Okulary Laredy wydawały się czarne od cienia.

- Jakiego rodzaju to było przeżycie? Spróbowałabyś zgadnąć?

Zwleką z odpowiedzią. Zdjęła okulary i spojrzała zmrużonymi oczami na Wintera. Nadal stał przy oknie.

- Może został mocno zraniony przy jakiejś okazji. Może kilka razy, a może nie.

- Zraniony? Mocno zraniony? W jaki sposób?

- Wydaje mi się, że chodzi o kobietę. Kobiety. - Wzięła do ręki jedno ze zdjęć, Winter podszedł i stanął obok niej.

- Różne rodzaje ran na ich... ciałach nie mogą być... przypadkowe. Oboje są zmasakrowani, ale w różny sposób.

- Zauważyliśmy to.

- Przeczytałam protokół z obdukcji i obejrzałam zdjęcia pod tym kątem. Otóż mężczyzna jest t y l k o zamordowany, z kobietą sprawa wygląda inaczej. Ona jest bardziej... zabita, jest więcej niż... martwa. - Lareda Veitz dotykała palcem ciała kobiety na zdjęciu. - Tu i tu. Tutaj. Tutaj. Tam. Żadna z tych ran nie była śmiertelna sama w sobie. - Spojrzała na Wintera. - W przypadku mężczyzny jest inaczej.

- Wiemy. Ale nie jak ani dlaczego.

- Został mocno zraniony przez kobiety. Może jedną, może kilka. Może właśnie tę kobietę. Może jakąś inną. Ona może być... zastępstwem.

- Zastępstwem? Czyli obojętnie kto, byle kobieta?
- Tak mogło być. Nie naciskaj, żeby powiedziała coś więcej.
- A jeśli będę naciskał? - Nadal stał przy niej.

Nalażyła z powrotem okulary i spojrzała w górę, na niego.

- Nie możesz usiąść? - zapytała. - Kark mnie boli od takiego patrzenia.

Winter usiadł na swoim fotelu.

- Więc naciskam dalej - powiedział.
- W takim razie myślę, że ta kobieta... Louise, to nie jest ta z jego... wizji, snów. Ale to nic pewnego.

- Nie, rozumiem. Ale mówiłaś, że on został zraniony. Czy to się jakoś wiąże z seksualnością? Sądzisz, że to zranienie miało charakter seksualny? - Przecież często tak bywa, pomyślał. To przez samotność, przez ludzkie tajemnice.

- To możliwe - odparła Lareda Veitz. - Mogło się to wiązać z jakąś czynnością seksualną albo wyobrażeniem. Mógł zostać upokorzony, ośmieszony To się mogło stać właśnie w takiej sytuacji. Psychologia kryminalna zna wiele takich przypadków.

- Upokorzony? - Powtarzam wszystko, co mówię, pomyślał Winter.

- W jakiś sposób. Bardziej ryzykowne wytłumaczenie mogłoby być takie, że został psychicznie wykastrowany. Przez kobietę. I że to się stało w obecności kogoś innego. Mężczyzny.

- Wykastrowany?

- Poczul się wykastrowany. Nie umiał tego nazwać, kiedy to się stało, ale teraz to do niego dotarło. Ktoś mógł być świadkiem, jakiś mężczyzna. Ale to kobieta jest winna. To ona mu to zrobiła.

- Ona ponosi winę za to, że on stał się tym, kim jest? - zapytał Winter.

- Tak. Ona ponosi winę za to, że on był zmuszony zrobić jej to, co zrobił. Jej - w zastępstwie. Jego fantazja stała się w końcu tak

realistyczna, że musiał to zrobić naprawdę. W tej drugiej rzeczywistości, do której ciągle należy. Tej... prawdziwej.

- A więc on jeszcze może funkcjonować normalnie? Po tym wszystkim?

- Tak sądzę.

- To może być ktokolwiek spośród nas?

- W zasadzie tak - przyznała, a Winter przez ułamek sekundy pomyślał o Angeli. - Ale pewnie już niedługo. To zależy od tego, jak będzie sobie radził z fantazją, którą już zrealizował. Raz.

Umilkła, zamyśliła się, odchrząknęła.

- Mógłbyś mi przynieść trochę wody, Eriku? Wystarczy zwykła kranówka.

Wstał i podszedł do szafki przy umywalce, gdzie stały czyste szklanki. Napelnił jedną i zaniósł do biurka. Lareda się napiła, potem znów zaczęła mówić:

- Widzę tu także pewną potrzebę dominacji... jako konsekwencję tamtych wydarzeń. Chodzi o tę zmianę tożsamości... to ujawnia konflikt, potrzebę dominacji.

- Dominacji? Nad kobietą?

- Dominacji nad... symbolem jego cierpienia. Tamtą kobietą. A równocześnie pragnienie bycia... kimś innym. Chce być dwiema różnymi osobami i z takim założeniem działa. Po morderstwie. Po samej zbrodni.

- Nie bardzo zrozumiałem to ostatnie.

- Chce dominować jako mężczyzna, ale też... zostawić siebie, żeby być kimś innym. Zamiana głów, czy ciał, to odzwierciedlenie tego pragnienia. Urzeczywistnienie go.

- Mówimy tutaj, przynajmniej w jakimś sensie, o akcie zemsty? O zwyrodniałej zemście? Zawiedzionej miłości? Więc to jest takie proste?

- Na jednej płaszczyźnie może takie być, tak sądzę.

- A ci ludzie nie musieli być tymi rzeczywistymi obiektami zemsty? Nienawiści? - Ludzie ze zdjęć, pomyślał.

- Nie.
- Ale mogą je przypominać? Czyli: w taki czy inny sposób on przypomina tamtego, albo ona, albo oboje, tamtych, rzeczywistych.
- Może tak być.
- Czy to mógłby być ktoś, mówię teraz o mordercy, kto zawsze czuł się gorszy? Seksualnie, na przykład. Kto czuł się wykastrowany, ośmieszony... choć nigdy nie został narażony bezpośrednio... na publiczne upokorzenie?
- Dobre pytanie.
- I co?
- To możliwe.
- To oznacza z kolei, że faktycznie nie znamy żadnego wydarzenia, w którym moglibyśmy szukać odpowiedzi.
- Tak.

Winter poczuł, że bardzo chce mu się pić. Przyniósł sobie szklanekę wody, dolał także Laredzie. Usiadł.

Zamordowana kobieta. Louise. Kim była? Czy była częścią przeszłości zabójcy, czy tylko symbolem kogoś innego? Kim była ta właściwa kobieta? Czy był gdzieś ktoś, kto mógłby im odpowiedzieć na to pytanie? Kto miał z nimi jakiś kontakt? A jeśli to była Louise? Może nie dość dokładnie szukali w jej przeszłości? Oczywiście. Jak daleko dotarli?

Sam pojedzie do Kungsbacki. Jej matka tam mieszka. Odpowiedziała wprawdzie na pytania kolegów, ale on miał ich więcej.

- Mów dalej, proszę - powiedział.
- Ale co?
- O władzy, dominacji. Mów o tym dalej, co chcesz i jak chcesz. - Znów spojrzął na magnetofon. - Posłucham tego później. Zredaguję, jak mówiłaś.
- No tak... władza to było nowe słowo. Ale okej, jeśli nazwiemy to panowaniem... To, co mu się kiedyś przydarzyło... poniżenie... mogło

doprowadzić do tego, że przez całe życie szukał utraconej pewności, gruntu pod nogami.

- Życie jako potrzeba dominacji.

- Tak. Choć raczej podświadoma. Mówiliśmy już o świadomości i sprawach nieświadomych. - Spojrzała na magnetofon, jakby od niego oczekiwała potwierdzenia. - O szukaniu pozycji.

- Pozycji? W życiu? W którym życiu?

- W którym życiu? No cóż... myślę, że jego prywatne życie to katastrofa. Może zawsze tak było. To człowiek, który nie ma za dużo znajomych. Niewielu przyjaciół.

- Mieszka sam? - zapytał Winter.

- Tak. - Jeszcze raz spojrzała na magnetofon, jak na stenografa. - Na potrzeby tego wywodu możemy zrobić takie założenie.

- A życie zawodowe?

- Trudno coś o tym powiedzieć oczywiście. Ale niewykluczone, że wykonuje zawód, który łączy się z pewnym rodzajem dominacji.

- Ale może to realizować na wiele różnych sposobów.

- To musi być widoczne. - Spojrzała na Wintera, bez okularów. - Wydaje mi się, że właśnie o to chodzi.

- Widoczne? To znaczy, że od razu musi być widać: oto idzie ktoś, kto ma więcej władzy niż inni?

- Można to tak określić. Sprawuje władzę w sposób widoczny. - Umilkła, zamyśliła się na chwilę. - Jeśli będziemy się trzymać kwestii seksualnych, można tu mówić o przedłużeniu penisa.

- Jako przeciwieństwie kastracji - dodał Winter.

- Tak. Ale ciągle mówimy o... podświadomości.

- Świadomość przyjdzie później? Do tego zmierzasz?

- Chyba już do tego doszliśmy? Morderstwo było skutkiem fantazji, która stała się zbyt silna. Nie było już żadnych... zasłon dymnych.

- Ale co doprowadziło do samego morderstwa? - zapytał Winter. - Co wywołało samo pragnienie zabicia ich?

- To jest najlepsze pytanie - powiedziała Lareda Veitz.

- Morderca musiał tam przyjść i musiał mieć jakiś cel, żeby przyjść akurat tam i akurat wtedy, do nich.

- Może nie akurat do nich.

- Okej. Ale rozumiesz, co mam na myśli.

- Tak. To nadal najważniejsze pytanie.

Winter wstał. Czuł, że ma rozpaloną głowę, rozgrzaną od natłoku myśli. Znow spróbował się skoncentrować, zamknął oczy, zrobił cztery kroki, doszedł do okna, odchylił żaluzje i wyjrzał na błękitne niebo i białą ziemię. Po drugiej stronie rzeki jeździły auta, bezgłośnie. Fasady domów lśniły. Drzewa były obciążone śniegiem, zamarzł na gałęziach. Do świąt zostały dwa dni.

Odwrócił się.

- Wróćmy do jego pracy. Powiedziałaś, że chce, żeby go było widać.

- Tak. Chce być zauważany.

- Chce być zauważany kiedy idzie ulicą?

- Tak... może.

- Jeśli ktoś idzie Avenyn, a jest neurochirurgiem albo dyrektorem szpitala, to tego po nim nie widać, prawda? Tego się nie zauważa, nieprawdaż?

- Nie... chyba że nosiłby stetoskop. Ale nikt z tym nie chodzi po mieście.

- Neurochirurg wcale nie używa stetoskopu.

- No to noże - rzuciła Lareda Veitz, a Winter wybuchnął niekontrolowanym śmiechem. Jakby na garnku ciśnieniowym obluzowała się pokrywka. Musiał się oprzeć o parapet, a kiedy zobaczył zaskoczenie na jej twarzy, znow musiał się roześmiać. Pokrywka spadła na dobre.

- No proszę cię... - powiedziała Lareda, więc spróbował weisnąć pokrywkę na miejsce. Żadnych noży, pomyślał. Wtedy można ich omyłkowo wziąć za kucharzy, zwłaszcza na Avenyn. Znow poczuł ciśnienie pod pokrywką.

- Masz jeszcze jakieś inne zabawne pomysły, Eriku?

- Nie... nie, nie. Wybacz mi, Laredo. To tylko... napięcie.
- To prawda, pomyślał. Napięcie, życie prywatne, zawodowe. Jego życie prywatne nie było katastrofą. Tak się wyraziła o życiu mordercy. Ale nie było też poukładane i solidne.

Jego praca... po nim też nie widać, że jest komisarzem. Nie nosi mundu...

- Sam możesz być przykładem - powiedziała Laredo. - Kiedy idziesz ulicą, nikt nie widzi, że jesteś komisarzem policji kryminalnej.

- Nie. Ale...

- To nie je...

- Mundur - powiedział Winter. - To kwestia munduru. Jak najłatwiej pokazać, że się ma władzę? Jak powinien być ubrany?

- W mundur - odparła Laredo Veitz.

Winter usiadł. Potarł dłonią oczy, założył okulary i natychmiast znów zdjął. U nasady włosów czuł kropelki potu. W pokoju było ciepło, prawie gorąco.

- Musimy trochę zwolnić - powiedział. - Mundur. Jak do tego doszliśmy?

- Wystarczy przesłuchać kasetę - podpowiedziała Laredo i wskazała na magnetofon. Winter uniósł go lekko. Taśma nadal się przesuwiała.

- Co to ma znaczyć? - powiedział. - Czyżbyśmy szukali mężczyzny w mundurze? - Spojrzał na nią, jakby oczekiwał, że skinie głową. Ale nie odpowiedziała. - Co powiesz? - zapytał.

- Na początku powiedzieliśmy, że będziemy się przyglądać tej sprawie z różnych punktów widzenia. Tak zrobiliśmy i jeden z punktów widzenia doprowadził nas... do tego.

- Laredo Veitz głośno zaczerpnęła powietrza. - Ale kiedy przesłuchasz nagranie, na pewno zauważysz, że to wszystko... hipotezy, czysto teoretyczne rozważania. Chodziliśmy we wszystkie strony. Mężczyzna w mundurze. Tak, tak może być, pod warunkiem że słuszne jest nasze założenie, że chodzi o samotnego mężczyznę, który dąży do porządku

i jakiejś pozycji w życiu zewnętrznym. A tego przecież nie wiemy.

- Ale mam tutaj te słowa. - Winter postukał w magnetofon. - *Brainstorming* nigdy nie jest zły Słowa nigdy nie są złe.

- Czy określiłbyś tę rozmowę jako *brainstorm*?

Winter nie odpowiedział. Spojrzał na zdjęcia. Nabrały tego samego odcienia co blat biurka, słońce było już w drodze w jakieś inne miejsce.

Jedno słowo może powiedzieć więcej niż tysiąc zdjęć.

35.

Winter poszedł po kawę i przy oknie w pokoju śniadaniowym wypalił cygaretkę. Poza parkingami śnieg był nienaruszony. W dole rozmawiali ze sobą policjanci w mundurach, ich oddechy wyglądały jak dymki z komiksów.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Zobaczył swój własny rower przy stojaku przed wejściem. Dwadzieścia centymetrów śniegu na kierownicy, ramie i siodelku, jak lukier na rowerze z piernika.

Śmiech z jednego z dymków dotarł aż do niego, na górę. Któryś z policjantów założył czerwoną mikołajową czapkę.

Wziął kawę, dwie filiżanki, i wrócił do swojego pokoju. Lareda Veitz spojrzała znad papierów.

- Czy może być tak, że on szuka nowych... wyzwiań? - zapytał Winter, podając jej kawę. - Trzymaj za uszko. Gorące.

- Dziękuję. Wyzwania? No... a co ty myślisz?

- Myślałem o tym, kiedy robiłem kawę. Że on może... rośnie. Czuje, że rośnie. To by mogło znaczyć, że to się zdarzy znowu.

- Ale zawsze jest też pragnienie bycia zdemaskowanym - powiedziała i zanurzyła usta w kawie. Zaczęła coś mówić, ale umilkła.

- Co takiego? - zapytał Winter.

- Władza... mówiliśmy o tym przedtem, o dominacji. Nie wiem, jak to wyrazić...

- Na razie było dobrze - powiedział Winter i łyknął kawy, która już zdążyła trochę wystygnąć.

- Wcale nie jest rzadkie w takich wypadkach, że morderca chce mieć władzę także nad swoim... przeciwnikiem, pogromcą.

- Swoim pogromcą? Przecież nie ma pogromcy. Czy on już wie, kto będzie jego pogromcą?

- Jego... przyszłym pogromcą. Zostawił wiadomości, prawda? Do kogoś są skierowane.

- Do kogo? - zapytał Winter, choć znał odpowiedź.

- Do ciebie, Eriku. - Siedziała w cieniu, a jej okulary znów wydawały się czarne. - To ty jesteś myśliwym. Śledczym. Przyszłym pogromcą.

- Czy on chce dominować nade mną? Erikiem Winterem?

- Nad tobą jako myśliwym. Komisarzem kryminalnym Erikiem Winterem.

- Więc to nic osobistego - powiedział Winter, ale się nie uśmiechał. Lareda Veitz też się nie uśmiechnęła. Spojrzał na nią. - Czy może się stać osobiste?

- Co masz na myśli?

- Że on naprawdę zwróci się przeciwko... mnie? Mnie, bo to ja jestem... myśliwym.

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Nie.

- On ma coś, czego ja nie mam w tej... sprawie. Wie, dlaczego to się stało. I kto to zrobił. To mu daje przewagę, nieprawdaz?

- W pewien sposób tak. Mów dalej.

- Dzięki temu już ma władzę nade mną. - Znów wstał, w zamyśleniu przeszedł dwa kroki. - Jest coś jeszcze, Laredo? Czy to wystarczy? Czy nie?

Lareda też wstała z krzesła, podeszła do okna i wyjrzała przez nie, z ramionami splecionymi na piersiach. Odwróciła się do Wintera.

- Nie wiem, czy to coś da, jeśli pójdziemy dalej w tym kierunku. Ale, okej... może być tak, że ty masz coś, czego on nie ma. Żeby poczuć, że nad tobą dominuje, będzie musiał ci to odebrać. Żeby poczuć, że ma nad tobą władzę.

- A co ja takiego mam?
- W porównaniu z nim? Wszystko. Ty masz wszystko.
- Na przykład co?
- Prawdziwe życie. Jego życie jest katastrofą, może od bardzo dawna. A ty masz swoje życie.

Winter westchnął, głośno. W pokoju nadal było bardzo ciepło. Żadnych pustych dymków. Nie chciał iść dalej w tym kierunku. Później, nie teraz.

Podszedł do panasonica i włączył muzykę. Lareda słuchała już tego w domu, jej mąż postanowił wtedy pójść do kina.

- Wolę Carrerasa - powiedziała, kiedy usłyszeli wokalistę.
- Dla mnie granicą jest The Clash - stwierdził Winter.
- Znasz The Clash?
- Jestem wręcz ekspertem. - Wskazał ruchem głowy stojący na podłodze sprzęt grający. - A co byś powiedziała o tym? Z czymś ci się to kojarzy?

- To będą głównie spekulacje... Okej. Nie chcę się za bardzo zajmować samą... ostrością tej muzyki. Można się tu pomylić, patrzeć w złą stronę.

- Czyli tempo nie jest ważne? O to ci chodzi?
- Tak. To może być mylące. Wszystko staje się o wiele straszniejsze z tym w tle lub na pierwszym planie. Rozumiesz? Kiedy przychodzisz na miejsce zbrodni i słyszysz Carrerasa, masz zupełnie inne wrażenie.

- Nie.
- Doprawdy?
- Słuchaj, Laredo, próbujemy rozmawiać jak zawodowcy. Carreras, Sacramento... Myso's Hot Lips... Tom Jones... to wszystko nie jest teraz ważne. Muzyka nie wpływa na mnie w taki sposób, kiedy tam stoję.

- Możesz mówić, co chcesz, ale nie rozumiesz najważniejszego. Chodzi o to, że wybór takiej muzyki czyni tę potworność jeszcze

straszniejszą. I to musi na was wpływać, kiedy szukacie rozwiązania.

- Jak to na nas wpływa?

- Zadam ci jedno pytanie. Widzisz kogoś, jakiś konkretny typ człowieka, kiedy myślisz o kimś, kto słucha takiej muzyki? To znaczy słucha dobrowolnie.

- Staram się tego unikać.

- Nie o to pytałam.

- Rozumiem, do czego zmierzasz - stwierdził Winter.

- Może w tej muzyce jest coś, co wywołuje to, co się stało. Gdzieś tam jest uśpione. To nie jest muzyka, która sobie leci w tle. To nie służy odprężeniu.

- W takim razie kto tego słucha? - zapytał Winter.

- To może być ktoś, kto od zawsze słuchał takiej muzyki, choć raczej nie sądzę.

- Dlaczego w takim razie wybrał ją teraz?

- To kolejne dobre pytanie.

- Nie uważam, żeby morderca koniecznie musiał być typowym fanem metalu, z długimi czarnymi piórami i w czarnej skórce. Nie chodzi nam o to, żeby dopaść wielbicieli black metalu.

- Może on wcale tego nie słucha - powiedziała Lareda Veitz.

- Też o tym myślałem.

- Wiadomość... jeśli to też jest wiadomość... przekaz może się kryć w słowach. Może powinniśmy się skupić na słowach. Kiedy dostałam tę kasetę, powiedziałaś, że tej muzyki nie da się słuchać bez tekstów, prawda?

- Tak.

- Więc próbowałam się zastanawiać nad tekstami. I nad okładką. Obrazy. O tym też nie możemy zapominać. A więc to wszystko, co nie jest samą muzyką, czy jak to można określić. Nie mam na to żadnej nazwy - powiedziała i machnęła ręką w stronę odtwarzacza. Pokój nadal wypełniał Sacrament, Winter trochę ściszył. - Poza nazwą gatunku. Black metal.

Winter skinął głową. On też nie umiał tego nazwać. To raczej fizyka niż muzyka.

- Mamy tu dużo różnych symboli, ale większość wskazuje na jedno - zaczęła. - Wybór tytułu, teksty, nawet zdjęcia... chodzi o jakiś rodzaj walki między dobrem a złem, tutaj reprezentują je niebo i piekło.

- Na razie nadażam.

- Ale rozkład sił nie jest wcale jasny. Kto wygra? Kto ma władzę?

- Słowa nie dają jednoznacznej odpowiedzi, o to ci chodzi?

- Wyrażają raczej pragnienie, ale na tle mroku. Beznadziei. I to ten świat jest częścią naszego klucza. Może.

- Świat? Jaki świat?

- Ten świat, który zwycięża. - Spojrzała na niego i zauważył, że odcień jej twarzy trochę się zmienił. Lekkie rozgorączkowanie. Ona głośno myśli, pomyślał. - To może być zasadnicze pytanie. I paradoks. Bo przecież jest ogromna różnica między dopuszczaniem się grzechu w świecie rządzonym przez Boga a dopuszczaniem się grzechu w świecie rządzonym przez diabła.

- Nie ma nadziei w świecie rządzonym przez diabła? Świat, który jest tylko zły, nie daje nadziei? To chciałaś powiedzieć? - zapytał Winter.

- Tak. I tak to może dla niego wyglądać. Wszedł w zły świat. Ale może wciąż ma jakieś wyobrażenie o tym drugim.

- Chce tam wejść znowu? Wrócić?

- Chce się pozbyć tego wszystkiego - powiedziała. - Chce wypełnić brak zbrodnią... kastracją. Brak, pragnienie. Poprzez zbrodnię wraca do tamtego przeżycia czy upokorzenia i chce nam pokazać: tutaj mam brak. Chce nam pokazać.

- Chce zostać złapany.

- Chce uzyskać pomoc. I w tym tkwi największy paradoks. Potrzebuje pomocy i mówi nam: tą zbrodnią pokazuję wam swój brak, i to jest wołanie o pomoc. - Spojrzała na Wintera, bardzo uważnie. - W ten

sposób pokazuje, że jest jeszcze nadzieja.

- Więc jest nadzieja? Zarówno dla niego... jak i dla mnie?

- Jest też ta tęsknota - dodała. - Jego sny to jego wewnętrzne fantazje, które zrealizował w świecie zewnętrznym. - Spojrzała na magnetofon. - I w ten sposób znaleźliśmy się mniej więcej w punkcie wyjścia, prawda?

Sen, pomyślał Winter i znów wyrżał przez okno, na śnieg, który zaczął migotać na niebiesko. Sen w zimowym świecie.

W mieszkaniu było cicho. Patrik słyszał, jak jego ojciec chrapie w sypialni. Próbował czytać, ale nie szło mu za dobrze, bo myślał o czymś innym. Kupił prezent na święta, ale nie wybrał jeszcze nic dla Ulli. Nie chciał jej kupować prezentu.

Może powinien spędzić Wigilię gdzie indziej? Mańka mówiła, że wcale nie musi tam być. Mógł przyjechać do nich, do Örgryte. To byłby czad. Obchodzić święta w bogatym domu. Czad.

Ojciec wstał. W pokoju było słychać jakieś pochrząkiwanie. Ulla wyszła kupić wódkę, Patrik wiedział, że ojciec nie czuje się teraz dobrze.

- Patrik!

Stał w progu i przecierał oczy. Śmierdziało od niego na kilometr. Było tak jak zwykle, ale nie do końca, bo przecież zwykle siedział w swoim pokoju. Wtedy Patrik miał spokój.

- Czy to ty mnie obudziłeś?

- Nie.

- Ktoś musiał - powiedział ojciec i znów przetarł oczy.

Przeszedł przez pokój i skierował się do kuchni. Coś zabrzączało, spadło na podłogę i się rozbiło. Szkło. - Do kur... - wrzasnął ojciec i wrócił do pokoju. - Na podłodze jest szkło. Posprzątaj, ja nie dam rady.

- Właśnie wychodzę.

- Że co? Coś ty powiedział?

- Właśnie zamierzałem wyjść.
- Powiedziałem, gnoju, żebyś posprzątał podłogę. Ulla zaraz wróci i nie wie, że tam jest szkło.

- Dobra, okej. Zrobię to.

Poszedł do kuchni i próbował pozbierać duże kawałki szkła, a potem pomyślał, że powinien włożyć buty, mimo to się nie skaleczył. Pozamiatął odłamki, włożył wszystko do worka, a worek schował pod zlewem. Weszła Ulla, słyszał ją w przedpokoju.

- Co robisz? - powiedziała, kiedy weszła do kuchni.

- Nic.

Położyła reklamówkę na stole. Ojciec wszedł i wziął szklanki.

Patrik wymknął się do przedpokoju, włożył kurtkę i buty. Na dworze było ciemno, ale wszędzie paliło się pełno świateł. Ludzie taszczyli choinki. Kosztowały po sto pięćdziesiąt koron, ale on i tak nie chciał kupować.

I tak nie udałoby się znaleźć rzeczy mamy. Kilka kolorowych bombek. Zniknęły, tak samo jak ona.

Radiowóz stał przed kioskiem, kiedy go mijał. Wydawało mu się, że rozpoznaje siedzących w środku policjantów. Ruszyli. Lakier karoserii zamigotał, odbił się w nim neon kiosku Pressbyrås. Przypomniał sobie to, co widział na klatce schodowej. Ten błysk sprawił, że znów o tym pomyślał. Jedno z drugim miało coś wspólnego, prawda?

36.

- Przeczytałem raporty z rozmów z sąsiadami i uderzające jest przede wszystkim to, że nikt nie zwraca uwagi na drugiego człowieka - stwierdził Winter. - Nie patrzeć, nie słuchać, nie mówić.

- A jak jest na twojej klatce? - zapytał Ringmar, zajęty prostowaniem spinacza biurowego. - Zwracasz uwagę na sąsiadów?

Winter pomyślał o pani Malmer. Angela zaczęła robić jakieś aluzje do nocnych mszy u niej. Ale nie posunęła się dalej. Angela nie posunęła się dalej. Nie, tak źle nie było. *Angela doesn't live here anymore*. Tak źle nie było. Powiedział prawdę i nic innego, tylko prawda miała znaczenie dla nich i dla ich przyszłości.

- Kiepsko - powiedział Winter. - Kiepsko się orientuję.

Ringmar uniósł drut, całkiem nieźle wyprostowany.

- Brawo, Bertilu. Wytrych masz gotowy, możesz iść się włamywać.

- Czy on właśnie za pomocą czegoś takiego dostał się do środka?

- Nie znaleźliśmy ani jednego śladu. Miał klucz. Nie. Został wpuszczony. Był ich znajomym.

- Musimy przesłuchać wszystkich znajomych, o których wiemy.

- To był jakiś sekretny znajomy.

- Co masz na myśli?

- Sekrety. Tajemnice ludzi.

- Hm...

- Był częścią jakiejś tajemnicy. Coś miało się rozegrać, a on miał być tego częścią. Ale do niczego nie doszło. Nie udało się. Za ostatnim razem nie.

- Miał inne zamiary.
- Właśnie.
- Czy miał je w chwili, kiedy przyszedł? - zapytał Ringmar. Właśnie próbował przywrócić spinaczowi pierwotny kształt.
- To ważne pytanie. Czy zdecydował się, kiedy do nich szedł, czy to się zdarzyło... czy coś go pchnęło do tych morderstw.
- Albo do tego, co się stało p o morderstwach.
- Tak. Czy był obcym, który został zaproszony, czy kimś z bardzo dawnych czasów. Kimś, kto znał ich od dawna. - Od dawna, pomyślał Winter. Jego praca była teraz czymś w rodzaju archeologii zbrodni. Kopał coraz głębiej wstecz, żeby znaleźć odpowiedź. Zstępował między cienie przeszłości. Był już tym zmęczony. Miał dość terażniejszości. - Czy to ktoś z przeszłości? - powtórzył.
- Czy on ją znał? Jego? Oboje?
- Hm... Ją. Wydaje mi się, że chodziło o kobietę. O Louise. Zwłaszcza po rozmowie z Laredą.
- Lareda czasami daje się wciągnąć - stwierdził Ringmar.
- I Bogu dzięki - powiedział Winter.
- Jeśli wyjdziemy z założenia, że został wpuszczony, to musimy sobie zadać pytanie, jak się poznali - zaczął Ringmar. - Czy byli dalekimi znajomymi, czy wcale się nie znali, tylko umówili się na spotkanie u Valkerów... jak się poznali?
- Ogłoszenia towarzyskie?
- Tak myślisz?
- Samotne serca.
- Wiesz, ile ogłoszeń towarzyskich publikuje się codziennie w gazetach? Albo w same weekendy.
- Nie, nie mam pojęcia. A ty wiesz?
- *No, sir.* Ale widzi mi się, że dość dużo. *Lonely hearts.*
- Czytasz je, Bertilu?

- To niezła rozrywka. Ale zacząć szukać wśród nich to tak, jakby się chciało znaleźć igłę w stosie igieł - powiedział Ringmar, przyglądając się spinaczowi, który właśnie zmienił się w dwie stalowe igły.

- Ogłoszenia erotyczne - powiedział Winter. - Strony z ogłoszeniami w pismach pornograficznych.

- Jeszcze więcej igieł, jeszcze więcej stosów.

- Hm... - mruknął Winter.

- Myślisz o śladach spermy? Zastanawiasz się, czy to nie była tego rodzaju... znajomość?

- Tak.

- To już jest jakaś teoria. Poznali się przez ogłoszenie.

- To nie jest niemożliwe. Wszystko wskazuje na to, że tak bywa coraz częściej.

- Ludzie potrzebują czułości i bliskości - powiedział Ringmar. - Ta potrzeba rośnie.

- I obiera nowe drogi realizacji.

- Nie znaleźliśmy u Valkerów żadnych świerszczyków - stwierdził Ringmar.

- Filmy - podsunął Winter. - Można zacząć od tego. Porozmawiaj z wypożyczalnią w pobliżu.

- A co potem? Nawet jeśli od czasu do czasu wypożyczali jakiś filmik dla dorosłych i my się o tym dowiemy, to nie wiem, co nam to da. Statystyki wypożyczalni filmów erotycznych pewnie bardzo by nas zaskoczyły.

- Co masz na myśli?

- Chyba każdy to kiedyś wypożyczał. Burmistrz. Prezydenci. Sture Birgeresson. - Winter uśmiechnął się na myśl o szefie wydziału. Birgeresson odbywał swoją roczną podróż w nieznanie i Winter nie zamierzał go o niczym informować.

- Albo kupił w sieci - dodał Ringmar. - Sprawnie i dyskretnie.

- Tak, tak.

- A ty myślałeś o tym kiedyś?
- Żeby wypożyczyć film pornograficzny? Nie. To do mnie niepodobne.
- To nie w twoim stylu?
- To nie jest w żadnym stylu.

37.

Kiedy Angela zamknęła za sobą drzwi i Winter usłyszał spadające na podłogę kozaki, jeden po drugim, otworzył piekarnik i wyjął nadziewane słonki, żeby chwilę przestygły. Było wpół do dziesiątej.

- Co tak pachnie? - zapytała Angela. Przyszła prosto do kuchni, może zwabiona zapachem. - Gołąbki pokoju?

- To tylko coś na kolację.

- Nie próbuj.

Winter był zajęty sosem do sałaty. Wymieszał łyżkę francuskiej musztardy z oliwą z oliwek i trzema kroplami octu miodowego.

- Coś tu wietrzą - powiedziała Angela. - Jakiś ukryty zamiar.

- Możesz zgadywać - odparł, rwąc różnobarwne liście sałaty do salaterki, i skinął głową w stronę blachy ze słonkami, jakby mówili tylko o nich.

Angela podeszła do blatu i pociągnęła nosem. Ptaki były pięknie przyrumienione.

- Perliczki?

- Nie.

- Poddaję się.

- Tak szybko?

- Jestem zmęczona.

Usiadła przy stole i zaczęła rozcierać palce lewej stopy. Jej brzusek był teraz wyraźnie zaokrąglony. W rajstopach miała małą dziurkę, na pięcie. W blasku lampy nad piecykiem i dwóch świeczek stojących na stole widział, że ma cienie po oczach, że jej twarz nadal ma kolor zimy za oknem. Włosy miała oklapnięte, jak wyschnięte, po całym popołudniu i wieczorze spędzonym w szpitalu, w kiepskim powietrzu.

Podniosła na niego wzrok, włosy opadły na bok, cienie zniknęły. Jej twarz znów była młoda.

- To nic nowego. Zmęczenie. Pielęgniarki mają chyba jeszcze gorzej. - Przesunęła ostrożnie palcem nad płomieniem świecy. - Mieliśmy dzisiaj skandal w klinice. Taki prawdziwy. - Nadal wodziła palcem nad świecą, nie patrząc na Wintera. - SzeF się zwolnił. I to z wielkim hukiem. - Spojrzała na niego. - Po prostu wstał od biurka i wyszedł. - Uśmiechnęła się. - Nasz drogi dyrektor szpitala przyszedł do Olsena z najnowszymi propozycjami cięć... nie, właściwie decyzjami. Byłam akurat u pacjenta i nie słyszałam, ale potem mówili mi, że w biurze Olsena rozległ się ryk, a potem wyszedł, bez fartucha, a Boersma wybiegł zaraz za nim, bardzo zażenowany.

- Najwyższy czas.

- Ale na co?

- Żeby dyrektor poczuł się zażenowany.

- Coś takiego spływa po nim jak po gę... - powiedziała i spojrzała na ptaka leżącego najbliżej. Jeszcze parował, wydzielając wspaniały aromat. - Ale to chyba nie są gęsi?

- Czy ty wiesz, jak duża jest gęś?

Najwyraźniej zapomniała, jakie pytanie zadała. Odsunęła rękę od świeczki i zaczęła masować prawą stopę.

- Olsen już nie wrócił. Zadzwoził pół godziny później i powiedział, że dziś już nie wróci. Nie. Że odszedł na zawsze. Na dobre.

- Czyli macie jeszcze mniej osób do pracy.

- Tak, ale może to przyniesie... coś dobrego.

- Ja przyniosłem coś dobrego - odparł Winter i wskazał na słonki, a potem szybko otworzył piekarnik i sprawdził ziemniaki.

- Lekarze potrafią sobie zapewnić szacunek - ciągnęła Angela, pogrążona we własnych myślach. - Kiedy porządnie rykną, mogą wstrząsnąć różnymi rzeczami.

Zauważyłem, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

- Czyli administracją - dodała Angela. Wstała i znów podeszła do blatu. Winter objął ją i poczuł zapach zimy. Nadal się utrzymywał w jej włosach i ubraniu. Trzymał ją w ramionach, czuł dotyk jej brzucha. Podeszła jeszcze bliżej.

- Spaliłeś list? - zapytała, ledwo słyszalnie, kierując te słowa do jego szyi, a może do ptaków na blasze.

- Wszystko zniknęło - zapewnił. - Wszystko, czego nie było, zniknęło.

- Okej - powiedziała i uwolniła się z jego objęć. - Okej, okej. - Spojrzała na stół, jeszcze nie był nakryty.

- Czy przed kolacją zaplanowano chwilę na prysznic?

- Daję ci pięć minut - powiedział. - Maksymalnie. Owinę je folią aluminiową, a sos jest prawie gotowy.

- Ale co to jest? Czy to może być słonka? Przecież to nie sezon?

Kiedy odkręciła wodę pod prysznicem, przypomniała jej się francuska nazwa tego ptaka. *Bécasse*. Pamiętała, bo pracowała we francuskiej winnicy, dwa razy późnym latem i jesienią, kiedy studiowała, czy też nie studiowała, a właściciel winnicy polował na słonki. Świeżo upolowany *bécasse*. Czasem wisały w sieni, kiedy wychodziła rano do pracy.

Siedzieli w sali, z której Hanne zawsze korzystała na komendzie. To był cichy pokój, z dobrym światłem.

Zawsze stawiała świeże kwiaty na małym stoliku przy krzesłach, które służyły za fotele. Były takie same jak ona, często tak myślała: niewystarczające, były tutaj czymś innym, niż byłyby w innej sytuacji, w innych warunkach.

- Nie mogę się pozbyć tych snów - powiedział Morelius. - Ostatniej nocy znowu. Był taki sam jak wczorajszej nocy, i jeszcze wcześniej. Ktoś się śmiał, kiedy tam stałem, i nie wiedziałem, które... z nich...

- Czy to był tamten wypadek samochodowy?
- To zawsze tamto - przyznał. - Teraz pojawiają się jakieś przebłyski, kiedy siedzę w aucie na przykład. Czyli w pracy.
- I jak to wtedy wygląda?
- Jak... wspomnienie. Tylko się pojawia i zaraz znika.
- Które? - zapytała. - Jak wygląda to wspomnienie?
- Ten sam obraz. Z... wypadku.
- Tak?
- To wygląda, jakby mnie... prześladowało - powiedział.
- I to nie tylko wtedy, kiedy jestem w pracy.

Hanne słuchała. Czekwała.

- Myślę o tym, nawet kiedy widzę rzeczy wiszące w szafie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Tak.

- No i do tego ten brak snu. - Pokręcił głową, jakby chciał rozluźnić kark. - To jest chyba najgorsze. - Znów pokręcił głową, w jedną, w drugą stronę. - Człowiek potrzebuje snu. Inaczej nie jest w stanie pracować. - Potem powiedział coś, czego Hanne nie zrozumiała do końca, nad czym miała się zastanawiać jeszcze później. Dużo później. - Człowiek musi przecież pokazać, kim jest - powiedział.

Patrik i Maria wążali się po otwartych wieczorem centrach handlowych, przeglądali kompaktów na stojakach, grzebali w stertach książek, dotykali ubrań wiszących w długich rzędach. Uliczni grajkowie mieli na sobie czerwone mikołajowe czapki i śpiewali piosenki świąteczne po angielsku i szwedzku.

W jednym z narożników Femman stał zespół peruwiańskich Indian: niscy, smagli mężczyźni, każdy w poncho w kolorach ziemi. Od ich pieśni biło smutkiem i wiatrem z gór. Patrik i Maria stanęli w grupie około dwudziestu słuchaczy otaczających półkolem zespół, bujali się lekko do rytmu. Przed muzykami leżała zniszczona walizka pełna płyt.

- Mogłabym kupić taką płytę dla mamy - powiedziała Maria. - Jeszcze nie znalazłam żadnego fajnego prezentu. - Wskazała głową płyty. - Taka płyta, a do niej można jeszcze coś dokupić.

- Jakiś black metal - podsunął Patrik.

- Nie, dziękuję. - Spojrzała na niego. - Ty też jeszcze nic nie kupiłeś, prawda?

- Dla ojca? Nie.

- A nie kupisz nic dla... niej?

- Dla Ulli? Nie.

- Wydaje mi się, że widziałam ją w tramwaju przed Hagakyrkan, przedwczoraj. A może dzień wcześniej.

- Była pijana?

- O ile to była ona. Nie, nic takiego nie zauważyłam. Ale miała reklamówkę z monopolowego.

- Podjechała z Masthugget. Za ciężko jej nosić.

- Nigdy więcej nie chcę się już tak upić - powiedziała Maria.

- Tak jak kto? Jak Ulla?

- Wiesz, o co mi chodzi, Patriku.

- Okej.

- No to jak?

- *Straight edge* - powiedział. - To jedyna rzecz, jaka teraz się liczy.

- Patrzył na muzyków. Zdawali się równocześnie dmuchać we fletnie Pana i brzdąkać otwarte akordy na gitarach. Rzeczywiście brzmiało to jak ptaki krążące nad górskimi szczytami. - Naprawdę chcesz kupić muzykę z Andów?

- Muszę się jeszcze zastanowić.

- Wigilia już pojutrze.

- Nie przypominaj mi.

- Ty chyba nie musisz się niczego obawiać.

- Możesz przyjść do nas.

Patrik nie odpowiedział. Spojrzył w bok i zobaczył Wintera. Właśnie wychodził z Brunnsparken, na skraju ludzkiej masy sunącej w

stronę miasta. Nie zauważył ich. Na pewno goni za prezentami. Nie miał jeszcze żadnych paczek, ale szedł po to albo tylko dał się porwać ludzkiej masie.

Patrik odwrócił głowę, ale już było za późno. To małe miasto.

- Co słyhać?

Zatrzymał się przy nich, ale nie za blisko. Maria podniosła na niego wzrok.

- Wszystko dobrze, tak myślę.

Winter spojrział na zespół. Piosenka się skończyła, kilka osób klaskało. Znow na nich spojrział. Policzek Patrika niemal odzyskał normalny kolor. Winter nie wiedział, czy dochodzenie już się zaczęło, i nie chciał się dopytywać, ale chłopak został pobity po raz ostatni.

- Nic nowego w banku pamięci? - zapytał i natychmiast pomyślał, że to na pewno zabrzmiało kretyńsko. *Corny*, tak się chyba mówi w tym pokoleniu.

- Nie.

- Masz jeszcze wszystkie numery telefonów?

- Jasne.

- Okej. To lecę dalej. Prezenty, i to w ostatniej chwili, jak zwykle.

- Rozejrzał się. - Chyba wszyscy mają tak samo.

- My też - powiedziała Maria.

- Na razie - rzucił Winter i ruszył, a kiedy się oddalił na kilka metrów, odwrócił się i uśmiechnął, jakby z powodu otaczającego go tłumu. Patrik zobaczył, że jego jasny płaszcz trochę się podwinął i że ma na sobie ciemnoszare spodnie w rodzaju... które mogły być takimi samymi spodniami... jakie widział, kiedy stał na klatce schodowej i tamten zjechał windą i wyszedł na ulicę. Co to było? Czy to spodni cały czas szukał w... banku pamięci, jak powiedział ten glina?

Maria coś powiedziała, ale Patrik nie usłyszał.

Znow stał na tych schodach. Widział pół twarzy albo trochę mniej, płaszcz trochę podjechał do góry i coś tam było szczególnego, coś ze spodniami. Było jeszcze coś innego, trochę wyżej. Coś powyżej spodni,

coś załśniło. Lśniło też niżej na spodniach, ale tylko jako odbicie. To mógł być odbłask, coś mogło tam być przymocowane, albo odbicie światła. Jak pasek na piersi.

Patrik widział jeszcze Wintera, choć teraz tylko głowę. Kołysała się lekko ponad głowami innych ludzi.

Ten, co wychodził z domu, miał na sobie mundur albo coś podobnego, pod normalnym płaszczem. Patrik odwrócił się do Marii, znów coś powiedziała.

- Co? - zapytał.
- Co ty, śpisz na stojąco?
- Chodźmy stąd - rzucił Patrik.

Bartram szedł do domu z dwoma filmami pod pachą. Znów zaczął padać śnieg, ale słońce wciąż świeciło. Może to tylko w tym miejscu, może padało tylko na niego i na ten kawałek ulicy. Jeszcze nie zdążył jej dobrze poznać. Najpierw wydawała mu się tylko długa. Potem podzielił ją sobie na kawałki i rozpoznawał je. Agencja reklamowa, która, sądząc z jej własnego szyldu, raczej nie pomogłaby nikomu się zareklamować.

Plac zabaw.

Odzież damska, a może to były kapelusze.

Domy zmieniające kolor, kwartał za kwartałem, ale teraz z ich barw nie zostało dużo, po deszczach, wiatrach i słońcu. Dużo tu wiało. Może to przez tę górę. Wiatr przychodził z dołu, od strony obwodnicy, potem góra go zatrzymywała, zawracał, i tak w kółko, tworzył się młyn. Kiedy było najgorzej, był to prawdziwy diabelski krąg. To dobra nazwa: diabelski krąg. Może gdzieś to słyszał.

Śnieżyca ustała, zupełnie jakby przeleciał przez nią, nie zdając sobie z tego sprawy. Tak jak wiatr mógł zawrócić przed górą, tak mętny blask słońca zawrócił, pojawił się znowu, teraz silniejszy.

Doszedł do domu. Pachniało hiacyntami. Tak powinny pachnieć święta. Kupił sobie też gotowe klopsiki, może one także będą pachniały świątecznie. Miał też butelkę grzanego wina jakiejś nowej marki. Choć to nie miało wielkiego znaczenia. Nie kupił świątecznej szynki, prawie o tym nie myślał.

Położył filmy na krzesła w przedpokoju. W kuchni na wierzchu leżał chrupki chleb. Zapomniał schować margarynę do lodówki, nabrała różnych odcieni żółci, wyglądała jak siki. Siki. Wziął pudełko, w którym zostało jeszcze ponad trzy czwarte margaryny, i trzymając je w wyciągniętej ręce, wycelował do zlewu. Trafiony, za pierwszym podejściem. Uniósł dłonie, dziękując za oklaski. Niech podniesie rękę ten, kto trafił w sam środek. Podniósł rękę i o ile widział, był jedynym, który to zrobił.

W nocy przytulał się do Angeli. Poruszała się wolno wraz z nim, w rytm jego ruchów, odwrócona do niego plecami. Jego ciało stało się jej częścią. Po kilku minutach zapomniał o ostrożności. Uniósł ją i czuła się, jakby frunęła w powietrzu. Krzyknęła coś, zupełnie innym głosem, ale on tego nie słyszał, bo też już dochodził do tego wszechogarniającego uczucia, równocześnie. Było pełne światła.

Potem, kiedy słuchali jej płyty, *the boatman calls front the lake, a lone loon dives upon the water*, leżeli bez ruchu i ciszy, pomyślał o imieniu dla dziecka, ale nie miał odwagi pójść dalej. Angela też stała się ostrożniejsza.

Było coraz bliżej. Styczeń, luty, marzec, kwiecień. Może nawet wcześniej. Może to niecałe trzy miesiące. Czy on to rozumiał? Ależ skąd. Czy do niej docierało? Oczywiście, że nie. Kto by to potrafił? To jakby pisać książkę, zanim się zaczęło pisać książkę.

There will always be suffering, it flows through life like water. To była ciemna i oczywista muzyka, piękna, nie pasowałaby do ostrego popołudniowego światła, ale teraz, późną nocą, kołysała i unosiła się

w powietrzu, tak samo jak oni oboje unosili się przed chwilą, połączeni.

Bertil mówił, że jest takie arabskie przysłowie: żeby się stać mężczyzną, facet musi napisać książkę, posadzić drzewo i spłodzić dziecko.

Zrobił tę największą rzecz. Jest prawie gotowa. Angela nie mówiła już o domu, ale on wiedział. Działka z dziurą, którą on wykopie, drzewo, jedno, drugie, sto drzew.

Mógłby napisać książkę albo ją wymyślić, trzymać ją w szufladzie, strony wypełnione myślami. Czy jego życie jest... już gotowe? Czy o to chodzi? Emerytura po trzydziestu latach pracy, a potem spokojne życie, które zawsze w końcu przychodzi. Czy kiedykolwiek postawił stopę w prawdziwym życiu?

Czy może jest w nim jeszcze coś? Napisać książkę, która nie jest podręcznikiem technik przesłuchiwania ani nie opowiada o znaczeniu intuicji w prowadzeniu śledztwa.

Żeby dobrze pisać, trzeba dobrze myśleć, pomyślał Winter. Czy myśli dobrze? Zawsze polegał na sobie pod tym względem, polegał na myśli, która prędzej czy później prowadziła go dalej. Teraz już nie wiedział. Tyle się działo w jego życiu tej zimy, tyle się zdarzyło jesienią. Kim był, kim się stał? Ojciec i... dziecko, wszystko w ciągłym ruchu, trudniejszym do ogarnięcia niż wszystko inne.

Zawodna koncentracja na sprawie, na morderstwie. Tak. Zawodna koncentracja. Musiał to przyznać przed sobą samym. Nadal jest profesjonalistą, ale myśl może go poprowadzić w złym kierunku. To już się zdarzało, było tak samo. Musieli wędrować w różne strony, ale zawsze pozostawać w zasięgu. Czy coś się z nim dzieje? Czy to tylko... dziecko i śmierć ojca... i Angela, ich nowy... poważny związek.

- Słyszę, że myślisz - powiedziała i odwróciła się z wysiłkiem. - Mam nadzieję, że to o... nas.

- Tak.

- Nie o pracy?

- Nie w ten sposób.
- Co masz na myśli?
- Sam nie wiem... czuję, że... jakbym miał większe trudności ze skupianiem się na tym, co robię. Na tej sprawie. Nie wiem... - Pocałował ją.

Może wiedział, co to było. Niemal bał się dopuścić tę myśl. Może po prostu się bał. Bał się o... nich. Było coś, czego się bał.

Usiadła, a potem wstała, żeby iść do toalety. Poczuli, że chce mu się pić, i właśnie wtedy zapytała, czy chce coś do picia.

- Tak.
- Wino.
- Byłoby cudownie. - Wyciągnął do niej rękę, zanim zdążyła wyjść z łózka. - Angelo...

- Tak?
- Czy było więcej takich... głuchych telefonów?
- Chodzi ci o te pomyłki? Mówiłeś przecież, że to pomyłki?
- Było ich więcej?

Widziała powagę na jego twarzy. Dlaczego jej o tym przypominał? Czyżby jednak się czegoś bał, mimo wszystko?

Zostawiła to już za sobą. Już się nie bała. Nie bali się, oni oboje. Wtedy było inaczej, teraz jest inaczej. Wszystko było jasne, czuła, że będzie dobrze, była radosna. Ten cholerny list naprawdę był nieporozumieniem. Koniec nieporozumień.

- Nie - skłamała.

Samolot z Malagi wylądował w północnym zmroku. Winter zobaczył, jak dotyka ziemi, kiedy zostawiał samochód na małym parkingu po wschodniej stronie terminalu zagranicznego.

Matka była jedną z pierwszych osób, które przeszły odprawę. Uściskała go mocno. Pachniała piaskiem i innym słońcem. Ale nie dżinem. Jej wózek był przepełniony, chwiało się na boki od bagaży.

- Nie wiedziałem, że zdecydowałaś się przeprowadzić do domu.
- To tylko parę prezentów świątecznych, Eriku.

W samochodzie najpierw się skuliła, potem wyprostowała, zaczęła chuchać w dłonie.

- Jest zimniej, niż się spodziewałam.
- Mamy jedną z najsroźszych zim w tym stuleciu.
- A jutro Wigilia.
- No właśnie.
- Kiedy przyjdziecie do Lotty?
- Chyba jesteśmy umówieni na wpół do drugiej.
- Bardzo się na to cieszę. - Wyrzała w ciemny wieczór, na biały śnieg, który rozjaśniał okolicę.
- Jak się czuje Angela?
- Lepiej niż kiedykolwiek.
- Rozwija się tak jak trzeba?
- Wszystko zgodnie z planem.
- Będziesz miał wolne w święta, Eriku?
- Oczywiście.

38.

Dwie pochodnie stały przy bramie. Skwierczały w deszczu ze śniegiem, ale nie gasły. Dom Lotty w Hagen świecił w to ciemne popołudnie. Słońce zniknęło, wyglądało na to, że chwilowo. Tej zimy niebo wariowało. Winter zatrzymał się jeszcze na chwilę na kamiennej ścieżce i spojrzął na piętro. Jako jedenastolatek wyglądał przez to okno, w stronę kaplicy w Hagen i Berglärkan po drugiej stronie doliny.

Angela pośliznęła się i oparła na jego ramieniu. Zaszleściły paczki w papierowych torbach, które wypakowali z mercedesa stojącego na ulicy obok domu.

Bim i Kristina otworzyły drzwi, zanim zdążyli wejść po schodach. Córki Lotty wyraźnie były w drodze do dorosłości, ale nie dzisiaj. Dzisiaj był ten dzień. Winter spróbował objąć nastolatki pełnymi paczek ramionami.

Już w sieni pachniało świątecznie: pieczone żeberka, przyprawy, zapach soli z sardeli w pokusie Janssona. Hiacynty. Szczególny blask woskowych świec, światło bijące od choinki z salonu, niezwykle blask święta w środku dnia, kiedy na dworze panuje mrok. Kiedy Winter odkładał prezenty w przedpokoju, czuł ostry zapach choinkowych igieł i przypomniał sobie piniowy zagajnik wieńczący grób ojca w Nueva Andalucia. Zobaczył go jeszcze wyraźniej, kiedy z kuchni wyszła matka z tacą parującego grzanego wina.

- Witajcie, moje dzieci - powiedziała.

- Kiedy to trzymasz przed sobą, nie mogę cię objąć, Siv - powiedziała Angela. - Ja to wezmę. - Z kuchni wyszła Lotta. Wytarła ręce w ścierkę i wzięła od matki tacę.

Byczek Fernando właśnie wrócił pod swój dąb korkowy. Andaluzja widziana oczami Walta Disneya odzyskała spokój i radość.

- Widziałaś kiedyś walkę byków, babciu? - zapytała Bim z podłogi, gdzie rozłożyła się na worku sako.

- Nie, kochanie. - Siv Winter przeniosła wzrok z ekranu na dziewczynkę. - Jest niewielka arena w Puerto Bands. Dziadek był tam kilka razy, ale to nie dla mnie.

Rozmawiali wcześniej o dziadku, niedużo, ale dziewczynki zadawały pytania. Winter nie odzywał się wiele, ale był tam. Nie wyłączył się.

- To musi być okropne - stwierdziła ¡Cristina. - I dlaczego zawsze muszą zabić to biedne zwierzę? Czy nie można urządzić walki byków bez tego?

- Właśnie - przyznał Winter. - W Portugalii tak robią, tak mi się wydaje. I w południowej Francji.

- A co mówił dziadek? - pytała dalej Bim. - Kiedy oglądał taką corrida?

- To było raczej takie przedstawienie - odparła Siv Winter. - Przede wszystkim to było przedstawienie... jak w teatrze. Arena jest prawie jak teatr, są różne strefy, zależy, ile kto chce albo może zobaczyć. - Wzięła włoskiego orzecha i sięgnęła po dziadka. - To trochę męczące siedzieć na słońcu całe popołudnie. - Rozłupała cienką skorupkę i wyjęła podobne do mózgu jądro. - Ale są też miejsca na trybunach, w cieniu.

Winter był mikołajem i nie miał nic przeciwko temu, choć w domu już nikt nie wierzył w Mikołaja. Kiedy się przebierał, myślał o tym, co matka powiedziała o śmierci jako spektaklu na arenie: widzowie siedzą częściowo ukryci przed sobą nawzajem i przed tym, który ginie lub przeżywa tam, w dole, na czerwonym piasku.

Założył maskę, miała co najmniej trzydzieści lat. Może powinien ją nosić częściej. Poczłapał do salonu w poszukiwaniu grzecznych dzieci.

Nie był obecny przy wręczaniu prezentów. Wyszedł po gazetę, jak powiedziała Bim. Jego prezenty wylądowały na osobnym stosiku przy choince.

Nastolatki prosiły, żeby każdy otwierał paczki po kolei. Kiedy Winter wrócił, wszyscy już obejrzelili swoje.

- Mikołaj już był?
- Twoje paczki leżą przy choince - powiedziała Angela. - Gdzie się podziewałeś?
- Chciałem tylko szybko kupić gazetę.
- To gdzie ją masz?

Wszyscy się roześmiali, a Winter podszedł do swojego stosiku i kiedy przyszła jego kolej, żeby otworzyć pierwszy prezent, wyciągnął twarde opakowanie, jak się okazało, z miękką zawartością. Futrzana czapka, jaką zwykle noszą mężczyźni w Rosji.

- Żeby ci było ciepło w głowę - powiedziała Lotta.

Kiedy się zaczął „Kaczor Donald”, ojciec zasnął. Ulla wyszła godzinę wcześniej, bo coś ją wkurzyło. Trzasnęła drzwiami, aż posypała się farba.

Myszka Miki ubierała choinkę. Właściwie nie potrzeba choinki. Wystarczy popatrzeć, co się stało z tamtą. Patrik słyszał chrapanie ze swojego dawnego pokoju. Podkreślił dźwięk w telewizorze. Fernando siedział pod dębem i wachał kwiatki. Patrik czuł zapach hiacyntów, które kupił dzień wcześniej na Linnéplatsen. Ojciec nie powiedział ani słowa, kiedy je zobaczył, a Ulli nie było.

Matka zawsze kupowała hiacynty na święta. To jest zapach Bożego Narodzenia, pomyślał i poszedł zamknąć drzwi, żeby móc słyszeć skrzypienie wózka, kiedy Fernanda wieziono do domu po walce byków.

Potem „Donald” się skończył. Patrik wyłączył telewizor, wyjął z lodówki parówki i klopsiki, które kupił w Majorze. Były dobre. Nie lubił śledzi, więc było mu wszystko jedno, że ich nie ma. Mógł ubić jajko i zrobić omelet. Byłby dobry z duszonymi grzybami, ale do tego potrzebne były grzyby, a były drogie, poza tym jeszcze śmietana i inne rzeczy. Zresztą i tak nie wiedział, jak to się robi.

Usmażył sobie kilka kielbasek. Pachniały smakowicie. Szukał musztardy, ale zapomniał kupić. Znalazł keczup. Ojciec kupił słoik czerwonej kapusty. Nie ma świąt bez czerwonej kapusty, mówił, ale teraz dobrze sobie bez niej radził, w jego pokoju. Świetnie sobie radzi bez świąt, pomyślał. To ja też mogę.

Boże Narodzenie jest dla mięczaków, tak samo jak sylwester.

Słyszał śmiech gdzieś na korytarzu, potem drzwi się otworzyły, Ulla coś zawołała i weszła do kuchni w kurtce i w butach wraz z kilkoma facetami, więc Patrik po prostu zostawił kuchenkę i patelnię i wyszedł z kuchni do przedpokoju. Kielbaski niech się spalą na węgiel, żeby nie mogli ich zjeść, choć i tak je zeżrą, jeśli nie teraz, to później, w nocy.

Od razu założył buty, kurtkę zakładał już na schodach.

Na ulicy poczuł, że w śniegu, który widział przez kuchenne okno, jest też deszcz. Naciągnął na głowę kaptur i ruszył w stronę miasta. Przy kościele Haga ustawiono reflektory oświetlające ściany. Po co to komu?

Było prawie ciemno, po Allén przejechał samochód, potem drugi. Ten pierwszy to była taksówka, drugi przemknął na czerwonym świetle. Czuł, że ma mokrą głowę, kaptur przemakał. Teraz było więcej deszczu niż śniegu.

Szedł wzdłuż Allén, w stronę Avenyn, pustej i cichej. Przejechała jeszcze jedna taksówka. Patrik zobaczył radiowóz, zawrócił przy Götaplatsen i jechał z powrotem. Przeciął Avenyn. Kiedy radiowóz go minął, znów pomyślał o tamtym. Coś błysnęło, jakaś plakietka czy coś takiego.

W radiowozie siedziało dwóch policjantów. Jechali dalej, w stronę Kopparmärri. Przejechała piątka, Patrik akurat był w pobliżu Valanda, kiedy się zatrzymała. Wsiadł. Siedział w wagonie i chciał skasować bilet, ale pomyślał, że kanary chyba nie grasują w Wigilię i nie łapią gapowiczów.

Wysiadł przy Sankt Sigfrids Plan. Potem stał przed domem Marii. Nie wiedział, jak tam dotarł. Tak samo było z tramwajem. W większości okien paliły się światła, ale nie widział nikogo. Potem zobaczył mamę Marii. Przeszła z pokoju do pokoju, trzymała coś w rękach. Potem pokazała się jakaś starsza kobieta, babcia Marii.

Świeciło się we wszystkich domach, z wyjątkiem jednego. Może wyjechali albo chrapią sobie w najlepsze, pomyślał. Niektórzy pewnie leżą w łóżkach i chrapią, i to jest w porządku. Nie dał jeszcze ojcu prezentu, ale nie musi tego robić akurat dzisiaj, prawda? Święta potrwiają jeszcze kilka dni.

Potem jego nogi ruszyły, jakby bez udziału jego woli. Stał na schodach. Musiał się powstrzymać siłą, żeby nie podejść bliżej i nie nacisnąć dzwonka, jakby ktoś... chciał go do tego zmusić. Odwrócił się, żeby odejść, potem podszedł z powrotem do drzwi. Jeszcze raz się odwrócił. Już chciał odejść, przeszedł kilka kroków.

- Patrik.

Znów odwrócił się w stronę domu. W drzwiach stała Hanne Östergaard.

- Ależ wejdź, Patriku.

- Niece. Lepiej pójde...

Zeszła kilka schodów niżej. Drzwi za nią były otwarte, pokazała się w nich Maria.

- Zapraszamy, Patriku. - Niemal go dotknęła. - Jadłeś już?

- Hm... oczywiście.

- Może przełkniesz jeszcze coś? Właśnie jemy trochę spóźniony świąteczny obiad.

- Ech... ale to wasze...

- Daj spokój i wchodź, bo wieje - powiedziała Maria.

Bartram prowadził, wreszcie.

- Pada deszcz, wreszcie - stwierdził Ivarsson.
- Ziemia była sucha - odparł Bartram i zawrócił przy Götaplatsen.
- Kiedyś wieczorami zamykaliśmy te okolice - powiedział

Ivarsson.

- Zamykaliście?
- Wcale nie tak dawno służby porządkowe przychodziły tu i zamykały Götaplatsen łańcuchami, a potem otwieraliśmy rano. Nie pamiętasz?

- Wtedy tu nie pracowałem.
- Ach tak.
- A dlaczego zamykaliście plac?
- Przez tę chuliganerię w samochodach.
- Przez chuliganów?
- Tak. Władze nie chciały, żeby się tu gromadzili wieczorami.

Skierowali się na północ, w stronę Kopparmärry

- Tutaj mamy jakiegoś samotnego nieszczęśnika - powiedział Ivarsson i wskazał na chłopaka. Szedł Avenyn, w kapturze na głowie, pochylony, jakby się chciał chronić przed podmuchami wiatru ze śniegiem i deszczem.

- Właśnie.
- A może jest w drodze z jednego świątecznego przyjęcia na drugie.

- Może tak.
- Tak samo jak my.
- Na razie jest spokojnie.
- Świątowanie jeszcze się nie zaczęło na dobre - odparł Ivarsson.
- A potem my przychodzimy i się narzucamy.
- Tak właśnie to odbierasz? Że się narzucamy?
- Tylko podtrzymuję konwersację.
- Może to jest potrzebne, żebyśmy tu siedzieli i kręcili się w kółko

w Wigilię. - Ivarsson popatrzył na Bartrama.

- Oni tam w domach siedzą i świętują, a ty musisz być tutaj. To smutne.

- Właśnie.
- Ale potem można to sobie odbić.
- Właśnie.

Kungsbacka wyglądała jak po wybuchu bomby neutronowej. Domy i drogi nadal były na miejscu, ale wszystkich ludzi wywiało. Morelius przejechał przez miasto, zanim zrobiło się na tyle ciemno, żeby mógł zobaczyć, czy w oknach się świeci.

- Mogłeś chyba przyjechać wczoraj. - To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie powiedziała matka.

- Wiesz, jak to jest. Praca.

- Nie znaleźliście jeszcze tego, co to zrobił tej Louise stąd? - zapytała. Morelius jeszcze nie zdążył zdjąć kurtki.

- Nie. Jeszcze nie.
- I ona była z naszego miasta, biedactwo.
- Właśnie.

- On może też jest stąd, ten, co to zrobił. - Poszła pierwsza do kuchni, syn ruszył za nią. Szynka była już na stole, pachniało pokusą Janssona i przyprawami. W wielkim kociołku nadal moczyła się suszona ryba. - Czy oni o tym pomyśleli? - Matka otworzyła piecyk i spojrzała na coś w środku. Jansson. - Musieli chyba o tym pomyśleć - powiedziała do zapiekanki ziemniaczanej.

- Kiedy zjemy? - zapytał.

- Za godzinę mniej więcej. Pytasz, jakby ci się śpieszyło.

- Chciałem tylko zapytać, czy mogę w czymś pomóc.

- Nie trzeba.

- To się chwilę przejdę.

- Teraz?

- Potrzebuję trochę powietrza przed jedzeniem. W aucie było tak duszno.

- Aha. Ale zaraz będę nakrywać do stołu.
- Tylko się przejdę po centrum.

Wyszedł, ale po stu metrach skręcił w inną stronę. Wkrótce stanął przed szkołą. Miała zupełnie inny kolor niż kiedyś.

Przechodzili przez to przejście podziemne. Było takie samo, ale przy wejściu było inne graffiti. Tunel wyglądał stąd jak czarna dziura.

Biegali. Czasami przebiegali. Krzyki i śmiechy rozbrzmiewały tysiącem decybeli, odbijały się od twardych ścian.

- Widziałeś kogoś na mieście? - zapytała matka, kiedy wrócił do domu.

- Tylko jednego człowieka.

39.

Sture Birgersson wrócił z podróży w nieznane. Był drugi dzień świąt. Nie był opalony, ale nigdy nie był, kiedy wracał z tych swoich tajemniczych wyjazdów.

Może po prostu zostaje w mieście, pomyślał Winter, siedząc naprzeciw szefa wydziału śledczego.

Birgersson wpatrywał się w zastępcę przez dym z papierosa.

- Udały ci się święta?
- Wspaniale.
- Choć właściwie jeszcze się nie skończyły. Jeśli chodzi o ścisłość.
- Birgersson strzepnął popiół, ostrożnie odchrząknął i wziął do ręki kilka dokumentów. - Interesujące.

- Co masz na myśli? - zapytał Winter i zapalił corpsa. Nie lubił papierosowego dymu, zawsze z trudem go znosił.

Birgersson odłożył papiery.

- Wiele rzeczy rozłazi się na boki. Ale bardzo to wszystko ciekawe. - Wziął do ręki inny dokument, zapis nagranej rozmowy. - Podobała mi się twoja rozmowa z Laredą. Bystra dziewczyna. - Znow strzepnął popiół. - Może zbyt bystra.

- O co ci chodzi, Sture? - Winter palił, patrząc na przelożonego. - To tylko myśli, hipotezy. Musimy teraz to odsiać.

- A zrobiłeś to? - Birgersson pomachał pięcioma kartkami, które trzymał w dłoni. - Przemyślałeś to wszystko?

- Jeszcze nie. Jest tego trochę.

- Wiele wątków rozłazi się na boki, jak mówiłem. Na przykład to z mundurem. To brzmi interesująco, ale musimy być ostrożni. - Birgersson zgasił papierosa i spojrzął na cygaretkę Wintera. - Nie ma ryzyka, że ktoś coś chlapnie prasie?

- Kto miałby to zrobić, Sture?
- Media byłyby zachwycone - stwierdził Birgersson. Nie odpowiedział na pytanie Wintera. - Zachwycone. - Spojrzał na dokumenty dotyczące śledztwa leżące na biurku. Normalnie utrzymywał na nim idealny porządek, zwykle było puste. Może to było dziwactwo, a może coś poważniejszego. Czytał przy oknie, na krześle, papiery trzymał z dala od biurka. Ale nie teraz. Może coś się stało podczas wakacji, pomyślał Winter. Birgersson podniósł na niego wzrok. - Tak samo jak niektórzy się zachwycają tak zwaną muzyką. To jest tak samo chore. - Wyglądał, jakby się uśmiechnął.
- Zresztą są do siebie podobni pod tym względem. Prasa i rockowcy śmierci.
- Nazywasz ich rockowcami śmierci?
- A może czarni rockowcy, czy jak ich nazwać. Wiem, że to się nazywa black metal, ale tutaj, przy tobie, nazywam to sobie, jak chcę. - Poglądził się po brodzie, potem znów zaczął przeglądać papiery. - Zainteresował mnie ten prorok Habakuk. Masz o nim coś więcej, coś, czego tu nie ma?
- Właściwie nie. To, co tam jest, wzięłem z leksykonu biblijnego.
- Najbardziej charakterystyczne dla niego jest to, że najwyraźniej nie ma nic, co by go charakteryzowało czysto prywatnie - stwierdził Birgersson.
- Właśnie. Widocznie był bardzo dyskretny, jeśli chodzi o prywatne sprawy - dodał Winter.
- To zaleta - powiedział Birgersson. - Prawie nic o nim nie wiadomo, a jeszcze mniej o jego córce. - Podniósł wzrok znad papierów. - Czy on w ogóle miał jakąś córkę?
- Wysłałem Haldersa w VI wiek przed Chrystusem, żeby to sprawdził.
- To dobrze. Halders powinien się trochę przewietrzyć.
- Birgersson znów pochylił się nad dokumentami. - Więc Habakuk

był zawodowym prorokiem w świątyni w Jerozolimie, był lewitą, prowadzony za włosy przez anioła przynosił pożywienie z Palestyny Danielowi, do jaskini lwów - odczytał i spojrzął na Wintera. - Dane niepotwierdzone przez źródła historycznie.

- To właśnie zadanie dla Haldersa.

- Po głębszym zastanowieniu nie jestem pewien, czy VI wiek przed naszą erą zniesie Haldersa - stwierdził Birgersson. - Mógłby tam nieźle narozrabiać. - Zaśmiał się ochryple. - Może nawet nie siedzielibyśmy tu teraz, gdyby dwa tysiące sześćset lat temu Halders wkroczył do akcji. - Odłożył papier i znów spojrzął na Wintera. - To mi przypomina o innej sprawie, może od razu weźmy ją w nawias.

Wstał, jakby chciał rozprostować swoje długie nogi. Górował nad Winterem, zasłaniał mu świąteczne światła. Był ogromną figurą z cienia. Winter spróbował sobie wyobrazić szefa w długiej szacie do samej ziemi, z długimi włosami i brodą, trzymającego w ręce pergaminowe zwoje. Albo kamienne tablice. Habakuk odebrał przesłanie od Pana: I Pan odpowiedział i rzekł: Spisz swoją wizję, uwiecznij ją na tablicach, wyraźnym pismem, aby łatwo ją było odczytać.

Księga Habakuka. Winter pomyślał o Ringmarze i tym, co mówił o słowie *rubrik*. To się z tym łączy.

Zło zostanie w końcu pokonane, nawet jeśli zdaje się wiecznie triumfować, wyjawiał prorok. Historia zawsze ma sens dla tego, kto patrzy daleko i ocenia to, co się dzieje, z perspektywy wiary.

Habakuk mógł także oznaczać karła.

Birgersson coś powiedział.

- Słucham?

- Będziemy mieli dziewięcioosobowy sztab w sylwestra, ja też w nim będę. Wiedziałem o tym od pewnego czasu, ale to nie ma związku z twoją pracą.

- Ach tak.

- Muszę przyznać, że myślałem o tobie przez jakiś czas, żeby cię włączyć. - Birgersson usiadł, szata, długie włosy i opadająca na piersi broda zniknęły. - Żeby podkreślić, że jesteś tak samo ważny jak ja. Równoprawny zastępca. Ale z powodu tej sprawy myślę, że to nie byłoby dobre.

- Za bardzo się rozłazi na boki. O to ci chodzi?

- Ty dobrze myślisz w domu, Eriku. Na pewno uda ci się to również podczas imprezy stulecia w Göteborgu.

- Tysiąclecia.

- Właśnie. Już nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł ją przeżyć w towarzystwie naszej komendant okręgowej.

- Nie będziecie sami - stwierdził Winter. Zobaczył ich oczyma duszy: dziewięciu sprzymierzonych w osobnym pokoju na komendzie, dziewięciu szefów poszczególnych wydziałów, którzy mieli wspierać centralę w tę niezwykłą noc. To było poświęcenie z ich strony, wyraźny sygnał, że władza wyżej ceni pracę niż zabawę.

- To będzie ciekawe doświadczenie - stwierdził Birgersson. - Potem będę mógł mówić, że przy tym byłem.

- Będę o tobie myślał o północy - powiedział Winter. - Miejmy nadzieję, że elektronika nie zawiedzie.

- Właśnie po to tam będziemy - odparł Birgersson.

Winter się roześmiał.

- A co ty będziesz robił o tej magicznej godzinie? Jakież szczególne plany?

- Tak... zjemy kolację, w domu. Moja matka właśnie przyjechała z wizytą. Ja, Angela i matka. Spokojnie i na luzie.

- Chyba przyda się wam trochę spokoju przed... powiększeniem rodziny. Czy wszystko w porządku z... Anglą?

- Pracuje i wkurza się z powodu pracy bardziej niż zwykle. Tak, wszystko dobrze.

- Okej. Czyli będziesz wiedział, gdzie mnie szukać, kiedy miasto eksploduje szaleństwem radości.

- Miejmy nadzieję, że wszyscy będą umieli sobie poradzić z tą radością - powiedział Winter.

- Jeśli mam być szczerzy, to obawiam się, że dla chłopaków dyżurujących na mieście to będzie ciężka noc - stwierdził Birgersson.

- W radiowozach jest też dużo dziewczyn - powiedział Winter. - I w patrolach pieszych.

- Tak, tak, ale wiesz, o co mi chodzi. - Birgersson zapalił drugiego papierosa, drugiego od chwili, kiedy Winter do niego przyszedł. Winter przypomniał sobie nałogowo palącego dozorcę. Może Birgersson ogranicza palenie? Szef właśnie spojrzał na niego: - Jak już mówiliśmy tysiąc razy, w naszej pracy jest tak, że jedynym, co nas może zatrzymać, jest brak wyobraźni. Ale jeśli chodzi o tę sprawę, wygląda na to, że jest odwrotnie. Tutaj wyobraźnia rozkręciła się tak bardzo, że musimy ją powstrzymywać. Materiał też jest w pewnym sensie... bardzo bogaty. Wszystkie te tropy mogą prowadzić w tę samą stronę, ale wcale nie muszą. - Jego twarz nagle zaczęła wyglądać ciężiej, starzej. - To jakiś pomysłowy skurwiel. Facet z wyobraźnią. Buduje tu jakąś cholerną fasadę, która zajmuje więcej miejsca niż sama zbrodnia. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem. To brzmi interesująco. - To było interesujące. Śledczy Sture Birgersson dzielił się swoimi przemyśleniami.

- Przez sekundę człowiekowi się wydaje, że to się nie stało. Takie wrażenie. Żeby iść dalej, trzeba się skoncentrować na innym wrażeniu. Spróbować myśleć ponad i poza tymi... śladami. Komunikatami.

- Rozumiem.

- Myślisz, Eriku, że on się z nami drażni? Bo w pewnym sensie wszystkie te komunikaty są podrobione.

- Podrobione?

- Chodzi o to, że to fantazja, która się nie wiąże z samym czynem. Coś, co się stało potem... świadomie. Świadoma dezinformacja.

- Nie.

- Właściwie ja też tak nie uważam. Ale to, co tu mamy, nie wystarczy. - Birgersson spojrzał na stertę papierów. - Są ślady i plamy, odciski palców, ale nie mamy tego z czym porównać. Grupa Beiera ma wspaniałe ślady spermy, ale to nie wystarczy.

- Niestety nie mogę jeszcze wskazać podejrzanego.
- Wystarczy mi ktoś do przesłuchania.
- Nawet tego nie mamy.
- Może AFIS nam pomoże - podsunął Birgersson.

Właśnie. Zdarzały się już takie przypadki. AFIS, komputerowy system identyfikacji odcisków palców, zawierający odciski wszystkich, którzy z jakiegoś powodu zostali zatrzymani lub aresztowani. Kiedy ktoś już znany trafia do niego z powodu innego przestępstwa, system wszczyna alarm. To byłaby prosta sprawa.

- A co mówi grupa? - zapytał Birgersson. - Nie jęczą z powodu przeciągającego się śledztwa?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Winter.
 - Nie mamy tu chyba do czynienia z seryjnym mordercą, co?
 - Będziemy wiedzieli, jeśli będzie seria.
 - Nie mamy w Szwecji seryjnych morderców na wolności.
 - Skoro tak mówisz...
 - Hm...
 - Musisz kogoś powiązać z tym miejscem - powiedział Birgersson.
- Od tego musimy zacząć. Te pozostałe pary Nie możesz ich tu ściągnąć i poświecić im lampą w oczy? Przecież są niejasności.

- Raczej brak precyzji w ich wypowiedziach - stwierdził Winter. - Powodów może być wiele. Ogólna niepewność w kontaktach z policją na przykład. Albo wręcz strach.

- Wykorzystaj to.
- Robię to, na swój sposób.
- Wygląda na to, że ich przeszłość wygląda dość blado. Valkerów.

- No cóż...
- Kilka dwuznacznych uwag, ale nie ma tam nic konkretnego, nic, nad czym moglibyśmy pracować.
- Okaze się.
- Mówiłeś, że sam chcesz odwiedzić jej matkę, tej Louise. Chcesz jechać do Kungsbacki. Nie jesteś zadowolony z dotychczasowych przesłuchań.
- Jadę tam w czwartek.

Bergnhem budował w ogródku latarnię śniegową. Z Adą. On budował, ona ją rozwalala.

- Musimy tu zostawić otwór na świeczkę - tłumaczył.

W nocy spadło więcej śniegu, dotąd dawał się lepić, ale jeszcze jedna noc i wszystko zamarznie. Może latarnia się utrzyma.

Martina wyszła do nich z ciepłym sokiem.

- Siok! - zawołała Ada. Bergnhem odgarnął włosy.
- Już ci przeszło? - zapytała.
- W nocy nic nie czułem.
- A teraz?
- Tylko trochę, kiedy się schylam.

Nie powiedziała nic więcej, ale wiedział, że chce go wysłać do lekarza. Nie. Będzie lepiej. Był tylko trochę... zestresowany. Sylwester. Impreza, jakiej jeszcze nie było. Miał służbę. Wszystko jedno. Będzie trzeźwy i z góry popatrzy na rzekę, kiedy niebo rozjaśni największe fajerwerki w historii miasta. Będą stali na moście, a on będzie z nimi. O ile nie będzie potrzebny gdzie indziej.

Ada była zmęczona, weszli do domu. Szybko zapadał wieczór. Dziewczynka zasnęła.

Kiedy się obudziła, Bergnhem wyszedł i zapalił świeczkę w latarni. Siedzieli w oknie i przyglądali się jej. Zerwał się wiatr, ale płomień nie zgasł. Kolejny podmuch był jeszcze silniejszy. Bergnhem wyszedł,

zeby znów zapalić latarnię, i poczuł, że w ciągu godziny zrobiło się bardzo zimno.

W nocy śniły mu się twarze, przesuwały się w korowodzie przed jego oczami. Rozpoznawał dwie. Była też muzyka, której nigdy nie słyszał. Był na kogoś zły, ta złość nie chciała minąć. Ktoś zbliżał się do jego głowy.

Obudził się i czuł się gorzej niż kiedykolwiek. Wstał, łyknął trzy tabletki od bólu głowy, wypił pół szklanki wody, a potem znów się położył i czekał, aż zaczął działać.

Wysiadło światło, nie wiedział dlaczego. Musiał zejść do piwnicy i spojrzeć na bezpieczniki.

Kiedy schodził, zobaczył wychodzącego policjanta. Skinął mu głową. Wyglądał, jakby się wybierał na przyjęcie. Elegancko. Aligancko. Z uśmiechem zaciągnął się papierosem. Czyżby policja kryminalna pracowała w wolne dni między świętami i sylwestrem? Chyba normalni przestępcy też robią sobie wtedy wolne, nie? Może nie chce im się nic kombinować na te dni, kiedy mogli posiedzieć w domu i cieszyć się świętami. On też to robił, póki się nie okazało, że musi zejść do piwnicy.

Miał teraz światło w komórce. To była zwykła komórka, ale on ją nazywał swoim biurem. Jeśli miał światło, to co najmniej jedna trzecia mieszkań nad nim też powinna mieć. Sprawdził na schodach, ale nie zapaliło się, więc sprawdzał dalej. Teraz zgasło u niego, ale zaraz zapaliło się znowu.

Poczuł, że coś pachnie.

Wszedł dalej. Komórka była na tyle duża, że kąty były pogrążone w cieniu. Nigdy nie było dobrego światła. Ale on nie bywał tam zbyt często. To nie był tak naprawdę jego dom. W jego własnym domu działało się więcej, można powiedzieć.

Tutaj mieszka ten gliniarz, więc chyba nic się nie mogło stać.

Na blacie, za imadłami, leżało pudełko z McDonalda i butelka po napoju. Zajrzał do pudełka i zobaczył w środku kilka listków sałaty. Plamy keczupu i obrzydliwego majonezu. W butelce było jeszcze trochę lemoniady, ale nie miał ochoty, dziękuję bardzo.

Kto, do cholery, wchodzi tutaj, żeby jeść? To wprawdzie miła komórka, ale przecież nie żadna restauracja.

Jeszcze nigdy nie widział nic takiego, w żadnym ze swoich domów. Po pierwsze drzwi były zamknięte na klucz. Poszedł sprawdzić zamek, ale nie znalazł żadnych śladów. Ktoś się tu dostał, otworzył kluczem albo jakimś superwytrychem, albo stalowym drutem. To możliwe.

Jakiś szczeniak? Po co jakiś smarkacz miałby tu wchodzić i jeść hamburgery? Czy tu jest fajniej niż w szkolnej stołówce? Wiadomo, jak tam jest, ale... to bardzo dziwne.

Wylał resztkę napoju do zlewu i postawił butelkę pod spodem. Butelki z kaucją szkoda wyrzucić, ale pudełko po hamburgerze powędrowało do wypełnionego do połowy czarnego worka na śmieci, do kubła przy drzwiach.

40.

Kiedy czekała na tramwaj, śnieg wciąż padał. W parku leżały już zaspas półtorametrowej wysokości, wyglądało na to, że zostaną tam na zawsze.

Poczuła, że dziecko się poruszyło, i jeszcze raz. Zostały jeszcze trzy miesiące, ale nadal wołała nie myśleć o imieniu. W mieszkaniu nie było też pokoju dla dziecka. Żadnych ubranek, łóżeczka. Niczego, co mogłoby sprowokować los. Bo ten los istnieje. Dlaczego tak myślała? Co to miałyby być za los? Jak mógł się dać sprowokować?

To nie było coś, o czym chciałyby rozmawiać z Erikiem. On chciał żyć na innych warunkach, ale Angela nie była pewna, czy człowiek rzeczywiście ma na wszystko wpływ.

Tramwaj nie nadjeżdżał. To środek komunikacji wyjątkowo zależny od pogody. Powinno być sucho, niewiele opadów. Tramwaje wymyślono dla południowej Kalifornii, pomyślała i odczytała elektroniczny komunikat na tablicy. Czerwone litery na czarnym tle: ODJAZD zmienił się na 15 MINUT OPÓŹNIENIA.

Dziecko znów fiknęło. Te ruchy stały się już częścią jej ciała. To pewnie będzie dziwne uczucie znów stać się jedną osobą... czy raczej dwiema. To chyba lepiej oddaje ten stan. Stać się dwiema osobami.

Spóźni się na pewno i nie ma usprawiedliwienia. Wszyscy rozsądni ludzie pamiętają, że tramwaje nie jeżdżą normalnie, kiedy pada śnieg. Wyszła spod wiaty i rozejrzała się za taksówką, ale żadna nie nadjeżdżała, kiedy akurat była potrzebna. Tak po prostu jest. Kiedy człowiek chce dotrzeć do pracy na czas, nie działa komunikacja, a kiedy decyduje się na plan B, nie ma pod ręką taksówki.

Doszła do skrzyżowania, stwierdziła, że w zasięgu wzroku nie ma ani tramwaju, ani taksówki. Rozejrzała się na wszystkie strony. Tak wygląda człowiek, który pilnie potrzebuje taryfy, pomyślała. Pozostali pasażerowie nadal stali pod wiatą, jeszcze mieli nadzieję. Kiedy przyjedzie tramwaj, będzie dobrze. Taki los.

Po drugiej stronie ulicy przy piekarni zatrzymał się radiowóz. Właśnie przechodziła przez ulicę. Przednie drzwi z lewej strony się otworzyły. Kierowca wysiadł i pomachał ręką. Drugi policjant siedział dalej, schowany za wycieraczkami. Ten pierwszy zawołał coś do niej, zatrzymała się na chodniku. Zawołał jeszcze raz, podeszła bliżej.

- Jedziemy do Wavrinskys - powiedział. - Przepraszam, że panią zaczepiam, ale może moglibyśmy podwieźć?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Facet mógł być w jej wieku, jasnowłosa, może trochę za chudy jak na policjanta. Szczera twarz. Miała wrażenie, że skądś go zna.

- Rozpoznałem panią, to dlatego. - Sprawiał wrażenie wręcz zakłopotanego. - Trochę znam Erika, więc... - powiedział, po czym zrobił gest, jakby chciał wskazać na pogodę i problemy z komunikacją miejską. - Pani pracuje w Sahlgrenska, prawda? Widzieliśmy panią na przystanku, więc jeśli trzeba podwieźć, to...

Spojrzała na zegarek. Już po czasie.

- Okej - powiedziała i uśmiechnęła się.

Drugi policjant wysiadł i otworzył tylne drzwi. Zanim wsiadła, rozejrzała się na boki. Przyłapaną na gorącym uczynku przed własnym domem. Co ludzie pomyślą.

Ten drugi był nieco mniej wylewny, starszy, przedstawił się, ale nie zapamiętała nazwiska.

Wysadzili ją przed głównym wejściem. Nikt nie miał ochoty na pogawędkę, co ją cieszyło. Kilka komunikatów przez radio brzmiało niemal jak spoty reklamowe. W samochodzie było ciepło, przyjemnie.

- Proszę pozdrowić Erika! - zawołał kierowca, zanim zamknęła drzwi. - I szczęśliwego Nowego Roku!

W drodze do Kungsbacki Winter zaczął się wahać, ale jechał dalej. Droga powinna być przejezdna również w drugą stronę. Minął dwa pługi śnieżne, za nimi jechał sznur aut.

Był czwartek 30 grudnia 1999 roku. Jutro się zacznie. Prawie o tym nie myślał. Czuł, że musi się przewietrzyć, odejść od biurka, zostawić śledztwo, którego akta przeczytał od deski do deski co najmniej trzy razy, był w końcu jednym ze współautorów. Wyrzucić na świat, na rozległą przestrzeń. Teraz go otaczała, z każdej strony.

Zjechał z E6 i skierował się ku Västra Villastaden. Bliżej centrum było więcej samochodów, ludzie przedzierali się przez padający śnieg jak niewyraźnie zarysowane sylwetki. Ustawił wycieraczki na najwyższe obroty.

Minął Dom Kultury Fyren, zatrzymał się i spojrzął na mapę. Skreślił na południe, przejechał obok szkoły, za późno zauważył tablicę. Musiał się zatrzymać i wycofać, kiedy zrobiło się miejsce.

Odprawa trwała trochę dłużej niż zwykle. W końcu to największa impreza, z jaką kiedykolwiek mieli do czynienia. Komendant Söderskog i jego dział administracyjny od roku ciężko nad tym pracowali. Początek nowego milenium to wielkie wydarzenie. W skali od ujęcia kieszonkowca do wojny te obchody sytuowały się bliżej wojny, przynajmniej wojny domowej.

- Ale staramy się, żeby wystarczyła normalna świąteczna obsada - powiedział jakiś czas temu kolega z administracji.

To oznaczało ograniczenie urlopów i innych zwolnień, więcej policjantów w gotowości, dokładny plan przerw. Wszyscy byli przygotowani. Nikt nie powinien wpaść w panikę, gdyby panika miała wybuchnąć.

- Ale dlaczego miałyby tak być? - zapytał facet z administracji. No właśnie, dlaczego?

Bartram i Morelius siedzieli przy szafkach, razem z Ivarssonem.

- Ten pieprzony orszak zakorkuje całe miasto - stwierdził Ivarsson.

- Bogini światła wprowadzi nas w nowe tysiąclecie - powiedział Bartram. - Pomyśl o tym.

- To może dobre dla tych, którzy nie umieją znaleźć drogi, ale ja dobrze sobie radzę bez niej - odparł Ivarsson.

- Miasto będzie nieprzejezdne Będzie jeszcze większa zadyma niż podczas Parady Chalmersów. - Poprawił kaburę i jego SIG sauer zaśnił w blasku świetlówki. - Ludzie Söderskoga mówili o panice. Co będzie, jeśli wybuchnie panika? To przecież jasne, że niektórzy nie wytrzymają napięcia i może wybuchnąć panika, kiedy będziemy chcieli ich wyciągnąć z tłumu. - Poprawił pas. - Wtedy nikt się nie ruszy, ani w tę, ani we w tę.

- A którędy pochód miałyby iść, żeby było bezpieczniej? - zapytał Bartram. - Czy karnawał powinien się odbywać gdzieś na ugorach w okolicach Hisingen?

Ivarsson parsknął śmiechem.

- Jeśli o mnie chodzi, czemu nie? Ale problemem jest sam pomysł. Długi pochód z boginią światła na czele. - Spojrzał na Moreliusa. - Przecież już mieliśmy święto Łucji, nieprawdaż?

- To nie wystarczy - stwierdził Morelius.

- A ty gdzie będziesz miał służbę?

- Na początek chyba na Heden, póki nie zbudują wieży Babel.

- Co za durny pomysł.

- Ale to się przynajmniej nie rusza.

- No jak nie - odparł Ivarsson. - Przecież rośnie do góry!

- No właśnie, a co do góry... - wtrącił Bartram. - Wiadomo, kto się zajmie rannymi po fajerwerkach?

- Nie bądźmy takimi pesymistami - powiedział Ivarsson.

- I ty to mówisz?
- Ja koło dwunastej będę się przemieszczał w stronę Skansen Kronan - powiedział Ivarsson.
- Więc się tam spotkamy - odparł Bartram.
- Kiedyś się zastanawiałem, o czym pomyśleć, kiedy wybije dwunasta, ale nie sądzę, żebyśmy mieli na to czas - ciągnął Ivarsson. - Będziemy mieli kupę roboty z tłumieniem wybuchów radości u młodzieży.
- Nie zwalaj wszystkiego na młodzież - rzucił Bartram.

Matka Louise Valker mieszkała sama, w willi, jasnej od zewnątrz i ciemnej w środku.

- Nie miała wrogów - powiedziała od razu, gdy tylko Winter zdążył się przedstawić.

Nie, to raczej nie było nic osobistego, to, co ją spotkało. Nagle Winter znów miał ją przed oczami. Jej twarz. Jej ciało. Słowo na ścianie, którego dolne końcówki były coraz cieńsze, spływały na podłogę. Światło z Vasaplatsen kawałek dalej. To samo światło, co i u niego w mieszkaniu.

Matka była wysoka, mocnej budowy, lekko pochylona. Mogła mieć sześćdziesiąt pięć, najwyżej siedemdziesiąt lat. Zaprowadziła go do salonu, mocno zacienionego. Na niskim stoliku przy sofie stały dwie fotografie w ramkach. Louise jako dwudziestolatka i około dziesięć lat starsza.

- Powinna tu zostać - powiedziała jej matka. - Ale to chyba było niemożliwe. - Spojrzała na jedno ze zdjęć, mówiła do niego. - Była dobra w swoim zawodzie, a tutaj nie ma tak dużo damskich salonów fryzjerskich.

- Czy miała wielu przyjaciół?
- Tak... całkiem sporo, jako nastolatka na przykład.
- A jakąś najlepszą przyjaciółkę?

- Chyba już to mówiłam, temu, co tu już był kiedyś... po tym, jak się to stało.

- Tak. Czytałem to, co pani mówiła. Ale było tam... zastanawiałem się nad tą najlepszą przyjaciółką. Nie wygląda na to, żebyście o tym szczególnie dużo rozmawiały.

- Nie rozmawialiśmy? Może nie. Może nie mogłam sobie nikogo przypomnieć akurat wtedy. - Spojrzała na Wintera, ale w pokoju było tak ciemno, że nie widział jej twarzy, tylko zarys głowy.

- Mój mąż zmarł pięć lat temu - powiedziała. - Ojciec Louise.

Winter milczał.

- On był jej naj... najlepszym przyjacielem - ciągnęła, a Winter usłyszał w jej głosie płacz. - Tak bardzo za nim tęskniła.

- Byli blisko związani?

- Bardzo blisko.

Winter odczekał dziesięć sekund.

- Ale miała też innych... przyjaciół?

- Pojawiali się i znikali. Trudno wszystkich zapamiętać.

- A potem pojawił się Christian.

- Właśnie, potem pojawił się on.

Winter usłyszał, że mówi teraz innym tonem.

- Czy często się... widywaliście?

- Nie.

- Co pani sądziła o Christianie Valkerze?

Nie odpowiedziała. Winter przyzwyczał się już do półmroku, rozpoznawał nawet fragment jej twarzy.

- Christian Valker. Co pani o nim myślała?

- Oni tu prawie nigdy nie przyjeżdżali. Nie sądzę, żeby on tego chciał, a Louise robiła to, co on mówił. - Znów spojrzała na zdjęcia. - Bardziej słuchała jego niż mnie. - Winter usłyszał głębokie westchnienie, jakby musiała wziąć oddech. - Nie lubiłam go. - Teraz spojrzała na Wintera, widział jej oczy. - Wydaje mi się nawet, że Louise też go nie lubiła. - Poruszyła się. - Może nawet nigdy go nie lubiła.

- Powiedziała to pani?

- W pewnym sensie.
- Co to znaczy?
- Wydaje mi się, że on nie był dla niej dobry.
- Powiedziała to pani? - powtórzył Winter.
- Miała zamiar go zostawić.
- Tak mówiła?
- To była kwestia czasu.

Winter powtórzył pytanie, ale nie dostał odpowiedzi. W końcu usłyszał, że matka coś takiego po prostu czuje.

Zadawał kolejne pytania o życie Louise. Pytał o jej chłopaków. Dostawał niejasne odpowiedzi. Unikała konkretów, tak samo jak wtedy, kiedy pytał o przyjaciół.

Siedział u niej godzinę. Kiedy znów znalazł się w samochodzie, włączył komórkę i zobaczył, że w poczcie głosowej ma kilka wiadomości. Pierwszą od Ringmara. Szukał go ten chłopak, Patrik. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Ma pod ręką jego numer domowy, jeśli Winter nie może go znaleźć. Nie wie, czy chłopak dzwonił z domu, bo natychmiast się rozłączył.

Winter oddzwonił, ale Ringmara nie było w biurze. Może wyszedł do łazienki. Dało się jechać z powrotem. Śnieg nie przestawał padać, ale nie był już taki gęsty. Samochody przemieszczały się sprawniej, niż kiedy jechał na południe. Znow zapadał zmierzch. Dzień się poddawał, a on to rozumiał.

Wzdłuż drogi leżały wysokie zasy, w niektórych miejscach przerwane przez wiejący po polach wiatr. Tworzyły długi na sto metrów wał. Wał. Vall. *The Wall*. Wall. Siedział za kierownicą w długim sznurze samochodów jadących do miasta i myśli kłębiły mu się w głowie. Wall. Pomyślał o tym w ciemnym domu w Kungsbase, pierwszy raz od kilku dni. Wall. Vall. Vallgatan. Desdemona nie miała siedziby przy Vallgatan, ale w pobliżu. Ubrani na czarno mężczyźni w średnim wieku wśród stosów płyt, komputerów i plakatów. Czy przy Vallgatan nie ma jakiegoś sklepu z płytami?

Może został zlikwidowany? W dokumentach ze śledztwa nie było nic o sklepie muzycznym przy Vallgatan. Musieli go zamknąć. Przechodził kolo niego kiedyś, wiele lat temu. Przypomniał sobie Patrika i jego kolegę, który miał płytę Sacramentu. Gdzie ją kupił? Czy nie powiedział, że gdzieś w Hadze? Ale nie miał pewności. A może w roztertargnieniu zapomnial zapytać? Czy ktoś inny o to pytał?

Zaczęły się tereny przemysłowe, Winter skręcił w stronę portu. Zadzwonił do Ringmara, żeby zapytać o adres Patrika. Miał go w gabinecie. Nie, chłopak nie powiedział, czego chciał.

- Miał zadzwonić jeszcze raz?
- Tego nie powiedział.
- A jak brzmiał?
- Trudno powiedzieć. To było dzi...
- Był zdenerwowany? Przestraszony? Spokojny?
- Może trochę... zdenerwowany.
- Mógł tobie powiedzieć, o co chodzi.
- Myślisz, że nie próbowałem?
- To nie jest moje prywatne śledztwo.
- O co ci chodzi, Eriku? Chcesz powiedzieć, że źle to rozegrałem?
- Nie przesadzaj, Bertilu.
- Chłopak nie powiedział ani słowa. Odłożył słuchawkę natychmiast, jak się tylko dowiedział, że cię nie ma. Nie zapytał o numer twojej komórki i nie zdążyłem nic więcej powiedzieć, bo się rozłączył.

- Okej, okej.
- Co teraz zamierzasz? Pojedziesz do niego do domu?
- Właśnie tam jadę. Jestem przy Linnéplatsen.

Ringmar wymruczał cześć i Winter pojechał dalej. Bertil

był ostatnią osobą, z którą chciałby się pokłócić. To przecież jego bład, jeśli Patrik nie chce rozmawiać z nikim innym. To chyba znaczy, że wysyłał niewłaściwe sygnały, okazywał, że ma coś w rodzaju prawa własności do tej sprawy... jakby to naprawdę było takie ważne, żeby to

właśnie on, Winter, został poinformowany jako pierwszy. Coś takiego mogło prowadzić do problemów, opóźnień w śledztwie.

Zaparkował nieprawidłowo po drugiej stronie ulicy i wszedł schodami na górę. Na klatce pachniało jedzeniem. Ściany były pomalowane, ale dawno temu. Ktoś gdzieś puszczał muzykę, basy pulsowały ze wszystkich stron. Przed drzwiami na drugim piętrze stał rower, na trzecim reklamówka pełna pustych butelek. Winter nacisnął dzwonek, ale niczego nie usłyszał. Zadzwoił jeszcze raz, ale nadal było cicho. Zaczął walić pięściami w drzwi. W środku dał się słyszeć jakiś szmer. Ktoś uchylił drzwi. Mężczyzna mógł mieć pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat, na jego twarzy widać było chorobę alkoholową. Winter poczuł zapach starego alkoholu, który właśnie zastępuje się nowym. Facet najwyraźniej był pijany, całkiem urżnięty.

- Kto to jes? - Winter usłyszał kobiecy głos dobiegający z mieszkania. - To Perra? - bełkotała kobieta. - Abo lekarz?

- Ktoś ty jest? - zapytał mężczyzna ostro. - Po coś przyszet?

- Szukam Patrika - wyjaśnił Winter.

- Co on do kurrr... zmalował? - zapytał mężczyzna, przyglądając się Winterowi i jego legitymacji.

- Próbował się z nami skontaktować - odparł Winter.

- Jest chory? - zapytał mężczyzna.

- Słucham?

- On nic nie powie.

- Czy Patrik jest w domu? - zapytał Winter podniesionym tonem. Zobaczył kobietę, wyjrzała do przedpokoju. Kiedy chwiejnym krokiem podeszła bliżej, zobaczył w jej oczach lęk, może coś jeszcze.

- On nic nie powie - wybełkotał znów mężczyzna.

Winter podjął decyzję, przekroczył próg. Odepchnął mężczyznę, który poleciał na ścianę, a potem poszedł dalej do przedpokoju.

41.

Ojciec Patrika zwał się ciężko na podłogę za jego plecami, kobieta uciekła w jakieś drzwi po lewej. Winter szybko przemierzył mieszkanie. Chłopaka nie było, więc wrócił do drzwi i spojrzął na mężczyznę. Nie podnosił wzroku.

- Gdzie Patrik? - zapytał Winter. - Gdzie on jest?

- Wyyyszet. - Z kącika ust spływała mu ślina. Był najwyraźniej coraz bardziej oszołomiony alkoholem, zaczynał tracić przytomność. - Wyyyszet. - Machnął ręką w stronę drzwi.

- Co z nim? Jest ranny? - Winter schwycił mężczyznę za ramię, ale pod szorstkim materiałem koszuli poczuł same kości. - Co mu zrobiłeś, bydlaku? - Mocniej zacisnął dłoń, czuł, że przestaje nad sobą panować. Puścił go, a potem opadł na kolana. Próbował nawiązać kontakt wzrokowy, ale to już nie było możliwe.

Znów pokazała się kobieta, trzymała się ściany, patrzyła spode łba na intruza. Winter wstał.

- Kiedy Patrik wyszedł?

Potrząsnęła głową, nie chciała odpowiadać brutalowi, który wtargnął do ich miłego gniazdka. Niech sobie nie myśli, że...

- Jeszcze tu wrócę - rzucił Winter i zbiegł na dół. Na ulicy wyciągnął cienki notes z adresami i wybrał numer.

- To ty, Hanne? Cześć, mówi Erik Winter. Nie widziałaś Patrika? Tak, właśnie, jakoś w ciągu ostatniej godziny.

- Nie. Ale mogę zapytać Marię. Właśnie wróciła do domu.

- Zaczekam.

Usłyszał rozmowę w tle. Potem Hanne Östergaard znów odezwała się w słuchawce.

- Nie - powiedziała. - Była w mieście z innymi kolegami. Ale mają się spotkać jutro po południu. - Zrobiła przerwę. - Mam nadzieję, że tutaj.

- Czy mogę z nią porozmawiać? - zapytał Winter. Czekał, słuchawka przechodziła z ręki do ręki.

- Tak, słucham?

- Cześć, Mario. Mówi Erik Winter z policji.

Ona też nie wiedziała, co Patrik chciał powiedzieć. Nie wiedziała, gdzie jest. Mógłby być w Javie albo w jakiejś innej kawiarni przy Vasagatan. Albo u Jimmo. Miała do niego numer. Tak, powie mu, żeby się odezwał, jak tylko się z nią skontaktuje albo się spotkają. Panu też szczęśliwego Nowego Roku.

Rozłączył się i natychmiast wystukał numer Jimmo, ale nikt nie odbierał.

Pojechał do domu, zostawił auto w garażu i poszedł do Javy. Wszystkie krzesła były zajęte, ale nigdzie nie widział Patrika. Powietrze było ciężkie od papierosowego dymu. Pachniało mocną kawą, gorącą czekoladą, kwaśną wonią wilgotnych ubrań, może perfumami. Średnia wieku nie przekraczała osiemnastu lat. Przy wszystkich stołach sterty toreb i torebek. Młodzi chłopcy noszą teraz torby, pomyślał. To praktyczne, ale nie dla niego. Podsunie to może Haldersowi.

Przeszedł się między stolikami, czuł się obco.

W innych miejscach przy Vasagatan było podobnie, nie znalazł Patrika.

Miał zadzwonić jeszcze raz, ale Winter się niepokoił, i nie chodziło tylko o śledztwo. Zadzwonił jeszcze raz na domowy numer, ale nikt nie odebrał. Ale przecież zadzwoni jeszcze raz.

Pochód płynął przez centrum. Bogini światła jechała na wozie. Przypomina katafalk, pomyślał Winter, wyglądając przez okno salonu. Córka Habakuka. Procesja wiła się na dole we wczesnym wieczorze jak

światlisty wąż, na skrzyżowaniu skręciła na wschód. Widzowie wyglądali jak czarny ocean, wypełniali wszystkie ulice, zablokowali całą dzielnicę.

Nie wszyscy zapłacili za miejsce w Empire State Building albo latali samolotami tam i z powrotem, żeby oszukać czas. W naszym mieście jest bardzo miło i spokojnie, możemy wąchać kwiaty, pomyślał, kiedy kolejna atrakcja przetaczała się pod jego oknami: gigantyczny bukiet z drewna, czy co tam to mogło być, dykta może, obłożony świeżymi kwiatami.

Poczuł dłoń Angeli na ramieniu.

- Jesteś pewna, że nie chcesz wyjść? - zapytał.

- W stu procentach - odparła i powąchała różę, którą jej dał kilka minut wcześniej. - W naszym domu jest bardzo miło i spokojnie, możemy wąchać kwiaty.

- Wszyscy, którzy zostali w mieście, zebrali się tam, na dole - powiedział.

Zadzwoił telefon. Jego matka odebrała w przedpokoju.

- Eriku, to do ciebie! - zawołała.

Angela spojrzała na niego.

Winter zrobił kilka kroków do telefonu w pokoju i odebrał.

- Halo... mówi Patrik.

- Cześć, Patriku. Jak się masz?

- Hm... chyba dobrze.

- Gdzie jesteś?

- U Marii. A co?

- Pytałeś o mnie wczoraj.

- A tak, tamto, nic specjalnego. Tylko coś mi przyszło do głowy.

- No to powiedz, co ci przyszło do głowy.

- Chodzi... o tego faceta, co zjechał windą. Wie pan, w tym domu, gdzie zamord...

- Wiem, Patriku.

- Wydaje mi się, że miał na sobie mundur.

- Dlaczego tak myślisz?
- To znaczy... pod płaszczem.
- Dlaczego myślisz, że to był mundur?
- No nie wiem, tak wyglądał.
- Jaki mundur?
- No, taki... z różnymi rzeczami. Granatowy... coś na nim było, albo może koszula była jasnoniebieska i jakoś mignęła pod płaszczem... kiedy wychodził, i coś błysnęło, jakby tam miał coś złotego na koszuli. Z przodu.

- Patriku, opisujesz mundur policjanta.
- No.
- Myślałeś o mundurze policyjnym?
- Wtedy nie.
- A teraz?
- Może.
- Coś jeszcze?
- Co?
- Widziałeś jeszcze coś, co się kojarzy z mundurem?
- Nie... to mógł być pas albo rzemień, ale nie jestem pewien, czy go widziałem.

- A co z jego głową? Kiedy się nad tym zastanawiałeś... nie miał niczego na głowie?

Winter zobaczył znikający ogon pochodu, oddalał się w stronę Avenyn. Jak wąż. Wyglądał jak wąż, coraz cieńszy na końcu, wijący się na wszystkie strony, pełnący przez czarną masę wypełniającą ulice i park.

Angela wciąż stała przy oknie, z różą w dłoni. Słyszał, jak w kuchni matka napelnia shaker lodem. Charlie Hayden i Pat Metheny grali *Message to a Friend*, niezbyt głośno.

- Nie miał nic na głowie - odparł Patrik.
- Okej.
- Jest jeszcze jedna rzecz... dużo o tym myślałem.

Winter czekał, nie odzywał się. Matka zajrzała do pokoju. Angela z uśmiechem skinęła jej głową.

- Wydaje mi się, że już go kiedyś widziałem - powiedział Patrik.

Bartram szedł za pochodem, w pewnej odległości. Wybierał boczne ulice, ustępował przed tłumem, który to, co się działo w centrum, spychał na boki.

Czekał na rogu. Bogini światła skręciła w lewo i szła prosto na niego. Było dwa razy więcej ludzi niż podczas corocznego biegu Göteborgsvarvet, a już wtedy na chodnikach, szerszych niż ulica, było pełno.

Niektórzy śpiewali. Inni w przypiływie nagłego wzruszenia padali sobie w objęcia. Wszystko było tak niesłychanie wielkie. Gazety prześcigały się w zachwytach nad przełomem wieków. Telewizja wyłaziła ze skóry.

Nikt już nie myślał o tym, że cała elektronika może nagle paść. Wszystko będzie działało tak samo kiepsko jak dotąd, pomyślał. Tramwaje nadal będą się spóźniać. Ludzie będą się wkurwiać. Dalej będą za nim pluć.

Szedł dalej na północ. U celu, przy Lilla Bommen, pochód zaczął się rozlewać. Znalazło się jeszcze kilku idiotów, którzy niczego nie zauważyli i siedzieli w samochodach na ulicy, otoczeni na całą noc przez rozbawione tłumy.

Ludzie zwracali twarze ku niebu nad wodą, czekali. Znów się ochłodziło, ich oddechy wyglądały jak chmurki, powoli unosiły się do góry, gęstniały. Z tego może być deszcz, pomyślał Bartram, ale nieco wyżej mgiełka się rozprasała. Nagle niebo nad Hisingen eksplodowało gromadzoną od dwóch tysięcy lat wiedzą na temat pirotechniki. Zaczęło się od złocistego wachlarza na niebie. Przykrył całe Västra Götaland.

Winter był zajęty sylwestrową kolacją. Słyszał dochodzące z pokoju

głosy Angeli i matki. Umoczył usta w szampanie, który podał godzinę wcześniej. Lekki i wytrawny. Najlepszego szampana należy podawać wczesnym wieczorem. Angela powąchała kieliszek, a potem napiła się najlepszej dostępnej na rynku wody stołowej.

Patrik jest bystrym chłopcem, dużo chodzi po mieście. Göteborg ma pół miliona mieszkańców, to nie tak dużo. Można widywać te same twarze. Raz, dwa, trzy razy.

Musi z nim porozmawiać po Nowym Roku. Otwiera się coś nowego, świeci jakieś światelko.

Postanowił się skupić na pierwszym daniu menu. Bulion rybny już był gotowy i odcedzony, poprzedniej nocy przez cztery godziny na małym ogniu gotował się dorsz, pory, szalotka, świeży imbir i biały pieprz.

Przygotował dressing i odstawił na bok: bulion, świeży sok z limonki, tarty chrzan, sól morską i trochę świeżo zmielonego pieprzu.

Potem ubił trzy jajka z łyżeczką ciemnego cukru i olejem sezamowym, z ciasta na odrobinie oleju rzepakowego usmażył trzy cienkie omlety i odstawił, żeby wystygły. Potem każdy zwinął w rulonik i pokroił w cienkie plasterki.

Wcześniej otworzył ostrygi, dwa i pół tuzina. Sprawdził je teraz jeszcze raz, potem pokroił wzdłuż garść strączków groszku cukrowego i blanszował je we wrzącej wodzie przez trzydzieści sekund, na koniec przelał zimną wodą. W dużej salaterce wymieszał odcedzony groszek, cienko pokrojoną czerwoną cebulę, trochę rzeżuchy i liście sałaty z dodatkiem rukwi *upland cress*, o delikatnym, lekko pieprzonym smaku. Potem dołożył pokrojone omlety.

Znów rozgrzał trochę oleju i szybko obsmażył z obu stron ostrygi. Musiał to robić partiami, po kolei układał je na salaterce. Kiedy skończył, pokropił sałatę dressingiem, delikatnie wymieszał i rozłożył na trzy talerze, starając się równo podzielić ostrygi.

Uznał, że to będzie odpowiednia przystawka do dania głównego, cielęciny z puree ziemniaczano-czosnkowym i pesto. Mięso już się

piekło, pachniało w piekarniku. Przyprawił je czosnkiem, świeżo zmielonym pieprzem i oliwą z oliwek. Zmiksował je na gładką pastę, a potem natarł nią mięso i marynował przez pięć godzin.

Morelius pomyślał, że miasto wygląda jak morze ognia. Nie. To niebo jest morzem ognia, mieni się czerwienią, nieustannie w ruchu. Po oficjalnych fajerwerkach zaczęły się nieoficjalne, każdy próbował przyćmić sąsiadów. Słyszał, że pięć albo sześć osób oslepiły wybuchy, a przecież jeszcze nie minęła północ. Czasami odzywał się sygnał karetki, ale nie było wypadków śmiertelnych.

Zbocza Skansen Lejonet były pełne ludzi, głównie młodzieży. Policja czekała w gotowości. Sporo funkcjonariuszy w mundurach. Zobaczył, jak jakaś dziewczyna wiesza się na Ivarssonie i próbuje go pocałować. Pozwolił jej, a potem uklonił się w podziękowaniu. Spokojnie. Żadnej paniki. Było krótko po jedenastej. Skanstorget poniżej zaczął się wypełniać ludźmi, wyglądał jak jakiś półarktyczny Times Square. Morelius nigdy nie był w Nowym Jorku, ale widział zdjęcia.

Stał nieco na uboczu, w pobliżu największego ścisku, kiedy z tłumu wyszło dwoje młodych ludzi. Znają mnie, jasne, pomyślał. To nie jest duże miasto. Wygląda na to, że się pilnują. Idą tu.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała Maria.

Morelius skinął głową w odpowiedzi.

- Widzę, że spokojnie sobie świętujecie - zauważył.

- *Straight edge* - odparła Maria.

- Co?

- Nie balujemy - wyjaśniła. - Nie bierzemy niczego, nie pijemy niczego.

- To rozsądne.

- Wtedy można wszystko przeżywać o wiele mocniej - dodał chłopak.

- No właśnie.

- Macie dzisiaj dużo pracy? - zapytała Maria. - Czy bardzo trzeba... się zajmować ludźmi?

- Jak na razie jest całkiem spokojnie.
- Ale niedługo się zacznie.
- Właśnie.
- Czy pracuje pan... całą noc?
- Do czwartej rano.
- W całym mieście?
- W centrum. Ale mogą mnie wezwać gdzie indziej.

- To było fantastyczne - powiedziała matka Wintera.

- Trudno było o dobre kalmary - stwierdził Winter.
- To nawet lepiej - rzuciła Angela.
- Ostrygi chyba nawet lepiej smakują tak.
- Też tak uważam - dodała Angela.
- No to... - zaczął Winter. Podniósł kieliszek białego wina. - No to na zdrowie.

- Na zdrowie. - Angela i matka uniosły szklanki. Napily się i odstawiły je na stół.

- Wiem, że to będzie jasny, piękny rok - powiedziała matka i spojrzała na nich. Winter nie zauważył, żeby w jej ruchach czy głosie coś się zmieniło. Wypiła przedtem dwa kieliszki szampana i podziękowała za T&T, co akurat dobrze robi na zmysł smaku. Ten, kto chce pić mocny alkohol przed wykwinną kolacją, powinien go zażyć dożylnie. - Czy to straszne, że tak mówię? Po tym, co się stało... z tatą i...

- To dobrze, że tak mówisz, mamó. - Nadal miał w ustach przyjemny ziemisty smak wina. - To będzie piękny rok.

- Jeszcze się nie zaczął - powiedziała Angela, spoglądając na zegarek, i znów pomyślała o losie. Napila się ramlösy Dziecko było spokojne. Zjadła jeszcze trochę i pomyślała o wszystkim, co się miało stać w ciągu najbliższych miesięcy. Nic nie będzie takie jak przedtem. To nowe życie. Nie jestem sentymentalna. Ale ten sylwester jest szczególnie Dla nas też.

Nowe tysiąclecie dudniło nad miastem, odezwały się kościelne dzwony. Dwa tysiące ludzi stało ramię w ramię na Skanstorget i śpiewało *Auld Lang Syne*, tak samo jak w Aberdeen, prosto na zachód za Morzem Północnym.

Kiedy odezwały się dzwony, na niebie pojawiło się dwadzieścia odrzutowców. Jeden na każdy wiek po Chrystusie. Dwa tysiące ludzi zasłaniało sobie uszy i wrzeszczało z podniecenia. Samoloty przecinały niebo w niebezpiecznych akrobacjach, potem zawróciły na południe.

Patrik i Maria trzymali się za ręce, dookoła ludzie płakali ze wzruszenia. Jakaś dziewczyna wymiotowała z twarzą w zaspie. Dwóch chłopców rzuciło się na śnieg i zaczęło robić aniołki. Więcej ludzi poszło w ich ślady, powstała fala, jak na stadionie. Trzy minuty później cała masa ludzi leżała na zboczu i robiła aniołki. Wciąż strzelały fajerwerki, coraz większe. Aniołki lśniły złoto i czerwono.

- Czujesz się jakoś szczególnie?! - krzyknął Patrik.
- Czuję się starsza! - odkrzyknęła Maria.
- Jesteśmy starsi o tysiąc lat! - zaśmiał się Patrik. Jakaś grupka rozłożyła jedzenie na kamieniach obok schodów i zaczęła wznosić radosne okrzyki.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Angelo - powiedział i pocałował ją. Smakowała kilkoma kroplami szampana, którymi zwilżyła usta. - Szczęśliwego Nowego Roku, mamó. - Nachylił się nad matką i zobaczył, że się uśmiecha i płacze równocześnie.

Zegar w radiu skończył bić. Kiedy czerwone niebo rozsypało się w spadające gwiazdy, mieszkanie zmieniło proporcje. Słyszeli odrzutowce.

Potem w dole odezwała się karetka, pierwsza tego wieczoru.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Eriku.
- To będzie nasz najlepszy dotychczas, obiecuję.

Kiedy otworzył drzwi i powiedział to, co sobie obmyślił, mężczyzna uśmiechnął się albo zaśmiał. Potem kopniakiem otworzył drzwi, zdzielił go dwa razy pałką, w brzuch i w pierś. Założył maskę.

Kobieta zawołała coś z wnętrza mieszkania. Przeszedł przez przedpokój, cały w paski od wybuchów za oknami. Wzory na ścianach ciągle się zmieniały. Słyszał odgłosy wydawane przez mężczyznę za jego plecami. Nie mógł złapać powietrza.

Właśnie wstawała z sofy stanął przy niej, zanim zdążyła się wyprostować. Ją też potraktował pałką. Brzmiało to tak samo jak to, co robił jej mąż pół minuty później, jęczała, dusiła się. Gdzieś z głębi dochodziło charczenie.

On sam oddychał tak gwałtownie, że obawiał się, że będzie musiał zdjąć maskę, żeby dotlenić mózg. Odwrócił się do okna, podciągnął maskę do połowy i głęboko wciągnął powietrze. Świat za oknem migotał pod półprzymkniętymi powiekami. Głowa bolała jeszcze bardziej.

STYCZEŃ

42.

Był w zamku z piasku, przekopywał tunel, miał się przebić na drugą stronę, wydostać na powietrze i światło. Po tamtej stronie czekał ojciec, ze wszystkim, co należało powiedzieć. Spisałem sobie wszystko, powiedział, żebyśmy tym razem niczego nie przegapili. Od czego zaczniemy? Kiedy się urodziłeś? Kiedy przestaliśmy ze sobą rozmawiać? Angela kopała obok niego, to ona zdecydowała, jak to ma wyglądać, choć go nie pytała. Wiedziała więcej od niego, rozumiała. Jak sobie to wyobrazasz, Eriku?, wołał ojciec, a on znalazł się po drugiej stronie plaży. Na morzu wznosiła się góra, pinie rzucały na niego cienie, kiedy zaczął się wspinać na szczyt. Teraz masz szansę, Eriku. Angela ścisnęła go za ramię. Idź tam i powiedz to, zanim ten rok się skończy. Niedługo kończy się rok i wtedy będzie za późno, Eriku. Musisz pokazać, czego chcesz. Musisz wziąć odpowiedzialność. Matka przyjechała na plażę białą taksówką, słyszał sygnał, zanim dotarła na miejsce, podała mu telefon przez okno, a on dzwonił i dzwonił. Matka potrząsała go za ramię. Angela jej pomagała. Dzwoniło i dzwoniło.

- Eriku!

Wymamrotał coś przez sen, czuł, że coś go ścisną za ramię.

- Eriku. To do ciebie. - Angela znów potrząsała go za ramię. Usiadł na łóżku. Trzymała w dłoni telefon, podawała mu go.

Jechał na południe. Na ulicach tysiące ludzi, snuli się od knajpy do knajpy. Śpiewali do siebie. „Dziś w nocy śniłem o czymś, czego nigdy przedtem nie widziałem”. Zahamował gwałtownie, kiedy grupka pijanych ruszyła na czerwonym świetle. Pokazali mu środkowe palce. Byli nieśmiertelni.

Kiedy wjeżdżał na rondo Korsvägen, zegar na desce rozdzielczej pokazywał pół do piątej. Liseberg jarzył się, jakby to była inna pora roku. Pierwsze autobusy zatrzymywały się, żeby zabrać ludzi, którzy postanowili już wrócić do domu.

Kiedy zjechał z Bifrostgatan, miał wrażenie, że pod wieżowcem czekają tysiące ludzi. Koguty radiowozów przyćmiły fajerwerki. Powrót do rzeczywistości. Policjanci zajęli się tłumem, zagrodzili dostęp. Ambulans ruszył z miejsca, zawyła syrena.

Winter zaparkował byle jak na Håradsgatan i przeszedł przez patio przed bramą. Był tutaj tak niedawno. Miał wrażenie, że wczoraj, tymczasem to było w poprzednim tysiącleciu.

Roznosiciel gazet stał przed drzwiami z policjantem z Mölndal.

- Ile osób jest w środku? - zapytał Winter.
- Tylko lekarz.
- Nie wpuszczajcie nikogo. Kiedy zjawią się inni ze śledczego, mają tu poczekać.

- Jasne.

- Zatrzymajcie też chłopaka - powiedział Winter, wskazując na roznosiciela gazet. Trząśł się, oparty o ścianę. Błada twarz, szesnaście, może siedemnaście lat. Mógł być kuzynem Patrika, takie samo szczupłe ciało, ten sam zgaszony wzrok.

W środku było cicho. Żadnego metalu. Winter nie wiedział, czy tego oczekiwał. Może cisza jest jeszcze gorsza.

Pod sufitem paliło się światło. Na ścianie w przedpokoju smugi, kreski, kropki i plamy: wzór, który przypominał niebo tej nocy, jakby

ktoś spróbował odtworzyć ostatnie niebo, zanim świat narodził się na nowo.

- To krew - stwierdziła Pia E:son Fröberg. Stała w drugim końcu przedpokoju, przy drzwiach do salonu. Była tylko sylwetką, wyglądała tak samo jak policjant w mieszkaniu przy Aschebergsgatan.

- Minąłem karetkę.

- Kobieta jeszcze żyła, kiedy ją zabierali.

- Wielki Boże.

- Moim zdaniem ma niewielkie szanse - stwierdziła Pia. - Bardzo małe.

Winter podszedł bliżej. Mimo dużego doświadczenia wyglądała na przerażoną, twarz miała jak wyrzeźbioną w marmurze. Nie, nie przerażona. Spięta, czujna.

Cofnęła się kilka kroków, Winter wszedł po pokoju i rozejrzył się.

- To samo - powiedziała. - To musi być ten sam sprawca.

Bengt Martell siedział na sofie. Ubrania leżały przed nim na podłodze, na kupce.

- Trzymał ją za rękę - dodała Pia E:son.

- Tak.

- Chłopak miał komórkę. To niesamowite, że był taki szybki, taki przytomny. - Machnęła ręką w stronę drzwi. - Kiedy przyszedł, drzwi były otwarte.

- Coś powiedziała? - zapytał Winter i odwrócił się w jej stronę. - Mogła w ogóle mówić?

Pia E:son Fröberg spojrzała na niego, jakby nie wiedziała, jak sformułować odpowiedź. Znowu spojrzała na sofę. Winter kiedyś na niej siedział. Obok niego Bengt Martell. Siv Martell siedziała na fotelu. Stał w tym samym miejscu co przedtem.

- Już zawsze będzie miała trudności z mówieniem - powiedziała Pia, spoglądając znowu na Wintera. - Jeśli przeżyje.

Przyjrzał się jeszcze raz zwłokom na sofie. Ta sama pozycja, zupełnie jak Christian Valker.

- Gdzie jest... gdzie... - zaczął Winter, ale nie był w stanie skończyć. - Może to nie... on tam siedzi. Martell. Czy to na pewno on?
- Tak - potwierdziła.
- Ale gdzie jest, do diabła... - Winter mówił coraz głośniej.
- Na... niej - wyjaśniła lekarka. Winter zobaczył, że jej blada twarz się zmienia, robi się jeszcze bledsza, jak kreda.
- Co? Co do dia... o czym ty mówisz?
- Jest przymocowana do niej. Przywiązana. Nie było czasu, żeby...
- Boże miłosierny w niebiesiech - wyrwało mu się.

Zatrzymał się przy sofie. Może to wyobraźnia, ale miał wrażenie, że widzi wyraźny odcisk ciała kobiety. Nie chodziło tylko o krew.

Każda sekunda była jak tysiąclecie. Pia E:son wyszła, ale nie wpuszczał jeszcze nikogo.

Nie było magnetofonu. Nie było go wtedy, nikt też nie przyniósł go później, po tym, jak tu był.

Zawsze musi być pierwszy raz, pomyślał. Nigdy przedtem nie byłem u nikogo, żeby później wrócić i zobaczyć... coś takiego. Zobaczyć ich w takim stanie.

W blasku latarni z ulicy napis na ścianie był wyraźnie widoczny.
Wersaliki. Sześć liter.

STREET

Tylko tyle. STREET. Litery jakby wprasowane w ścianę, a jednak zaczynały się rozpywać, końcówki się rozpuszczały STREET jak WALL STREET.

Poczuł na plecach dreszcz, nie spodziewał się go. Wall Street to Vallgatan. Czy dobrze mnie naprowadzałeś wczoraj, przedwczoraj, czy kiedy to było, Boże? Czy to Vallgatan szukamy? Czy odpowiedź jest właśnie tam? Nie pozwól, żebym pobłądził.

Pia wróciła. Usłyszał ją za plecami, ale się nie odwracał.

- Jeszcze żyje - powiedziała. - Właśnie dzwonili ze szpitala.

Winter kiwnął głową w stronę ściany.

- Ale nie jest... przytomna, jeśli o tym myślałeś.

- Nie myślałem o tym.

43.

- Przeczeszcie wszystko trzy razy - polecił Winter Beierowi, kiedy zjawili się technicy i zabrali do pracy.

- Nie obrażaj mnie, Eriku.

Zastępca szefa wydziału technik kryminalistycznych był skoncentrowany, wyglądał na trzeźwego. Chyba witał Nowy Rok z umiarem.

- Nowe tysiąclecie też musi się jakoś zacząć - powiedział, kiedy tylko przyszedł. I nie był to żart. To nie było dobre miejsce do żartów.

Technicy ostrożnie chodzili po mieszkaniu, wokół mężczyzny siedzącego na sofie, z wyciągniętą prawą dłonią, jak do powitania.

Beier wyszedł z kuchni.

- Wygląda na to, że siedzieli przy stole we trójkę.

- Dokładnie jak u Valkerów - stwierdził Winter.

Beier skinął głową, potem jeszcze raz kiwnął w stronę Ringmara, który właśnie wszedł z przedpokoju, jeszcze z płatkami śniegu na włosach. Winter stwierdził, że o świcie zaczął padać ciężki śnieg.

- Ona jeszcze żyje - powiedział Ringmar. - Ale raczej nie o własnych siłach.

- Nie ma żadnej prognozy? - zapytał Winter.

Ringmar potrząsnął głową.

- Widziałem... go tam - powiedział i spojrzał na mężczyznę siedzącego na sofie. - W szpitalu.

Nikt nie chciał tego komentować.

- Chciałabym go już zabrać - powiedziała Pia E:son. Cierpliwie czekała, aż będzie mogła zabrać ciało na obdukcję.

- Dobrze - zgodził się Winter.
- Jeśli ona przeżyje, to mamy tego skurwiela - powiedział Ringmar.

Zebrali się o wpół do dziewiątej. W sali pachniało wilgocią, może jeszcze wczorajszymi oddechami. Miasto walczyło z kacem, ale tutaj wszyscy musieli być przytomni.

- Bergenhem znów jest chory? - zapytał Halders, jak tylko wszedł. Winter skinął głową.
- To musi być jakiś zajebisty ból głowy - stwierdził Halders. Wszyscy poza Winterem usiedli.
- Nie muszę chyba przypominać, jak ważne będą najbliższe godziny - zaczął.

Zdjęcia przechodziły z rąk do rąk. No i znów tu siedzimy, jak jacyś obrzydliwi podglądacze, pomyślała Aneta Djanali.

- To ten sam skurwiela - stwierdził Halders. Miał zaczerwienioną twarz, Aneta poczuła od niego alkohol, kiedy się nad nią nachylił, żeby wziąć zdjęcie. Zadzwoił do niej około wpół do drugiej, ale widocznie zapomniał. Albo udaje, że nic takiego nie zrobił, pomyślała. Co zresztą jest prawdą. - To chyba jasne, że to ten sam zabójca?

- Tego jeszcze nie wiemy - odparł Winter.
- Ech, daj spokój. - Halders spojrzał na Wintera. Jego oczy z daleka sprawiały wrażenie przytomnych, były otwarte tak szeroko, jak się tylko dało. Oznaka walki o przytomność umysłu. - Chyba nie sądzisz, że to jakiś naśladowca? - zapytał.

- Ale to chyba nawet nie byłaby dokłada kopia? - powiedziała Sara Helander.

- Nie - przyznał Winter. - Beier przygląda się jeszcze napisowi, ale oczywiście wszystko przypomina tamtą zbrodnię.

- Co właściwie pisała o tym prasa? - zapytała Aneta. - Wtedy?
- Napis udało nam się zachować w tajemnicy - powiedział Möllerström i wstał. - Muzykę zresztą też. Nie widziałem nic o tym w gazetach. Ani w radiu czy telewizji. - Nie patrzył na nikogo konkretnego. - Właściwie to dziwne.

Winter pomyślał o ubranych na czarno mężczyznach z Desdemony. Raczej nie wyglądali na gadułów. Poza tym nie byłoby chyba dobrze dla tej branży, gdyby opinia publiczna poznała gusta muzyczne mordercy.

- Więc tym razem nie było muzyki - stwierdził Halders.
- Czy jak to nazwać.
- Nie.
- Żadnej muzyki przy pracy.

Aneta Djanali westchnęła głośno.

- Jedno wiem na pewno - mówił dalej Halders, wskazując ręką na zdjęcia, które trzymał w drugiej. - Jaka będzie reakcja na tę wiadomość.
- Rozejrzał się po zebranych.

- Kiedy rozejdzie się wieść, że kolejne małżeństwo zostało potraktowane w taki sposób, że się tak wyrażę.

- Co takiego wiesz na pewno? - zapytał Ringmar.
- Kiedy to się rozejdzie, ludzie natychmiast zaczną się rozwodzić - dokończył Halders i znów popatrzył na kolegów. Ktoś chyba parsknął śmiechem. Aneta zauważyła, że Winter zeszytywniał. - Bo kto w takiej sytuacji chce być małż...

- Wystarczy już, Fredriku - rzucił Winter.

Aneta pomyślała o Winterze. Luźny związek skończył się wspólnym mieszkaniem, miał zostać ojcem. Tymczasem Fredrik był już ojcem, ale mieszkał sam. Kiedy ostatnio widział syna? Próbował o tym mówić w nocy, ale nie umiał znaleźć słów.

- Wygląda na to, że to była raczej skromna impreza - stwierdziła Sara Helander.

- Trzy osoby, sądząc po śladach.

- Jak... wtedy.
- Tak.
- W takim razie musimy poczekać, aż Siv Martell zacznie mówić.

Chyba zjedli kolację ze swoim... zabójcą.

Winter nie odpowiedział.

- W jakim stanie jest teraz? - zapytała Aneta.

- Nadal nie odzyskała przytomności - odparł Ringmar. - A może tylko utrzymują ją w stanie śpiączki.

- Ale co on jej właściwie zrobił? - zapytał Halders.

Winter opowiedział. Niektórzy oddychali głęboko, ze zgrozą, w sali zrobił się lekki szum.

- Ożeż kurwa - rzucił Halders. - I będzie mogła składać zeznania?

- Na razie i tak mamy dużo roboty - stwierdził Winter.

- Wall Street - powiedział Halders.

- Tak?

- Vallgatan. Czy tam nie było sklepu muzycznego? Chyba jeszcze istnieje?

- Tak.

- Czy ten gość nie kupił tej płyty tam?

- Tak - potwierdził Winter. - Był tam. Sprawdziliśmy to.

- Mieli więcej egzemplarzy?

- Właśnie to sprawdzamy - powiedział Ringmar. - Sprawdzamy to jeszcze raz. Ta sprawa już się przedtem pojawiła.

- Skądś musiał wziąć to gówno - stwierdził Halders. Spojrzał na Ringmara. - Ale chyba niekoniecznie stamtąd.

- Nie. Ale o co konkretnie ci chodzi?

- Konkretnie czy nie. To mogły być Stany. Przecież ten zespół jest ze Stanów.

- Z Kanady.

- Niech będzie Kanada. Okej. To niedaleko Stanów. A co jest w Stanach? Wall Street, w Nowym Jorku konkretnie, a jeszcze konkretniej na Manhattanie.

- Czy to znaczy, że mamy szukać na Manhattanie? - zapytał Börjesson, jeden z młodszych śledczych.

- Tak - odparł Halders.

Wygląda, jakby powiedział coś głupiego, pomyślała Aneta Djanali. Znowu.

- Manhattan... - powtórzył Winter. - Janne, mógłbyś przynieść teksty Sacramento?

Möllerström wstał, poszedł do swojego pokoju i szybko wrócił. Winter wziął od niego kartkę i zaczął czytać.

To było gdzieś... było napisane... gdzieś pod koniec... tutaj. Podniósł wzrok, znów opuścił. Tu jeszcze raz. W dwóch miejscach.

Przeczytał te wersy głośno, z każdego miejsca po dwa, żeby kontekst był jasny. Była w nich mowa o Manhattanie. Krótkie wizyty na ziemi.

- O w mordę - rzucił Halders. - Miałem rację.

- Ale to może być przypadek - stwierdził Winter. - Pamiętajmy, że to może być celowa dezinformacja.

- Bez sensu byłoby ryzykować - powiedział Halders. - Podejmę się sprawdzenia tego na miejscu.

Ty już jesteś w drodze do VI wieku przed naszą erą, pomyślał Winter i jeszcze raz odczytał fragmenty tekstu. Manhattan był w nich raczej miejscem gdzieś w głębi doliny cienia śmierci.

- To tylko komplikuje sprawę - stwierdziła Aneta, patrząc na Wintera. - Jak możemy sprawdzić, czy rzeczywiście są jakieś powiązania? Manhattan? I co? Może mamy wysłać Fredrika na wycieczkę na Manhattan?

Wszyscy się zaśmiali. Winter odchrząknął.

- To jedna rzecz - powiedział. - Manhattan czy nie Manhattan.

- Na całym świecie jest pełno Manhattanów - ciągnęła Aneta Djanali. - Byle kiosk może się tak nazywać. Albo pizzeria.

- A co to znaczy? - zapytał Möllerström. - To słowo chyba coś znaczy?

- To coś indiańskiego - powiedział Ringmar. - Sprawdzimy.

- Ale dlaczego on ją zostawił przy życiu? - powiedziała zniecka Aneta.

- Dobre pytanie - powiedział Halders.

- Co to ma znaczyć? To, że ona jeszcze żyje. - Aneta spojrzała na Wintera. - Rozmawiałeś o tym z Laredą?

- Jeszcze nie.

- Coś mu przeszkodziło - podsunął Halders.

- Jakiś pomysł? - zapytał Winter.

- Roznosiciel gazet.

- To naprawdę niesłychane - stwierdził Möllerström. - Pierwszy raz w historii „Göteborgs Posten” wychodzi w noworoczny poranek i biedny roznosiciel musiał trafić na coś takiego.

- To się stało wcześniej - stwierdził Winter. - Zbrodnia.

- Może telefon - podsunął Halders.

- Sprawdzamy połączenia.

- Drugi sprawca?

Ringmar wzruszył ramionami. Mam dość tych spekulacji, pomyślał Winter. W tej samej chwili do sali wszedł Beier, bez pukania. Stał obok Wintera.

- Pomyślałem, że chcielibyście to usłyszeć. - Zawiesił głos. - Odciski palców mężczyzny... Bengta Martella. Pasują do znalezionych w mieszkaniu Valkerów.

- Niech to szlag - rzucił Halders.

Koniec spekulacji, pomyślał Winter.

- Oni cały czas mówili, że nigdy tam nie byli - powiedział Halders.

- Kiedy Aneta i ja z nimi rozmawialiśmy, i później, kiedy był u nich Erik.

- To znaczy, że kłamali - stwierdził Ringmar.

- Przynajmniej on - dodał Winter.

- Sperma - powiedział Halders. - Jak zbadasz próbki krwi, to testy DNA wykażą, że jego sperma jest na sofie Valkerów.

Jeśli zostało mu jeszcze tyle krwi, pomyślała Aneta. Podała dalej zdjęcia, jedno po drugim.

- Nie masz dobrego zdania o tej znajomości - Sara Helander zwróciła się do Haldersa.

- Myślę, że ich wspólne zainteresowania ograniczały się do seksu - odparł i wstał. - Takich rzeczy nie widać po ludziach, trudno się też domyślać. Ale coraz więcej naszych współobywateli poszukuje kontaktów po to... żeby odbywać stosunki seksualne. Wymiany żon. Seks grupowy. Czego to nie robią. - Wziął oddech. - To się chyba nazywa swingersi. *Swinger party*.

- Orientujesz się w temacie - rzucił Möllerström.

- Zamknij się - odparował Halders. Wciąż stał. Spojrzał na Wintera. - To jeden ze sposobów poznawania się. Zastanawialiśmy się, jak mogli się poznać, prawda? Wyglądało na to, że nic ich nie łączy, nie? Żadnej wspólnej przeszłości, nic.

Winter rozpoznał swoje rozumowanie z początku tej sprawy.

- Dobrze, Fredriku - powiedział.

- Skoro o tym mowa... - wtrącił Beier. - Rzeczywiście znaleźliśmy u Martellów trochę pornografii. Czasopisma.

- Jakie czasopisma? - zapytał Halders.

- Nie pamiętam. Zaczekaj. - Beier podszedł do telefonu stojącego na narożnym stoliku i wybrał numer do swojego wydziału. Zadał pytanie i szybko odłożył słuchawkę. - „Aktuell Rapport”.

- Bingo! - zawołał Halders. Ciągle jeszcze nie usiadł. - Bingo.

- Mógłbyś nam to wyjaśnić? - poprosił Winter.

- Widziałem kilka numerów „Aktuell Rapport” u Elfvegrenów. Schowanych pod stolikiem. - Halders spojrzał na Anetę. - Prawda, Aneto? Nawet ci mówiłem?

- Tak.

- „Aktuell Rapport” - powtórzył Halders. - A najlepsze jest to, że Elfvegrenowie nadal są cali i zdrowi. - Spojrzał na Beiera. - Kiedy dostaniemy wyniki badań DNA?

Więc to miałyby być ten wspólny mianownik, pomyślał Winter. Ogłoszenia erotyczne...

- To znaczy, że w gazetach drukuje się ogłoszenia erotyczne? - zapytał.

Halders spojrzał na niego jak na dziecko.

- Zdarza się czasem to i owo - powiedział.

Ogłoszenia erotyczne, pomyślał znów Winter. Możliwe, że Valkerowie i Martellowie tak się poznali... czy spotkali. Czy może za szybko wyciągają wnioski? Trzeba jeszcze raz przycisnąć Elfvegrenów. I jeśli spotykali się parami, to...

- Możliwe, że tak samo poznali zabójcę - odezwał się Ringmar, ubierając w słowa myśli Wintera.

44.

Nie pamiętał żadnych słów, żadnych krzyków. Wszystko było jednym wielkim ciężarem, przenikał go jak góra.

Przez próg i do pokoju, a potem poszedł po niego.

Był tam jakiś dźwięk... a światło na dworze świeciło coraz mocniej. W końcu nie był w stanie patrzeć. To było jak godziny. Ktoś czekał.

Ktoś biegł po schodach i krzyczał. Światło wciąż było tak samo jasne.

Czy to światło... wszystko skończyło?

Było tak samo jak poprzednio. Przyglądali mu się. Ale teraz ona się nie śmiała. To on się śmiał. Śmiechem pokrywał litość.

W windzie na dół odwracał twarz. Na dworze światło świeciło normalnie. Pośliznął się, kiedy przechodził przez ulicę. Nie musiał iść daleko.

Coś zostawił. Wiedział o tym. Znow zrobiło się jaśniej, było jakoś inaczej.

Ringmar wisiał w oknie. Twarz miał ciężką z niewyspania. Wyglądał na ulicę. Popołudnie tchnęło spokojem. Tak spokojnie nigdy nie było.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Eriku.
- Wzajemnie.

Winter potarł twarz, potem oczy. Zadzwoił do domu. Angela była zaniepokojona. Jego świat o wiele wyraźniej stał się teraz również jej światem. Może to dobrze, dla nich. Jego nieobecność nie była... jego. To nie on wybiegał jak wariat z mieszkania w środku nocy. Jakiś czas temu Angela powiedziała, że wydaje jej się, że on woli żyć wśród martwych niż wśród żywych. To było pod koniec jakiejś coraz cichszej

nocnej rozmowy, a rano do tego nie wracali. Ale on nie zapomniał: życie wśród martwych.

Teraz widziała jego życie z bliska, jego brutalność. Brutalny telefon dzwoniący wcześniej rano. Rzadko w innych porach. Szukane po omacku bokserki, adrenalina skacze.

- Börjesson nie znalazł w mieście żadnego Manhattanu, właśnie do niego zaglądałem.

Winter potarł dłonią policzek, potem sięgnął po cygaretki. Znów przesunął ręką po oczach, czuł pieczenie pod powiekami.

- On może chodzić w mundurze - powiedział. - Siedziałem tu, zanim przyszedłeś, i się nad tym zastanawiałem.

- Tak.

- Dwoje sąsiadów miało wrażenie, że widzieli kogoś w mundurze, kilka godzin po północy. Nie określili kiedy. Trudno powiedzieć, na ile byli trzeźwi o tej porze.

- Czy w pobliżu była jakaś awantura?

- Niewielka. Z Mölndal wysłali gdzieś tam radiowóz.

- Czy to tych policjantów widzieli sąsiedzi?

- Nie wiem. Tamci byli chyba kilka ulic dalej. Dlaczego mieliby właśnie tam wysiadać z samochodu? Nie wiem. Nie zdążyłem jeszcze z nimi porozmawiać.

Winter wstał z niezapaloną cygaretką w dłoni i przeszedł się kilka kroków, tam i z powrotem.

- Skąd można wziąć mundur? Zakładamy, że chodzi o mundur policyjny.

- A dlaczego?

- Takie przyjmujemy założenie, Bertilu.

Winter zapalił zapałkę.

- Ale chyba nie myślisz, że on jest... policjantem?

- Wtedy od razu złożyłbym dymisję.

- Hm...

- Czy mamy prześwietlić dwa tysiące funkcjonariuszy policji?
- Nie, nie. To i tak dość skomplikowane.
- Co masz na myśli?
- Mundur... to raczej przypuszczenie chłopaka.
- Trochę więcej. To było coś więcej. Patrik długo nad tym myślał. Czekał, aż to przyjdzie. - Winter zaciągnął się i spojrzał na Ringmara. - Chyba właśnie rozmawialiśmy o sąsiadach z Mölndal?
- No dobra. Mundury. Jakiś idiota mógł wyrzucić stary mundur do śmieci, zamiast oddać do spalenia.
- Hm... Albo ktoś kazał sobie uszyć mundur. To nie jest zabronione.
- Uszyć? Prywatnie?
- Tak.
- No ale nasze chyba już dawno nie są szyte w Szwecji. Winter nie odpowiedział. Coś mu przyszło do głowy.
- Czy Teatr Miejski nie ma mundurów? Do różnych sztuk?
- Jeśli to sztuki o policjantach - rzucił Ringmar.
- I film. Filmy o policjantach są na pewno. - Winter strzepnął popiół. W słabym zimowym świetle wpadającym przez okno nie było widać dymu. - Chyba czytałem, że właśnie kręcą coś takiego w mieście. Thriller? Gdzie ja to mogłem czytać? W „Göteborgs Posten”?
- Skąd mam wiedzieć, co czytasz - mruknął Ringmar.
- A ty nie widziałeś nic o tym?
- Absolutnie. - Odwrócił się. - Ale jeśli myślisz, że wypożyczyliśmy mundury do filmu, to się mylisz. Nasza pani komendant zakazała takich rzeczy.
- Wiem.
- Co zresztą uważam za słuszne - dodał Ringmar.
- Sprawdzę to jeszcze, ale najpierw zrobię jeszcze coś innego - powiedział Winter, odłożył cygaretkę do popielniczki i sięgnął po płaszcz.

Na ulicy było niewielu ludzi. Przejechał obok stadionu Ullevi. Rzucił cień na pokryty szaroczarным lodem kanał. Nad wzniesieniem Lunden świeciło słońce.

Zaparkował w cichej uliczce. Gdzieś daleko zaczął szczekać pies. Słyszał, że ktoś odśnieża, i kiedy okrążył dom, zobaczył, że zajmuje się tym gangster Benny Vennerhag.

Miał na sobie czarny garnitur i czerwoną wełnianą czapkę. Niezdarnymi ruchami odgarniał płaty zmarzniętego śniegu.

- Zawsze kiedy przychodzę, zastaję cię przy pracy - powiedział Winter. - Jak nie przycinanie róż, to odśnieżanie.

Vennerhag oddychał ciężko, oparty na łopacie.

- Chciałem się przygotować na twoje przybycie - odparł. Odstawił łopatę, zdjął czapkę i potem z czoła przyglądał swoje cienkie jasne włosy. - To była naprawdę duża niespodzianka. Że zadzwoniłeś.

- Dla mnie też. Myślałem, że wyczarterowałeś jacht na Karaibach.

Vennerhag spojrział na Wintera.

- Prawie miałeś rację. - Otworzył drzwi domu. - Ale coś mi pokrzyżowało plany.

- Co takiego, Benny?

- Interesy *You know*. A tak przy okazji, jak się miewa Lotta?

- Daj jej spokój, chłopie.

Benny Vennerhag był kiedyś mężem Lotty, ale to trwało tylko kilka dni. Dla Lotty to wspomnienie było odległym koszmarem.

Zaprowadził go do wychodzącego na ogród salonu. Okna pokrywały prawie całą ścianę.

- Basen niestety jest zasypyany śniegiem - powiedział. - Ale jeśli chcesz, możesz skorzystać z sauny.

Na stole stały butelki i kieliszki. Pachniało dymem.

- Nie zdążyłem posprzątać - usprawiedliwił się Vennerhag. - Odgarnąłem tylko śnieg. - Wziął jedną z butelek i obejrzał pod światło. Whisky zamigotała jak bursztyn.

- W nocy była dobra, ale teraz... sam nie wiem. - Spojrzał na Wintera. - Chcesz kawę czy coś takiego?

Winter potrząsnął głową.

- Wyglądasz na trochę sfatygowanego, jeśli mogę się tak wyrazić.

- Ten dzień wczesnie się zaczął.

- Słyszałem coś w południowych wiadomościach.

- Co słyszałeś?

- No... morderstwo w Mölndal. Właściwie nic więcej. - Znów spojrzał na Wintera, tym razem z bliska. - Chyba nie myślisz, że ja...

- Nie. Ale potrzebuję informacji.

- O czym?

Winter się zastanowił.

- O tym - odparł. - O morderstwie. Lub morderstwach. To nie jedyne.

- Aha.

- Jak tam u paserów?

- Co?

- Orientujesz się, jak obroty?

- Nie.

Jeszcze raz zapytał, czy Winter chce coś do picia, a Winter jeszcze raz podziękował. Vennerhag przeprosił i wyszedł do kuchni. Po chwili wrócił z butelką ramlösy.

- Na czym stanęliśmy? Paserstwo? To nie są przyjemne sprawy.

- Mundury.

- Mundury? Jakie mundury?

- Może znasz kogoś, kto handluje mundurami. Jakaś skradziona partia... albo wypożyczona w jakimś celu? Albo pojedyncze, będące w obiegu. Może po to, żeby... zrobić kopie?

- Nie zajmuję się terroryzmem, Eriku.

- Chcę, żebyś to sprawdził.

- Nigdy o niczym takim nie słyszałem.

- Sprawdź to.

- Dobrze, już dobrze, okej, okej.

Winter zapalił corpa.

- Nie obilo ci się o uszy, żeby ktoś z waszych kręgów zachowywał się ostatnio trochę dziwnie? - zapytał. - Albo spoza kręgu?

- Teraz nie kumam.

- Masz kontrolę nad wszystkimi wariatami?

- A wy nie macie?

To było strzelanie na oślep. Winter pytał o znajomych Vennerhaga z przestępczego świata. Nie dostał żadnej odpowiedzi, która by się na coś przydała.

Zastanawiał się, ile może zdradzić. Trochę już powiedział.

- On działa na własną rękę - powiedział Vennerhag. - Nie należy do naszych... kręgów biznesowych. - Przyniósł kawę, którą i tak nastawił. - Ktoś taki zawsze działa sam. Szaleniec. Żadnych kontaktów.

- Jest jeszcze jedna rzecz...

Vennerhag nalał kawy sobie i Winterowi.

- Znasz kogoś z kręgów... zajmujących się zabawami erotycznymi?

Vennerhag o mało nie upuścił filiżanki, prawie oblał sobie spodnie.

- O co ci, kurwa, chodzi?

- To jeden z tropów. Mamy pewne podejrzenia. Okej. Wiem, że jesteś niewinny i czysty jak śnieg w twoim basenie. Ale może coś wiesz.

- O czym?

- Zabawy erotyczne, kluby swingersów, wymiana partnerów. Takie rzeczy.

- Mówisz o prywatnych sprawach ludzi, Eriku. Skąd miałbym wiedzieć coś takiego?

- Czy to powszechne?

- Nie mam pojęcia. Czy chcesz powiedzieć, że ja i moi partnerzy... biznesowi mielibyśmy mieć do tego szczególne skłonności? Chyba się zaraz wkurwię.

- Nie powiedziałem nic takiego.
 - Weź się odwal.
 - Mam jeszcze jedną prośbę. Gdybyś się dowiedział o kimś, kto pomaga nawiązywać takie kontakty, chciałbym o tym wiedzieć.
 - Co? Taki pajak w sieci?
 - Coś w tym rodzaju. Ktoś, kto zna ludzi, którzy znają innych ludzi.
 - Jak już mówiłem, nie mam pojęcia - stwierdził Vennerhag.
 - Znasz ludzi, którzy znają ludzi - podpowiedział Winter.
 - Jeśli kiwnę głową, to sobie pójdziesz?
 - Tak.
- Vennerhag skinął głową. Winter wstał.
- Słyszałem, że szykuje się przychówek - rzucił Vennerhag.
 - Skąd wiesz?
 - Daj spokój, komisarzu. Życie prywatne celebrytów nie jest wcale prywatne. A w moich kręgach jesteś celebrytą.

W związku ze śledztwem państwo Elfvegrenowie zostali uprzejmie wezwani z Järnbrott na komendę przy placu Ernsta Fontella, na rozmowę.

- *No more mister nice guy* - zapowiedział Halders Anecie Djanali.
- Ależ ty przecież jesteś znany jako poczciwa dusza.
- *No more.*

Winter zdecydował, że Halders porozmawia z obydwójkiem. Sam był obecny, stał w tle. Halders zaczął ostrożnie.

- Dlaczego macie w domu czasopisma pornograficzne?

Erika Elfvegren błyskawicznie spurpurowiała. Per Elfvegren zaniemówił.

- „Aktuell Rapport” - ciągnął Halders. - Widziałem u was kilka numerów.

- Ale... o co chodzi? - zapytał w końcu Per Elfvegren.
- Chodzi o morderstwo - odparł Halders. - Zamordowano waszych znajomych. O to nam teraz chodzi.

Dobrze, Fredriku, pomyślał Winter. Starał się pozostać niezauważony, stał w kącie za plecami Haldersa, nieco z boku. Kobieta spojrzała na niego, jakby szukała wsparcia. Winter pozostał niewzruszony. *No more nice cop, bad cop.*

- A co mają z tym wspólnego te... czasopisma?
- Też się nad tym zastanawiamy Dlatego pytam.
- Nie rozumiem - powiedziała Erika Elfvegren. Nadal była zarumieniona, nieustannie wygładzała spódnice na kolanach. Halders poruszył bardzo drażliwą kwestię. Winter widział, że jej mąż przyjął to lepiej. Po tym upokorzeniu zaczął się wkurzać.

- Co to ma znaczyć, do jasnej cholery! - zawołał. - Pan chyba jest pomyłony! - Spojrzał na Wintera, ale Winter wpatrywał się w notatnik. To ważny moment. Może właśnie teraz do czegoś dojdziemy, pomyślał. Może teraz śledztwo wreszcie się rozkręci. - Czy jesteśmy o coś oskarżeni? - pieklił się dalej Elfvegren. - I nie mamy w domu żadnych cholernych gazet, o których pan mówił. „Fib Aktuell”?

- „Aktuell Rapport” - poprawił go Halders. Spojrzał na kobietę. Jej profil zmiękł. Winter to zauważył. - Chcemy tylko, żebyście nam pomogli. Nie ma się pan co denerwować. Znam wiele osób, które regularnie kupują „Aktuell Rapport”.

- A ja nie znam - odparł Per Elfvegren. - I sam też nie kupuję.
- Znacie kogoś, kto to robi - odpowiedział Halders. - Martellowie. Valkerowie.

Halders rzucił okiem na Wintera. U Valkerów nie znaleźli żadnych gazet. Ale Winter pomyślał o czymś i szybko zanotował.

- I co to ma oznaczać? - zapytała kobieta cichym głosem. - Sam pan mówił, że to powszechne. - Spojrzała na męża. - O ile to prawda.

- Nie zadaję tych pytań dla zabawy - wyjaśnił Halders. - Niedawno doszło w naszym mieście do potwornych morderstw, a wy znaleźcie ofiary. - Popatrzyl na nich, na każde z osobna. - Szukamy wspólnego mianownika, musicie to zrozumieć.

- Nie miałem pojęcia, że oni mieli te czasopisma - powiedział Per Elfvegren.

Kłamiesz, pomyślał Winter.

- Ani jedni, ani drudzy?

- Właśnie.

- Martellowie też nie.

- Hm... co?

- Nie wiedział pan, że Martellowie kupują „Aktuell Rapport”?

- Nie.

- Chyba wcale ich pan nie znał?

- Hm... nie.

Trzeba umieć kłamać, pomyślał Winter. Najważniejsza jest konsekwencja.

- I nic pan nie powiedział?

- Co?

- Nigdy nie mówiliście, że znacie Martellów, ale przed chwilą nie mrugnął pan okiem, kiedy wymieniłem ich jako waszych znajomych.

- Musiałem coś źle zrozumieć - odparł Per Elfvegren.

- Więc nie znaliście ich?

- Nie.

- W takim razie zapytam jeszcze raz - powiedział Halders, spoglądając na Wintera.

Winter siedział z ołówkiem w pogotowiu, żeby zapisać kłamstwo. Per Elfvegren wiedział, że oni wiedzą. Popatrzyl na żonę. Winter nagle uświadomił sobie, że równie dobrze tylko jedno z nich mogło w tym uczestniczyć.

- Pytam jeszcze raz: czy znaliście, czy któreś z was znało Martellów lub któreś z nich?

Erika Elfvegren najwyraźniej podjęła decyzję. Spojrzała na męża, potem przeniosła spojrzenie na Haldersa.

- Tak - powiedziała. - Zналиśmy ich wszystkich.
- Wszystkich? To znaczy?
- Zналиśmy obie pary. Martellów też.
- No to jedną sprawę wyjaśniliśmy - stwierdził Halders. - Następne pytanie brzmi: jak.

- Co pan ma na myśli?

Halders zwracał się do niej:

- Jaki rodzaj znajomości was łączył? Wspólne kolacje? Spotkania przy grillu? Uprawianie sportu? Wspólne spaceru? Uprawianie seksu?

Cel uświęca środki, pomyślał Winter. Zaraz Per Elfvegren wstanie i da Fredrikowi w pysk. Jeśli jest niewinny, to tak zrobi. Ja bym tak zrobił.

- Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze śledztwem - odparła Erika Elfvegren.

- Proszę jeszcze raz opowiedzieć, jak się poznaliście - powiedział Halders.

45.

Na rondzie Morelius skręcił w lewo. Po południu samochodów było więcej. Ktoś ich pozdrowił światłami. Może to miał być wyraz ogólnej sympatii do policji.

- Nie było wiele gorzej niż zwykle - stwierdził Bartram. Rozmawiali o sylwestrze.

- Trochę więcej ludzi.
- O wiele więcej ludzi. Ale mimo wszystko spokojnie.
- Zmyłeś się wcześniej? - zapytał Morelius.
- Co masz na myśli? - Bartram odwrócił się do niego.
- Nie widziałem cię o trzeciej.
- Była ta szarpanina przed Parkiem.
- Nie zdążyłem tam dotrzeć.
- Nic nie straciłeś.
- Było też trochę problemów z nielegalnymi taksówkami.
- Słyszałem. Afrykańczycy trochę przegięli.

Większość nielegalnych taksówkarzy pochodziła z innych krajów i mocno wystawała ze szwedzkiego społeczeństwa.

Podzielili się centrum: Irańczycy, Irakijczycy i obywatele byłej Jugosławii jeździli po Avenyn, do fosy. Afrykańczycy opanowali wschodnią część Nordstan.

Granica była bardzo wyraźna. Jak od noża, pomyślał Bartram.

Odezwała się centrala. Bartram się zgłosił. Pijak w tramwaju numer trzy przy Vasa/Viktoria. Może dwóch. Kierowca próbował wysadzić pasażera, który bardzo nabrudził.

- Zrozumiałem - powiedział Bartram. - Zajmiemy się tym.

Tramwaj czekał na Vasagatan, tuż przed zakrętem w lewo. Samochody jeździły normalnie. Pasażerowie wysiedli i stali na zewnątrz. Pijak zwiślał ze schodów, głową w dół.

Obok niego stała kobieta, była z nim. Bartram i Morelius zaparkowali na ścieżce rowerowej i podeszli bliżej. Mężczyzna wymachiwał nadtłuczoną butelką. Kobieta usiłowała mu ją odebrać, ale odsunęła się, kiedy zobaczyła policjantów.

- Niech pan to odłoży - rozkazał Bartram.

Pijak coś wybełkotał i zamachnął się w powietrzu tulipanem, ale stracił równowagę i fiknął koziółka w śniegową breję. Leżał bez ruchu. Kobieta krzyknęła, z przerażeniem patrzyła na policjantów. Była pijana, ale jeszcze się trzymała na nogach. Morelius nie widział krwi. Mężczyzna stanął na czworakach, potem chwiejnie się wyprostował.

- Chciałbym jechać dalej - powiedział motorniczy. Stanął obok Bartrama.

- W porządku - powiedział Bartram. - Zajmiemy się resztą.

Brzuch zaczął jej ciążyć. Naprawdę ciążyć. To było przyjemne uczucie. Teraz było widać, że jest ich dwoje: ona i dziecko. Wytaszczyła się z windy i otworzyła drzwi.

Jeśli to dziewczynka, nazwą ją Elsa. Może. Co do imion dla chłopca jeszcze nie mieli pewności. Erik zaproponował Sture, Göte albo Sune. A dlaczego nie wszystkie trzy?, zapytała. Mógłby zmienić nazwisko: Göte Borg. Albo mówić o sobie Sture młodszy. I dorósłszy, zmienić na Sune. To świetny pomysł, odparł Erik. Potem znów zagłębił się w tę ohydną sprawę.

Próbowała nie myśleć o tym domu. To tak blisko. Ten sam dozorca. Skinął głową i uśmiechnął się do niej uprzejmie, kiedy niedawno spotkała go w bramie, jakby ich łączyła jakaś tajemnica.

Zadzwonił telefon. Odebrała jeszcze w płaszczu. Przyszła spocona. Na dworze padał mokry śnieg i było dosyć ciepło. Do tego to dziwne

zmęczenie po wjechaniu windą na piętro i przejściu kilku kroków.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi. Od razu poczuła chłód, jakby pot się ściał.

- Halo?

Prawie już o tym zapomniała, minęło kilka miesięcy.

Słyszała w słuchawce czyjś oddech, ktoś nasłuchiwał. Spojrzała na swoją dłoń, zauważyła, że lekko drży. Poczowała poruszenie w brzuchu, jeszcze jedno. Potem usłyszała trzask i ciągły sygnał.

Przy drzwiach coś zachrobotało, potem się otworzyły. Drgnęła zaskoczona.

- Angela?

W progę stała Siv, z kluczem w dłoni.

- Myślałam, że nikogo nie ma.

Angela odłożyła słuchawkę.

- Co się dzieje? - zapytała Siv. - Źle się czujesz?

- Tak.

- To zdejmij płaszcz i usiądź. - Pomogła jej się rozebrać.

- Chcesz wody?

- Tak, poproszę.

Siv poszła do kuchni i wróciła ze szklanką.

- Powinnaś na siebie uważać. Czy naprawdę musisz... pracować do ostatniej chwili?

- To nie dlatego.

- A dlaczego?

- Jakiś... bydlak tu wydzwaniał. I nic nie mówi.

- Co to znaczy? Takie kawały?

- Tak bym tego nie nazwała. - Napiała się wody, nie wypuszczała szklanki z dłoni. - To jest okropnie nieprzyjemne.

- Długo tego nie było, ale teraz znów...

- I dzwonił przed chwilą? - przerwała jej Siv.

- Tak.

- Co na to Erik?

Angela znów łyknęła wody. No tak, co powiedział? Wydawało im się, że te telefony się skończyły. Będą musieli coś z tym zrobić.

- Mieliśmy z tym poczekać, ale teraz sama nie wiem - powiedziała.
- Musisz mu o tym powiedzieć.

Głowa paliła go jak płonące niebo. Jakby rakiety łagodziły ból, ale teraz czuł go jeszcze wyraźniej, gorzej, jeszcze gorzej, najgorzej.

W nocy krzyczał, mówił przez sen. Majaczył. Potem zasnął, a kiedy się obudził, nadal bolało, ale teraz był to raczej głuchy szum.

Widział niewyraźnie. Coraz mniej wyraźnie.

Martina wróciła od sąsiadów. Ada tylko się śmiała i machała rączką na pożegnanie. Bergenhem był ubrany, siedział w przedpokoju, męczył się z zakładaniem butów.

- Ja cię zawiozę - powiedziała. To było oczywiste.

Kiedy przejeżdżali przez most, zamknął jedno oko. Prom wypływał na pełne morze. Dachy domów były obciążone śniegiem. Białe czapki, powiedziała niedawno Ada, wskazując je palcem.

Na zakręcie zrobiło mu się bardzo niedobrze. Martina jechała jak kierowca karetki.

Weszli od razu. Rentgen, zimne światło, lampa w oczy. Wiedział, co to jest, wiedział od wielu dni. Może to coś sterowało jego nastrojem od lat, jego niepokojem. Wydawało mu się, że słyszy coś o operacji. Słowa mruczały, dudniły wokół niego.

Chcę zachować wzrok.

Wszyscy byli ubrani na biało. Białe czapki. Znów spróbował się przebić. Oszczędźcie oczy, proszę.

Elfvegrenom w końcu jakoś udało się wymknąć, wydostali się z rąk Haldersa. Nie przyznali się do niczego, ale zostawili odciski palców.

- Nie zgadzam się - mówił Per Elfvėgren. - Nie macie do tego prawa.

- W postępowaniu przygotowawczym możemy pobierać odciski do porównania - powiedział Winter. - W konkretnym celu.

- Kto tak powiedział? Kto podejmuje takie decyzje?

- To leży w gestii głównego śledczego.

- A kto to jest?

- To ja - stwierdził Winter.

Czekali na wyniki. Kolej na ludzi Beiera.

- To delikatne sprawy - powiedział Halders.

- Ale co? Ich sposób spędzania wolnego czasu? - zapytał Winter.

- Nikt nie lubi opowiadać glinom o tym, z kim i jak się bżyka.

- Nie, to oczywiste.

- Powinni pomyśleć o tym wcześniej - stwierdził Halders.

- Musisz chyba jeszcze trochę poczekać - poradził Winter. -

Możliwe, że oni naprawdę nigdy tam nie byli. U Valkerów.

Podczas pierwszej rozmowy Elfvėgren powiedział, że odwiedzili Valkerów raz, ale potem stwierdził, że się pomylił. Zmienili taktykę. Nigdy u Valkerów nie byli.

- *Fuck me* - rzucił Halders. - Jestem gotów się założyć.

- O co?

- O roczną prenumeratę loterii.

Zadzwoił Beier.

- Zgadza się - powiedział. - Byli w tamtym mieszkaniu.

- A co z Martellami?

- Tutaj nic.

Winter skinął głową w stronę Haldersa i odłożył słuchawkę.

- Przyjąłeś zakład?
- Wezwiemy ich jeszcze raz - zdecydował Winter.
- Próbkę krwi - podsunał Halders. - Pamiętaj o śladach spermy.
- To jeszcze niemożliwe.
- Jesteś pewien?

Winter był pewien. Prokurator nigdy nie wyraził zgody na rewizję osobistą obejmującą pobranie krwi. Do tego potrzeba uzasadnionego podejrzenia. Tymczasem oni są tylko parą świadków, kimś w rodzaju świadków.

- Kopulujący świadkowie - powiedział Halders. - Szybki grupowy numer.

- Nie sądz pochopnie, Fredriku. Może przyszli tylko na kawę.

To ostatni raz. I tak poświęciła mu więcej czasu, niż było warto. Tak przynajmniej myślała.

- Przepraszam za spóźnienie - rzucił.
- Nie ma sprawy.
- Musieliśmy zawieźć pijaczka do izby wytrzeźwień.
- Bardzo trudno było?
- Zasnął nam w aucie. - Usiadł. - Zresztą to znajomy. Przynajmniej

pośrednio.

- Doprawdy?
- Ojciec Patrika Strömblada. Kiedyś poznałem Patrika, przy okazji...

- Nie przypominaj mi - poprosiła Hanne Östergaard.
- Nie miałem zamiaru - zapewnił Morelius.

Nie musiał jej przypominać. Maria była teraz jak odmieniona, ale to wspomnienie nadal było wyraźne, tak jak jego konsekwencje. Dochodzenie opieki społecznej. Zbierzesz, co zasiejesz.

Zostawili Patrika i jego ojca, zajęli się nim, Moreliusem.

Jeszcze raz opowiedział o swoich wizjach.

- Nie mogę przestać wracać myślami do tego... wypadku - powiedział.

Hanne Østergaard skinęła głową. Morelius wbił wzrok w stół. Nie patrzył na nią, ani razu nie spojrzął jej w oczy.

- Ona mnie prześladowuje. Tamto...

Potem już nic.

Drżał, cały się trząsał. Powtarzał słowa, jakby rozmawiał sam ze sobą.

- Ona mnie prześladowuje.

- Co masz na myśli?

- Że co?

- Mówiłeś, że cię prześladowuje.

- Tak powiedziałem? - Wyrzwał przez okno. - Czasem człowiek nie wie, co mówi. To znaczy, że to przeżycie mnie prześladowuje, może nie tylko to. Również inne rzeczy, które się zdarzyły.

Potem powiedział, że nie widzi sensu w dalszej pracy.

Dozorca siedział tam gdzie zwykle. Czekał na Wintera.

- Gazety? Nie zajmuję się żadnymi gazetami.

- Czy ludzie wyrzucają je bezpośrednio do zsypu?

- Zawsze.

- Okej.

- A tak poza tym, to chciałbym coś zgłosić na policję.

- Ach tak?

- Ktoś wchodzi do mojego... biura w pańskim domu. Siedzi tam i coś je albo pije.

- Pana biuro? Ten pokój w piwnicy?

- Ktoś tam wchodzi.

- Włamuje się?

- To się ostatnio zdarzyło kilka razy. Nigdy przedtem nic takiego nie zauważyłem.

- Drzwi są uszkodzone?

- Nie. Musi to załatwić jakimś kluczem. Albo wytrychem.
- Coś zostało skradzione?
- Nic takiego nie zauważyłem. - Wyraźnie mu zależało, żeby Winter tego nie zlekceważył. - To nie jest specjalnie miłe, prawda? Przecież chyba nie wolno tak robić?

- Nie. Powinien pan złożyć doniesienie.
- Właśnie zgłaszam.
- Dobrze. Ale niech pan się jeszcze skontaktuje z posterunkiem przy Chalmersgatan, wtedy formalnie wszystko będzie w porządku.

Pożegnał się i przeszedł tych kilka kroków do domu. Wziął głęboki oddech. Styczeń wkrótce przejdzie w luty, w powietrzu pojawią się inne zapachy.

W Londynie właśnie zbliża się wiosna, pomyślał nagle. Kilka lat temu pracował tam nad pewną trudną sprawą. Nie chciał teraz o tym myśleć. Przypomniawszy sobie za to, że stary nie palił, kiedy rozmawiali.

Matka zawołała coś z kuchni, kiedy stanął w przedpokoju. Poszedł do niej.

- Angela wyszła po chleb - powiedziała.
Winter wyszedł jej na spotkanie.
- Dzwonił znowu - powiedziała.
- Ale kto? Kto taki?
- No ten, co dzwoni, sapie i nic nie mówi.
- Cholera.
- Co zrobimy?
- Może najlepiej od razu zablokować numer i otworzyć nowy abonament. Zastrzeżony numer.
- Dobrze.
- Myślałem o tym już wcześniej.
- No to zrób to wreszcie.

Uporamy się przynajmniej z objawem, pomyślał. Ale skąd się to bierze? Czy mam iść do Birgerssona i poprosić o zgodę na podsłuch?

W jakim celu? To część dochodzenia, Sture. Wchodzi w koszty postępowania.

Nagle przypomniało mu się, co powiedziała Lareda Veitz. Zobaczył w drzwiach profil Angeli. Wypukłość. Przypomniał sobie piwnicę.

Zajrzał do notesu i wybrał numer pokoiku, w którym jeszcze przed chwilą był. Dozorca jeszcze tam siedział.

- Mówił pan, że ktoś rozgościł się u pana w biurze i pił?
- Właśnie.
- Skąd pan wie?
- Została butelka. Tak było kilka razy. Butelki po napojach.
- Zachował je pan?
- Zaraz zachował. Odstawiłem je na bok, trzy butelki. Chciałem je jutro wynieść.

46.

Winter założył rękawice i zjechał windą na dół. Pierwszy raz miał zbierać materiał dowodowy we własnym domu. Świat podchodził coraz bliżej.

Musiał poczekać kilka minut na dozorcę.

- Nie wiedziałem, że to takie ważne - powiedział. - Trza chyba podziękować.

Przekręcił klucz w zamku.

- Niech pan popatrzy. Żadnych zadrapań, o ile dobrze widzę.

Winter skinął głową.

- Szybka reakcja władzy, trzeba przyznać. - Popchnął drzwi. - Widać wszystko traktujecie poważnie.

- Tak - powiedział Winter. Nie, pomyślał. To reakcja, której sam do końca nie rozumiał. Niepokój Angeli. Kilka głuchych telefonów. Ktoś wchodzi potajemnie do pokoju dozorczy i pije słodkie napoje. Sprawa dla komisarza policji kryminalnej Erika Wintera.

Butelki po zingo.

- Wezmę je - powiedział Winter i wziął wszystkie trzy lewą dłonią w rękawiczce.

- Pan na pewno był kiedyś kelnerem - stwierdził dozorca.

Bergnhem obudził się i rozejrzał po pokoju. Jeśli to raj, to wygląda tak samo jak świat, który opuściłem.

Widział wyraźnie. Nie miał już tego pożaru w głowie. Twarz Martiny była wyraźna, bliska. Powiedziała coś, ale nie dosłyszał. Spróbował usiąść. Powiedziała to jeszcze raz.

- Leż spokojnie, Lars. Musisz być ostrożny.

Ktoś w bieli przemknął za jej plecami. To mógł być anioł, w pewnym sensie tak było. Najpierw rozpoznał twarz, potem głos.

- Zajrzałam tylko na chwilę - powiedziała Angela.

Ja też, pomyślał.

- Wyglądasz lepiej.

Nie mam z czym porównać, pomyślał.

- Gdzie jestem? - zapytał.

- W sali szpitalnej, w Sahlgrenska.

Teraz sobie przypominam. Teraz zadam najważniejsze pytanie.

- Guz już usunięty?

- Guz?

- Guz mózgu. Wycięli go?

Może się uśmiechnęła, mimo powagi sytuacji. Spojrzała na innego anioła w bieli, chyba skinała głową.

- Najpierw podejrzewaliśmy zapalenie opon mózgowych. Ale to był najgorszy atak migreny, jaki sobie można wyobrazić.

- Migreny? Przecież nigdy w życiu nie miałem migreny.

Beier dostał butelki. Nawet nie wiedziałem, że zingo jest jeszcze w sprzedaży, powiedział. Czy to jest komunikat dla nas? Jak myślisz? Zingo? Winter machał ręką, żeby uciąć te rozważania: *end of message*.

Znów słuchał Sacramentu i czytał teksty. Wokalista brodził we krwi na dolnym Manhattanie, ale udało mu się opuścić to miejsce, żeby się znaleźć na obrzeżach kosmosu. Winter słuchał tego już tyle razy, że mógł zrozumieć słowa bez broszurki. A może tylko mu się wydawało.

Kiedy chodził po mieście, nasłuchiwał dźwięków black metalu, pojawiających się czasem jak warczenie drapieżnika wśród muzyki w domach towarowych czy sklepach płytowych. Zwracał uwagę, kiedy mijali kogoś z walkmanem czy discmanem. Wielu ich widywał. Wszystko brzmiało tak samo, jak melodyjne bzyczenie, zamknięte w

czymś. Słyszał, kiedy ktoś zdejmował albo poprawiał słuchawkę. To nigdy nie był black metal. Ale zawsze głośno.

On nigdy tak nie słuchał muzyki. Chciałby się przemieszczać z muzyką, ale wolał ją mieć bardziej na dystans. Teraz, kiedy zaczął zwracać na to uwagę, zauważył, że wielu kolegów przychodzi do pracy ze słuchawkami na uszach.

Rozmawiał z Laredą, znów, tylko chwilę. Spotkali się w jego pokoju.

- Ktoś mu przerwał?
- Nie.
- Co się w takim razie stało?

Nie odpowiedziała od razu. Stała przy oknie. Dzień był jaśniejszy, niż kiedy rozmawiali ostatnio, choć pora była ta sama. Luty był coraz bliżej, w zasięgu, tuż za oknem.

- On jest w drodze... gdzieś indziej - powiedziała Lareda.
- Co to znaczy?
- Sama do końca nie wiem. - Spojrzała na słońce, właśnie zaczynało zachodzić. - Albo w trakcie stracił zainteresowanie. Albo od początku miał taki zamiar. Czekaj...

- W którą stronę mam teraz iść?
- Zastanów się nad tekstem - powiedziała. - Tekstem na ścianie.
- Czy to jest teraz ważniejsze? Wall Street?
- Tak sądzę.
- Nie wiem.
- Spróbuj za tym pójść.
- Pójść za tym?
- To nie jest... mylące, nie oddala cię od niego.
- Czy on podejmie jeszcze jedną... próbę?
- Taka sama zbrodnia? Nie. Nie sądzę. Już nie.
- Dlaczego nie?
- Pamiętasz, co mówiłam o świecie sterowanym przez Boga i świecie rządzonym przez szatana.

- Nigdy tego nie zapomnę.
- Coś się stało w tym świecie. W jego świecie.
- Stało? Ale co? Czy ktoś przejął władzę?
- Być może.
- Kto? Bóg?
- Raczej... ten drugi.
- Diabeł? Ale to oznacza świat bez nadziei, tak mówiłaś.

Skinęła głową i wróciła do biurka, usiadła na krześle.

Winter zapalił lampę. Błat był pusty.

- W świecie bez nadziei walka nie ma sensu - powiedziała. - On już nic nie osiągnie. Nie ma znaczenia, co będzie robił.

- Więc da sobie spokój?

- Możliwe.

- Więc cała nasza nadzieja w rządzonym przez szatana świecie bez nadziei?

Ringmar skontaktował się z Telewizją Szwedzką. W mieście właśnie kręcono film o zbrodniach i śledztwach.

- Pracują tu od jakiegoś czasu. Kilka miesięcy, z przerwą. Interesujące jest to, że zespół obejmuje między innymi czterdziestu policjantów. W mundurach.

- Czterdziestu? Czterdziestu aktorów? - upewnił się Winter.

- Nie. Statystów.

- Czy teraz też kręcą?

- Tak. Rozmawiałem z kierownikiem planu. To on się zajmuje... planem filmowym.

- Aha - powiedział Winter z uśmiechem.

- Chciałem powiedzieć... to on wszystkim zarządza.

Na plan mogli pójść piechotą, i tak zrobili. Ekipa pracowała na wielkim parkingu przed Gamla Ullevi. Śnieg leżał w dwumetrowych wałach, od strony Allén. Wszędzie było pełno kamer i mikrofonów, dwie kobiety

wykrzykiwały coś przez megafony. Kilku policjantów stało przy radiowozie. Statyści, pomyślał Winter.

Ringmar gdzieś odszedł i wrócił z wysokim mężczyzną z bakami, w zielonej czapce. Miał na sobie skórzaną kurtkę, w ręce trzymał teczkę.

- Nic nie zrobiliśmy - powiedział, spoglądając na Wintera. - To zabawne, że chcecie się przyjrzeć naszej pracy.

- Dlaczego pan tak myśli?

- No bo... to historia o komisarzu policji z miasta, o jego przygodach.

- Ach tak.

- Facet w pańskim wieku mniej więcej.

- Nie ma takich - rzucił Ringmar. - Erik jest najmłodszy.

- To przecież film - stwierdził kierownik.

- No tak, jasne.

- Więc kręcicie film o komisarzu? - zapytał Winter.

- To będzie serial telewizyjny o twardej rzeczywistości Göteborga i Szwecji.

- Kiedy będzie nadawany?

- Mniej więcej za rok.

Winter rozejrzał się po planie.

- A co się tu dzieje w tej chwili?

- Teraz nagrywamy scenę, w której komisarz odwiedza ekipę filmową, żeby zadać kilka pytań dotyczących śledztwa.

- Okej - powiedział Winter i spojrzął w jedną ze stojących w pobliżu kamer. - W takim razie zaczynamy. - Spojrzął na radiowóz i krążących wokół niego statystów. - Czy to pan załatwił te mundury?

- Tak. Ale nie od was.

- Nie, to jasne.

- Göteborgska policja jest beznadziejna, jeśli chodzi o takie sprawy.

- I słusznie - wtrącił Ringmar.

- Skąd te mundury w takim razie? - zapytał Winter.

- Swed Int, magazyny w Södertälje.
- Ile ich pan tam zamówił?
- Czterdzieści jeden. Jeden zapasowy.
- Czy wszystkie ma pan pod nadzorem?
- Co pan ma na myśli?
- Żaden nie mógł zostać skradziony?
- Wszystko można ukraść - odparł kierownik. - Można się przecież włamać do magazynu z kostiumami. Ale kiedy skończymy, oczywiście je policzę, zanim odeślemy wszystko do Södertälje. - Spojrzał w stronę samochodu stojącego w lewym rogu parkingu. - Raz już to robiłem. Teraz mamy drugą turę nagrań.
- Jak długo jeszcze zamierzacie tu być?
- Aż skończymy. - Popatrzył Winterowi w oczy. Byli podobnego wzrostu, ale tamten był dziesięć lat młodszy. - Może to potrwać jeszcze miesiąc. Może dłużej. Najlepiej niech pan zapyta reżysera.
- Więc ma pan kontrolę nad tym, gdzie się... znajdują rekwizyty? - zapytał Ringmar.
- No... takiej stuprocentowej to chyba nigdy nie ma podczas samego nagrywania... żeby tak w każdej sekundzie wiedzieć.
- Czyli ktoś mógłby wziąć mundur ze sobą do domu między... ujęciami, czy jak to się tam nazywa? - zapytał Winter.
- Tak... to chyba możliwe.
- A zdarzyło się?
- Pewnie tak. Kiedy przeciągniemy zdjęcia i musimy zaczynać wcześniej następnego dnia... wtedy... może nie wszystkie mundury wracają na noc do magazynu. Skoro pan już o to pyta.
- Okej.
- Ale jedno wiem na pewno. - Włożył teczkę pod pachę i potarł dłonie, żeby je rozgrzać. - Te sceny... niektóre z nich... kręcimy na przedmieściach, mamy tam też imigrantów, różne grupy etniczne,

które także pojawiają się w fabule.

Winter skinął głową.

- Nie chcę żadnych dodatkowych problemów... poza tym, co się normalnie może stać podczas nagrywania. Więc pomyślałem sobie... mamy czterdziestu statystów w mundurach i czasem występują wszyscy razem... powiedzmy gdzieś w Hammarkullen albo Biskopsgården, i nie chcę wtedy ryzykować, rozumie mnie pan? Żeby jakiś debil nie powiedział czegoś głupiego do jakiegoś ciemnoskórego czy kogoś takiego. Żeby nie skorzystał z okazji.

- Chodzi panu o to, że wśród statystów mogą się znaleźć rasiści?

- Właśnie.

- No i?

- Dlatego wysłałem wam wszystkie numery osobowe... nazwijmy ich... statystów policjantów. - Znow wziął teczkę do ręki. - Mamy ich nazwiska i adresy.

- Wysłał pan? Wysłał je pan policji?

- Tak. Do sprawdzenia. Na wszelki wypadek. Macie je.

Beier dostał wyniki testów DNA z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego.

- To sperma Martella.

- Niech to szlag - powiedział Ringmar. Zbierzesz, co zasiejesz, pomyślał.

- Co z jego żoną? - zapytał Beier.

- Źle - odparł Winter.

- Nadal jest bardziej martwa niż żywa - dodał Ringmar.

- Nie lubię tego wyrażenia - stwierdził Beier. - Albo jest się martwym, albo się żyje. Nie ma nic pomiędzy.

- Widziałeś ją? - zapytał Ringmar.

- Nie.

Ringmar nie odpowiedział, ale jego milczenie było bardzo wymowne.

Winter postanowił je przerwać.

- Elfvegrenowie przyjdą znowu, jutro.

Winter zadzwonił na numer domowy Patrika. Odebrał ojciec, od razu, jakby stał tuż przy telefonie. Winter się przedstawił.

Skontaktował się już z opieką społeczną. Rodzina była im znana od dawna, ale nie wiedzieli o przemocy w domu.

Winter myślał o Patriku. Uważał, że powinien poinformować opiekę o swoich podejrzeniach. To był jego obowiązek, powinność. Ale nie był pewien, rozmawiał z różnymi instytucjami. W końcu to zrobił. Choć nie powiedział o tym ojcu Patrika.

- Szukam Patrika.
- Nie możecie nas zostawić w spokoju, co?
- Czy Patrik jest w domu?
- Jesteś dzisiaj drugim gliniarzem, co do niego wydzwaniania.
- Słucham?
- A nawet trzecim.

Śledztwo, pomyślał Winter. To śledztwo. Ale żeby aż trzech?

- Co to byli za jedni?
- Nie pamiętam.
- Czy Patrik z nimi rozmawiał?
- Nie ma go w domu.
- Mógłbym z nim porozmawiać?
- Przecież mówię, że go nie ma.

Kiedy jechali na Landvetter, znów się przejaśniło. Tak wcześnie ruch był jeszcze niewielki.

- Błękitne niebo... jak tam - powiedziała matka. Spojrzała w lewo, na syna. - Wróć, kiedy... urodzi się dziecko.

Objechali terminal. Winter zaparkował tam gdzie zwykle. Przyprowadził wózek na bagaże i weszli do hali odlotów.

- Wygląda na to, że nie ma opóźnienia - powiedziała matka i wybuchnęła płaczem.

Objął ją.

- To pierwszy raz, kiedy odlatuję sama - powiedziała drżącym głosem. Podniosła na niego wzrok. - Wiem, że chcesz, żebym została, ale ja muszę jechać. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Tata jest przecież... tam.

Winter zobaczył grób, zagajnik, górę, wzniesienie, morze, ziemię.

- Jest tam, ale jest i tu.

Pewne rzeczy nie zostały powiedziane, ale on tu jest, pomyślał. Może tak będzie łatwiej.

Pomachała mu jeszcze z ruchomych schodów prowadzących do odprawy paszportowej. Była trochę spóźniona.

Czekał w samochodzie, aż samolot wzbije się w powietrze, jak ciężki wędrowny ptak ze srebra. Na wysokości dwóch tysięcy metrów został wessany przez błękit.

LUTY

47.

Na butelce po napoju Zingo były odciski palców, aż nazbyt dużo.

- Daj mi coś do porównania - prosił Beier.
- Przecież nie możemy porównywać ze wszystkimi - odparł Winter.

- Pół miasta miało te butelki w rękach. - Beier patrzył na Wintera, jakby próbował go rozgryźć. - Są takie ważne?

Winter nie odpowiedział.

Pojechał na Håradsgatan i zaparkował mniej więcej w tym samym miejscu co przedtem. Wiatr przybrał na sile, przyniósł nawet kilka chmur. Padał deszcz ze śniegiem. Znow zrobiło się popołudnie.

Kiedy podniósł głowę, żeby obejrzeć okna mieszkania Martellów na siódmym piętrze, chmury szybko przesuwały się po niebie. Obszedł dom dookoła, doszedł do wyłożonego gładkimi płytami wejścia. Tabliczka na drzwiach po prawej stronie informowała, że biuro spółdzielni jest otwarte w ostatni poniedziałek miesiąca między wpół do szóstej a wpół do siódmej. To dzisiaj, uświadomił sobie. Rozmawiali z dozorcą, ale nie dowiedzieli się niczego szczególnego.

Więc ktoś w mundurze policjanta przeszedł tędy w sylwestrową noc. Nikt nie widział radiowozu. Ale widziano mundur. Świadkowie byli zgodni: mundur policyjny. To było po morderstwie czy morderstwach, o ile Siv Martell miałyby nie przeżyć. Do czego?, pomyślał Winter. Do jakiejś formy istnienia.

Wrócił na ulicę, przeszedł kilka metrów do skrzyżowania. Kobieta z niemowlęcym wózkiem wchodziła do pobliskiego sklepiku. Poszedł w

tamtą stronę. W popołudniowym słońcu sklep sprawiał wrażenie zaniedbanego. Rdza zżerała metalowe listwy i rury, farba odłaziła płatami. Winter wszedł do środka. Półki były wypełnione tylko do połowy. Oprócz niego jeszcze tylko ta kobieta z wózkiem. Stała przy kasie, czekała. Przeszklona lada z wędlinami świeciła w opustoszałym wnętrzu, niebieskie światło padało na spłowiałe i brudne plakaty przedstawiające pokrojone kawałki ciał.

Wyszedł. Jakiś afisz wypadł z ramy i poleciał niesiony wiatrem przez skrzyżowanie. Przeleciał przez trawnik po drugiej stronie i zatrzymał się na siedmiopiętrowym domu Martellów, rozpląszczył się na ścianie na wysokości drugiego piętra.

Kobieta wyszła ze sklepu zaraz po nim. Poszła w lewo, minęła pizzerię i piekarnię, obie już zlikwidowane. Za oknami pizzerii majaczyły wysokie wieże krzesel. Kobieta szła w stronę niewielkiego wzniesienia. Winter widział kościelną wieżę. Zszedł po sklepowych schodach i skierował się w przeciwnym kierunku. Wzniesienie zasłaniało widok. Domy stały w obniżeniu. Nikt do nich nie wchodził ani z nich nie wychodził. Kawałek dalej sunęły drogą przelotową samochody. Poszedł dalej, do sklepiku o nazwie Krokens Livs. Kupił tam kiedyś pudełko pastylek Läkerol. Tak samo jak wtedy wiatr szarpał plakatami stojącymi przed wejściem. Ciągłe te same filmy: *Miasto Aniołów* i *Mściciele*.

Tak samo jak wtedy przejechał bus opieki społecznej, zatrzymał się kilkanaście metrów dalej i wysadził kilka starszych osób. Winter wszedł do środka, potrzebował zapalek. Stał pośród nabiału, paczek czipsów, filmów, słodyczy, szczotek i gazet. Na zewnątrz wiatr silniej zatrzepotał *Miastem Aniołów*. Widział to przez szybę w drzwiach. Kobieta przy kasie nie pochodziła ze Szwecji, może z Turcji albo z Iranu. Uśmiechała się do niego. Poprosił o zapalki, zapłacił. Za plecami kasjerki wisiało zdjęcie budynku, w którym mieścił się sklep. Było mocno przycięte i przedstawiało sklep w promieniach słońca. Nie było

wątpliwości, że to ten sam minimarket. Fotografia, powiększenie o wymiarach blisko pięćdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów, była częściowo zasłonięta reklamą papierosów. Winter sobie nie przypominał, żeby ją widział wcześniej, ale chyba musiała tam wisieć. Zdążyła już wyblaknąć, kolory były przytłumione. Mogła mieć trzy lata albo dziesięć. Przed sklepikiem stał starszy mężczyzna z naręczem gazet w objęciach, wyglądał na dumnego właściciela. Ale to nie on sprawił, że Winter nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia, że zapomniał wziąć resztę, że nie dosłyszał słów kobiety, która coś do niego powiedziała. Nad głową mężczyzny wyraźnie było widać szyld, którego teraz na sklepie nie było. Teraz na ścianie wisiała tablica z napisem Krokens Livs.

Tymczasem na zdjęciu czerwone litery głosiły: Manhattan Livs.

Börjesson znów poszedł do Powerhouse, sklepu płytowego przy Vallgatan. Młody śledczy nie miał nic przeciwko temu. Chodził tam już wcześniej, prywatnie.

- Byłem tu już. Prywatnie, że tak powiem.
- Miło słyszeć. - Chłopak stojący za ladą coś przeżuwał i przeglądał stos używanych płyt kompaktowych. - Nie widziałem cię. - Otworzył pudełko i sprawdził stan płyty.
- Ale przez ostatni rok nie było mnie w domu. - Włożył płytę z powrotem, spojrzął na Börjessona i uśmiechnął się.
- Nowy Jork, LA, Sydney, Borneo.
- Brzmi nieźle - stwierdził Börjesson. Wyjął z kieszeni płytę. - Może to poznasz?

Chłopak wziął od niego płytę Sacramento. Obejrzał okładkę, a potem przeniósł wzrok na Börjessona.

- Chcesz wiedzieć, czy to sprzedawałem? *Yes, sir.*
- Rozpoznasz tę płytę?
- Ja rozpoznaję prawie wszystko. - Spojrzął na ponury krajobraz na okładce. - Może przez ten koszmarny rysunek zamarzyłem o podróży

gdzieś do słońca. - Otworzył pudełko. - Mieliliśmy tego dwa egzemplarze - powiedział.

- Właśnie o to chciałem zapytać - rzucił Börjesson.
- To nie jest takie najgorsze, pomijając stronę produkcyjną.
- A pamiętasz może, komu ją sprzedaliście?

- Chyba żartujesz. Po pierwsze nie pracuję tu sam, a po drugie lepiej rozpoznaję okładki płyt niż twarze. - Odwrócił płytę, przyjrzał się zdjęciom mrocznych facetów na tle gryzących kolorów. - Czasem sobie przypominam, od kogo kupiłem płyty. Niektórzy przynoszą całe sterty, czasem można znaleźć prawdziwe skarby. - Spojrzał na Börjessona. - To tutaj lokuje się gdzieś na pograniczu. - Wyjął broszurkę z tekstami, przekartkował. - A dlaczego to was tak interesuje?

- Ta muzyka łączy się ze sprawą, nad którą właśnie pracujemy - wyjaśnił Börjesson.

- Z tym morderstwem, o którym pisali w gazetach?
- Dlaczego tak myślisz?

- No cóż... to chyba łatwo skojarzyć, prawda? - Rzucił okiem na Börjessona. - To trochę krwawe zabawy, że tak powiem. Choć w gruncie rzeczy dość grzeczne. - Zaśmiał się. - Prawie jak w tym dziecięcym wierszyku: kapie, kapie krew.

- Przypominasz sobie może, kiedy kupiłeś tę płytę?

- Nie, naprawdę. Może to nie byłem ja. Nie, to nie byłem ja. Rozmawialiście z innymi ze sklepu?

- Tak. W ogóle jej nie rozpoznają.

- No to w takim razie chyba to byłem ja... pamiętam przecież, że ja mieliśmy... zaraz, zaraz... mieliśmy dwie, jedna była tutaj, kiedy zaczynałem pracę, ta płyta ma już kilka lat... - Wyszedł zza kontuaru i podszedł do półek z hard rockiem, przejrzał płyty. - Teraz nie ma. Ale mieliśmy dwie, choć nierównocześnie.

Börjesson się namyślał. Ktoś zmienił muzykę, teraz grał Led Zeppelin.

- Kiedy wyjeżdżałem, był jeden egzemplarz - powiedział chłopak,

patrząc na Börjessona. Mogli być w tym samym wieku. - Kiedy wróciłem, już go nie było.

- Okej.

- A sprzedajemy tak dużo, mamy tylu klientów, że nie można czegoś takiego zapamiętać, chyba rozumiesz.

- Rozumiem.

- Mamy tu wszystkie grupy wiekowe, rasy i rozmiary.

Börjesson rozejrzał się po sklepie. W wielkim pomieszczeniu było około dwudziestu osób, sami mężczyźni albo chłopcy. W większości młodzież, ale również kilku trzydziestolatków. Przeglądali płyty Nagle wmaszerował mężczyzna, na oko czterdziestopięcioletni, z paczką longplayów pod pachą. Za nim weszły dwie młode dziewczyny.

- Mamy też rotację pracowników. W zeszłym roku kilku odeszło, kilku zatrudniliśmy.

- Interesy idą dobrze?

- Można tak powiedzieć. - Ruszył z powrotem do lady ze stosem kompaktów, teraz leżały na niej również płyty winylowe. Zatrzymał się na chwilę, odwrócił się jeszcze raz do Börjessona. - Jesteś z policji, więc właśnie mi się przypomniało, że bywał u nas czasami taki jeden, przychodził oglądać płyty. Kilka razy. Znaczą się glina. To było jakoś przed moim wyjazdem.

- Glina? Policjant? Skąd wiesz?

- Mam nadzieję, że umiem rozpoznać mundur policjanta. Faceta bym nie poznał, ale mundur tak.

- Co to znaczy oglądać płyty? To znaczy, że był waszym klientem?

- Tak, to jasne.

- Czy to coś nadzwyczajnego?

- Że policjanci w mundurach przychodzą oglądać płyty? To był chyba jedyny, jakiego widziałem. Możesz zapytać pozostałych. Nikt nic o tym nie mówił?

- Nie.

Chłopak znów spojrzał na Börjessona. Mężczyznę z naręczem płyt już obsługiwał ktoś inny.

- Czy w godzinach pracy macie czas kupować płyty?

Kobieta powtórzyła. Winter oderwał wzrok od fotografii.

- Nie ma pan drobnych? - zapytała.
- Niestety. - Znów spojrzał na zdjęcie za jej plecami.
- Czy ten sklep nazywał się kiedyś Manhattan Livs? - zapytał,

wskazując zdjęcie.

Odrzuciła się, popatrzyła i znów okręciła na krześle.

- Nie wiem - powiedziała. - Ja dopiero co tu zaczęła.

Wiedział, że właścicielem jest mężczyzna. Przeprowadzili rutynowe przesłuchania okolicznych mieszkańców, czytał ich zapisy, jak wszystko inne.

- Ten, co sklep jes jego, będzie wieczorem.
- Mógłbym dostać numer jego telefonu?

Bertil Andréasson odebrał po drugim sygnale. Winter przedstawił się i zapytał o nazwę sklepu. Wrócił do biura i powiesił mokry płaszcz na wieszaku przy umywalce.

- Zmieniłem nazwę, kiedy go kupiłem - wyjaśnił Andréasson.
- Kiedy to było?
- Hm... niedługo miną trzy lata.
- Zmienił pan nazwę zaraz potem?
- Właściwie tak. Manhattan... po prostu nie widziałem żadnego związku. Nie byłem wprawdzie w Nowym Jorku, ale chyba nie jest tam tak jak przy Hagåkersgatan. Przynajmniej nie na tym Manhattanie, który pokazują w filmach.

- Często pan bywa w sklepie? - zapytał Winter.
- Słucham?

Winter usłyszał, jak jego głos tężeje, jak się staje ostrożny.

- Często sam pan tam pracuje?
- O co chodzi? Czy mam pracowników? Przecież rozmawiał pan z Jilną.

- Ale ona pracuje od niedawna.
- Wcześniej było dwoje innych. Mam też inną pracę.
- Dwoje pracowników? Zwolnili się?
- Jeden się przeprowadził, a drugi nie umiał liczyć - odparł Andréasson.

- Mam jeszcze kilka pytań - powiedział Winter. - Może byłoby lepiej, gdybyśmy nie musieli rozmawiać przez telefon. Czy mógłby pan do nas przyjechać?

- Ale o co właściwie chodzi? - zapytał Andréasson. - Już rozmawiałem z policją, po tym morderstwie. Nic nowego nie powiem.

- To rutynowa sprawa - uspokoił go Winter. - Kiedy prowadzimy śledztwo, z niektórymi musimy czasem rozmawiać kilka razy. Jeśli wyjdzie coś nowego.

- A co wyszło... ach tak, nazwa.
- Widziałem zdjęcie - wyjaśnił Winter.
- Zdjęcie Killdén? Za ladą? Chyba ze sto razy myślałem, żeby je zdjąć. Ale starzy klienci mogą coś jeszcze powiedzieć o dawnym właścicielu, więc z sentymentu je zostawiłem.

- Killdén? Czy to dawny właściciel?
- Åke Kilidén. Miał kilka sklepów, w końcu sprzedał wszystko i wygrzewa się na słońcu.

- Na słońcu?
- Kupił mieszkanie albo dom w Hiszpanii. Costa del Sol, tak mi się wydaje.

48.

Przyszedł Bertil Andréasson. Wyraźnie było widać, że obawia się pytań o inne swoje zajęcia. Winter starał się dawać do zrozumienia, że nie jest zainteresowany jego pracą na czarno, dopóki Andréasson chętnie odpowiada na pytania.

Właściciel sklepu podał nazwiska i ostatnie znane mu adresy dwóch byłych pracowników. Jilna pracowała u niego od około pół roku. Dokładnie pięć miesięcy. Nie była mistrzynią języka szwedzkiego, ale umiała liczyć i pilnować, żeby nikt nie zamieniał naklejek z cenami na towarach. Potrafiła też odmówić szczeniakom sprzedaży piwa.

Winter rozmawiał z nią, kiedy był w sklepie, ale nie zwróciła uwagi na nic ani na nikogo szczególnego. Jeśli ma rozpoznać kogoś ze stałych klientów, powinni jej pokazać zdjęcia albo przysłać kogoś, kto mógłby czekać, aż da znak, kiedy ten ktoś wejdzie. Było kilku takich, przyznała. Poślemy tam kogoś, pomyślał Winter.

Andréasson nie przypominał sobie żadnych stałych klientów.

- Wcale tam tak dużo nie bywam. Nawet nie mieszkam w pobliżu.
- Kogoś musiał pan chyba zapamiętać, kogoś pan czasem rozpoznaje?
- Nieee... lepiej zapytajcie o to Jilnę.
- Już to zrobiłem.

Halders i Winter jeszcze raz spotkali się z Elfvegrenami. W tym samym ciemnym pokoju. Ona wyglądała, jakby jej było zimno. Winter nadal nie był pewien, czy nie chodzi przypadkiem tylko o... niego. O Elfvegrena. Jego żona była w dziwnym stanie, podobnym do szoku.

- Okej - rzucił Per Elfvėgren. - Byliśmy tam... na kawie. Dwa razy, tak mi się wydaje.

- To dlaczego kłamaliście?

- Nie wiem.

- To nie jest normalne, kłamać, jeśli się u kogoś było tylko na kawie.

- Myśmy się chyba... bali - wyjaśnił Elfvėgren. Jego żona wyglądała na wystraszoną.

Halders westchnął.

- Proszę powiedzieć, jak było - poprosił.

Elfvėgren się nie odezwał.

- Coś was łączyło - powiedział Halders.

Elfvėgren potrząsnął głową.

- Może będziemy zmuszeni pobrać od was krew - mówił dalej Halders.

- Dlaczego?

Halders wyjaśnił, twarz pani Elfvėgren zbieła. Jej mąż zagryzł mocno wargi, popatrzył na Wintera. Widać było, że się zdecydował, że chce powiedzieć prawdę.

- Okej - powiedział. - Poznaliśmy ich przez... ogłoszenie.

- Jakiego rodzaju ogłoszenie?

- Ogłoszenie towarzyskie.

- Jaki rodzaj ogłoszenia towarzyskiego?

Elfvėgren spojrzał na żonę. Skinęła głową, ledwo zauważalnie.

- To było ogłoszenie w... gazecie.

- Gazecie? Jakiej?

- Tej, o której była mowa. „Aktuell Rapport”.

- Czy dobrze zrozumiałem: poznaliście ich przez ogłoszenie w „Aktuell Rapport”?

- Tak. –

Czy to prawda? - Halders zwrócił się do Eriki Elfvėgren. Skinęła głową i wydusiła ciche tak.

- Czy to wy zamieściliście ogłoszenie?
- My odpowiedzieliśmy - odparł Per Elfvėgren. - To było... ich ogłoszenie, oni je zamieścili, my do nich napisaliśmy.

- Kiedy to było?

Elfvėgren określił w przybliżeniu czas.

- To był... jedyny raz, kiedy coś takiego zrobiliśmy - dodał.

Gównu mnie to obchodzi, pomyślał Halders.

- Martellów poznaliście w taki sam sposób?

- Nie - odparł Elfvėgren. - A w jaki?

- Przez... Valkerów. Ale my... ale my...

- Tak?

- Nigdy się nie... spotkaliśmy. Halders nic nie powiedział.

- Tylko z... Valkerami.

- Czy Valkerowie spotykali się jeszcze z kimś innym? - zapytał Halders.

- To znaczy?

- Przy okazji waszego... spotkania. Czy były obecne również inne osoby?

- Nigdy.

- Nigdy?

- Nigdy. Przysięgam, że to prawda - powiedział Per Elfvėgren. Sprawiał wrażenie kogoś, kto postanowił mówić prawdę i tylko prawdę, ale wyraz jego twarzy mógł być mylący.

- A może słyszeliście o innych znajomych?

- Nie.

- Valkerowie nie opowiadali o innych spotkaniach? Czy mieli takie... relacje z innymi osobami?

Winter docenił delikatność Haldersa. Coraz lepiej sobie radził w roli doraźnego głównego przesłuchującego.

- Nie.

Pani Elívegren odchrząknęła. Spojrzała na męża i chrząknęła jeszcze raz. Chciała coś powiedzieć. Halders czekał. Siedzieli przy stole na środku pokoju, Winter był dla nich niemal niewidoczny. Był tylko cieniem przy ścianie.

- Był jakiś... mężczyzna - zaczęła. Per Elívegren wyglądał na autentycznie zaskoczonego. - Louise opowiadała mi kiedyś... o jakimś facecie... którego spotkali kilka razy.

Patrik usiłował czytać. Zrobił się wieczór. Przez chwilę patrzył na niebo. Coś go w środku rozpiekało. A jednak coś się zmienia, myślał. Można będzie więcej wychodzić na dwór.

Siedział na sofie. Ulla hałasowała w przedpokoju, właśnie wróciła i zdejmowała buty. Wstał, wyłączył muzykę w środku piosenki i usiadł.

Ulla weszła do niego, robiła dwa kroki do tyłu, a potem jeden do przodu.

- Gdzie ojciec? - zapytał Patrik.

- Nie wiem - odparła i jak miękki ciężar osunęła się na sofę, metr od niego. Patrik odsunął się kawałek. - Poszłam se. - Potrząsnęła głową, kręciła nią mocno na boki. - Wkurwił mnie, bo się czepiał. - Spojrzała na Patrika, usiłowała się skupić. - Tyś jest porządny, Patrik. Nie taki jak on.

Ani nie taki jak ty, pomyślał Patrik. Wstał, ale złapała go za ramię, uwiesiła się na nim.

- Posiedź chwilę, pogadamy - poprosiła.

- Muszę iść.

- Siadaj, mówię ci. - Ścisnęła go coraz mocniej. Zaczęła nucić jakąś melodię, nagle się zaśmiała. Litości. Babsztyl się urzynał na wesoło. - Posiedź przy cioci Ulli i porozmawiaj. - Znów pociągnęła go za ramię, szarpnęła. Rękaw swetra wyciągnął się na pół metra. Patrik czuł dobrze znany odór przetrawionego alkoholu zmieszanego ze świeżo wypitym.

Szarpnęła jeszcze raz, stracił równowagę, upadł na nią.

Drzwi otworzyły się znienacka. Upadając, Patrik słyszał szuranie kroków w przedpokoju.

- Co, do kur... - To był głos ojca. Patrik poczuł, jak ktoś chwyta go za ramię i ciągnie w górę. Teraz to było ramię, nie rękaw. Bardzo zabolalo. Krzyknął, a potem w jego głowie rozległ się huk.

Maria piekła babkę. Nie robiła tego chyba ze dwa tysiące lat. Hanne Östergaard przyglądała się, jak rozsypuje mąkę po całej kuchni. Kiedyś, kilka lat temu, zajmowała się niemal wyłącznie tym. Mnie to tylko cieszy, niech piecze. Nawet sto babek.

Wróciła do pokoju, usiadła na sofie i znów wzięła książkę do ręki. Błękitne niebo ciemniało, wpadało niemal w czerń, ale w powietrzu nadal czuć było obietnicę wiosny. A może tylko pragnienie, pomyślała. A może marzenie o świetle. Spodziewamy się wiosny, zanim jeszcze zima zacznie się wycofywać.

W kuchni szczękały naczynia. Hanne uwielbiała te odgłosy. Usłyszała syrenę od strony Sankt Sigfrids Plan. Ciągły sygnał, wznoszący się i opadający. To powinien być radiowóz. Pracując na komendzie, nauczyła się rozróżniać odgłosy syren. Dźwięk rozległ się jeszcze raz, a potem się urwał, nagle. Może zatrzymali kogoś jadącego za szybko, może przyjechali do zderzenia. Pomyślała o Simonie i jego straszliwym wypadku. Nie mógł się od tego uwolnić. To wspomnienie było zbyt silne, dręczyło go. Może przez to... będzie musiał się zwolnić z pracy. Nie знаła nikogo, kto by się zwolnił z powodu czegoś takiego.

Powtarzał te koszmarnie szczegóły, jakby od tego miały wreszcie zniknąć. Ale rezultat był odwrotny. Ona sama mogła je teraz powtarzać. Ale przynajmniej tam nie była, nie widziała tego. Ostatnim razem powie...

Ktoś zadzwonił do drzwi.

- Ja otworzę! - zawołała i wstała z sofy

Za drzwiami stał Patrik. Z zakrwawioną twarzą. Pod jednym okiem zaschnięta strużka.

- Patrik! - krzyknęła Maria. Stała za jej plecami.

- Mężczyzna?! - zawołał Halders. - Czy Louise Valker opowiadała o mężczyźnie? - Dlaczego nie mówiłaś o tym wcześniej? - pomyślał. Może to kosztowało kolejne ŻYCIE.

- Kiedyś, raz - powiedziała Erika Elfvegren i umilkła.

- Proszę mówić dalej.

Winter czuł napięcie w całym ciele, to samo widział u Haldersa. Per Elfvegren siedział jak sparaliżowany. Jego żona chyba się trochę uspokoiła. Była na dobrej drodze.

- Ona... powiedziała tylko, że spotkali się kilka razy z jakimś mężczyzną. To wszystko...

Halders popatrzył na nią. Zrozumiała.

- Nigdy nie pomyślałam, że to mogłoby się łączyć z...

- Niech pani powie, co dokładnie mówiła - poprosił Halders.

- Właśnie powiedziałam...

- Dlaczego o tym mówiła?

- Tego tak dobrze nie pamiętam. - Spojrzała na męża. - Ale to musiało być, kiedy byliśmy same.

- Co powiedziała?

- Że kilka razy... odwiedził ich pewien mężczyzna.

- Tak?

- Odniosłam wrażenie, że to było... ekscytujące.

- Jak się poznali?

- Nie wiem...

- Przez ogłoszenie?

- Tak, może coś takiego powiedziała. - Erika Elfvegren wyraźnie się zastanawiała. - Może powiedziała coś takiego, że mieli szczęście... właśnie tak, że mieli szczęście z tymi ogłoszeniami.

- Czy ten mężczyzna odpowiedział na ich ogłoszenie?
- Nie wiem.
- Może zamieścił ogłoszenie?
- Naprawdę nie wiem.
- Znała go pani?
- Absolutnie nie.
- Czy Louise Valker opisywała, jak wygląda?
- Nie.
- Nic... osobistego o nim?
- Nic.
- Nic?
- Nic.
- Jego ubiór?
- Nie. Nic o tym nie mówiła.
- Po prostu o nim wspomniała? I to wszystko?
- Tak...

Winter usłyszał jakby lekkie wahanie. Halders też to usłyszał, czekał.

49.

Winter zadzwonił do Möllerströma. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Zdobądź dla mnie najnowszy numer „Aktuell Rapport”, Janne, bardzo cię proszę.

- Tego pisemka dla panów?
- A jest jakieś inne?
- Czy chodzi o „Aktuell Rapport”?
- Tak.

Winter odłożył słuchawkę i sięgnął po listę czterdziestu statystów noszących policyjne mundury w filmie o przygodach komisarza. A dlaczego nie inspektora?, zapytał Halders. Ty też się kiedyś załapiesz, odpowiedział Ringmar. My wszyscy.

- Zrobimy to? - zapytał Ringmar. Siedział naprzeciwko Wintera. - Rozmawiałeś ze Sturem?

- On się zgadza, o ile uznamy, że to się nam opłaci.
- Czterdzieści osób - powiedział Ringmar. - To znaczy, że dziesięć do piętnastu osób będzie musiało poświęcić na to tydzień. Ile czasu może zająć jeden statysta? Półtorej godziny. Godzinę. Musimy ich znaleźć, sprawdzić adresy, ustalić termin, przesłuchać.

- I porównać - dodał Winter.
- To twoje zadanie.
- Mogę dostać dziesięciu ludzi - powiedział Winter. Zapalił cygaretkę. Na dworze nadal było dość jasno. Śnieg wciąż leżał. Winter spojrzał Ringmarowi w oczy.

- Czy idziemy w dobrym kierunku tym... policyjnym śladem? Tropem munduru?

- Skąd ja mam to wiedzieć, Eriku?

- Powiedz, co sądzisz.

Ringmar zmrużył oczy, potarł czoło. Zabrzmiało to tak, jakby tarł papierem ściernym po nieheblowanym drewnie. Rysy jego twarzy stały się bardziej wyraziste w świetle zmierzchu, zmarszczki się pogłębiły, kiedy do pokoju wpadło słońce odbite od budynków stojących naprzeciwko. Znow nie będzie miał ferii zimowych, w tym roku też nie. Może kiedy będą wnuki. Zresztą ten czas i tak już minął.

- Chyba trochę za często rozmawialiśmy o policjantach... czy też policyjnych mundurach, żebyśmy mogli to całkiem pominąć - powiedział w końcu.

- Właśnie.

- Börjesson opowiadał ciekawe rzeczy po wizycie w sklepie płytowym.

- To prawda.

- Sprawdziliśmy miejsca, które dysponują mundurami, ale nikt nie zgłaszał żadnych braków.

- Właśnie.

- Nigdzie.

- Tak.

- Pozostaje ekipa filmowa.

- Właśnie.

- Może to jakiś omen.

- Dobry omen?

- A są dobre? Widziałem kiedyś film pod tytułem *Omen*. Nie było w nim raczej nic dobrego.

- Jest tych *Omenów* więcej - powiedział Winter. - Część pierwsza, druga i tak dalej.

Ringmar znow pocierał czoło.

- Uważam, że powinniśmy to zrobić.

- Tak myślisz?

Ringmar skinął głową, wziął listę i wyszedł, żeby się zająć organizacją. Przyszedł posłaniec z wewnętrzną korespondencją. Winter wziął

kopertę. Otworzył, a posłaniec przewrócił oczami. Na okładce widniała niekompletnie ubrana dziewczyna. Duże litery, złote i czerwone, zapowiadały tekst o najlepszym seksie w pracy. Winter przekartkował pismo, do działu Kontakty. Ogłoszeń było mnóstwo. Część ze zdjęciami organów płciowych i twarzami zasłoniętymi czarną belką. Dlaczego nie odwrotnie?, pomyślał.

Na końcu znalazł formularz ogłoszenia. Coś takiego Valkerowie musieli wypełnić i wysłać do redakcji, pomyślał. Może Elfvegrenowie też. Albo Martellowie.

Może ktoś jeszcze.

Jak to się odbywa?

Przekartkował z powrotem, do przodu, i znalazł informacje o tym, jak odpowiadać na ogłoszenia. Telefonicznie, listownie. Nie zapytali Elfvegrenów, jakie to było ogłoszenie. Ogłoszenia. Odpowiedzi. To było niezręczne i nieprofesjonalne, ale może... dobrze o nich świadczyło. Nawet Halders o to nie zapytał.

Mieli ich billingi telefoniczne, więc łatwo to było sprawdzić.

Nie znaleźli formularzy ogłoszenia, ani u Valkerów, ani u Martellów. Żadnych ogłoszeń, żadnych odpowiedzi.

Winter zadzwonił do redakcji „Aktuell Rapport”. Odebrała kobieta, przedstawił się.

- Formularze ogłoszeń przechowujemy trzy miesiące - wyjaśniła.
- Czy to znaczy, że mają państwo adresy osób, które zamieszczały ogłoszenia w ciągu ostatnich trzech miesięcy? - zapytał Winter.
- Tak. Właściwie tak.
- Właściwie? Co to znaczy?
- Czasami nie nadajemy z niszczeniem na bieżąco. Bywa tego dużo...

Niszczenie, pomyślał Winter. Cholerne niszczenie. Trzeba uchwalić jakieś prawo zakazujące niszczenia papierów. Dla dobra wszelkich śledztw w trudnych sprawach.

- Jak długo w takim razie mogą być przechowywane? - zapytał.
- Może do pół roku. Ale raczej rzadko.
- W jaki sposób?
- Co w jaki sposób?
- Jak przechowujecie adresy?
- Mamy archiwum komputerowe. I ogłoszenia w formie papierowej.
- Czy w większości przypadków to są adresy domowe?
- Taak...
- Ludzie nie wolą anonimowych skrzytek pocztowych?
- Tego nie akceptujemy. Takie ogłoszenia zwykle nie okazywały się... solidne.

Nie pytał o szczegóły.

- Czy wiecie, kto odpowiada na ogłoszenia?
- Nie. Osoby, które odpowiadają, wkładają list do koperty, zaklejają i piszą na niej numer ogłoszenia. Potem wkładają tę kopertę w inną kopertę i wysyłają do nas, ze znaczkiem pocztowym. A potem my przesyłamy odpowiedź dalej, do ogłoszeniodawcy.
- I na takie ogłoszenie można odpowiadać przez trzy miesiące.
- Tak.

Winter się zamyślił. Jeśli mają szczęście, formularz ogłoszenia Valkerów może jeszcze być w redakcji, albo adres domowy. To by potwierdzało, że dali ogłoszenie. Zadzwoń do kolegów ze Sztokholmu, gdzie ma siedzibę redakcja. Nie pierwszy raz to zrobi.

Może uda się znaleźć również ogłoszenie Martellów. Albo Elfvegrenów. Martellów. Zatrzymał się jeszcze raz przy Martellach. Martellowie. Zostali zamordowani mniej niż trzy miesiące temu.

Jeśli zamieścili ogłoszenie, nie dostali jeszcze odpowiedzi.

Może odpowiedzi na ich ogłoszenie czekają w redakcji. Przypomniał sobie, co Erika Elfvegren mówiła o „jakimś mężczyźnie”.

Pojawił się właśnie w ten sposób. Winter się zastanawiał, jak się dostał do mieszkania. I może właśnie to jest odpowiedź, wyjaśnienie.

Ale mogli się ogłaszać kiedykolwiek, nawet kilka lat temu. Nie spodziewaj się za dużo.

Zadał dziewczynie z redakcji jeszcze kilka krótkich, praktycznych pytań i rozłączył się. Zaraz potem jeszcze raz zadzwonił do Sztokholmu, do znajomego komisarza z City.

W domu Matildy Josefsson, byłej pracownicy Krokens Livs, nikt nie odbierał. Aneta Djanali wystukała drugi numer. Zgłosił się mężczyzna. Powtórzył cyfry, które właśnie wybrała.

Przedstawiła się i powiedziała, dlaczego dzwoni.

- To było tak dawno temu.
- Co?
- Kiedy tam pracowałem. A ten stary był idiotą.
- Stary?
- Andréasson. Twierdził, że nie umiem liczyć. To się zwolniłem.

Na własną prośbę.

Aneta Djanali zapytała o stałych klientów.

- Było kilku takich, co zaglądali częściej. Nic dziwnego. - Potem zrobił krótką przerwę. - No i byli złodzieje.

- Złodzieje?

- Było tam kilku złodziejasków. Czasem znikało trochę towaru.

Sam nigdy nic nie widziałem, ale było kilka... incydentów.

- Kiedy?

- Nie pamiętam tak dobrze. Nie zapisałem tego w żadnym kalendarzu czy w czymś takim. Ale tamta dziewczyna, co pracowała w tym samym czasie co ja, na pewno coś wie.

- Matilda? Matilda Josefsson?

- Właśnie. Tak się nazywała.
- Opowiadała o złodziejach?
- Była jakaś historia z kradzieżą, kiedy ona siedziała na kasie.

Musicie ją zapytać.

- Zrobimy to. Ale ona też już tam nie pracuje.
- No proszę. A tak świetnie umiała liczyć, ha, ha.
- Właśnie próbujemy się z nią skontaktować.
- Zawsze mówiła, że pojedzie gdzieś na słońce. Sprawdźcie tam.

Winter sprawdzał słoneczne miejsca. Jego matka nie знаła żadnego Åkego. Pewnie nie mieszkał w Nueva Andalucía, ale to nie była jedyna kolonia. Szwedzki konsul w Fuengirolí zgłosił się po trzecim sygnale. Winter miał przed oczami miasto: autostrada jak czarna rana, domy, które wyglądały, jakby ktoś je rzucił z góry nad morze.

- Oczywiście znam pana Åkego - powiedział konsul. Był Szwedem. - Pańskie nazwisko też brzmi dla mnie znajomo.

U Killdéną, w kolonii Elviria, nikt nie odbierał. Znajdowała się na wschód od szpitala, po drugiej stronie Marbelli. Pamiętał restauracje, hotele, pola golfowe, pomalowane na biało domki.

Mijał ją, kiedy jechał w nocy taksówką do Torremolinos. Smak wina gdzieś na końcu podniebienia.

Pojechał do Sahlgrenska. Siv Martell nadal była w miłosiernym stanie braku przytomności. Nie musiał tam jechać, żeby się tego dowiedzieć, ale chciał wyjść ze swojego pokoju. Jej ciało o czymś przypominało.

Przez szybę widział jej oczy. Czy umiałaby udzielić odpowiedzi na jakieś pytanie, gdyby się obudziła? Gdyby jej pozwolono się obudzić? Nagle zrobiło mu się zimno, jakby miał śnieg pod ubraniem.

Wyszedł z budynku. Szpital ze swoją starą i nową częścią wyglądał jak kulisy jakiejś sztuki. Karetki i patrole policyjne przejeżdżały po scenie tam i z powrotem. Biegali po niej sanitariusze w bieli, lekarze. Anioły. On też przeszedł przez scenę, ale nie padło na niego światło reflektora.

Nie miał scenariusza. Tylko przeczucie nadciągającej katastrofy.

50.

Bartram kupił gazetę i wypożyczył film wojenny. Dziewczyna stojąca za ladą uśmiechnęła się do niego. Nie wiedział, czy go poznaje. Właściwie powinna. Chyba tak się zdarza również na drugim końcu świata, czy skąd tam pochodziła.

Była dość nowa. Pracownicy często się zmieniali. Chłopaka nie lubił. Nie nadawał się do pracy w branży usługowej. Jeśli człowiek pracuje w usługach, musi się starać być miły dla klienta. Albo niech sobie szuka innej pracy.

Starego też widział któregoś wieczoru. Chyba był właścicielem tego interesu. Też nie wyglądał na kogoś, kto lubi obsługiwać klientów. Zachowywał się tak, jakby mu się paliło pod tyłkiem. Nie mógł usiedzieć spokojnie.

Lubił za to dziewczynę. Pewnego dnia po prostu jej nie było. Mogła przedtem coś powiedzieć. Choć właściwie z jakiej racji miałyby mówić właśnie jemu? Tylko dlatego, że ją lubił? Ona wcale nie musiała lubić jego. Może się z niego śmiała, kiedy wychodził ze sklepu. Albo za jego plecami. Czasami odwracał się zniechęca, ale się nie śmiała, może się nie odważyła. Wiedziała, że czasem przychodzi w mundurze. Kiedy miał na sobie mundur, był policjantem, wchodził i był policjantem. Teraz nie był policjantem, bo miał na sobie inne ubranie. Teraz nie mógł chodzić po ulicy i kazać ludziom zapinać pasy, nikt by go nie potraktował poważnie.

Ona była tam właśnie wtedy, kiedy zagroził drogę złodziejaskowi, który ukradł kilka filmów wideo. Uważał, że tak będzie lepiej wyglądało. Zagroził mu drogę. Chciał zapłacić, tak powiedział. Ale zapomniał.

Poszedł na ustępstwo. Zrobiłem ustępstwo. Zapisał nazwisko i adres chłopaka, ale głównie dlatego, że ona się przyglądała. Nie chciała zgłaszać kradzieży. Mógł skorzystać z tego, że jest policjantem, i spisać raport. Dlaczego nie? Chłopak pokazał mu dowód osobisty. Miał jego dane, mógł go capnąć. Pozwolił mu się pocić, a potem puścił go wolno. Nie rób tego więcej. Takie tam pieprzenie. Chłopak sprawiał trochę dziwne wrażenie. Właściwie było mu go szkoda. Gapił się na mundur, jakby to był co najmniej uniform generalski, z mnóstwem złotych ozdób. Mamrotał coś pod nosem.

Zapytał ją jeszcze, czy zna tego chłopaka, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Nie pytał, co to miało znaczyć.

Na ulicy wiatr szarpał plakatami. Przeszedł przez jezdnię i zanurzył się w ciszy. Góra po lewej stronie tłumiała odgłosy miasta, a wzgórze z kościołem zatrzymywało hałas samochodów z obwodnicy.

Ulica była długa, ale to go nie męczyło. Stały przy niej żółte domy, na których można było zawiesić oko. Różniły się od jego czerwonego ceglanego bloku.

Z domu z reklamą na jednym z boków wyszło dwóch mężczyzn. Nieśli wysłużoną wannę. Bartram się nie kąpał. Nie miał na to czasu.

Troje dzieci biegało po placu zabaw. Kontenery były niebieskie jak wczorajsze niebo. Wiatr szarpał brzoźowym zagajnikiem. Teraz słyszał samochody na Göteborgsvägen. Domofon nadal nie działał. Ściany na klatce schodowej były niebieskie jak przedwczorajsze niebo. Drzwi mieszkania były brązowe jak dzisiejsze poranne gówno. Otworzył, wszedł i zawołał, że wrócił. Może pewnego dnia ktoś mu odpowie. Usiadł przy komputerze, nawet nie zdejmując kurtki, i szybko znalazł właściwe pliki. Podglądał śledztwo. Wszystko tam było. Teraz wiedział wszystko i się uśmiechał.

Hanne Östergaard zadzwoniła do Wintera.

- Jak on się czuje?
- Został uderzony w głowę.

- Musi znów jechać do szpitala?
- Nie wiem, Eriku.
- Pieprzone bydlę. Zaraz pošlę tam radiowóz, zabiorą go do aresztu.
- A co zrobimy z Patrikiem?
- Co myślisz?
- Leży tu u nas... ktoś powinien go obejrzeć.
- Mam wysłać do was karetkę?
- Ja go zawiozę.
- Okej.
- Jest je...
- Tak?
- Chciałam cię jeszcze o coś zapytać... - znów urwała. - Zresztą nie, to może jeszcze poczekać. Jadę z Patrikiem do Sahlgrenska.

Morelius i Ivarsson przywieźli ojca Patrika. Kiedy przyjechali, był nieprzytomny. Drzwi otworzyła kobieta, natychmiast uciekła po schodach, na bosaka. Pod oczami miała czerwone i sine plamy. Na jej koszuli czy bluzce było widać krew.

Sprowadzili go na dół. Ivarsson rozłożył folię na tylnym siedzeniu.

Facet ciągle nie był całkiem przytomny, kiedy go zamykali. Czy to konieczne? - zapytał Ivarsson. Tak, potwierdził Morelius.

- Czy to ty dzwoniłeś do nich do domu jakiś tydzień temu? - zapytał Winter. Też tam był. Szli dusznym korytarzem.

- O czym mówisz?
- Szukałeś Patrika? Chciałeś czegoś od niego?
- Nie.
- Ktoś z naszych dzwonił do niego. Poza mną.
- To nie byłem ja.
- Ale znasz go całkiem nieźle.

- Człowiek poznaje ludzi, kiedy krąży po ulicach.
- Nie uspokoił się ostatnio?
- On chyba zawsze był spokojny - stwierdził Morelius. - To raczej... ona... hm, córka naszej pastor, lubiła pozasaleć.
- Tak, najwyraźniej.
- Ale ona też się uspokoiła.

Zadzwoił kolega Wintera ze Sztokholmu.

- Byliśmy tam.
- Świetnie, Jonas.
- Ciekawe miejsce.
- Znaleźliście formularze ogłoszeń?
- Jeszcze nie zniszczyli Valkerów Za dużo ogłoszeń, za dużo ludzi chce się kontaktować. Tam są tysiące ogłoszeń. A to tylko jedno z tych tak zwanych pism dla panów.
- I?
- Po pierwsze jest tam formularz tych... Valkerów. Po drugie jest formularz Martellów.
- Właśnie na to liczyłem.
- Odpowiedzi tylko listowne - powiedział komisarz Jonas Sjöland.
- Żadnych telefonów. Twoje nadzieje się spełniły, także jeśli chodzi o odpowiedzi na ogłoszenie Martellów. Odpowiedzi na ogłoszenie Valkerów zostały już odesłane, ale listy do Martellów były jeszcze w redakcji. Jeszcze nie zdążyli ich wysłać.
- Ile tam masz tych listów? Do Martellów?
- Jeszcze nie liczyłem... - Winter usłyszał ciszę w słuchawce. - Masz uprawnienia do tego, Eriku?
- Tym się nie martw.
- A co mówi kodeks z twojej póki? Masz stuprocentową pewność?
- Mówiłem ci, żebyś się o to nie martwił.

- Bo ja nawet sprawdziłem - powiedział Sjöland. - Rozdział dwudziesty siódmy, paragraf trzeci. Ciekawe.

- Zwłaszcza jak się tego nigdy nie robiło - stwierdził Winter.
- Który prokurator się tym zajmuje?
- Molina. Znasz go?
- Słyszałem nazwisko.

Winter postanowił zawiadomić prokuraturę natychmiast po pierwszych morderstwach. Prokurator Peter Molina obserwował śledztwo na bieżąco, żeby móc szybko podejmować decyzje.

- A więc tworzysz precedens - powiedział Sjöland. - To delikatne sprawy. Otwieranie cudzej korespondencji.

- Jeśli się zagłębisz w paragrafy, to się przekonasz, że główny śledczy ma szeroki zakres uprawnień, może podejmować decyzje w kwestiach dotyczących zabójstwa, takich jak ta.

- No tak, można na to spojrzeć również w ten sposób.
- Ale złożyłem wniosek do prokuratora. I dostałem. Zgodę. - W końcu dostałem zgodę, pomyślał. Miał teraz dług u Moliny.
- Okej. W takim razie muszę się poddać.
- Chciałbym dostać te listy dziś wieczorem. A formularze możesz przefaksować.

- Zrobi się. - Sjöland znów na chwilę umilkł. - Czy pomyślałeś o tym, że gdybyś nie był tak cholernie szybki, to ta sterta listów przyszłaby pocztą do... domu Martellów. Podali własny adres, żadnych szemranych skrzytek pocztowych. Dziewczyna z redakcji mówiła, że za jakiś tydzień mieli im to odesłać. Wyobraź sobie, jaka ciekawa sytuacja... Nagle do skrzynki pocztowej wpada możliwe rozwiązanie.

- Wcale nie byłem szybki - odparł Winter.

Winter zakładał, że ktoś, kto odpowiedział Martellom, odpowiedział także na ogłoszenie Valkerów

Brakowało odpowiedzi na ogłoszenie Valkerów. Potrzebował ich, wolałby mieć te niż te drugie.

Ale ktoś, kto poznał Valkerów przez ogłoszenie, mógł przecież poznać również Martellów. Louise Valker opowiadała Ericie Elfvegren o „pewnym mężczyźnie”. Czyżby Martellowie też o nim słyszeli? Może nawet się z nim spotkali?

A może to on o nich słyszał? Jeszcze zanim dali ogłoszenie? Albo w tym samym czasie? Wolał odpowiedzieć na ogłoszenie, niż po prostu zadzwonić? Może to zostałyby uznane za niedyskretne? Chciał zrobić tak samo jak za pierwszym razem?

Tak czy inaczej, wkrótce będą mieli nazwiska i adresy. Zaczęli przepytywać statystów. Kolejne nazwiska, kolejne adresy. Czekał na wydruki.

Zadzwoił do Åkego Killdén, do Fuengirolí. Nie odebrał. Kiedy odkładał słuchawkę, obraz przed jego oczami się zmienił. Małe bielone domki na stromym zboczu ustąpiły monstualnym budowlom o fasadach ze szkła i stali, wznoszącym się do chmur na Manhattanie, który kiedyś miał okazję oglądać z niewielkiego samolotu krążącego nad miastem w oczekiwaniu na pozwolenie lądowanie na La Guardia po drugiej stronie rzeki.

Może ten trop prowadzi na jakieś piekielne manowce. Nie. To nie może być przypadek, że istniał sklep o nazwie Manhattan, że znajdował się sto pięćdziesiąt metrów od domu Martellów. Nie był to wieżowiec, ale najwyższy budynek w promieniu wielu kilometrów. Około pięciu kilometrów dzieliło go od wieżowca Gothii w centrum miasta. Manhattan w Mölndal: bloki spółdzielni HSB ze swoimi zadbanymi wejściami.

Gdzieś tu jest klucz. Tylko gdzie?

Zadzwoił telefon.

- Dzwoni Matilda Josefsson - powiedział Möllerström. - Pracowała kiedyś w tym minimarkecie.

Winter czekał, aż centrala przełączy rozmowę. Usłyszał głos dziewczyny.

- Halo? Słucham?
- Przy aparacie komisarz Winter.
- No właśnie... dostałam wiadomość, że mam się skontaktować...
- Świetnie. Możemy się spotkać?
- Właśnie wróciłam do domu... może lepiej jutro?
- Nie, najlepiej jak najszybciej. Mogę przyjechać do pani, jeśli pani woli.
- Nie wiem sama...
- Będę miał legitymację, na widoku - powiedział Winter.

Usłyszał śmiech.

- Ale o co chodzi? - zapytała.
- Prowadzimy śledztwo w sprawie... brutalnych zabójstw i chcielibyśmy zapytać o czasy, kiedy pani pracowała w sklepie w Mölndal.
- Krokens Livs? A co się stało z tą starą budą?
- Czy możemy się zobaczyć za pół godziny?
- Hm... okej. Na pewno ma pan adres.

Winter przejechał przez most. Cysterny lśniły w słońcu, jak zwykle. Niebo na zachodzie, daleko za latarnią Vinga, było bezchmurne. Morze było spokojne jak błękitny olej.

Mieszkała za Backaplan. Miała brązowe włosy, niebieskie oczy, na oko dwadzieścia pięć lat. Wszędzie stosy ubrań. W przedpokoju komplet kijów do golfa. Pachniało morzem i piaskiem, w bardzo szczególnie sposób. Winter natychmiast rozpoznał ten zapach.

- Golf na Costa del Sol - powiedziała, zanim zdążył zapytać. - Pracuję czasem jako instruktorka. Sezon golfowy na południu właśnie się kończy.

- Zna pani Åkego Killdéną? - zapytał Winter. Usiadł na krześle w kuchni.

- Kogo?

- Åkego Killdéna. Też tam mieszka. W Fuengirolí. Był właścicielem sklepu, w którym pani pracowała. Manha... Krokens Livs.

- Nie znam. Facet, który mnie zatrudnił, nazywał się Andersson.

- Andréasson.

- Okej. A jak pan się nazywa? Winter?

- Tak.

- Pamiętam, że jeden Winter grywał na polu, na którym pracowałam. Las Brisas. W zeszłym sezonie. Pamiętam go. Wysoki. Starszy pan. Bengt Winter. Szwed znaczy się.

Winter skinął głową.

- Krewny? Winter to nie jest aż tak popularne nazwisko.

- To był mój ojciec.

- Aha. Jaki ten świat mały. - Potem chyba uświadomiła sobie, co właśnie powiedział. To był mój ojciec.

- Kiedy przestała pani pracować w Krokens Livs?

Spojrzała na niego, zanim odpowiedziała. Zwróciła uwagę na tę nagłą zmianę tematu.

- Kiedy jestem w domu, biorę pierwszą lepszą pracę - odparła. - Na przykład w tym sklepie.

Winter wyjaśnił, dlaczego chciał z nią porozmawiać. Zadał kilka pytań.

Widziała zdjęcie Manhattan Livs. Ale z ciekawszych wydarzeń zapamiętała tylko to, jak policjant złapał złodzieja.

- Przepraszam?

- Przyszedł policjant, z patrolu, i złapał złodzieja, który chciał wynieść kilka filmów. Powiedział, że zapomniał zapłacić. Mogło tak być.

- To na pewno był złodziej?

- Wydaje mi się, że już kiedyś coś wyniósł. Chyba go rozpoznałam, tak mi się wydaje.

- I co się stało?

- Policjant zapytał mnie, czy chcę złożyć zawiadomienie. Ale chłopak wyglądał tak żałośnie... nie chciałam tego zgłaszać.

- Więc nie zrobiła pani tego?
- Policjant powiedział, że on się tym zajmie. Widziałam, jak złodziej pokazywał mu dowód.

- I co było dalej?
- Spisał go, a potem wyszli i nie wiem, jak to się skończyło.
- Więc nie zgłosiła pani tego?
- Nie, mówiłam przecież. On miał się tym zająć.
- A skąd on się tam wziął? Ten policjant?
- Tego nie pamiętam. Pewnie coś kupował. Albo wypożyczał film.

Bywał u nas już wcześniej.

- Przepraszam?
- Nie musi mnie pan ciągle przepraszać - powiedziała z uśmiechem.

- Czy pani rozpoznała tego... policjanta?
- Tak... był przedtem w sklepie kilka razy. Czasem w mundurze, a czasem... w cywilu.

- Rozmawiała pani z nim?
- Rozmawialiśmy o tym zło...
- Przy innych okazjach, o to mi chodziło.
- Nie, nie sądzę.
- Nie wie pani, jak się nazywał?
- Nie. A czy to takie ważne?

Nie wiem, pomyślał Winter. Może niesłychanie ważne, a może to tylko zwykłe nic nieznaczące zdarzenie.

- Czy to takie ważne? - zapytała jeszcze raz.
- Rozpoznałaby pani tego policjanta, gdyby go pani zobaczyła?
- Nie wiem. Nie mam pamięci do twarzy.
- Ale złodzieja pani rozpoznała.
- No tak... ale to było coś innego. To było przecież... przestępstwo.

Patrzyłam raczej na niego niż na policjanta.

- Czy jeszcze kiedyś widziała pani tego złodzieja?
- Nie w sklepie.
- Gdzie indziej?

- Kiedyś na ulicy jak szłam do pracy albo do domu. On chyba mieszka gdzieś w pobliżu. Odwrócił głowę, kiedy mnie zobaczył.

- Nie wie pani, jak się nazywa?

- Nie słyszałam nazwiska. Policjant tylko je zanotował.

- Czy przed sklepem stał radiowóz? Czy on przyjechał radiowozem?

- To też ciekawe pytanie. Nieee... nie pamiętam. Ale akurat wtedy chyba nie wyglądałam przez okno. - Spojrzała na Wintera. - Zresztą wszyscy policjanci wyglądają tak samo. Wysocy blondyni. Trudno ich rozróżnić.

Morelius znów jechał przez pola. Na wysokości Askim była gołoledź, koła się ślizgały.

Na Söderleden ruch gęstniał. Stał w korku, za oknem zaczynało się pole golfowe. Jacyś idioci w puchowych kurtkach i w czapkach próbowali wybić piłeczkę dziesięć metrów dalej, w zaspę.

- To prawdziwa niespodzianka - powiedziała matka.

- Miałem ochotę się przejechać.

- Schudłeś, synku.

- To nic takiego.

Widział portret ojca nad pianinem w ciemnym salonie. Jak zwykle miał surową minę, podkreślała ją koloratka. Biel na tle tej całej czerni.

51.

Siedział w ciemnościach. Ostatnio myślał, że może założą nowy zamek, ale został ten stary. Nie żeby to miało jakieś znaczenie.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Ich kroki odbijały się szczególnym echem. Dźwięk rozchodził się w komórce jak w tunelu, najpierw odbijał się od schodów. Dudniło na nich jak diabli, kiedy winda była w ruchu i kiedy ktoś zamykał bramę. Wystarczy lżejszy hałas, żeby człowiek miał ochotę zasłonić uszy

Może to jej kroki słyhać tam na zewnątrz? Niezgrabne. No i kto tu teraz kontroluje sytuację? Ten, kto kontroluje sytuację, niech podniesie rękę.

Podniósł prawą rękę i z tego co widział, nikt inny tego nie zrobił. Kontrola.

Gdy tylko się zjawiał, widać było, że kontroluje sytuację. Tylko ślepy by tego nie zauważył.

Płakał.

Tęsknił za nią. Za jej twarzą, kiedy raz się odwróciła, jadąc na rowerze, i zaśmiała.

Powtarzał imię proroka, jak mantrę. Powtarzał. Tego drugiego boga z tego wyłączył. Odsuwał też tamte twarze. Jeśli dalej tak będzie robił, w końcu znikną.

Płakał.

Gdzie oni są? Przecież on tu siedzi.

Może to jego kroki. Albo jej.

Przeszedł raz obok, kiedy przed sklepem stał samochód, który mógł być jego. Wrócił wtedy do domu biegiem. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

Wstał w ciemnościach. Nie miał ze sobą nic do picia, tym razem nie.

Wyszedł na dwór. Słońce ogrzewało mu całą twarz.

Ktoś popatrzył na niego, jakby nadal miał... jakby on tu rządził. Teraz nie było tego widać po ubraniu, ale po nim tak. Teraz.

Szedł cały czas pod górę, a potem zszedł ze wzgórza w dół, pod szpital. Stał przed budynkiem, czekał. Widział ją. Wiedział to na pewno.

Była już piąta. Sześć par właśnie się przedstawiało. Facet, który siedział na prawo od Wintera, miał wielką potrzebę opowiadania o swojej pracy

Grupa była mieszana, niektórzy mieli już dzieci. Winter poznał położną. To była ta sama kobieta, która rozmawiała z nim i z Angłą kilka miesięcy wcześniej. Elise Bergdorff. Dała im dziesięć minut, żeby zapisali, co chcą wiedzieć, czego się spodziewają po tych spotkaniach. Miało się odbyć pięć. Do końca marca. Koniec tuż przed terminem.

- Zapytaj o znieczulenie - powiedział Winter.
 - Sam zapytaj - odparła Angła i zachichotała.
 - Ubranka - podsunął Winter. - Co mamy kupić. Co trzeba zaplanować wcześniej.
 - Przecież się umówiliśmy, że nie będziemy niczego planować.
 - Ale zapytać chyba można. - Winter dalej zapisywał.
 - Co piszesz? - zapytała Angła. Wyglądała na rozradowaną.
- Wszyscy byli rozradowani, może z wyjątkiem faceta, który opowiadał o swojej pracy, jakby za nią tęsknił.

Ja nie tęsknię, pomyślał Winter. Nie tak. To jest o wiele ważniejsze.

- Po czym można poznać, że dziecko jest głodne albo najedzone?
- Świetnie, Eriku.
- Zapotrzebowanie na sen?

- Czyje?
- Moje rzecz jasna - powiedział. Potem, po krótkiej przerwie, pisał dalej.

- Co teraz piszesz?

Podniósł wzrok znad kartki, miał teraz zupełnie inny wyraz twarzy

- Pokaż - powiedziała Angela. Przesunęła notes, spojrzała i popatrzyła na Wintera. - Czy ja dobrze widzę? Porównać adresy policjantów z odpowiedziami z pisma porno? Czy chcesz tu zadać takie pytanie?

- Coś mi po prostu przyszło do głowy.

- Eriku...

- Opieka poporodowa - powiedział szybko. - Mówiłaś przecież o opiece nad matką i dzieckiem po reorganizacji.

- Zapisz to - poprosiła Angela. - Ale nic poza tym - dodała.

Położna podała kawę i ciastka, bo to był pierwszy raz. Potem może będą na zmianę przynosić coś dobrego do jedzenia, jeśli zechcą.

Mogę upiec *brownies*, pomyślał.

Położna mówiła o związkach, jak zmieniają się relacje podczas ciąży i po porodzie. Mężczyźni i kobiety spoglądali po sobie.

- Kobieta jest bardziej zajęta dzieckiem - powiedział facet siedzący po prawej, ten, który myślał o pracy. - Mężczyzna może mieć poczucie, że za dużo czasu poświęca dziecku.

- Mężczyzna też chyba może się zajmować dzieckiem? - powiedział Winter. Czy to byłem ja?, pomyślał.

Chodzi o to, żeby pielęgnować miłość, kiedy dziecko już jest na świecie, pomyślała Angela. Przychodzimy tu, żeby się spotkać z ludźmi w takiej samej sytuacji. Możemy na tym skorzystać.

Wywiązała się dyskusja. Może chodzi o to, żebyśmy dostali wsparcie, kiedy wchodzimy w nowe role, pomyślał Winter. Jako rodzice. Kiedy zostajemy matką i ojcem. Role. Czy można to tak określić? Niektórzy nigdy nie przyjmują żadnych ról, nigdy w życiu.

Wracali do domu pieszo. Zapach zimy powoli się cofał, razem z zapachem noworocznych rakiet i bengalskich ogni. Tak mu tylko przyszło do głowy: bengalskie ognie. Ładna nazwa.

- I co powiesz o naszej grupie? - zapytała Angela.
- No cóż...
- Spotkamy się też raz potem, już razem z dziećmi.
- Myślisz, że facet od reklamy też wtedy przyjdzie?
- A ty przyjdiesz?
- Nie należy odpowiadać pytaniem na pytanie. Czekali na zielone światło na Allén.

- Na pewno przyjdzie - powiedziała. - Zdarza się nawet często, że grupy spotykają się jeszcze długo potem, tak słyszałam. Pierwsze urodziny, drugie, zaprzyjaźniają się.

Najpierw musimy to wszystko jakoś przetrwać, pomyślał.

- To brzmi sympatycznie - powiedział.
- Tak myślisz?
- Tak uważam.

Stali przed bramą. Wieczór był jasny i bezchmurny, jak wiele tej zimy.

Kiosk przed dawnym budynkiem uniwersytetu nadaje temu miejscu charakter małomiasteczkowego rynku, myślał Winter czasami. Nie wiedział za dużo o małych miasteczkach, ale tak czuł. Czasami wracał do domu sam późnym wieczorem i czuł coś takiego, kiedy patrzył na światła kiosku. Może to była tęsknota bez określonego adresata.

Angela wzięła głęboki wdech.

- Co za powietrze - westchnęła. - Jak na tak duże miasto.
- To małe miasto - odparł Winter. Jacyś ludzie kupowali coś w kiosku. Z restauracji na rogu doleciał ich strzęp muzyki. Po drugiej stronie parku domy były wyższe. Tramwaje przemuszały się we wszystkich kierunkach, jak pochodnie. Minęli grupę młodzieży, słaby

wiatr przyniósł ich głosy z fragmentami słów. Weszli do Javy na rogu.

- W domu napijemy się *café con leche* - powiedział.

Nie znaleźli zgłoszenia o drobnej kradzieży w Manhattan Livs alias Krokens Livs.

- W pewnych warunkach policjant może odstąpić od zgłoszenia - powiedział Ringmar.

- Coś mi się tu nie zgadza - upierał się Winter.
- Spokojnie, Eriku.
- To zgłoszenie bardzo by się nam przydało.
- Masz co czytać.

Na biurku leżał formularz ogłoszenia. Zdarzyło mu się czytać ciekawsze rzeczy: „Jesteśmy zwyczajną parą przed czterdziestką, mieszkamy w okolicach Göteborga i wciąż jesteśmy otwarci i mamy apetyt na seks. Szukamy mężczyzny, gdyż to ona ma być w centrum zainteresowania. Stuprocentowa dyskrecja. Jesteśmy wielbicielami wody i mydła. Oczywiście całkowicie zdrowymi. Jeśli chemia między nami zadziała, możemy spędzić razem wiele miłych chwil”.

- Wiele miłych chwil - powiedział Ringmar, gdy zobaczył, że Winter doczytał do końca.

- Wielbiciele wody i mydła.
- To czysta perwersja. Robić to mydłem?

Winter się uśmiechnął i natychmiast spowaźniał.

- A jednak zaczynam w to wątpić - powiedział. - Nic nie wskazuje na to, żeby ten, którego szukamy, odpowiedział na coś takiego.

- Nie.
- Valkerowie musieli wyrzucić odpowiedzi - powiedział Winter. -

Ale dlaczego?

- Może zrobił to morderca?
- Możliwe.
- On... o ile to ten sam człowiek... szukał czegoś u Martellów.
- Właśnie.

- A co powiesz o tych odpowiedziach?

Sterna skopiowanych odpowiedzi na anons Martellów leżała obok dwóch formularzy. Martellowie sformułowali ogłoszenie bardzo podobnie, choć nieco ostrożniej. Przy pobieżnej lekturze można było odnieść wrażenie, że chodzi im o wspólne picie kawy.

- Że jest ich dużo - odpowiedział Winter.
- Obawiałeś się, że natkniemy się na jakąś znaną osobistość - powiedział Ringmar.
- Na komendanta policji?
- Albo wojewodę.
- Redaktora naczelnego.
- Nie rozpoznaję nikogo.
- Ja też nie.
- Powinniśmy zacząć.
- Ale jeszcze nie skończyliśmy ze statystami.
- Lada chwila to zostanie załatwione. - Winter spojrział na zapisy rozmów ze wszystkimi, z którymi zdążyli porozmawiać. Prawie czterdzieści.
- To będzie bardzo... delikatna sprawa.
- Ciągłe się zajmujemy delikatnymi sprawami.

Halders był zniecierpliwiony.

- Gadałeś z Moliną?
- Nie możemy ich aresztować, Fredriku.
- To rozumiem. Ale czego on chce? Konkretnie.
- To musi być jednoznaczne - odparł Winter. - Musimy znaleźć coś więcej. Wezwiemy ich jeszcze raz.
- Super - ucieszył się Halders.

Åke Kilidén odebrał po trzecim sygnale. Jego głos brzmiał tak, jakby siedział na plaży przy porywistym wietrze.

- Chwileczkę, tylko zamknę drzwi na werandę - poprosił. - Właśnie strzygą żywoplot - wyjaśnił, kiedy znów podszedł do telefonu.

Winter powiedział, po co dzwoni.

- To okropne. - Kilidén oddychał szybko, jakby to on strzygł żywoplot. - Normalnie to przecież najbardziej martwe miejsce na całej półkuli północnej. - Mruknął coś pod nosem. - To znaczy... najspokojniejsze. Najbardziej nudne.

W odróżnieniu od Fuengirolí, pomyślał Winter i zapytał o pracowników.

- Zatrudniałem tylko troje. Wszystkich na pół etatu.

- Może mi pan podać ich nazwiska?

- Oczywiście.

- A może ma pan adresy?

- Są chyba gdzieś w księgowości.

- A gdzie to jest?

- Powinno być w archiwum, u mojego księgowego - wyjaśnił Kilidén.

Pracownicy, pomyślał Winter. Nie przyjrzelśmy się wystarczająco dobrze pracownikom Manhattan Livs.

- Miał pan wielu stałych klientów?

- Wszyscy byli stałymi klientami.

- Czy mógłby się pan chwilę zastanowić nad stałymi klientami?

Może sobie pan przypomina coś szczególnego. Może ktoś zachowywał się dziwnie pana zdaniem. Cokolwiek.

- Cokolwiek - powtórzył Åke Kilidén.

- Czy na przykład wśród stałych klientów był jakiś policjant? - zapytał Winter.

- Policjant? Ale jak to? Że niby przychodził w mundurze?

- Tak, albo w cywilu.

- Nieee... przychodzili czasami policjanci i coś kupowali, ale nie było w tym nic szczególnego.

- Niech pan się nad tym zastanowi.
- Mogę spróbować.

Winter się pożegnał i odłożył słuchawkę.

Pracownicy. Matilda. Chłopak, który nie umiał liczyć. Jego tylko słyszeli przez telefon. Winquist. Kurt Winquist. Pozostali w archiwum księgowego. Miał w rękach śledztwo, które go przytłaczało.

Lista sylwestrowych dyżurów policji z Mölndal.

Odpowiedź jest w dokumentach dotyczących śledztwa. Wszystko jest w papierach leżących na jego biurku. Ile razy jeszcze będzie musiał je przeczytać, żeby zrozumieć?

Zadzwoił telefon na biurku, równocześnie odezwała się komórka. Powiedział do komórki chwileczkę i podniósł drugą słuchawkę. Möllerström.

- Ten chłopak, Patrik, poczuł się gorzej. W szpitalu.

Winter odezwał się znów do komórki, ale ten ktoś najwyraźniej się rozłączył.

52.

Kiedy wyszedł z oddziału, Hanne Östergaard i jej córka siedziały w poczekalni.

- Jeszcze nie wiedzą - powiedział. - Coś z mózgiem.
- *Shit, shit, shit!* - krzyknęła Maria.
- Może za dużo ciosów - powiedziała Hanne. - Długo to trwało.
- Powiedział, że coś mu się przypomniało - powiedziała Maria.

Winter spojrzął na nią.

- Mówił, że kogoś rozpoznał. Na schodach.
- Tak mówił?
- Tak, wczoraj.
- Czy mówił o tym... coś jeszcze?
- Nie.
- Ale rozpoznał kogoś, tak? To znaczy, że widział go przedtem?
- Nie wiem nic więcej.

Teraz mamy tu dwoje pacjentów, którzy mogliby nam pomóc, pomyślał Winter. Oboje nieprzytomni. Musimy tu kogoś przysłać, niech siedzi cały czas. Muszę powiedzieć Angeli. Będzie musiała się przyzwyczaić do policjantów w miejscu pracy.

W drzwiach minął Morelius.

- Słyszałem - powiedział i poprawił pas. - To trochę tak, jakby człowiek należał do rodziny.

- Jesteś sam?

- Greger czeka w aucie. Chciałem tylko sprawdzić, jak jest. - Zająrzył do poczekalni, skinął głową Hanne i jej córce.

- Pieprzone bydlę.

Winter jechał przez Toltorpsdalen do Krokens Livs. Jilna uśmiechnęła się na jego widok, ale nie był pewien, czy go poznała. Wyszedł.

Wiatr znów szarpał *Miastem Aniołów*, walił i walił. Staruszkowie wysiadali z busów. Odwrócił się, błędził spojrzeniem. Gdzieś tutaj...

Może powinni zainstalować kamerę w sklepie? Nagrywać wszystko i potem puścić te filmy Killdénowi, Andréassonowi, Matildzie Josefsson i wszystkim byłym pracownikom? Jak długo?

Możliwości są nieskończone. Na swój sposób także czas, ale nie teraz.

Miał wrażenie, że czas wymyka mu się z rąk. Prowadzi go do czegoś, co będzie jeszcze straszniejsze niż wszystko, co się do tej pory stało. Czuł to.

Znów zadzwoniła komórka. Angela.

- Czy to ty dzwoniłaś przed chwilą? - zapytał. Na wyświetlaczu pokazał się jakiś numer, ale nie miał go w pamięci.

- Nie.

- Jak tam u ciebie?

- Właśnie wróciłam do domu i... nie wiem, co powiedzieć. Nagle tak się wystraszyłam. Nie możesz przyjść, Eriku?

- Coś się stało? - poczuł, że jego dłoń drży lekko.

- Nieee... Tylko nagle poczułam się tak... dziwnie, kiedy wchodziłam do bramy. Tak nie wiadomo skąd. Jakby ktoś tam był i mi się przyglądał. Obserwował mnie.

- Nikogo nie widziałaś?

- Nie. Rozglądałam się, ale nikogo nie było. To jest po prostu idiotyczne. Może to przez te drzwi do piwnicy pod schodami.

- Co z nimi?

- Były otwarte. W środku było tak... ciemno i strasznie.

Winter pojechał do domu. Z drogi zadzwonił do Ringmara.

- Chcę, żeby ktoś pilnował Angeli.

Opowiadał Bertilowi o głuchych telefonach i o włamaniu do piwnicy.

- Rozmawiałeś ze Sturem?
- Olej Sturego. Możesz to załatwić?
- Od kiedy?
- Jutro rano. Przed domem. Zadzwonię jeszcze w sprawie godzin.

Bergnhem nie ruszał głową. Próbował podążyć za ramą obrazu, najpierw oczami, potem ruchem głowy. Poszło dobrze. Lepiej niż wczoraj.

- Jak się czujesz?
- Lepiej niż ostatnio.

Martina położyła Adę spać. Odkąd wrócił do domu, Ada zachowywała się ciszej niż zwykle. Wstał.

- Naprawdę dasz radę wyjść?
- Muszę się trochę poruszać.
- Ale to chyba nie jest dobry pomysł iść do pracy już w piątek?
- Nie.
- Odpocznij, Lars.
- Ale przecież nie mogę siedzieć w domu, Martino. Cały czas.
- Masz się tylko lepiej poczuć.
- Czuję się lepiej. Prawie dobrze. Do piątku będzie dobrze.

Za oknami wieczór jaśniał nad Torslandą. Wyglądało to tak, jakby na szereg domów skierowano reflektor. Może to tylko na mój dom tak świeci, pomyślał Bergnhem.

- Nie wiem, co powiedzieć - tłumaczyła się Angela.
 - Nauczyłem się, że większość takich spraw dobrze jest traktować poważnie - stwierdził Winter.
 - Ale czuję się trochę tak, jakbym ścirowała - powiedziała Angela. - To chyba przez twoją... pracę.

Nie mówił jej o wizytach w komórce dozorczy w piwnicy. Sam nie wiedział, co powinien w tej sprawie zrobić.

- Nie możesz już nie pracować? - zapytał.
 - Jeszcze nie.
 - Nie mogłabyś już trochę wyluzować, teraz... przed pierwszym kwietnia?
 - Czy to przedwczesny żart primaaprilisowy?
 - Nie.
 - Ja chcę pracować, Eriku. Dobrze się czuję w pracy. Nie mam ochoty siedzieć w domu i czekać.
 - Obserwujemy... - Zastanawiał się, jak to powiedzieć. - My... poleciłem, żeby radiowóz zaglądał tu od czasu do czasu i kontrolował sytuację.
 - Kontrolował sytuację?
 - No... sama wiesz.
 - Dostanę ochronę? - Stała przy kuchennym stole. - Chyba nie jest aż tak źle?
 - To nie ochrona. Raczej dyskretna... obserwacja.
 - Kiedy będę chodzić po mieście?
- Nie odpowiedział.
- Kiedy będę jechała do pracy?
 - Wszystko dyskretnie - powtórzył.
 - Ach tak. A kto to będzie?
 - Nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie?
 - Nie wiem. To zależy, ile będzie pracował.
 - Okej. Mogę poprosić Bergenhema na kilka dni. - Powinien wrócić do pracy, pomyślał Winter. I jest świetnym cieniem.
 - Więc nie będzie mnie trzymał za rączkę?
 - Nawet go nie zauważysz.

Było późno. Przeczytał uważnie zapisy rozmów ze statystami. Właśnie przed chwilą przyszły pierwsze podsumowania. To był barwny zbiór,

wszystkie zawody, wszystkie rodzaje bezrobocia. Niektórzy w pierwszej chwili sprawiali wrażenie wariatów, ale to rzadko naprawdę coś znaczyło. To na tych normalnych powinno się uważać, pomyślał Winter.

Ekipa filmowa nadal pracowała w mieście. W pobliżu komendy, ale nie mogli wejść do środka. Komendant nie ułatwiał im pracy. Ludzie, którzy będą oglądać ten film, będą musieli się domyślać, że ten budynek ma coś wspólnego z mundurami, myślał Winter.

Może ten film odgrywa jakąś rolę w śledztwie. Przez statystów. Może tak jest. Pomaga nam znaleźć rozwiązanie, a równocześnie jest pośrednio... przyczyną tego, co się stało.

Trzymał w ręce wydruki. Nazwiska, adresy. Nie znał żadnego z tych nazwisk. Zadzwoił do Möllerströma.

- Janne? Czy mógłbyś się od razu zająć porównaniem adresów i nazwisk statystów z danymi ludźmi, których przepytaliśmy po morderstwie w Mölndal? - Albo morderstwach, pomyślał. - Ringmar podeśle ci jeszcze kilku ludzi.

- Okej. - U Möllerströma szeleściły papiery. - W jakim promieniu?
- Zakreśl dość duże koło. Zajrzę do ciebie za chwilę.
- Dobrze. To znaczy, że z Vasaplatsen mam zaczekać?
- Zajmij się najpierw Mölndal.

Winter odłożył słuchawkę i wyjął z szuflady zdjęcia. Oglądał je, podniósł kilka do oczu i przyjrzał się szyjom dwojga martwych ludzi siedzących na sofie.

Jedna z odpowiedzi może być tutaj, powiedziała Lareda. Odpowiedź kryje się w zamianie głów. Albo ciał.

Siedział przed kościołem. Obok niego stały dwie rzeźby. Zapytał o nie przewodnika, Alicję, a ona powiedziała, że w Torremolinos zawsze tak było. To Maurowie strącali głowy. Precz z głową. Oni mieli innych

bogów. Kiedy nie ma głowy, człowiek znika. Twarz zostaje wymazana. Jedna z rzeźb wskazywała na niego palcem. Obok siedziała Angela. Ona wskazuje na mnie, powiedziała. Rzeźby stały obok siebie przed kościołem. Bez głów i bez rąk. Usłyszał muzykę, gitary potem perkusję.

Obudził się, w uszach czuł pulsowanie. Angela poruszyła się, ale nie obudziła. Wstał i poszedł napić się wody. Było piętnaście po trzeciej. W jego powerbooku świeciła się mała czerwona lampka. Angela powiedziała mu dobranoc, a potem siedział przy pracy do późnej nocy.

U Valkerów nie było komputera, ani u Martellów. To nie znaczyło, że nigdy go nie mieli. Ale policyjni komputerowcy nie znaleźli ich w sieci. Znaleźli za to miliony czatów erotycznych. Dziesiątki tysięcy kontaktów.

Winter wrócił do sypialni, wziął z krzesła szlafrok, poszedł do salonu i usiadł w fotelu przy oknie.

Co ma zrobić z Perem Elfvegrenem? Coś w nim jest... coś, czego nie chciał wyjawić.

Zapytał Molinę o rewizję osobistą, ale nie mieli na to szans, jeszcze nie.

Naciskajcie go dalej, mówił Molina. Potem możemy porozmawiać o zatrzymaniu.

Naciskać. Ale czym?

Halders. Napuścić go na nich, dać mu wolną rękę.

To niemożliwe. Nie odważę się tego zrobić.

Rozmawiali z nimi jeszcze raz, z każdym osobno.

- Niech pani opowie wszystko, w szczegółach - powiedział Halders.

- W szcze... szczegółach?

- Wszystko. Od chwili gdy przekroczyli próg.

Per Elfvegren zaczął mówić o adwokacie. Najwyższy czas, pomyślał Winter.

Potem zmienił stanowisko. Nie mam nic do ukrycia.

Byli u nich w domu. Niczego nie znaleźli, żadnego komputera. Halders miał gazety. Czytali ogłoszenie Valkerów. Per Elfvegren wyrzucił swoją odpowiedź. Naturalnie.

Dlaczego nie znaleźli nic u Valkerów? Nic. Nie było nic. A przecież coś powinno być. Dlaczego wszystko uprzątnęli? Nie uprzątnęli. Wyrzucili. Wymietli. Żadnych gazet. Żadnych notatek. Żadnych kopii dokumentów. Czy morderca zabrał to ze sobą? Może tak. A może nie. Czy był wtedy w stanie zająć się szukaniem? Ale jeśli nie on, to kto?

Elfvegren najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że to się może powtórzyć. Winter zastanawiał się nad tym. Elfvegren miał maskę na twarzy, zasłaniał się maską. Ale maska może spaść.

Możemy was uratować, pomyślał Halders podczas przesłuchania, a potem powiedział to Elfvegrenowi. Was albo kogoś innego.

53.

Na podłodze, wśród innej korespondencji, leżała mała płaska paczuszka.

Why don't you try this tonight, pisał Steve Macdonald w liście dołączonym do płyty Winter odczytał tytuł: Tom Waits. *Swordfishtrambones*. Znow spozrzał na list. *His real breakthrough in a way and there's more to come: it has got some jazz in it too! And: good luck with the baby.*

Kolega z Croydon nie rezygnował z prób przybliżenia Winterowi klasyki rocka i innej muzyki, trochę bardziej odległej od Coltrane'a.

- Steve znow przysłał płytę - powiedział do Angeli. Leżała w kąpieli ze stopami w górze. Wszedł na chwilę w obłoki pary. - Ciężki dzień?

- Pacjenci mają gorzej. - Poruszyła się, wychlapała trochę wody. - To mój słynny numer z wielorybem obracającym się w wannie.

- Numer?

- *Shut the fuck up*. Co Steve przysłał tym razem?

- Toma Waitsa.

- Jest dobry. - Usiadła i sięgnęła po szampon. - Miło by było go kiedyś spotkać. I jego rodzinę.

- Toma Waitsa? - zapytał Winter z uśmiechem.

Angela pokazała mu język.

- Pojedziemy do Londynu, jak tylko będziemy mogli - powiedział Winter. - We trójkę.

- Już widzę, jak się będziesz puszył przed Steve'em i całą południową Anglią - powiedziała Angela, patrząc na niego z piany. - Dumny ojciec rodziny.

- Mam wszelkie powody - odparł i poszedł odebrać telefon. Właśnie zadzwonił.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwał się Benny Vennerhag.

- Skoro dzwonisz, to chyba masz coś ważnego - powiedział Winter. Vennerhag dostał jego nowy zastrzeżony numer. Rozumiał powagę sytuacji.

- Nie wiem, ale jest jedna sprawa. Pewnie się domyślasz, że moi... partnerzy biznesowi mają całkiem niezłe rozeznanie wśród policjantów tego miasta.

- Sprawdźcie nas tak samo, jak my sprawdzamy was - stwierdził Winter.

- Hmm... Moi... znajomi może poszliby tu nieco dalej. Ale dobrze. Popytałem i nie natrafiłem na jakiś szczególny opór, że tak powiem. To co się dzieje, nie jest dobre dla nikogo. Ludzie są zaniepokojeni. Twoi ludzie potrafią być bardzo wścibscy.

- To znaczy, że zasięgnąłeś języka?

- Tak, Eriku. Kilka razy widziano kogoś na mieście. Chodzi ubrany jak glina, ale nikt go nie kojarzy. Może być nowy, ale nie sądzę.

- Mów dalej.

- To tyle. Kilka razy. Ale to jakiś czas temu.

- Kiedy i gdzie? Kto?

- W paru miejscach w centrum.

- W dzień czy w nocy?

- W nocy... obydwą razy.

- Kiedy?

Vennerhag wymienił daty.

- Dobrze - powiedział Winter.

- To by było wszystko. O ile to ci pomoże.

- Teraz potrzebuję jeszcze twarzy i nazwiska. Albo adresu.

- Wszyscy potrzebujemy.

- Widzę, że potraktowałeś to poważnie, Benny. Postaraj się jeszcze trochę.

- Chyba nic więcej nie mogę zrobić. Mam kazać komuś pilnować fałszywego gliniarza, jeśli znów się pokaże?

- Byłoby świetnie.

- Żartujesz?

- Nie. Powiedz to wszystkim.

Ranek był jasny. Już prawie marzec. Piątego skończy czterdzieści lat. Niecały miesiąc później zostanie ojcem i życie zacznie się naprawdę.

Wieczorem puszczała płytę od Steve'a i Winter postanowił, że pójdzie i kupi inne jego rzeczy, kiedy będzie miał czas. Wydaje mi się, że w zeszłym roku wydał coś nowego, powiedziała Angela. Po wielu latach. W zeszłym roku. W zeszłym roku był wiek XX, teraz trzeba się przyzwyczajać do zer. *Year of the zeroes*, jak mawiał Halders.

- Dziś też mogę wziąć samochód? - zapytała Angela.

- Jasne.

- Nie dam już rady w tramwaju.

- Powinnaś zostać w domu.

Mogła wziąć taksówkę, ale chciała prowadzić. Trochę wolności. Mercedes daje poczucie bezpieczeństwa. Ten zapach, miękkie ciemne wnętrze.

Śledztwo rozrastało się wzdłuż i wszerz, mnóstwo nazwisk, adresów, zapisów rozmów.

- Nadal nie możemy zidentyfikować kilku adresów - powiedział Ringmar.

- Właśnie widzę.

- U niektórych nazwisko się nie zgadza, ale to się widzi dopiero po sprawdzeniu adresu.

- Jakiś chętny do pomocy sąsiad?

- Tak, to może tak wyglądać.

- Może powinniśmy pójść krok dalej. Pogadać z sąsiadami.
- Uff...

Winter siedział pochylony nad biurkiem i spisami nazwisk. Na nosie miał okulary do czytania. Za sześć dni skończy czterdzieści lat.

- Jest coś na rzeczy z tymi dwoma adresami - powiedział. - Możesz myśleć, że jestem paranoikiem, ale poprosiłem o adresy domowe wszystkich kolegów i... jeśli porównasz te listy, okazuje się, że nikt z zatrudnionych w policji nie odpowiedział na ogłoszenie.

- Zauważyliśmy. To dobrze, prawda?

- W pewnym sensie tak. Möllerström zajmował się adresami statystów i tym tutaj. Sture zgodził się na kilku ludzi ekstra. Coś tu czuje w powietrzu, jak powiedział.

- I co?

- To przez te mundury... - Winter przypomniał sobie o telefonie Vennerhaga. Wcale nie był przekonany, że po mieście chodzi przebrany policjant.

Bartram stukał w klawiaturę. Komputer szemrał i szumiał. Widział, jak pliki pojawiają się na ekranie. Niektórzy nigdy się nie nauczą. Niektórzy przychodzili do niego, bo był najlepszy. Zwłaszcza kiedy się zaczęła milenijna panika. Wszystkie te pliki, które znalazły się w różnych miejscach, zabezpieczenia, kopie, wszystko nagle wpadło gdzieś w głąb elektronicznej nocy.

Nie chciał pokazywać, jak bardzo jest dobry. Z tego mogły wynikać problemy. Musiałby odpowiadać na idiotyczne pytania.

Gdyby był w dochodzeniówce albo w nowym wydziale miejskim. Ale stamtąd nie przychodziły pytania. Nigdy.

Był hakerem. To nic trudnego, jeśli ktoś się orientuje. Lubił to słowo. Haker. Włamać się gdzieś, a potem zniknąć, dyskretnie, wynosząc trochę wiedzy.

Morelius wyszedł z łazienki. Był blady. Może znów miał problemy z żołądkiem. Chłopak powinien sobie znaleźć inną robotę. Może nawet już szukał.

Bartram pisał.

Zmienił plik i znalazł się w domu. To niesamowite: nagle móc wejść do swojego domowego komputera, przemykać się pośród programów, bawić się nimi.

Lista czterdziestu statystów migotała na ekranie, ściągnięta z intranetu. Zniknęła, kiedy zauważył kogoś kątem oka. Zajmie się nimi w domu. Inspektor policji kryminalnej Greger Bartram. Albo komisarz, jak Winter, któremu się wydaje, że jest nie wiadomo kim. Albo jego rejestrator. Jest lepszym rejestratorem. Patrzcie i podziwiajcie.

Halders zatrzymał się przed sklepikiem.

- To tutaj ukradli mi samochód - powiedział do siedzącej obok Anety Djanali. - Wskoczyłem tylko na sekundę i już go nie było.

- Słyszałam, Fredriku.

Halders wysiadł.

- Muszę tylko kupić tytoń. Pilnuj auta.

Aneta Djanali opuściła szybę. Poczowała zapach spalin i cierpką woń odchodzącej zimy albo nadchodzącego przedwiośnia. Słońce odbijało się w wieży Babel. Nadal stała po noworocznej imprezie, w północnym zakątku parku. Symbol czegoś, czego nie rozumiała. Czy to się komuś na coś przyda? To tylko wysoka rudera. Pewnie brakuje pieniędzy na rozbiórkę tego dziadostwa. Kac zawsze przychodzi po fakcie.

Widziała, że Halders rozmawia w środku ze sprzedawcą. Spojrzał w jej stronę, jakby chciał sprawdzić, czy nie pozwoliła sobie ukraść samochodu.

- Opowiadał o problemach, jakie mają ze złodziejami - wyjaśnił Halders, kiedy znów usiadł za kółkiem i wyjechał na Södra vägen. - Dziś rano ktoś ukradł paczkę czipsów.

- Może nie powinni sprzedawać czipsów - powiedziała Aneta.
- Może nie powinni sprzedawać niczego - odparł Halders. - Jesteśmy na najlepszej drodze.

- Na drodze do pustych sklepów?

- Właśnie. Wielka pustka. Wszystkie te pieprzone minimarkety i inne takie są znakiem czasu, w tym sensie, że dowodzą umierania społeczeństwa - ciągnął Halders, skręcając znów w prawo przy Lorensbergu. - Chodzi tylko o czipsy, tytoń i inne gówna. Plus filmy wideo.

- O ile się orientuję, jesteś wielkim konsumentem - powiedziała Aneta.

- Jestem ofiarą. Weź na przykład te filmy Ludzie się znieczulają filmami, jak się da. - Byli teraz na Avenyn. - Harry Martinson miał rację, kiedy powiedział, że film to świątynia dla lękających się życia.

- Harry Martinson - powtórzyła Aneta z powątpiewaniem.

- To taki szwedzki pisarz. Nieznany w Wagadugu.

- Właśnie, nie było nic o nim w szkole, nie przypominam sobie.

- No proszę, kogo tu mamy, dzielnicowy na przechadzce - powiedział Halders. - Wprawdzie w cywilu, ale i tak widać po chodzie.

- To Simon - zauważyła Aneta.

- Znasz go?

- Nieosobiście. Ale przecież zna się z widzenia wszystkich policjantów.

- Niestety, to prawda.

Halders wjechał do zatoczki dla taksówek przed Parkiem, właśnie tam mieli coś do załatwienia. Morelius szedł sam, ze wzrokiem wbitym w ziemię. W uszach miał słuchawki. Halders wysiadł, kiedy mijali ich samochód.

- Chodzisz tutaj również wtedy, kiedy masz wolne? - zapytał.

Morelius popatrzył na niego, ale nie słyszał słów. Wyjął z uszu słuchawki. Teraz obaj słyszeli muzykę.

- Kurde, ale głośno słuchasz. To brzmi dość paskudnie. Morelius wyjął z kieszeni walkmana i wyłączył go.
- Cześć, Halders.
- Nie masz dość Avenyn w godzinach pracy?
- Musiałem coś załatwić. Niestety.
- My tak samo.

Aneta pomachała im zza szyby.

- Kończę z tym - powiedział nagle Morelius.
- Co?
- Zamierzam się zwolnić.

Angela nagle poczuła się zmęczona. Kiedy opowiadała do magnetofonu historię ostatniego pacjenta, zmęczenie spadło na nią jak wielki głaz, blok skalny.

To będzie ostatni dzień, pomyślała. Było miło, dopóki się dało. Ale teraz głowa już nie daje rady.

Podeszła do umywalki i zwilżyła wodą czoło. Ktoś zapukał do drzwi, odpowiedziała i do środka zajrzała pielęgniarzka, Hildur. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Kolejna noga - powiedziała. - Wygląda na to...
- Zaraz będę - rzuciła Angela.

Nowy piętrowy parking nie był piękny, ale spełniał swoją funkcję. Wjeżdżając windą na trzeci poziom, przyglądała się swojej bladej twarzy w lustrze. Miała to już za sobą.

Wszyscy przyjęli to ze zrozumieniem. Byłam ciekawa, jak długo jeszcze wytrzymasz, powiedziała Hildur. Do teraz, odpowiedziała Angela.

Jutro pójdzie na spotkanie grupy jako mama na cały etat. W myślach wszystko już miała załatwione, gotowe.

Otworzyła pilotem samochód i wtedy zobaczyła mundur. Policjant zbliżał się do niej jezdnią, trochę niepewnie, jakby zażenowany. Okej,

pomyślała. Teraz już będę w domu, nie potrzebuję stróża. Ma pan wolne, panie posterunkowy.

Policjant był już prawie przy niej. Czekwała z kluczykami w dłoni. Jakiś samochód z poziomu wyżej przejechał obok nich, policjant się cofnął i czekał po drugiej stronie, aż tamten wyjedzie i zniknie na zjeździe.

Przeszedł przez jezdnię. Nadal był zażenowany. Musieli go oddelegować. Chyba gdzieś go już widziała. Znajomy Erika.

- Pani Winter?

Skinęła głową. Tak było najprościej, choć nie była przecież żoną, przynajmniej na razie.

- Mam dopilnować, żeby pani bezpiecznie dotarła do domu.

- Właśnie chciałam jechać - powiedziała, wskazując na auto. - To mój ostatni dzień w pracy. Ale dziękuję bardzo.

- Ja panią odwiozę - powiedział. Nie patrzył na nią.

Znow jakiś samochód przejechał obok nich, w dół.

Śmierdziało spalinami. Nie chciała dłużej stać w trujących wylotach. Odpowiadała za dziecko.

- Zawiozę panią do domu, pani Winter - powtórzył i wyciągnął rękę po kluczyki. Widziała pas, złote naszywki na kieszonkach, czapkę. Wszystko wzbudzało zaufanie. Twarz była znajoma.

- Nie trzeba - odparła.

- Znam drogę - zapewnił. - Pomaganie pani to mój obowiązek.

Była śmiertelnie zmęczona. Poczula to znowu, w tym śmierdzącym powietrzu jeszcze wyraźniej. Poruszenie w brzuchu. Mam się wciskać za kierownicę? Wciskać nas. Nie.

- Okej - powiedziała, podając mu kluczyki.

54.

Winter czytał zapisy przesłuchań statystów. Każdy miał inne motywy dla swojego ekshibicjonizmu. Ale nikt nie wydał mu się szczególnie interesujący. Kilku zapisów brakowało.

Pięć adresów w Mölndal. Trzy w odległości krótkiego spaceru od Krokens Livs. Traktował to jako punkt wyjścia do dalszych wniosków.

Zadzwoił do Möllerströma.

- Rozmawiałeś z Bertilem o tych adresach w Mölndal?
- Tak.
- Nie mogę go złapać. Wiesz, czy ktoś tam pojechał?
- Nic ci nie mówił?
- Czego nie mówił?
- Dwoje nie otworzyło.
- Pierwsze podejście?
- U jednego dwa.
- Mam ich tutaj - powiedział Winter i przebiegł listę wzrokiem, z dołu do góry. - Spróbujemy jeszcze raz, wieczorem.
- Może praca nad filmem się przeciąga? - powiedział Möllerström.
- Nie mam pojęcia.
- Wiesz, że w przyszłym tygodniu kończą? O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem.
- Słyszałem.

Rozłączył się i spojrział na zegarek. Potem zadzwonił do domu. Nikt nie odebrał. Znowu spojrział na zegarek.

Kiedy odłożył słuchawkę, zadzwonił Bertil.

- Wygląda na to, że chłopakowi się polepszyło.
- Chłopakowi?

- Patrik. Chłopak, który leży w Sahlgrenska.
- Ach tak. - Jego ojciec wyszedł z paki, włączył się po Skanstorget. To śledztwo pełza, drobi w miejscu. Przejeżdżał niedawno koło ich domu, prawie wszedł do środka. - Cieszę się. Muszę z nim porozmawiać, jeśli się da.
- Właśnie dzwonił ze szpitala. U ciebie było zajęte.
- A o co chodzi?
- Pytał o ciebie.

Winter zamówił samochód do Sahlgrenska. Spędzał tam coraz więcej czasu. Zadzwoił do domu z komórki, ale nikt nie odebrał, nagrał kilka słów na sekretarkę.

Twarz Patrika miała taki sam kolor jak otoczenie. Jak kameleon. Oczy miał czarne, zapadnięte.

- Śniło mi się, że go poznałem - powiedział Patrik.
 - Poznałeś? Tego, co zjeżdżał windą?
 - Było coś w jego twarzy, kiedy się odwrócił. - Patrik spojrzał na Wintera, potem na coś gdzieś obok. - Jakbym go znów zobaczył, na pewno bym go poznał. - Zamknął oczy i coś wymamrotał.
 - Co mówisz? - zapytał Winter.
- Patrik znów coś wymruczał.
- Patriku? - Winter nachylił się nad nim, ale nie usłyszał nic więcej.

Wyszedł na korytarz i znów dzwonił do domu, wciąż nikt nie odbierał. Poszedł na jej oddział, ale dowiedział się, że wyszła kilka godzin temu.

Kazał się zawieźć do domu.

W mieszkaniu było pusto i cicho. Domyślił się, że wcale nie wróciła do domu. Kiedy wracała z pracy, a potem wychodziła do sklepu czy na krótki spacer, zawsze zostawiała jakieś ślady. Zjechał windą do

garażu w sąsiednim domu, ale samochodu też nie było.

Wyszedł na ulicę i rozglądał się na wszystkie strony. Mercedes stał po drugiej stronie ulicy, jeden z trzech w rzędzie. Podeszedł szybko i zobaczył mandat za wycieraczką. Wyciągnął kopertę. Dwie godziny temu. Znów spojrzął na zegarek. Wtedy Angeli już dawno nie było w pracy. Dlaczego tu przyjechała i zostawiła samochód, zamiast go wstawić do garażu? Bała się zjechać na dół?

Berghem przestał być jej bodyguardem, nawet go nie zauważyła. Znów pracował przy śledztwie. Patrzyli na siebie z Angelą i śmiali się, może wzruszali ramionami nad własnym niepokojem. Przesadnym. Ale teraz tyle się działo.

Radiowóz z Lorensbergu pokrażył po okolicy, ale to było wszystko. Czekali przed budynkiem, kiedy kończyła, ale nie zawsze.

Znów wjechał na górę, wszedł do mieszkania. Nie wiedział, co robić. Czuł, że coś mu siedzi w żołądku, podchodzi do góry jak lawa.

Zadzwoił do siostry. Odebrała po drugim sygnale.

- Czy Angela jest u ciebie? - zapytał.
- Nie... a dlaczego py...
- Nie ma jej w domu, a samochód stoi na ulicy od kilku godzin, z mandatem.
- Dzwoniłeś na jej oddział?
- Nawet tam byłem.

Bartram zdjął buty i podeszedł do komputera. Jaśniał jak twarz, jak czekająca na niego twarz.

W kilka chwil dostał się do środka. Przeglądał, sprawdzał. Robił wydruki. Rozłożył papiery na stole i wyszedł do kuchni po wodę. Nie był głodny. Nie zmywał od wielu dni, ale nikomu to nie przeszkadzało. Kto miałby narzekać, jeśli ja nie narzekam?, pomyślał.

Wrócił do pokoju. Monitor rzucał przytłumione światło, razem ze skierowaną do góry biurkową lampą.

Przeglądając kolumny z góry na dół, pomagał sobie palcem.

Miał pod ręką notes. Ten sam co wtedy, trochę bardziej zniszczony, ale jeszcze się trzymał. Tacy jak on nie potrzebują wielu słów. Koncentracja. Trzeba się skoncentrować.

Czy to przypadek, czy nie? Wziął od niego numer telefonu, ale nikt nie odbierał, kiedy dzwonił. Sklepowy złodziejaszek. Ale adres jeszcze miał.

Porównał nazwisko i adres z notesu z nazwiskiem i adresem z listy statystów. Nie trzeba być geniuszem, żeby zauważyć, że to ten sam człowiek. Wystarczy umieć czytać, wystarczy być we właściwym czasie na właściwym miejscu. Gdyby tylko był śledczym, pokazałby im, jak się prowadzi śledztwo. Wiedział więcej od nich.

Winter przeszukał samochód, ale nic nie znalazł. Nie dotykał kierownicy. Ludzie Beiera już byli w drodze. Zadzwoił do Bertila, odebrał z pełnymi ustami.

- Zaczekaj, moja nocna przekąs...
- Angela zniknęła - rzucił Winter.
- Co ty, kurwa, mówisz?
- Coś się musiało stać.
- Zgłosiłeś zaginięcie?
- Tak. - Poczul zimno w środku, zastygła ławę. Musiał powstrzymać nagły odruch wymiotny. - Nie ma na co czekać.

Ringmar nie pytał, co myśli, czego się obawia. Nagle pomyślał o grupie. On i Angela pochyleni nad pytaniem o znieczulenie. Zapach kawy

- Gdzie jesteś? - zapytał Ringmar.
- Tutaj - odparł Winter. - W domu.
- Zaraz będę.

MARZEC

55.

Bertil zjawił się natychmiast, w ciągu pół godziny. Rozmawiali, szybko, krótko. Winter był jak mówiąca i myśląca kopia swego drugiego ja. Kiwał głową, notował, mówił. Bertil krzyczał do telefonu. Dzwonili tu i tam.

Nigdy nie umiał się całkiem oderwać... od pracy. Pójść w drugą stronę, kiedy dzień pracy się skończył. Albo noc. Zawsze miał z tym problemy. Nie umiał być twardy. Unikał chłodu. Ale tak naprawdę nie umiał się bronić przed brutalnością.

Boże. Zawsze w ciebie wierzyłem. Daj mi siłę, żebym umiał myśleć, pozwól mi ją zachować. Możesz mi ją zabrać potem, ale nie teraz. Teraz mnie podziel. Dwie istoty, jedno serce. Zero paniki.

- Eriku?

Bertil. Czy stał tam cały czas? Stał w drzwiach, ale jego głos brzmiał tak, jakby stał tuż przy jego uchu.

Winter zmienił pozycję, próbował znów być tam, z własną i bożą pomocą.

- Mamy rozmowę z jednym z twoich kontaktów.

- Kto to?

- Benny.

Wyciągnął rękę po telefon.

- Co się, kurwa, dzieje? - zapytał Vennerhag.

- Próbowałem się z tobą skontaktować.

- Domyśliłem się. Byłem poza miastem. Ale co to ma być? Czy ona wpa...

- Pomoc, o którą cię prosiłem. To jest jeszcze ważniejsze.

- Czy to ty, Winter? Nie poznaję twojego gło...

- Postaraj się, Benny.
- Czy naprawdę chodzi o...
- Tak.
- Jezu Chryste.
- Postaraj się.
- Tylko że nie wiem jak. Ale zrobię, co... będę dalej robił, co mogę. Popytam ludzi.
- Postaraj się - powtórzył Winter.

Jeszcze więcej osób rozmawiało z ludźmi z ogłoszeń z działu samotnych serc. Lepiej tak o nich myśleć. Halders nazywał ich inaczej. Nazwiska, nazwiska.

Winter nie spał. Gdyby potrzebował narkotyków, nie zawahałby się wziąć.

Wiedział, że to wszystko się wiąże. Bertil wiedział, wszyscy wiedzieli. Angela nie mogła rozplątać się w powie...

Znów potrząsnął głową. Bertil znowu stał w drzwiach. Czy to trzeci dzień w piekle? Czy czwarty?

Jutro skończy czterdzieści lat. Zauważył to, kiedy wpał do domu po świeżą bieliznę i po pocztę. Chciał jechać sam, skinął głową Berghemowi stojącemu w ciemnościach na Vasaplatsen. Ktoś powinien tam stać. Na wszelki wypadek.

Czterdzieści lat. Sam już o tym zapomniał. Angela zakreśliła tę datę czerwoną szminką w kalendarzu wiszącym obok kuchenki. Decymetr od blatu i półtora metra od podłogi. Stał tam i zastanawiał się, czy nie przynieść miarki, żeby to sprawdzić, żeby zrobić coś, co by się wiązało z codziennością. Taka potrzeba totalnej kontroli graniczy z szaleństwem.

W nocy znów śnił mu się Patrik, w szpitalnej sali.

Znał kogoś, rozpoznał kogoś. Kiedy się tu zjawił po raz pierwszy? To była równoległa historia... ale łączyła się z nim samym, z morderstwami.

Wrócił na komendę własnym samochodem, nie było w nim żadnych śladów. Zadzwoił do Hanne Østergaard. Wyglądała na przygnębioną, jakby się stała lustrem. Siedzieli w jego pokoju. Nagle zaczął jej opowiadać, co się stało w domu ofiar. Co się tam stało. Na trzy sekundy stracił grunt pod nogami, wyrzucił przed nią całe swoje piekło.

Odebrała po pierwszym sygnale.

- Nie spałam - powiedziała. W jej głosie było słycać zaangażowanie.

- Kiedy Maria... została zabrana z ulicy - zaczął Winter i zadał kilka dodatkowych pytań, a ona opisała, co się stało, kto przy tym był. Nadal słyszał to zaangażowanie, jakby czekała na swoją kolej.

Potem to powiedziała. Złamała tajemnicę służbową, naruszyła obowiązek zachowania milczenia. Można i tak na to patrzeć. Jeden obowiązek zastąpił drugi. Simon nie opowiadał jej swoich wizji podczas spowiedzi. Zdawała sobie sprawę, że nie jest zobowiązana do zachowania milczenia.

- Nie wiem, co to może... znaczyć - powiedziała. - Ale kiedy opowiadałeś o tym, co się tam stało...

Winter znów poczuł, jak lawa podchodzi coraz wyżej, do góry, ciągle tak samo zimna.

- Opowiadał o tym kilka razy? Wypadek? Ciała?

- Tak.

- Eriku?

Winter podniósł wzrok. Był sam w gabinecie. W drzwiach stał Ringmar.

- Jeszcze raz przelecieliśmy wszystkie adresy - powiedział. Trzymał w ręce wydruki. - Te erotyczne. I jest tam jedna rzecz... - Wszedł, usiadł i rozłożył papiery na biurku.

- Tak?

- To nie jest w pobliżu... Krokens Livs. Ale jeden adres to domy czynszowe gdzieś w Askim, i kiedy je porównaliśmy, jak mówiłeś, wtedy... okazało się, że jest związek.

- Jaki związek? O czym mówiłem? - Jego mózg był w tej chwili całkowicie pusty, biały i pusty jak niebo i ziemia w połowie stycznia.

- Jeden z naszych ludzi tam mieszka. Policjant.

- Tak?

- To strzał w ciemno, może się okazać chybiony - powiedział Ringmar. - Musimy podejść do tego na spokojnie.

- Kto to jest? - zapytał Winter.

- Morelius. Simon Morelius. Jest po...

- Wiem, kto to jest - przerwał mu Winter.

- Zachowajmy spokój.

Był spokojny. Bóg nadal był z nim.

- Wiesz, skąd Morelius pochodzi? - zapytał.

- Nie.

- Ma teraz dyżur?

- Nawet sprawdzałem. Ma wolne.

- Jest w domu?

- Nie wiem. Nie dzwoniłem. Nie wiedziałbym, co powiedzieć.

- Masz jego numer?

Winter zadzwonił, ale nikt nie odebrał. Rozłączył się i poprosił o połączenie z komisariatem na Lorensbergu.

- Dzień dobry, mówi Winter. Tak... wiem... że to taka spraw... no właśnie...

Zapytał o Morelius, zupełnie jak Bertil przed chwilą. Wróci jutro. Jest na liście Ivarssona. Ma trochę więcej wolnych dni po sylwestrze. Koniecznie chcecie go złapać?

- Tak.

- Może jest w domu.

- Nie.

- Próbowaliście dzwonić do Kungsbacki?
 - Co? Nie.
 - Stamtąd pochodzi.
 - Z Kungsbacki?
 - Tak jest. Ktoś wspominał tu o tym niedawno, tak, nawet on sam.
- Winter słyszał rozmowy w tle, rozmowy na komisariacie przy Chalmersgatan, telefony, buty człapiące po podło... - Tak się zgadaliśmy o tym morderstwie i wtedy to powiedział. Ona też była z Kungsbacki, nie? Ta zamordowana kobieta?
- Tak - powiedział Winter i spojrzał na Ringmara.

Ringmar przysłuchiwał się w napięciu. Winter odłożył słuchawkę, wstał i sięgnął po książkę telefoniczną.

Kungsbacka. Znalazł jedną osobę o nazwisku Morelius. Elna Morelius. Odebrała po trzecim sygnale. Nie, syna nie ma w domu. A o co chodzi? Służbowa sprawa? Oczywiście, przekaże, żeby się skontaktował. Ale nie dzwoni od pewnego czasu. Powinien się odzywać częściej. No właśnie, tak to jest. A kiedy dzwonił ostatnio? Nie tak dawno temu. Nie był w dobrej formie. Nie czuł się dobrze.

Winter próbował się skupić.

- A kim był z zawodu pani mąż, pani Morelius?
- Mój mąż? Co to za pytanie? Mój mąż nie żyje. - Umilkła, ale Winter czekał. - Mój mąż był duszpasterzem - powiedziała w końcu.

Morelius. Winter widział przed sobą jego twarz, unosila się nad mundurem. Radiowóz patrolujący Vasaplatsen, tam i z powrotem.

Prawdziwy policjant. Patrik. Maria. Zawsze w pobliżu, kiedy coś się dzieje.

Kiedy wszedł do mieszkania Valkerów, Morelius był w środku. Sylwetka. Wskazał mu ścianę.

Pomyślał o Laredzie Veitz, o tym, co mówiła. Dzwoniła wczoraj, ale on nie miał siły, już nie.

Spojrzał na Ringmara.

- Jedziemy tam - rzucił. - Natychmiast. - Wstał, pistolet uderzył go w żebra.

- Do Moreliusu? Do Askim?

- A gdzie, kurwa, chciałbyś jechać?

- Eriku...

- Możesz tu zostać, jak chcesz - powiedział Winter. Podszedł do wieszaka i zdjął płaszcz. Chciał biec korytarzem, biec jak szaleniec, płynąć w powietrzu.

Ringmar zadzwonił jeszcze raz, u Moreliusu nikt nie odbierał.

- Może poprosimy, żeby wysłali radiowóz z Frölundy?

- Dobrze, ale niech nikt nie wchodzi, zanim my nie przyjedziemy.

Trzęsły mu się ręce, czuł SIG sauera na piersiach, na żebrach. Biegli obaj.

- Ja prowadzę - zawołał Ringmar.

Był już wieczór. Ringmar szybko ruszył na południe. Utknęli w korku na wysokości Lisebergu i Winter przymocował koguta do dachu. Ringmar włączył sygnał i jakoś się przedostali przez autostradę.

Po obu stronach Söderleden mgła unosiła się pół metra nad ziemią. Ringmar zjechał przed Jämbrott. Winter pomyślał o Elfvegrenach i ich przytulnym osiedlu willowym za zjazdem z autostrady. Nie powiedzieli nic więcej o mężczyźnie, o którym wspominała Louise Valker. Louise Valker z Kungsbacki. Rzucił okiem na Ringmara. Jeśli tu nic nie znajdują, następnym przystankiem będzie dom Elfvegrenów.

Widzieli światła radiowozu z Frölundy. Otoczyło go kilku chłopców. Światło wirowało na ich twarzach.

- Wyłącznie to - polecił Winter, kiedy znaleźli się przy ich samochodzie.

- Numer siedem - powiedział Ringmar za jego plecami, Winter odwrócił się do niego. Ringmar wskazał klatkę siedem D. Domy były

ceglane, może czerwone. Trzy albo cztery piętra, to nie miało znaczenia.

- Mieszka na drugim - dodał Ringmar. Drzwi na klatkę były otwarte i przypięte łańcuchem do ściany. Kiedy wchodzili, jakiś mężczyzna wyszedł z piwnicy. Niósł wielkie pudło. Skinał im głową i odblokował drzwi.

Naciskali dzwonek przy drzwiach Moreliusza. Nikt nie otwierał. Nazwisko wypisano białymi literami na czarnym filcu, nad klapą otworu na listy. Winter zadzwonił jeszcze raz, słyszał dźwięk dzwonka w środku, ale żadnych kroków, żadnych głosów. Zawołał, nasłuchiwał. Wyciągnął broń i przestrzelił drewno na wysokości zamka.

56.

Przez dziurę w drzwiach złapał za klamkę. Nie było zamka patentowego.

Otworzył drzwi. Jego mózg działał jakby osobno, oddzielony od ruchów, poruszał się instynktownie, jak zwierzę. Zapach kordytu kręcił w nosie. Niczego nie żałował.

Na podłodze leżała poczta, jakaś koperta, gazeta.

Mieszkanie rozświetlały lampy z obwodnicy i z osiedla. Było cicho. Żadnych gitar, bębnow, żadnego krzyku.

Nie było też Angeli. Chodzili z pokoju do pokoju. Wszędzie porządek, wysprzątane. Kuchenny blat czysty i lśniący w świetle padającym z okna. Na stole pusto.

W sypialni na nocnym stoliku dwa magazyny dla panów, obok budzik. „Aktuell Rapport”. W salonie regał z książkami, mnóstwo kieszonkowych wydań, sofa z imitacji skóry, dwa fotele przed wielkim telewizorem. Porządnie. Wszystko pod kontrolą.

- Aha - powiedział Ringmar. Rozejrzył się z nieszczęśliwą miną, potem przeniósł wzrok na Wintera.

Winter czuł, jak jego twarz zaczyna drgać, jak uchodzą z niego napięcie i szok. Przygnębienie na twarzy Ringmara. Puste mieszkanie. Strzały. Poczucie zagubienia, rozczarowanie i niewyobrażalna ulga. NIEWYOBRAŻALNA ULGA. Zaczął się trząść, podrygiwać, z jego ust wydobyło się coś, co mogło być płaczem albo śmiechem. Najpierw śmiech, szalony i bardzo głośny: Szkoda, że nie widzisz swojej miny, Bertilu. Zobaczył, że Bertil podchodzi krok bliżej, jak pielęgniarz. Potem jeszcze jeden atak. W końcu wszystko minęło, podniósł do góry drugą rękę, nie tę, w której trzymał broń, i powiedział: Spadamy stąd, Bertilu. I wyszedł.

Wydał dyspozycje dwojgu policjantom z Frölundy, mężczyźnie i kobiecie.

- Ja prowadzę - powiedział, wsiadając do auta.
- Jak się czujesz, Eriku?
- Już lepiej - odparł, skręcając na Järnbrott.
- Dokąd jedziemy?
- Do Elfvegrenów
- Za chwilę będzie północ.

Winter nie odpowiedział, szukał drogi wśród bocznych uliczek. Jeszcze raz zapytał Ringmara o adres. Wszystkie nieduże wille wyglądały podobnie. Jakby się człowiek znalazł w innej epoce, w latach pięćdziesiątych. Małe domki, duże ogrody.

U Elfvegrenów było ciemno. Winter zadzwonił do drzwi. Bertil stał za jego plecami, na wypadek gdyby Winter znów wyciągnął broń.

Drzwi się nie otworzyły, światło się nie zapaliło. Winter załomotał w drzwi, potem odwrócił się i szedł z kilku schodów.

- I tak jej tu nie ma - powiedział, a Ringmar zrozumiał, kogo miał na myśli.

Mijali Radiatorget. W kieszeni Wintera zadzwoniła komórka. - Tak?

- Szukał pan Morelius z Lorensbergu. - Kiepsko było słyhać, słowa cichły i wracały.

- Halo?

- Szukał pan...

- Słucham - powiedział Winter. - Znaleźliście go?

- Jest tutaj, na komisariacie - powiedział policjant z Lorensbergu. Winter rozmawiał z nim wcześniej. - Przyjechał właśnie z Ivarssonem. Spotkał go na mieście, bo on przecież nie jest na służ...

- Dopilnujcie, żeby na mnie zaczekał - rzucił Winter.

- Żaden problem. I tak chce z panem porozmawiać, tak mówi.

Morelius siedział w sali telewizyjnej. Wstał, kiedy weszli. Miał na sobie dzinsy, czarną skórzaną kurtkę i kowbojskie buty.

- Może mogę wam pomóc - powiedział. - Sam nie wiem. - Spojrzał na Wintera, jakby chciał powiedzieć: tobie. Winter nie odpowiedział. Jeszcze godzinę temu był gotów... był... Teraz mógł go chwycić za gardło, zażądać odpowiedzi. Powinien natychmiast zacząć mówić.

- Rozumiem, że konieczny jest pośpiech - powiedział Morelius i ruszył w stronę kuchenki.

- Dokąd idziesz?! - krzyknął Ringmar.

- Co jest? - zapytał Morelius. Popatrzył na nich, najpierw na Ringmara, potem na Wintera. Coś się działo z jego twarzą. - Kurwa, chyba nie myślicie, że to ja?

- Ogłoszenie - rzucił Winter.

- Co? Ogłoszenie?

- Rozmawialiśmy z twoim sąsiadem. Przyznał się, że był... pośrednikiem, słupem, czy jak to się nazywa.

- Na litość boską, to przecież ni... nawet nie... - Spojrzał na Wintera. - Nic z tego nie wyszło.

Winter podszedł krok bliżej.

- W takim razie zataiłeś przed nami cen...

- O tym możemy pogadać później - powiedział Morelius. - Śpieszymy się czy się nie śpieszymy, Eriku?

- O co ci chodzi?

- Jest w tej sprawie trop policyjny. Mundur i te rzeczy. My w policji porządkowej też to wiemy. Dużo o tym myślałem. Bo dużo myślałem o pracy. Zamierzam się zwolnić, ale mój kolega zostaje. Chce być śledczym. Wymyślił sobie, że to o wiele fajniejsze. - Morelius spojrzał na Wintera. - Mówię o Bartramie. O Gregerze Bartramie.

- I co dalej?

- Nie słyszeliście go ostatnio. Nie słuchaliście, co mówi. Nie widzieliście go. Coś się z nim dzieje. Sam nie wiem... dużo o tym myślałem. Chodziłem po mieście, wzięłem wolny dzień, myślałem o tym wszystkim. Myślałem, że on ma prawo się trochę poba... - Znow popatrzył na Wintera. - A potem ta historia z twoją dziewczyną. - Przeniósł wzrok na Ringmara. - Chciałem się z nim skontaktować, ale nie było go w domu. Bo po prostu już tam nie mieszka. Przeprowadził się ponad rok temu i nie podał mi nowego adresu. - Spojrzał na Ivarssona. - Cały czas mieliśmy jego stary adres.

- To gdzie on teraz mieszka? - zapytał Ivarsson.
- Przy Tolsegårdsgatan. W Mölndal. Nie byłem tam, ale...
- Skąd wiesz? - wtrącił szybko Ringmar. - Skąd znasz nowy adres?
- Biuro numerów - wyjaśnił Morelius. - Wcale nie było tak trudno.
- I co z tą Tolsegårdsgatan? - powiedział Winter. - Z czymś mi się ta nazwa kojarzy.

- To przy końcu Hagåkersgatan - powiedział Morelius. - Blisko tych bloków HSB, mieszkała tam ta zabita para. To znaczy... on, jeśli ona przeżyje. To chyba Håradsgatan.

Nie powiedział Krokens, pomyślał Winter. Ani Manhattan Livs. Tylko najściślejszy krąg wie o Manhattan Livs, nikt poza tym. Gdyby wymienił nazwę sklepu, wszystko byłoby jasne.

- Gdzie mieszkał przedtem? - zapytał.
- W pobliżu - odparł Morelius. - Jeszcze bliżej tych bloków. - I po krótkiej przerwie: - Na dole jest mały sklepik, tak mi się wydaje.

Zanim Winter zdążył coś powiedzieć, Morelius podniósł rękę.

- Pokażę wam jego komputer.
- Jego komputer?
- Chodźcie ze mną.

Zeszli na dół, potem nowym przejściem przeszli na drugą stronę dziedzińca. Nikt się nie odzywał. Morelius stanął przed komputerem i

zalogował się. Odczekał chwilę, potem znów pochylił się nad klawiaturą. Czekał.

- Wygląda na to, że się na tym znasz - powiedział Ivarsson. Też z nimi przyszedł.

- Tak - przyznał Morelius. - Zwykle się uważa, że komputery nie są kompatybilne z tępymi glinami.

Wpisał jeszcze jedną komendę i spojrzał na zebranych. Potem znów przeniósł wzrok na monitor.

- Co to jest? - zapytał Winter.

- To lista nazwisk i adresów statystów z tego filmu, tego serialu o policji. - Spojrzał na Wintera, potem znów na monitor. - Wygląda na to, że to wszystkie dane. Wszedł do waszych komputerów i je sobie ściągnął.

Spojrzeli na ekran.

- Jest tego więcej - ciągnął Morelius. - Musiał mieć dostęp do większości materiałów. Albo prowadzi coś w rodzaju prywatnego śledztwa, albo...

- Nigdy o tym nie wspominał?

- Nie. - Morelius wpisał kolejną komendę. - Popatrzcie na to. - Winter nachylił się nad komputerem. - Mieliśmy jego dawny adres w pobliżu miejsca zbrodni, ale włamał się do komputera i go zmienił. Według tego mieszka teraz na Hisingen.

Winter przypomniał sobie adresy policjantów, które porównywali. Gdyby wtedy miał prawdziwy adres Bartrama, to... Bartram wprowadził zmiany na listach. O ile Moreliusowi można ufać.

- Czy on jest żonaty? - zapytał Winter.

- Nie - odpowiedział Ivarsson.

- Ja będę prowadził - rzucił Ringmar.

Minęli Krokens Livs, Manhattan. Plakaty nadal stały przed wejściem. *Miasto Aniołów. Mściciele.* Ringmar zaparkował na ulicy, wysiedli,

zanim samochód całkiem się zatrzymał. Morelius przyjechał z nimi.

Winter spojrzął na zegarek. Minęła pierwsza. *Happy birthday to you.*

Minęli plac zabaw i kilka kontenerów. Domy stały pięćdziesiąt metrów dalej, dojeżdżało się do nich od drugiej strony. Brzozowy zagajnik za nimi był posypany srebrem.

- Trzydzieści sześć - powiedział Morelius.

W oknach na drugim piętrze paliło się światło.

Winter szarpnął drzwi. Otworzyły się, nie musiał strzelać w zamek. Ringmar zapalił światło. Ściany klatki schodowej były błękitne jak niebo, ze wzorkiem w ciemniejszym odcieniu. Lila, pomyślał Winter. Wszystkie szczegóły widział niezwykle ostro.

Drzwi wyglądały na imitację drewna tekowego.

Policjant, pomyślał Winter. Jak można się obronić przed czymś takim? Świat się kończy, jeśli policjanci przechodzą na drugą stronę.

Światło na klatce zgasło. Zauważyli, że w szczelinie pod drzwiami jest jasno. Winter nacisnął dzwonek. Tylko spokój, Eriku. Zadamy tylko kilka pytań, bo chcemy wiedzieć. Chcemy wiedzieć, bo czas się kończy.

Zobaczył Angelę, ale odsunął ten obraz, uderzał kostkami w drewniane drzwi.

- Kto tam? - rozległo się ze środka.

Winter spojrzął na Moreliusia i skinął głową.

- Greger, to ja, Simon. Mam jedną sprawę i potrzebowałbym twojej... pomocy.

- Co? Teraz?

- To pilne. Otwórz, bardzo cię proszę.

Z mieszkania nie dobiegał żaden dźwięk, nie słyszeli nic. Winter czuł broń na piersi, ale nie chciał jej na razie wyciągać. Był spokojniejszy, lepiej przygotowany na to, co go mogło czekać.

- Mogłeś zadzwonić - dobiegło ze środka.

- Dlaczego nie chcesz otworzyć? - zapytał Morelius.
- Winter - powiedział Winter. Wiedział, że Bartram wie, że on też tu jest.

Usłyszeli jakieś odgłosy. Ringmar spojrzał na Wintera. Odgłosy stawały się coraz wyraźniejsze. Winter usłyszał muzykę. Morelius z przerażeniem patrzył w słabe, zimne światło na schodach. Winter słyszał gitary, bębny, głos skrzeczał i wył z za drzwi. Nie mógł się ruszyć. Ringmar strzelił. Do dwóch razy sztuka, pomyślał Winter. Morelius i Ringmar kopniakami rozwalili drzwi, wcisnęli dłonie między twarde płyty. Ringmar rozkrwawił sobie dłoń. Morelius krzyknął coś, czego Winter nie dosłyszał. Ringmar krzyczał, jakby był na innej planecie.

To było w środku, gdzieś w głębi. Słyszał krzyki. Jego ciało oderwało się od kamiennej posadzki klatki. Zaczął biec. Płynął w powietrzu.

KWIECIEŃ

57.

Angela urodziła Elbę piętnaście po trzeciej nad ranem, dwa dni po terminie. Dziewczynka ważyła trzy tysiące dziewięćset dwadzieścia pięć gramów, mierzyła niecałe pięćdziesiąt jeden centymetrów. Winter kilka razy prawie zemdłał, przekazywał kamerę położnej.

Trzymał Elbę, spała wtulona w jego pierś. Włosy miała ciemne, zaskoczyło go, że są takie gęste. Wyglądało na to, że ma jego nos i uszy. Płakał, nucąc *If You Leave Me Breathless* do małych uszek. W ostatnich tygodniach zajmował się wyłącznie puszczeniem Coltrane'a i modleniem się za przyszłość. Pokój przesłuchań zostawił innym. Czytał protokoły z przesłuchań, ale tam nie chodził.

Angela wyciągnęła się i coś powiedziała. Podniósł na nią wzrok i powtórzyła jeszcze raz. Tak, potwierdził. To cud.

Angela promieniała. To był naprawdę mały cud. Kiedyś to wszystko wróci, pomyślał, ale jeszcze nie teraz. Może nigdy. Była silna, silniejsza od niego.

Zadzwonili do Hiszpanii, Winter szybko przekazał słuchawkę Angeli.

Kiedy wychodził z porodówki, słońce wspinało się nad górą. Miał wrażenie, że świat jest nowy. Zapachy, jakich jeszcze w tym roku nie było. Wiosna. Widział dzieci idące do szkoły, bawiły się na zwirowanych ścieżkach, rzucały czymś. Czy dzieciaki jeszcze grają w kulki?

Słońce go oślepiło, więc spuścił osłonę. Wyjechał z Mölndal, ale coraz trudniej mu było prowadzić, miał zażawione oczy.

Starszy człowiek, którego nie rozpoznał, schodził na dół, kiedy się wspinał po schodach na górę. Męskie wizyty u pani Malmer.

W mieszkaniu też pachniało inaczej, prawie tak jak na dworze.

Otworzył wszystkie okna. W kuchni odkorkował butelkę, nalał sobie do kryształowego kieliszka i napił się.

Bartram mu podziękował. Podziękował mu osobiście. Chciał zostać uratowany, ale nie chciał im za bardzo ułatwiać sprawy. Podeszedł do niego tak blisko, jak to było możliwe.

Angela nie odniosła żadnych fizycznych obrażeń.

W sypialni Bartrama wisiało zdjęcie. Młody mężczyzna i młoda kobieta. Trzymali się za ręce. Winter podeszedł bliżej. Wyciął twarze. Zamienił je. Ona była nim, a on nią. Twarz mężczyzny należała do Bartrama. Młodszego niż teraz.

Winter wszedł do salonu. Okna wychodziły na park, wyglądał w zamyśleniu.

Piciem odpędził tę myśl. Za dwa dni będzie tu z nimi ktoś jeszcze. Pił szampana, był lekki. Odwrócił się i poczuł szarpnięcie bólu w lewym kolanie. Prawie stracił równowagę, przez chwilę musiał się uspokajać, potem poszedł do kuchni i odstawił kieliszek.